

DWOJE PISE DYPLOMATYCZNYCH

GRABIEGO KRZYSZTOFA MASINA

Grudzień — 1857.



# DWOJE PISM DYPLMATYCZNYCH

HRABIEGO KRZYSZTOFA MASINI

Posła nadzwyczajnego Rzpltej Polskiej do książąt  
Włoskich w 1674 r.

**Pochodzące z Archiwum tajnego Medyceuszów.**

[Przekład z włoskiego nieogłoszonego drukiem rękopismu. <sup>1)</sup>]

## I.

### Okólnik do dworów włoskich

*Celem wyjednania pomocy dla Polski <sup>2)</sup>.*

Straszném jest chrześcijaństwu imie tureckie, a ilekroć  
zatrząsa wojną ościennym państwom, w ziemiach by do-

<sup>1)</sup> Rękopism ten przechowuje się we Florencyi w księżnicy *la Magliabachiana* clas. XXIV, cod. LIII, palch. VIII.

<sup>2)</sup> Zdało nam się że nie wypada tak ważnego dla dziejów pol-  
skich pomnika, jakim jest Okólnik hrabiego Masini tłómaczyć języ-

brze najodleglejszych urzędy stanowią pospolite modły i lud gromadno się tłoczy w koło ołtarzy zanosząc Bogu prośby tak żarliwe jakoby już w rzeczy samej jarmużo bisurmańskiego tyranstwa wisiało każdemu nad karkiem. Atoli przebiera się zwolna onęj złudy, w miarę jak przeciwnie złe samo coraz się poczwarniej rozsiła i wzrasta, albowiem nie zsyłając się już na klęski chrześcijaństwa w przeszłych wiekach odniesione widzieliśmy w terażniejszym, a ono więcej płakano najazdu tureckiego niżli utraty królestwa Kandy; nuż jakże wytłumaczyć to nowe dziwactwo, iż ludy chrześcijańskie pomiatając Turkiem lękają się go zarazem? Niemaci on jednego sąsiada, coby się nie bucił ze swęj nad nim przewagi, i coby nie zapowiadał jako siłą na poly mniejszą zetrze najgroźniejsze jego zastępy, składając się przytęm tyłą nieodpartemi z dziejów przykłady, iż wszelki jemu przeczący winien nakoniec uchodzić za wierutnego kłamcę.

Pełno takżę mów politycznych dawnych i świeżych, już drukiem spospolitowanych, już w piśmie zostających, które występując z porównaniem między turecką a chrześcijańską potęgą, co najdowodniej objaśniają, jako cząstka wtórej całkowitość pierwszej przenosi. Wypisują one wielorakie niedostatki i dotkliwe strony tego dra pieżnego rządu; jako to zbiegostwo w mnogich prowincyach podwładnego mu państwa, pospolitą niemoc Ma-

---

kiem dzisiejszym, i że darowawszy go polszczyzną należy nie za oierać piętna wieku, w którym był napisany, tak jednak by został zrozumiałym dla osób bardziej wczytanych niestety! w ekliwo ogładne pŁody epoki stanisławowskiej, lub w tegoczesne utwory, w których występna w kleczeniu wyrazów dowolność tak często chodzi w sŁużebnej parze z germanizmami i rusynizmami, niż w złote zygmuntofskie wzory, jedyne które odzwierciedliły kwitnące jeszcze zdrowie narodowego organizmu, jedyne z których jak z wysokich Tatrów zawiewa oczerstwiający duch dawnęj Rzpltej naszęj, wolnej, potężnej i spokojnej! (przypis. tŁóm.)

hometan parających się próżniactwem, rozpaczny umysł chrześcian, krajowców lub niewolników, małowiczność twierdz i to źle naspiżowanych, i takim więc strychem dają nam poniekąd namacywać łączności wyświecenia Turków z Europy, i po wparowaniu ich do Azji rozeznania na dobre lotrów szajki.

To samo niegdyś chelpliwe dworowanie i przechwałki glosiściej jeszcze brzmiały w ustach i pod piórem wielu azyatyckich i afrykańskich narodów następnie podbitych i zniewolonych bądź do jęcia się mahometaństwa, bądź do odstrzelenia się od czystości katolickiej wiary. Podziśdzień Grek, Macedończyk, Węgier, toż siła innych w naszej Europie podobnie zhołdowanych, nie przestają wzbijać się w hardość na samo wspomnienie iż ich ojcowie byli ongi biczem pohańców; lecz cóż potemu? sami stali się ich posłusznikami,— ba gorsza— ich czolgańcami.

Pisma polityków nawodzących króle ku wielkomyślnym wyprawom miasto iść w posłuch zbawienny, są czytywane przez tych jako prawa bałamutnia, i biorą ten jedyny skutek, iż namarszczają brew pokątnym gorliwcom, co świętobliwym uniesieni zapalem porzewniają na rynkowych schadzkach i na przedpokojowych posiedzeniach sromotę chrześcijaństwa. Wszystko to, powtarzam, nadaremnie: boć ani języki ani pióra tego prawie dotychczas wymędrzać niewładne, by na okrzyk: — Turek idzie! nikt przynajmniej niezaдрzał.— Cóż dalej? Chrześcianie z starodawna tak lubują w pluzeniu i przyświecaniu wodzom, którzy się wsławili przeciw niewiernym, iż nieprzystając na historyi, téj drugdy dworaczce, dla dosadniejszego wrażenia w pamięć pospolitości odwiecznego naszego męztwa, przeciążyli dłonie białogłowom i dziatkom siła pletliwemi baśniami romanse rzeczonymi, jakoby żadna pochwała nie była dostatnią ani przystojną chrześcian-

skiemu walecznikowi, zawsze pogromcy, nigdy zwyciężonemu.

Po naszych chrześcijańskich kościołach widać wielorakie nagrobne napisy poświęcone onym bohaterom, którzy na polach Jerozolimskich, Carogrodzkich, Trebizondzkich, dackich i węgierskich, bywali postrachem Turkom, a wszelakoż te kraje zostały w wiekuistém rękodajstwie otomańskiego domu. Pamiętneć zwycięstwa na morzu; lecz królestwa morskie o zgubę przyszły, jako więc w ostatnim wieku Cypr, a w terażniejszym Kandya. Jakoż tedy pogodzić pogardę i trwożę, wieczną na nieprzyjacielu wygraną, nieprzyjaciela zaś wiecznie podbijającego a nas podbijanych; odnoszenie zwycięstw i tracenie państw, snadność skażenia otomańskiego mocarstwa, i każdodziennie rozprzestrzenianie się tegoż; znamienitą żarliwość w powszechności chrześcian o cześć i wiarę i powszechną obojętność, toż gnuśne przyglądanie się wypadkom, z tak mdlém a krótkotrwałém w nich uczestnictwem, iż wątek niesprosta zgola nigdy rządnemu i stwornemu odporowi: jestto niewypleciony węzeł, którego me pióro niesprawne rozdzierzgnąć.

Najduję w dziejach po każdej walnej przegranej walne przygotowania ku odzyskaniu straty: alic to zgon najwyższych Pasterzy staje onym na wstręcie, to znowu łakomienie się o podział zdobyczy przed zaczątkiem wyprawy, więc kuszenie się każdego ze sprzymierzeńców po najpowodniejszych potrzebach o całkowitość łupów tak swoich jako i cudzych hamuje rycerski świętych sojuszów postęp; skąd objaśnia się ta obciążliwa prawda, iż zwycięstwa tureckie przysparzały im zawsze prowincyj i owocowały królestwa, naszych zaś osławny i haniebny pokój jedynym wciąż owocem. Jakoż najgęściej odbiegaliśmy bądź wszystkiego, bądź połowicy najmniej tego o co Turek kołatał na pierwociu wojny. Owo takim ustawnie postępując strychem, podzielaliśmy przed dwoma

laty twogę jaka obegnała najdalsze narody na wieść tureckiego na Podole najazdu, a w parę miesięcy później uszy nasze już się były ostraszyły z ustąpieniem Kamieńca i Ukrainy. Tak samo i dziś by nieprzedawnić wsobionego w nas nałogu, pawimy się i naperzamy z Chocimskiej wygranęj, jakoby była dostatnią do zabezpieczenia Polski i wszego chrześcijaństwa od wiszącej klęski. Niewątpliwa, iż bacząc zgonną toń, na której bylibyśmy dzisiaj bez sprzyjańszych losów, dłużniemy rozumieć to nasze obecne położenie przedniejszą Opatrzności łaską. Uznawali to z równem swęj roztropności i skromności nabożeństwem Jan Sobieski hetman wielki koronny, gdy zwiastując Jędrzejowi Olszowskiemu biskupowi chełmińskiemu podkanclerzemu koronnemu tak fortunną przygodę, list swój zaczyna od onych słów: *Dextera Domini fecit virtutem*. Nieprzyjaciel bowiem mógł bez przekazy dopaść Wisły i ubieżeć Kraków by był w tę stronę uderzył, albo przynajmniej położyć się na powiślu naprzeciw Warszawy; ale niestety! tać to właśnie najprzedniejsza korzyść, jaką zwykł odnosić oręż chrześcijański, że poczytujem za wygraną ilekroć pasmo strat krótnieje lub na czas się zawiesza.

Turek tymczasem podżegany sromem więcj niżli szkoda, pluży w środkach ku pomszczeniu się co rychle; samei bowiem jeden rozkazuje, czleka ma podostatkiem do ściągnienia niezliczonego wojska, na którego utrzymanie najdzie we własnym skarbie sowitość grosza; nuż znowu w okamgnieniu rzuci na Dunaj most przez siebie samego (jako piszą) zepsowany; tedy nie grzechy i niepotemu nam będzie szczupły wojsk naszych poczet by mu przekazić těj fabryki.

Polska po dwudziesto-sześćio letniěj wojnie kozackiěj, tureckiěj, moskiewskiěj, szwedzkiěj, siedmiogrodzkiěj (przemilczę już bowiem wewnętrzne waśnie i rokosze) jest we wszelakiem ze swych województw cale lub częścio-

wo splondrowana, opuszczała, wypłoniona i nazbyt wyczerpana z pieniędzy; boć i opływałość zboża srodze się natyrała; więc pozostałe niesprzedane, równie jako niepokupnemi się stały wosk, miód, konopie, len, czerwec farbiarski, zgoła wszystkie produkta tak snadnej niegdyś skupności. By nawet żołnierz domagał się samej tylo strawy, toć pewna, iż królestwo polskie nie ma z to pieniędzy, aby rozstawić spiżę sposobnie ciągnieniu wewnętrznemu nierzkąc zagranicznemu; bo acz sejmy uchwalają najswowsze i najsporsze pobory, od których samo się duchowieństwo nie wybiega, przytrudnem się jednak staje wytykanie onych, a ktemu niesłuszna i niebezpieczna wytrząsać mieszek poddanych do pośledniego szelaga.

Daj to nawet, że po niejakiem różnościach w widzeniu stany się koronne zgodzą na elekcyą nowego króla, która w maju przypada, i że dla nadającej się nagody wszelaki szlachcie z senatu lub rycerskiego koła znajdzie się w pogotowiu na ciągnienie do obozu; wszystko się przecie musi dokonać na aktach dobrej woli, gdyż niemogąc zapłacić zaległości żołdowych ze skarbu koronnego, a nie upatrując podobieństwa do ziszczenia w pospolitych obietnicach, jako też nie czując za sobą zapewnionę pomocy obcej, mam za to, że albo nikt nie będzie gardłował by się uwiarować niezbytęj a powszechnęj klęski, albo każdy będzie zwlekał jako własny ocięgiwacz dotąd, aż się Turczyn przeplawi przez Dunaj, i tak się zamoże i wmieszka, że nie będzie zgoła rady z nim się potykać (by dobrze była moc po temu) jedno w samym środku kraju.

Któż zaś nieprzejrzy, iż w takowym razie, Wołosza, Multany, Kozactwo pozbywszy ostatecznej w obronie pieczy i odsieczy polskiego oręza nadziei, uderzyłyby w ślepą czolobitnią Turkowi? Któż nieprzyzna, iż toby właśnie obrało tak jednę jako i drugą z onych prowina-

cyj z tych znamion księstwa, jakowe obie przywłaszczają dwojgu książąt chrześcijańskich lubo dysydentów, i natomiast osadziło na tych tronach dwóch baszów niechrześciców; a możeby więc Kozacy byli znagleni do pokłonenia się trzeciemu na Ukrainie? Tatarzyn, który dotąd się cieszy jaką taką niepodległością, i jako ten i ów podejrzywa lub też wie nieplennie, z ukosa poziera na rozpieranie się tureckiej panoszy w tych stronach (bądź dla przywiązania do wrzekomiej jakiejś niepodległości pamiętnej dotychmiast między temi narody, bądź że się stracha by po zaborze onych prowincyi nieukróciły się napady srodze dlań zyskowe, prze wielość zajmowanego dobytku i ludu pędzonego w jasyr) Tatarzyn mówię, osądzi się także zniewolonym do przyświecauia tureckiej fortanie. By zaś Turek pomknął stopę aż po Wisłę, snadźby po tej stronie rzeki otrąbiano i obnoszono za nietrybową niebios łaskę, wytargowanie sromotnego pokoju nakładem wszystkiego coby po tamtej stronie załapił pohaniec.

Możeby też (co nie daj Boże!) po tak bezprzykładnem odstępstwie Europy, zawiodło się na to, iżby jaki basza wspanoszon o jednym lub kilku buńczukach rozwielmżył się w ojezyźnie Jagiellonów i włudzał Polakom iż snem ich dzieje, ich narodowość, ba sama ich Ewanielia, że są synami koranu i że Polska nigdy nieistniała!... Jakoż wątpię aby natedy upomnienia Namieśnika Chrystusowego, tego przyrodnego zastępcy Polski, aby prośby książąt blizkich lub dalekich potrafiły tak wysoce rozniecić wiarę i miłość w Polakach, iżby się zmogli na wieczne nieprzystawanie na pokój i dochodzenie o świętą szyję świętej i godziwej pomsty; owszem, lękałbym się raczej by pośród zamątku i cierpień odwyklszy niejako nadziei i już niedufając dalej ni odpornym ni zaczepnym środkiem, nieoddali się przywłaszczycielowi dobrowolnem oddaniem prędzěj niż stać się plo-

nem ślepój i niehamownej mocy; co niebyłoby zresztą rzeczą niebywałą i niewidem w dawniejszych czasach i w innych królestw dziejach: boć Bogiem a prawdą pytam, jakożby Polacy mieli polegać na własnych lub obcych siłach, oni którzy mając jedną jednem Częstochowę i dwoje lub troje miejsc słabo ostrażowanych na szląskiej granicy, niezdolaliby się zebrać pod osłoną żadnego warownego placu naspiżowanego żywnością i zasobnego w wojenne rynsztunki, iżby się wnet nie ujrzeli na wychodnim z miłej ojczyzny progu? poniewolnie tedy na goli i w otworzystém polu wydawać na sztych ludokradztwa i najsroźszych morderstw swe ojce, matki, żony, dziatwę, bracia, pokrewne i przyjacioly, a na stos łupieży i pożogi właszczyznę swą i domy, niewiem doprawdy czemuby mieli tyle ważyć na obronę gołej jedno ziemi i niewarownego a utratnego pożytku? Możemy sobie bezpiecznie opiewać że wówczas monarchowie chrześcijańscy ruszyliby wspaniałomyślnością i poczuliby się w obowiązku biecć jako żywo obronną ręką Polakom na odsiecz; alić któż za dni naszych da się przyjąć takim i tym podobnym nadziejom, i którzyż to namowny wymowca przemoże w oniej ostateczności włudzić otuchę i ufność ku nim przelęklemu ludowi?

Wojny te europejskie pomiędzy najpotężniejszymi mocarzami sąli chińskiemii wojny, by wszelki z wszelkiego stanu w Polsce i po za jēj granicami nie widział, iż sąsiedzi jēj bliscy tak są zabawieni przez dalszych sąsiadów, że mieliby sobie prawem szczęściem opędzić własne granice, więc że wszyscy tak usidleni w wojnie, z której każdy przemyśliwa jak najskwapliwiej wymierzyć się i wyprawić, iż niewczesném i niepotemném staloby się podówczas samo powszechnego pokoju dobrodziejstwo? Azali acz jeden rozejm da się przewieść takimi przekwinty i trefnemi dowcipy: — Bądźmy dobrzej

wiary, pozostawmy te rzeczy tak jak są, do bitego zobaczyska inną razą!

Nie pójde w dłuższą wypisując tutaj one P'apieżę, one Cesarze, one Króle, którzy tuszyli że odzyskają w Azyi, w Afryce, a mianowicie w Europie co przedniejsze stolice i co przetworniejsze ziemice wprędce po ich zaborze przez Turka, i omieszkam sporu, azali ci wszyscy wykroczyli niebacžnością lub niemocą, azali winno się pomawiać bezmyślné wypadki lub też ich samych, czy więc ich wyręczycieli i sprawców domowych i wojennych; bez obmierzłego już spisu królów złowrogięj w chrześcijaństwie z onego powodu pamięci, dość mi ile ku tęg rzeczy, że nie mamy jakmiarz przykadu coby nam poszedł w nadzieję, iż raz utraciwszy królestwo polskie zdolamy je kiedykolwiek odzyskać... Lecz nie chcę rzucać na me karty cienia czarnej wróźki, bym niezdał się prorokować zbożnym mego wieku monarchom bezskuteczności wypraw nawykłych do wiekowania w głowie u tych, co świat bywało żegnają ze świątobliwemi zamysły....

Wprawdziec na piśmie wszystkoby się lacném widziało; siłaby nawet w onczas i chętnie rozprawiano, ale niktby się nie kwapił z próbą przywrócenia Polski<sup>3)</sup>; aż więc po niewielu leciech wieść o Krakowie, Warszawie, Lwowie i Lublinie, leżących już wtedy po zakopcami chrześcijaństwa, zamierzchłaby tak dalecę, iż chcąc się dopytać w jakowych to niedoszłych położone stronach, zgłaszano by się do ksiąg o kosmografii lub do sekretarzy Propagandy w Rzymie, jak to więc ma się dzisiaj z Galaczem, Białogrodem, Adryanopolem, Sofią, Nikopolem, nuż z innemi grody, które prostą drogą są bliższe lub nie więcęj zdalone od rzeczonych miast polskich, a niemniej od nich słyneły przed laty pod berlem

---

<sup>3)</sup> Non si troverebbe il giorno di cominciarne la prova.

chrześcijańskich książąt, owszem tak wszystkim wobec były wiadome, iż się widziały niektórym wrotami Włoch i Niemiec.

Czytałem w Rzymie mowę spopolitowaną już po wzięciu Carogrodu z pod misternego pióra, co przekonywała jak najdowodniej o szaleństwie Turka, który onym podbojem poprzebudzał tyło z twardego letargu króle chrześcijańskie ku wyrumowaniu siebie z cesarstwa wschodniego i ze wszech Europy krain; dodając iż ta strata miała pójść na utwierdzenie i pokrzepienie władzy rzymskiego Kościoła, bo buta odszczepieńców rozzuchwalona pod łacińskiem Cesarstwem dałaby się objeździć i okrócić, i przerzuciła w korną uległość. Ale żal się Boże! po niewielu leciech najbliższe ościenne prowincye opłoneły z nienagła ze zgrozy i tęsknicy, a włoskie kraje, które przerażone pierwszą o klęsce wieścią zdały się były zrazu ślubować wieczystą na duszy i na odzieży żałobę i kiry<sup>4)</sup>, przed dokonaniem jeszcze onego stulecia gwarzyły o tój przygodzie gdyby o sennój marze i śniący prawie zdał się dzisiaj wszelaki przemawiający ze strony odzyskania Carogrodu. Niechże przeto Polacy niedopuszczają i niech całe chrześcijaństwo niedopuszcza, iżby niewierna stopa wmieszkała się i wsobiła nad Wisłą; boć pierwsze ujarzmione strony byłyby zagnane uczestniczyć w zgubie drugich, w którym to razie (czego uchowaj Boże!) Węgry zajechane z przodu przez cesarza, z boku zaś nawiedzone wylewami, ledwieby zdołały skupić ostatek sił ku własnej obronie. Wszystek zaś lud ziemiański z Moraw i Szląska alboby musiał odbieżeć śwych progów, albo stać się plonem nieprzeznaczonych i nieuwarowanych tatarskich najazdów, tak iżbyśmy tam wprędce ujrzeli opuściałość i płoninę ukra-

<sup>4)</sup> *l' Italia che al primo avviso spaventata parve far voto di animo e vestito perpetuamente mesto e lugubre.*

ińskich stepów, a kończyną chrześcijaństwa byłby już Ołomuniec i Wrocław. Zginęłaby wtedy niezwrotnie równowaga Europy, a wszystkie późniejsze praktyki polityków ku przywróceniu onęj, i najmisterniejsze ich stanowienia i kombinacye byłyby tą z wiatru podwaliną potępionego Syzyfa, który wiekuiście poci się i ustaje w Tartarze około zrównoważenia stoczystej skały. Gdyby zaś złe niniejsze, obawa pójścia w gorszą i nadaremne wyzieranie świtu odkupienia, mogły ociemnić polski naród aż do powolności bisurmańskiemu tyraństwu, nie śmiem zaiste spierać się z tymi którzy w nim upatrują osobliwy statek w wierze i stanowcze ku swym królom przywiązanie, ale niewiem doprawdy, ażeby zdołał natedy zadzierżyć onę ostateczną z odwag — odwagę męczeństwa. By dobrze Litwę przemogła oskrzydlić piecza jednego, Prusy zaś opieka drugiego sąsiedniego mocarstwa <sup>5)</sup>, mimo to niezdolalibyśmy już kupezyć swobodnie, a Turczyn ztąd i z owąd podszańcowałby się o dwieście mil bliżej licząc Ukrainę pod państwa chrześcijańskie, coby mu przysporzyło o trzecią część posiadłości w Europie. By zaś kto wtoczył, że te moje słowa są zgodne do rozsiewania jedno popłochu, odparłbym nieodrocznie, iż wszelki wnioskujący z przykładów przeszłości nie bez przyczyny stracha się złego, którego już chrześcijaństwo częstokroć zabaczało lub je lekceważyło, a które posiedz musiało popadać z tak widoczną potomości skazą. Bywały poswarki w ówczesnych też rządach, wicherzyła niezgoda między pany chrześcijańskimi: niemaszli tego samego za naszych czasów? Nieochylajmy, iż wówczas Turek był w niskiem pierzu, a chrześcijaństwo niezrównanie mocniej stało; znakomicie by te-

<sup>5)</sup> Quando pure la Lituania potesse restar coperta dal patrocinio d' uno, e la Prussia da qualche altro potentato vicino, ne rimarremmo contuttociò senza commercio.

dy dodał serca wszem i każdemu ktoby wyszedził z kąd warowniejsze dzisiaj możem rościć nadzieje?

Alić, prawi, tymczasem Pers zejdzie Turka, lub go też domowe zatargi porobią, tak że indziej przytarty nie przemoże pomknąć ku tym stronom grożących podbojów. Są takż, którzy go zechcą tak zawołanym politykiem, aby sam przejrzał upadek swego państwa, przeto iż je do tej doby zbytnie rozprzestrzeniał. Byłoby to jedno, mniemam, co polegać na gniewie tych, co się dotąd nie noszą za pokrzywdzonych, i co spuszczać się na trzy zbyty na przezorność i łaskawość bisurmańską.

Jako rozmyślim raz jeszcze przykłady upłynionych wieków, zejmie nas raczej niepłonna obawa, by w Rumeni, w Grecji całej, w Macedonji, Serbji, Bulgarji, Węgrzech, i w przyległych im prowincjach, gdzie po ukróceniu udzielnosci i swobód przechodziła wszakże puścizną z ojca na syna, a z wnuka na prawnuka, nadzieja wybicia się z mizernej niewoli na pomocą polskiego oręża, krajowce bacząc Polaków w téjże matni i pętach, nierozumieli że się im na zawsze pozasiekiwały drogi do tęsknionego odkupienia, i przeto od utraty kraju nieprzeszli do wiary tracenia <sup>6)</sup>). Rodziny bowiem dotąd posłuszne prawemu Rzymskiemu Pasterzowi lub opowiadające się przy carogrodzkiem odszczepieństwie, w beznadziei odjęcia się hańbie, w jakiej marnieją, i słysząc zewsząd miotane na się przemianki niewiernych, wiarołomców i psów, odstalyby nakoniec od Krzyża. Radbym odetchnął w lepszą nadzieję; lecz cóż kiedy po utracie Carogrodu, we wszystkich częścicach Azji

---

<sup>6)</sup> S'i pur nudrita di padre in figlio, nipote a pronipote, qualche speranza d'essere un giorno col ferro de' Polacchi sottratti dalla miserabile schiavitù, vedendor hor questi sui medesimi ceppi e catene credessero chinsa ogni strada in sempiterno alla loro sospirata redenzione, e perciò dalla perdita delle stati precipitassero in quella della Religione.

(wyjąwszy Armenją) czytam więcej chrześcian w ciągu dziesiątka lat obrzezanych i ugęszczających do meczetów niżli kiedykolwiekbądź przedtém. — A ono zkąd? — Ztąd, że z upadkiem wschodniego chrześcijańskiego cesarstwa pozbyli wszelkiej nadziei skruszenia swego jarzma. Jedno zaś podbite państwo podbija drugie. W Azji bojowano z azyatyckimi plemiony, a zholdowanych zażywano na zholdowanie drugich. — Zagnieżdziwszy się w Europie Turek używa ómy Azyatów jako posiłkowej gawiedzi, ale przedniejsze jańczarskie chorągwie składa z chrześcian poturczonych, albo z mieszańców z ojca lub dziada chrześcianina; tak iż czy to ochrzeczeni, czy obrzezani, zawsze z nich naszyńce; zaczęm wypada uznać się w mniemaniu jakoby Turecy z kończyn ziemi prowadzili swój rodowód: sąci to, powtarzam, ludzie Europejscy na podobieństwo Niemców, Francuzów, Hiszpanów, Włochów; jeżeli zaś ci umieją państwa wzajemnie sobie wydzierać, przeczby i tamci w toż nieporafili? Może więc dla tego, że ta przysadna tureczyzna albo też rękodajstwo tureckie obiera ich z bystrości umysłu i z dużości cielesnej, i czyni różnymi od rodziców? Wmówmy tedy w siebie, że luboć prawimy o tureckich najazdach, tymi Turkami są właśni Grecy, Bulgarczycowicie, Macedończycy, toż inni nasi sąsiedzi.

Jakoż nierozmyślnie ten i ów się odzywa: — śmiałżeby Turek wkroczyć do pośrodku Niemiec? miałliby się ku Włochom? a kiedyż znowu dopadłby Francyi? Sąci to wszak kraje, kędy dłużeńby zdobywać każdą piędź ziemi bronioną przez ludzi nie przez zwierzęta żadne. Jakżeby mu zbrodzić tyle nieplawnych i nieżeglownych rzek? jako przecisnąć się przez nieśladne wąwozy tyłu niebosięgłych i nieprzebytych gór? Wszakie nasze twierdze nie uchodzą się prostym przez rów przeskokiem. — Prze miły Bóg! wiecznież starsi satrapo-

wie rad koronnych <sup>7)</sup> będą nam oklepywać te pod olój farbowane mowy? Aliści jedni zginęli niezgodą, drudzy szwankowali łakomstwem, innym niewczesna pomoc dała zabrać w głębia, innych tam wnurzyło niepodobieństwo obrania króla po swój myśli, i przeto szukali pomocy u poganina, która się w rychle przewierżnęła w ucisk. Podobnoć indziej są też rzeki i góry, owszem jest morze w pośrodku, ani też tamtejsze twierdze były warowne słomą i obronne kręglami; jeśli odporna sztuka stała się doskonalszą, toć niepośledni w doskonałości kunszt obleźniczy nieprzeszał być jój równikiem; nie widzi mi się też jakoby nowoczesna ludzkość otrzymała od Niebios pokwitowanie i rozprawę z przywar starożytniej, iżby się na przyszłość niemiano owszeki lękać ani niezgód, ani łakomstwa, ani gnuśności, ani szkaradnych bezrozumnych uchwał od królów, rzeczypospolitych i ludów dni naszych. Niewiem w tąż zaiste przeczby miało być niepodobnym i nieprzygodnym, aby Turek postąpił i położył się nad Wisłą, i niepojmując przeczby Tatarzy, Multany, Wołosza, Kozactwo i Moskwa pospołu, nie mieli składać siły dostatniej do najechania Niemiec; a lubo stos ten niemógłby może nas potkać niemieszkanie po rozbiorze Polski, wždy byśmy przekazali synom naszym te powody i nagody do onój walnej niedoli, jakie sami dziedziczymy po ojcach naszych <sup>8)</sup>.

<sup>7)</sup> Satrapi maggiori dei consigli di Stato. — Zapewne za dni naszych pełnomocnik wszelkiego mocarstwa lub minister spraw zewnętrznych, pisząc w swoim cyrkularzu o kolegach swych ministrach i radcach Stanu, nie wyrażałby się tak niedyplomatycznie i bez retorycznych omówień jak to czyni poseł nadzwyczajny Rzpltej polskiej. (przypis tłum).

<sup>8)</sup> Non so perchè uniti i Tartari, i Moldavi, i Valacchi, i Cosacchi ed i Russi, non fossero potenza bastante per invadere la Germania, e benchè questo colpo non potesse seguir immediatamente dopo la smembrazione del Regno di Polonia, contuttociò sarebbe un lasciar

Jakoż żadna żadnych czasów utrata nie oblekaby taką hańbą wszego chrześcijaństwa, zwłaszcza przy łączności, z jaką teraz możemy odbić Turkowi ów los powodny obracając go w dobrodziejstwo dla siebie samych. Nie nowinać to przecie, że znikąd cesarstwo tureckie nie da się snadniej podwrócić jak od Polski, oraz że nikedy nie może z mniejszym oporem dorwać się panowania nad okręgiem ziemskim jako przez Polskę<sup>9)</sup>; nie stawie nikomu przed oczy granic polskiej Korony, więc morza Czarnego ku pokazaniu przewagi, jakąbyśmy zyskali nad Turkiem, ani Bałtyku na dowód téj, jakąby odzierzył nad nami, by się rozparł tak szeroko; są to bowiem rzeczy nikomu nietajne, a ktoby ich zaniewiedział, może sobie przyjąć mapę za ochmistrzynią.

Dziś Polacy sięgają Dunaju swobodnemi i niezawściągnięniemi zagony, mają podostatkiem jazdy a broni, i właściwe sobie wojenne tryby na czynienie z Turkiem, jakich żaden nad nich nie zażywa naród; obozują zarówno w sreżogę i we skwarę, byle ich ziemia nosiła na sobie, byle im niebrakło doszczętnie nieśniednej i najpośledniejszej karmi. Po zwątleniu nawet i zanieżeniu państwa, jakowe czuć się daje odnośnie do dawniejszych czasów, mogą postaremu, iż młodź szlachecka rażno się porywa do broni, wystawie nie wdając się w obce posilki poczet dostatni ku potykaniu się bezpieczenięm czołem z bisurmańską czernią. Wprawdzie żądabyś większej karności, ale i tę częstokroć zaprowadzić umiała niezrównana dzielność hetmana, i teraz przywieśćby onę nieprzytrudna do znośnej umierności (sko-

*materia di cercare ai nostri figli quel gran infortunio che a noi lasciarono altrove i padri nostri.*

<sup>9)</sup> Non è pensiero nuovo, che da niuna parte possa l'impero Turco esser piu facilmente abbattuto, che dalla Polonia, e che per niuna parte possa giungere all'universale monarchia con meno difficoltà che per la Polonia.

ro móm zdaniem niepodobna więcej wyciągać w tój mierze po najstworniejszym narodzie), by jedno zdołali uwarować się konieczności ściągania drugdy siłomożnej prawicy po kęs powszedniego chleba. I w jakimże to na świecie kraju, kędy niesporo zrządzić ład i stworę w szafarstwie picowném, podczas dla niedostatku pieniędzy, podczas dla osobliwych odległości, żołnierz zdoła się wyżywić bez narzekań i biadania ubogich ludków? albo jako to więc uchwalićby kaźden mierzył swój obiad nie dosytem, lecz natrzęsioną wierzchowatą miarą miłości bliźniego, i krom jój uszczyпку a ujmy? Owo zgola przychodzi wyznać, że jeżeli żołnierz siła psot nabroił w Polsce, to zkaźnać w ciągu lat kilku niemaló też milionów borgował Rzpltej do nieokreszonego czasu, albo pokwitował z nich wspaniałomyślnie.

W Polsce więcj można dokazać stem niż kędykolwiek indziej trzema stami <sup>10)</sup>, a mianowicie odkąd znikła z pomiędzy wojska ta niejednomyślnóć i prywata, która siłakróć całe przyprawiała o niemoc lub nie dozwalała jego oddziałóm czynić swobodnie kwoli potrzebie, można bezpiecznie rokować te końce, jakie dawniej ztrudna osiągać się dawały. Cały świat chrześciański winienby gonić na to i być wszystek na tём, jakoby Polacy wojnę obecnie się gotującą wyprawiali zewnątrz ziem Rzpltej; bowiem gdyby się Turczyn zastanowił nad Dunajem lub był po za tę rzekę odgromion, dzierzónoby w rękú gotowy sposób ku zapewnieniu się o stateczności Multan i Wołoszy, które wzięwszy pochop do kopnienia się i osunięcia przeciw tureckiej mocarce, stałyby za przykład innym sąsiadóm jedno wygląającym podniety i nadatku do kroku, jakiby stawić mogli bez podjęcia oczywistego szwanku. Nuźby jako roku zeszlego w listopadzie, tak tego w ciągu lipca lub sier-

---

<sup>10)</sup> In Polonia si fà piu col cento che altrove col trecento.

pnia, Bóg uraczył nas i obesał powtórna wygraną, chcę mówić wzniesieniem twierdzy tam kędy zakrętny bieg Dunaju tworzy półwysep na którym leży Galacz panujący nad oną krzywizną, tedy po odejściu niejako Turka od Węgier, przy sposobności podania co chwila rątniej dłoni Bulgarczykom i Serbom połączonym z Bośniakami, niewieleby się mógł Turek nadziewać od swoich wewnątrz kraju poddańców, a zasię używając ich nie bez podejrzenia musiałby używać.

Jakoweby zaś korzyści owa twierdza zdarzyła Cesarstwu i Wenecyanom, ukazuje jaśnie samo jęj stanowienie: Turczyn bowiem znikąd niemógłby podstąpić tak, żeby mu Polacy wnet niezakroczyli i rzuceniu mostu wstępny nieprzekazili bojem, lub żeby wtargnąwszy pośrednim między Wołoszczyzną a Multany gościńcem, nieobsaczyli go zewsząd o wałną przywodząc klęskę.

Wtedy dopiero ważyłbym się twierdzić żeśmy bezpieczni od wiarołomey Kozaka, który jedno niewidać jakoby się rzucił na Czarne morze, co drugdy czynił że srodze wielkim szwankiem i przyrażeniem Carogrodzkich brzegów. Natedy zwolnilibyśmy Moskalowi wątpliwości, w jakiej zostaje, azali trzymać na wodzy Tatarzy podczas gdy Polska czyni z Turkiem nie jestto wystawiać się na stos krwawych pod koniec wetów od tak szerokowładnego mocarza. Kto zaś wie czy równie jak tryumfujący Turek wkraczał z jednego zhołdowanego państwa w drugie, tak teraz sam zhołdowany z jednego w drugie wsteczny nie otrąbiłby odwrotu? Fortuna wytknęłaby innym zgodną dobę porwania się do broni, gdyż najdzielniejszą każdemu zachętą i podniętą ku rycerskim sprawom jest warowna wygranę nadzieja, i każdy tem chutniej waży zdrowie na niebezpieczną potrzebę, im bardziej drugiego w jednakięj potrzebie doznał nie tylo wiernym lecz i szczęsnym towarzyszem.

Ma Polska żołnierza włożonego do rycerskiego rzeźmiósła, świadomego zarówno rozkazywać i słuchać; a hetmani jęj dali tyle nieplonnych dowodów i okazów mądrości w radzie i w uczynku, a bitności i animuszu, gdy częstokroć pojedynkiem się ścinali i harce stroili z nieprzyjacielem, iż całe chrześcijaństwo przyklaskiwało jednomyślnie ich bohaterskiej cnocie.

Onoż Polacy stoją dziś na rozstaju albo zawarcia niewskórnego i niezyskownego pokoju z wiecznym odpadnięciem od Korony Ukrainy i Podola, albo położenia na szanie szczętu swego kraju, albolit także otwarcia książętom chrześcijańskim pochodzistych wrót ku wyświeceniuturka z Europy; jako zaś pierwszy wypadek nastąpi, niedługo nam czekać na wtory, a pospółu z obojgiem zawita powszechna wszego Chrześcijaństwa niewola.

Dziś wystarczy połowa tego wiela, co wówczas niedozownie należałoby łożyć (a może nadaremnie, nigdy zaś bez rzezi, grabieży i pożogi) na odbyt złego razu i odprawę trudności. — Polacy proszą o zapomogę panów chrześcijańskich nie przez chęć szcędzenia własnych imion, lecz aby je uczynić dostatniemi ku prowadzeniu wojny z tak srogim przeciwnikiem. Wystawiają tymże jako osobista ich zguba może przywieść sąsiadów o te same klęski, nie przeto iżby się targowali o wdzięczność, jakiejby się stali dłużnymi względem panów chrześcijańskich jeśliby ci ślali im pomoc ze szczeręj powólności ku ich ojczyźnie, ale iż rozpatrując się rozmyślnie w tęg rzezy niepodobna ochylać srogich następstw, jakieby się ztąd wywiązały dla pospolitości chrześcian. Radziby sami sprostali wszystkiemu, atoli iż nie przemagają, za grzechby trzymali omieszkę i przewlokę w uciekaniu się do drugich, już aby nie puszczać mimo się żadnego poratownego środka, już tedy aby złożyć uroczyście świadectwo ufności, jaką

się pokłada w obcej przyjaźni i w osobliwej pieczołowitości o swobody i przystojności wiary świętej, jaką świeci wszelaki mocarz chrześcijański.

Sława ich oręza jest znakomita, i znakomita też poczesność, jakowa otacza ich imie w eném naszego chrześcijaństwa kole; mam wtaż za to, jakoby i Turek i Pers i insi poganie miewali je podczas w nieposledniej wadze sposobnie okolicznościom i kolejom losów, daj to, iż dla mnóstwa chrześcijańskiego niewolnika po ich grodach, obozach i przystaniach, imie chrześcijańskie popolicie staniało i zostaje w pomietle u świata. Jakoż z dziwną hardością lecz nie bez dziwnéj trafności ozwał się niedawno z partesu jeden wielki wezyr do posła jednego wielkiego króla. — O waszój prawi, snażności i gotowości ku pamiętnym onym wyprawom wszczynającym się i dokonywającym pomiędzy wami nie pilno nam się widywać: wiemy już o niej do syta z rejestrów otomańskiego cesarstwa jako też ze świadectwa (ukazując na tłum brańców) téj oto braci waszój.

Da Bóg, tuszmy, króla Polsee, który rad będąc przestrzeganiu królewskich przywilejów w obrębie okreszonym ojczystemi prawy i warunki paktów konwentów, weźmie się wielkiém sercem o przywileje złotéj wolności starodawnéj i uprzejmą miłością będzie się o nie zastawiał, tak żeby za przywróceniem każdemu niezgwałcistych jego swobód i nienaruszonych zwoleństw, to wielkie królestwo oddaném takóž sobie oczerstwilo się pokojem, i żeby król wolen wszelkiéj przekory a poddani wszelkiéj podejrzliwości, przyłożyli się zobopólnie orężném ramieniem i pod przewodnią krzyża ku przywróceniu imienia chrześcijańskiego w samém gnieździe bisurmańskiej panoszy do jego odwiecznéj czci i chwaly. W onczas to wielorakie ludy, które wbrew tak ciężkiéj niewoli zadzierzały to imie, bacząc, a ono się dzwiga ze sromoty na ucziwość, a z poniewierki na chlubę,

pokwapią się z podaniem odważnej dłoni odkupieniu  
swojemu.

Zolnierza, broni, koni, mocy, wytrwałości, gorącości  
ku wierze i swobodzie, niezłomnej woli i hartownego  
męztwa nie brak Polakowi: brak mu jedno pieniędzy <sup>11)</sup>.

Oneć to są więc szkody i korzyści wyniknąć mogące  
z dania lub niedania pomocy temu najszlachetniejszemu  
między narody.

---

<sup>11)</sup> Numero, armi, cavalli, robusterra, tolleranza, zelo di religione  
e di liberta, volontà ed ardire non mancano al Polacco: manca il  
denaro.

## II.

### UWAGI

nad Nominacją kardynalską służącą

### KORONIE POLSKIEJ

*na promocji zaszlętej dnia 7 marca 1667*

PRZESŁANE

30. panu Morsztynowi Referendarzowi kor. d. 8 kwietnia t. r

### TREŚĆ.

1. Czy ta Korona mianuje, czy tylko zaleca?
2. Czy jedną lub kilka osób?
3. Czy więcej niż jedną w ciągu życia króla?
4. Czy więcej niż jedną w ciągu życia Papieża?
5. Czy król podczas pobytu w Polsce nuncjusza zasługującego na nominację, może pomimo to komu innemu ją przeznaczyć?
6. Czy innym jak zaleconym przez Ojca ś. osobom służyła kiedy nominacja?
7. Czy ostatni list nominacyjny był ułożony wedle zwykłej formy?

Co do pierwszego punktu, mianuje król, ale ponieważ Papieże zaprzeczają, aby ta lub inne korony miały *jus nominandi*, poczytując to co się dzieje za cierpiane nadużycie, Polska nie więcej nie wymaga nad inne korony.

Co do tegóż punktu dodać należy, iż w liście nominacyjnym chwali się osobę i dozwoloném jest także onę zalecać, przeto że się błaga; jakoż w dwóch ostatnich nominacyjnych listach użyto wyrazów: *blagając pokornie, abys go przyjął za nominata na pierwszej promocyi*: pisząc zaś za księdzem Bonsim <sup>12)</sup>, a przed rokiem 1659 za IMCi Kardynałem Vidonim <sup>13)</sup>: *aby raczył, tak jak o to błagam, przyjąć go za nominata na kardynałstwo*; co aby Papież tłómaczył sobie wedle upodobania, król będzie zawsze używał tych samych wyrazów.

Co do drugiego punktu, nigdy nie bywało listów nominacyjnych na kilka osób. Te zaś, które ułożono na przypadek odmowy dla księdza Torresa <sup>14)</sup> nie nie stanowią, bowiem są napisane w sposób doradczy lub przygotowawczy, nie już określający Nominacyą; niech wejrzą do listu nominacyjnego, a znajdą że jest ułożonym jedynie na osobę księdza Santaeroce <sup>15)</sup>. Spory

---

<sup>12)</sup> Ks. Piotr Bonsi Florentyn, biskup miasta Béziers we Francyi, poseł w r. 1666 króla chrześcijańskiego do króla Jana Kazimierza, został przez tegóż podany na kardynała Papieżowi Aleksandrowi VII, ale téj nominacyi nieprzyjęto.

<sup>13)</sup> Ks. Vidoni biskup Leodyjski, nuncjusz apostolski przy królu Janie Kazimierzu w 1659 r. był na przedstawienie tego króla wyniesionym na kardynalską godność.

<sup>14)</sup> Ks. Jan Torres Rzymianin, synowiec kardynała Kozmasa nuncjusza w 1623 przy Władysławie IV. Był on biskupem Adryanopolińskim *in partibus infidelium*, a Innocenty X mianował go na biskupstwo Salernu. Znajdował się przy śmierci króla Władysława i na elekcji Jana Kazimierza.

<sup>15)</sup> Ks. Marceł z książąt Publicola Santaeroce Rzymianin, mianowany kardynałem przez króla Jana Kazimierza 7 czerwca 1656. Umarł 20 grudnia 1674, i leży w Rzymie w kościele S. Maria-i-n

wszczęte w skutek wypadków Rangoniego <sup>16)</sup> mianowa-

Publicolis należącym do swego rodu, który mieni się być latoroślą głośnych w starożytności Publikolów rzymskich.

Z téj saméj rodziny rzymskiéj było dwóch innych w Polsce nuncjuszów: w 1618 ks. Antoni Publicola Santacroce nuncjusz apostolski przy królu Zygmuncie III. Był potem kardynałem opiekunem królestwa szwedzkiego i współopiekunem polskiego. Umarł 23 listopada 1641; pochowany także u S. Maria-in-Publicolis w Rzymie. Drugim zaś był ks. Jędrzej Publicola Santacroce Arcybiskup Seleuceński, wysłany jako nuncjusz do Polski w 1690 r., gdzie sześć lat bawił. Towarzyszył mu w téj podróży sławny Florencki satyryczny poeta Jan-Chrzeciel Fagioli, który zostawał u nas przez rok cały, to jest aż do 13 maja 1691, i opisał nader dramatycznie i dowcipnie tę podróż swoją, która wraz z dziennikiem jego żywota przechowuje się w rękopiśmie w księżnicy *la Riccardiana* we Florencji. Jest tam mnóstwo ciekawych szczegółów, charakterystyk, powiastek, potocznych wydarzeń, uwag pełnych lśniącego dowcipu, zgoła polska ówczesna *chronique scandaleuse*, skreślona z całą przebiegłością dyplomaty, giętkością dworaka, przekąsem satyryka, a bezczelnością Włocha dworzanina Medyceuszów, uśmiechnionego z szyderstwem i unizonego ze wzgardą. Ciampi wspomina o nader uszczypliwej satyrze wierszem tegóż Fagioli będącej odpowiedzią na list rodaka Franciszka Redi, który go zapytywał czy mu też dobrze w Polsce? Audytorem téj nuncjatury był Jan-Chrzeciel Lampugnani, także pisarz, który przybywszy z ks. Santacroce do Warszawy 18 sierpnia 1690, napisał dramat *Per godere amore ci vuole costanza* (Statek jest potrzebnym do smakowania w miłości), przedstawiony także przez Włochów kapeli królewskiej. — Ks. Jędrzej Santacroce był człekiem niespokojnego i ofukliwego umysłu. Świadczy o tem list zamieszczony we zbiorze Luniga (*Literae procerum Europae*, t. III, p. 479) pod takową rubryką: *Michaelis Radziejowski Regni Poloniae Primatis ad Andream Episcopum Seleucensem, quem candide monet ut in posterum de se locuturus modestioribus utatur terminis, sibi que propter minime toleranda in se effutita dicteria confestim satisfaciat, an. 1695.* W rozwodzistym znowu liście pisanym do Franciszka de Montanto posła toskańskiego przy dworze wiedeńskim, nuncjusz Santacroce, któremu z powodu choroby Jana III zwlekano pożegnalne u niego posłuchanie, ze zbytniej niecierpliwości wpada ciągle w styl poszkwilowy gdy mówi o Polsce, którą „niewie czy

nego przez króla Zygmunta. i Viscontiego <sup>17)</sup> mianowa-

ma nazwać krajem, czy też chaosem;“ prawi „o dziwactwach dobrze znanych tego narodu,“ i grozi nareszcie „że jeśli będą opóźniać nadal zażądane przez niego posłuchanie, tak im wodę zamąci, iż albo wszyscy napiją się tych mętów, albo wszyscy potoną“. A'toli nuncjusz nie mógł ziszczyć swój groźby dostawszy róży na twarzy, co go zniewoliło do pozostania jeszcze w Warszawie dopóki nie nadjechał następca jego ks. Antoni Davia arcybiskup koryncki, jak o'tém donosi rękopism podróży pomienionego Jana-Chrzyciela Fagioli. — Zawadziwszy zaś po raz drugi o tego poetę, ulegamy pokusie przytoczenia z tych jego niewydanych dotąd własnoręcznych pamiętników ustępu, który obejmuje charakterystykę króla Jana, tak jak ją pojmował Fagioli:

„Król polski zowie się Jan, tego imienia trzeci, z domu Sobieskich; ma on obecnie około 64 lat, jest wzrostu wyniosłego, cery biało-rumianej, barczystej postawy i tuszy znakomitj, lubo weale odpowiadniej jego wzrostowi; słowem jest nadobnym na wejrzaniu, i ma oczy nadzwyczaj żywe. Za młodu jeszcze gdy dość długo przemieszkował we Francyi, zwano go tam powszechnie pięknym Polakiem. Ma nadto siłą wiadomości, i wyborny z niego jeograf; mówi przednio po francuzku, po łacinie, po tatarsku, a nawet trochę po włosku, ale ten ostatni język lepiej rozumie niż się nim tłumaczy. Jest on rodem z Rusi, a iż Ruś stanowi część Rzpltej obiór jego tedy był przeciwnym konstytucjom koronnym, któremi obwarowano, aby król był zawsze cudzoziemcem. A'toli będąc hetmanem w. koronnym i przeto panem samowładnym polskiego oręża, toż opływając w grosiwo, do którego ma niepospolity pociąg, mocą pierwszego a siłą drugiego wcisnął sobie koronę na głowę. Był z niego zawsze przedni żołnierz, a huczne i wesołe życie całe go nie mierzi, ani też brak mu dowcipu w rozmowie, jakkolwiek dziś już potrzebuje odpoczynku i wyweczasu, a wartci zaprawdę onego, boć przecie sobie naładował mieшек (ha fatto roba) i powiadają, że w pewnej twierdzy ruskiej w dobrach swoich ojczystych położonej, nachował do piętnastu milionów węgierskich czerwonych złotych w brzęczącej gotówce; inni więc twierdzą siedmnaście milionów, a do tego huk klejnotów nieoszacowanej wartości, co to je sobie zdobył między chocimijskimi łupy, albo nagarnął pod Wiedniem kiedy z kwiatem całego królestwa (col nervo di tutto il Regno) przybieżał w 1683 r. na odsiecz temu miastu obleżonemu od Turka; po której to chwalebnej wyprawie, gdyby był zdołał zaraz

nego przez króla Władysława, nie tyczyły się wielości podawanych osób.

I teraz kardynał Chigi, oświadczając iż Papież nie przyjąłby nominacji inaczéj jak dla nuncjusza, mówi, wzmiankuje i twierdzi o jednéj osobie.

Co do trzeciego punktu, król podał Papieżowi Innocentemu Santacroce, a panującemu Aleksandrowi, Vidoniego; jakoż obadwa są dziś Kardynałami.

Co do czwartego, Papież Aleksander uczynił kardynałem Vidoniego, i byłby uczynił Pignatellogo<sup>18)</sup>, jak to Jego Świątobliwość sam oświadczył.

---

umrzeć, byłby umarł najśławniejszym królem katolickim (czy też prawowiernym jak sam się tytułuje) ze wszystkich, jacy kiedykolwiek umierali w Europie“.

<sup>16)</sup> Ks. Klaudjusz Rangoni biskup Regiomontański, Nuncjusz apostolski przy królu Zygmuncie III w 1600 r. Przyczynił się wiele do wyprawy Dymitra Samozwańca do Moskwy. W niektórych księgozbiorach włoskich istnieje instrukcja tajna dana mu na odjeździe do Polski.

<sup>17)</sup> Ks. Honorat ze sławnego domu Viscontich książąt Medyolańskich, arcybiskup Lariseński, nuncjusz apostolski przy Władysławie IV w 1634 r. Urban VIII Barberini niechoiał go uczynić kardynałem pomimo nalegań królewskich dla pokrewieństwa jego z domem rakuskim, któremu rodzina Barberinich była przeciwną, co stało się powodem zawieszenia na czas jakiś stosunków dyplomatycznych między Rzpltą a Rzymem, i oddalenia z Warszawy nuncjusza Filonardi, który z głębokiej za to do króla urazy oskarżył go w Rzymie o forytowanie kacerstwa i odszczepieństwa. Władysław IV usprawiedliwił się Papieżowi z zabiegów czynionych na korzyść Viscontiego w liście pełnym godności, który mamy przed oczyma. Istnieje mowa tego nuncjusza odbita w Warszawie pod n.: *Viccomitis Honorati Archiep. Larisseni et Nun. in Pol. Apost. Oratio habita die 22 octobris an. 1632 ad Senatam Equitesque Poloniae et Lithuaniae in castris prope Varsaviam congregatos ad novum sibi Regem eligendum. Varsaviae, ex officin. Jo. Rossowski 1632 in 4<sup>o</sup>.*

We zbiorze Luniga *Literae procerum Europae*, t. I, p. 991, znajduje się list pod n.: *Stanislai Łubiński Ep. Plocensis ad Hono-*

Co do piątego, trzebaby ukazać ugodę w tym względzie; ze strony zaś królewskiej dowodzi się, iż spory, jakie się toczyły wprzeszłości, wypływały właśnie z tego, iż mianowano zawsze nuncjuszów: Paweł V nie chciał przyjąć Rangoniego, Urban VIII Vinscontiego, a Inocenty X Torresa.

Trudności nie bywało co do innych nominatów niebędących nuncjuszami; powstały one dopiero z obecnym.

Co do szóstego punktu, nigdy nikt nie widział ani słyszał o podobnym zaleceniu. Gdyby królowie dawali nominację tylko zaleconym przez Papieża osobom, tedy takowe zalecenie byłoby już zezwoleniem, gdyż nienapisano w bulli, że kandydaci pomimo zalecenia papieżkiego nie mają przyjmować nominacji, tak iżby zezwolenie stawało się nad to potrzebném; Papież bowiem nie zaleca, lecz tylko daje wolność wyrobienia czyli przyjęcia nominacji, przez co jasnym i oczywistym się staje wolny wybór królewski.

Papież Aleksander VII w razie nawet by prawa królewskie pod jakimkolwiek względem wątpliwości ulega-

---

*ratum Vicecomitem archiep. Larissenum, cui quid Polonis circa pacem cum Moschis ineundam metuendum sit, exponit, An. 1634.*

<sup>18)</sup> Ks. Antoni z książąt Pignatelli w państwie Neapolitańskim, nuncjusz apostolski w Polsce 1667 r., a potem kardynał. Papież Aleksander VII pragnął, aby go król polski mianował na kardynałstwo, ale Jan Kazimierz przeniósł nominację ks. Bonsi biskupa Bezierskiego, posła francuzkiego przy dworze polskim, którą Papież jako przeciwny Francyi odrzucił, co króla wielce obraziło i spowodowało jego listy do Aleksandra VII, do kardynała Chigi i do św. kolegium, umieszczone przy końcu tych *Uwag*, które także w skutek onego zajęcia ułożył w 1667 r. hrabia Krzysztof Masini, sekretarz włoski króla Jana Kazimierza, a w siedm lat później poseł nadzwyczajny Rzpltej do książąt włoskich.

Przypisują temuż nuncjuszowi dziełko odbite w Wenecyi w roku 1667 in 8° pod tytułem: *O wicherzeniu Jezuitów w Rzeczypospolitej polskiej.*

ły, na konsystorzu mianym 11 października r. 1666, objaśnił je dostatecznie i wszystkie trudności uchylił, powiadając kardynałowi Orsiniemu: — *Waszmość podaj nam memoryał, boć list nie uchodzi*; a słysząc, iż kardynał nie miał takowego przy sobie: — *Postaraj się więc, dodał, aby ci go przysłano, a niech uczynią wybór osoby godnej*. Co gdy mówi, nie wymienia kilku osób, ani używa wyrazów *hunc et non alium*, ani też powiada: zalecimy lub przyślemy zezwolenie.

Następuje więc koniecznie z takiego sposobu wyrażenia się, iż gdyby nawet kardynał Orsini przemawiał był w imieniu króla Perskiego, Papież byłby już zobowiązany uczynić kardynałem tę osobę godną, którą mu podano.

Niewczesnemi tedy okazały się trudności, z jakimi wystąpiono kiedy na konsystorzu pod dniem 7 lutego list złożonym został.

Dodać należy, iż Papież wiedział o jego treści i kto był nominatem, tudzież że list przyjął.

Umyślono atoli zwrócić list kardynałowi Orsiniemu na dniu 23 lutego z następnemi wymówkami:

Iż zwracano go przeto że nie był ułożon podług zwykłej zalecalnej formy.

Iż przywracano króla do zupełnej wolności tak jakoby nigdy nie było mowy o pomienionej sprawie, a to zaś tym celem, aby król mógł się gruntowniej rozpatrzyć w tej rzeczy.

Kardynał odpowiedział na to, iż nie uważał listu za zwrócony, że zaś król innej wolności nie żądał jedno spodziewania się tej łaski w swoim czasie, oraz że się już we wszystkiem dostatecznie rozpatrzył, skoro mianował osobę godną.

Tych tedy wymówek niemożna zgola zrozumieć bowiem list był ten sam, który poprzednio napisano do tegóż Papieża za IMCi kardynałem Vidonim.

Trudno sobie wyobrazić co rozumiano przez to, iż króla przywracają do wolności, bowiem między 23 lutego a 3 marca niemasz dwunastu dni całkowitych, który to czas tak krótki załedwoby wystarczył egipskiej gołabce na poleceniu do Polski i powrót do Rzymu, a nawet przypuszczając że król byłby się zgodził na zmianę pierwszego nominata, to drugiego byłby jedynie przez to naraził na zawstydzenie, skoro Papież już był poobsadzał stolki nie zostawiwszy miejsca dla téj korony i ustąpiwszy onego komu innemu, acz się z prawa należało królowi IMCi Polskiemu zaraz po trzech pierwszych koronach, i było rzeczywiście jemu przyobiecaniem według prawdziwego a szczerzego znaczenia słów papieżkich wyrzeczonych na konsystorzu pod dniem 11 października.

Aby doznać skutków rzetelnój sprawiedliwości trójga potrzeba: mieć słusność, umieć onę dowieść, i znaleść ktoby ją chciał nam przyznać, jak to niesie starodawne włoskie przysłowie: z okoliczności nominacji danéj przez króla IMCi Polskiego księdzu Bonsiemu zdolnemu Florentynowi, podano w wątpliwość ze strony Papieża, ażali ta korona mianuje lub tylko zaleca, czy jedną lub więcej osób, czy więcej niż jedną przez życie Papieża, czy więcej niż jedną przez życie króla, a nadto ażali podczas pobytu nunejusza dostojnego i milego Papieżowi, król innemu niżli on może oddać nominacją; tudzież czy może mianować inne osoby niż te, które są zalecone przez Papieża. Traf rozwiązał pytanie, bowiem na promocji zaszłéj 7 marca 1667 zapelniono wszystkie miejsca, tak iż nie zostało powodu ani do mianowania, ani do zalecania jednéj lub więcej osób kwoli upodobaniu papieżkiemu lub wyborowi królewskiemu, wszyscy a wszyscy zostają wyłączeni bez względu na prawa króla JMCi, i bez żadnéj korzyści z trafnych odpowiedzi kardynała Orsiniego.

Takie zaś wachanie się i skutki onego są niezbitym dowodem, iż nie królowi słuszności, lecz Papieżowi brakło dobrej woli.

Próżno zaś się spierać, jeśli mianowanie jest dozwo-  
loném, i jeśli król może wedle upodobania mianować  
lub zalecać.

Jeżeli rzeczywiście winien pisać jakoby zalecał dla  
tego iż poseł papieżki stara się wyraźnie o nominację,  
i jeżeli takowa należała się nuncjuszowi przeto iż nie  
tylko jest jój godnym, ale, co więcej waży w tój rze-  
czy, miłym Papieżowi, nie można bezwzględnie twier-  
dzić, że król nie mianuje.

To samo rzec można przypuściwszy, że nominacja  
tyczy się jedynie nuncjuszów, i że Papież oświadczył  
się kardynałowi Orsiniemu w ten lub temu podobny  
sposób: jeżeli król jest na nuncjuszem, niech go mia-  
nuje, jeśli za kim innym, niech go zaleca; toć jeżeli  
nominacja lub zalecenie należy się nuncjuszowi kiedy  
na nie zasługuje a jest miłym Papieżowi, tedy mowa o  
jednej nie zaś o kilku osobach.

Wolnoli mianować więcej niż jedną osobę przez ży-  
cie lub panowanie króla? alić żyje i panuje Jan Kazi-  
mierz, który podał kardynała Santacroce Papieżowi In-  
centemu X, a kardynała Vidoniego 'Aleksandrowi VII;  
azali więcej niż jedną przez życie lub panowanie Pa-  
pieża? alić żyje Aleksander VII, który uczynił kardy-  
nałem Vidoniego i byłby podobnie uczynił księdza Pi-  
gnatelli na prośbę króla Jana Kazimierza.

Jeśli nikt nie może być mianowanym krom tych, któ-  
rych Papież zaleca, tedy i nuncjusz ma być wyłącz-  
nym skoro niema zalecenia; a jednak przyjętoby no-  
minacją Pignatellego nawet bez takiego zalecenia, któ-  
re zresztą od niego samego zależało, jako od posiada-  
jącego zezwolenie papieżkie na wyrobienie sobie i uzy-  
skanie nominacji; ale podobnych zaleceń nigdy nie wi-

dziano. Wprawdzie nie już ustawałaby nominacja, by dobrze Papież zalecał, a król mianował, lecz jakkolwiek bądź, któż nie pozna z tak wielorakich i rozlicznych wybiegów pewnej nieprzewyciężonej odrazy do udzielenia łaski, nie zważając nawet na tytuł, jakimby król był onę przyjął? Co zaś dziwniejsza, postępuje się po omacku w tej sprawie, jakobyśmy doprawdy zostawali w ciemnościach, lub jakoby nam trzeba było śledzić lichego światelka gdzieś po szpargałach najbardziej zapomnianych i zaniedbanych spraw przeszłych wieków. Niech przeczytają list pisany za kardynałem Santacroce, a obaczą, czy to jest nominacja, czy tyło zalecenie; list mówię stanowczy, a nie inne poprzednie doradcze lub przygotowawcze pisane poufnie. Z makularza znalezionego w tej kancelarji koronnej pokazuje się, że list ten do Papieża Inocentego X był następującej treści:

„*Najbłogosławieński Ojczy!*

„Z nieplonnych oznak ojcowskiej ku mnie swojej jako też ku temu królestwu mojemu miłości, dałeś mi do zrozumienia Wasza Świątobliwość iż niemniej nosisz nas w sercu swoim niż jakiegokolwiek inne książe lub naród; zaczęm nie zdołam powątpiewać, iż Wasza Świątobliwość gotów nam jesteś świadczyć onę łaskę, jaką już wraz z innemi cieszyła się ta Korona u najświętszych Jego poprzedników, gdy jej dawali miejsce w promocyi kardynałów obieranych, jako zwyczaj niesie, za wstawieniem się książąt. Jakoż folgując przedniej którą mam znajomości zasług księdza Imei Marcelego Santacroce, rezolwuję się mianować go na kardynałstwo, upraszając Waszego Błogosławieństwa, byś mu udzielił też łaskę na prośbę moją za pierwszą promocyą, z pewnością obowiązania mię niepospolicie, i odniesienia od mego sy-

nowskiego afektu ustawicznych oświadczeń pełnej poszanowania wdzięczności; błagając przytém Pana Boga, aby zdarzył Świątobliwości Waszój przez mnogości lat jak najfortunniesze powodzenie, całując najświętsze Jego stopy.“

W makularzu niemasz oznaczonej daty; a ponieważ dla niedostatku rejestrów w Warszawie niepodobna wiedzieć z pewnością, czy IMé ksiądz Doni sekretarz królewski, przepisując go na czysto i podając do podpisania, nie zrobił jakiej zmiany, nie będzie tedy od rzeczy przytoczyć odpis listu wystosowanego do Papieża Aleksandra panującego za IMé kardynałem Vidonim:

*„Najbłogosławieński Ojcze!*

„Z uczciwością i oklaski przyjęta jest od mojego królewskiego dworu i od wszech ludów moich życzliwość, jaką świadczę IMci księdzu Vidoniemu biskupowi Leodyjskiemu nuncyuszowi Świątobliwości Waszój, bowiem jako rozliczność spraw piastowanych w tém królestwie mojem starczyła mu przestwornego pola przez ciąg lat siedmiu do popisywania się pośród ustawicznych przygód z osobliwą wytrwałością, a pośród tylu najzawilszych interesów z rzadką roztropnością: tak też niemasz nikogo, coby chętnie i w głos niesławił oczywistych onegoż cnót; zaczęm wszyscy życzą temuż prałatowi wszelkiego postępu i statecznie tuszą, iż Wasza Świątobliwość jesteś na tém, jakobyś mu dał poznać skutki swego szczodrobliwego dobrodziejstwa. Ja zaś, który pożądam słodkości uczestnictwa w jego promocyi wedle praw moich, podaję go i przedstawiam pokornie Świątobliwości Waszój, abys raczył, jak o to błagam, *przyjąć go za nominata na kardynałstwo*. Żywię nieploną nadzieję, iż Świątobliwość Wasza na nowy dowód

swego uprzejmego ku mnie afektu, więc dla pociechy wszech stanów tego królestwa, jako też z chęci wynagrodzenia zasług położonych Stolicy ś. przez rzeczono go IMci księdza Vidoniego, utwierdzisz i pomnożysz one obligacye, jakowe zespolone z moją gotowością rozniecają coraz sowniej we mnie żądność przekonania Go o żarliwém mojem i ludów moich poddaństwie błogosławieństwu Waszj Świątobliwości. Ściskam tymczasem najświętsze Jego stopy.

Warszawa 7 czerwca r. P. 1659

Waszj Świątobliwości  
Najpostulzniejszy Syn  
Jan Kazimierz Król.“

W odpowiedzi danj przez breve z d. 6 lipca tegoż roku, czytamy następnę słowa:

*Quamobrem ubi Principum votis in assumendis cardinalibus annuere poterimus, Patrem luminum Deum orabimus ut Ecclesiae universae rationibus et optatis quoque tuis consultum esse velit.*

List tedy królewski napisany wedle powyższj formy przyjetym został; zkąd jeżeli nawet kiedykolwiek przedtém wątpliwém bywało, czy królowie polscy mianują pospołu z inemi koronami, już przez to samo, że nigdy temu nieprzeznaczono, że list przyjęto bez najmniejszj trudności, tak co do obejmujacj formy jako do objętej treści, że użyto wyrazów łączacych tę Koronę z innemi: *ubi Principum votis*, i że nareszcie nominata uczyniono kardynałem, wątpliwosc takowa ma się rozstrzygnąć *affirmative*.

Z tegoż listu okazuje się, iż jeden tylo bywa mianowany i że ze strony Papieża zgodzono się na pewną przyjetą formę pisania, o którj król może rozumieć że jest Nominacyą, nie przeszkadzając bynajmniej temu, aby ją sobie Papież miał za zalecenie; zaczem Jego

król. Mość poprzestanie na używaniu zawsze jednakich wyrazów.

Może zaś kto natrąci, iż Nominacya księdza Vidoniego, [dzisiejszego kardynała a ówczesnego nuncyusza, dla [tego została przyjęta, iż kiedy się znajduje tutaj nuncyusz zasłużony i przyjemny Papieżowi, jemu jedynie Nominacyą używać się zwykło: tymczasem mianowanie nuncyuszów byłoby owszem nadzwyczajną uprzejmością wtedy nawet, gdyby tych a nie innych było zwyczajem mianować; nadzwyczajną mówię uprzejmością ze strony królewskiej, boby się nagradzała sama godność prałata i urząd zawisły bezpośrednio od Papieża, do którego przeto także, podług najprostszego wymiaru sprawiedliwości, należy i bezpośrednia nagroda.

Byłoby nadzwyczajną rzeczą dla nuncyuszów, bowiem skoro ci, aby się nie sprzeciwić bulli, nie mogą ani się starać o Nominacyą, ani jej przyjmować bez zezwolenia papieskiego, które jest niezbędnym warunkiem dla odziorzenia onęj, byłby to zawsze dla nich osobliwy wypadek, by dobrze im tylko a nie innym Nominacyą dawać się zwykło, bowiem niemogliby już się starać o nią w razie gdyby król zamianował inną osobę, byleby takowa nie była niegodną tego dostojenstwa; w którym to wypadku niewolno byłoby im żądać a niepodobna uzyskać zezwolenie.

Wahanie się i odmowy napotykanie w mianowaniu nuncyuszów, każą wnosić iż takowe niemal zawsze bywa nadzwyczajnym zdarzeniem, podczas gdy w nominacyach zaszłych na korzyść innych osób nikt nigdy nie został wyłączonym, wyjąwszy jeduakże księdza Bonsi.

Rangoni, Visconti i Torres nie byli potwierdzeni przez Papieża z tego jedynie powodu, iż piastowali nuncyaturę, zkađ oczywista, iż Papieże mieli to sobie za niezwyczajną uprzejmość, ilekroć królowie dawali nominacyą

nuncyuszom, i za łaskę niemniej osobiwą z własnej strony, ilekroć pozwalali, by tamci onę przyjęli.

Wypadek księdza Visconti jest nader głośnym, bowiem *hinc et inde* spospolitowano drukiem pisma jakie spowodował <sup>19)</sup>. Czy zaś Urban VIII miał inne skryte

<sup>19)</sup> Dziennik włoski z XVIIgo wieku p. n. *Merkuryusz czyli dzieje bieżących czasów*, podaje następane sprawozdanie z tego wypadku napisane przez niejakiego Don Vittorio Siri, t. II. str. 495.

„Pretensye jakie król polski rościł do Papieża o promocyą na kardynałstwo księdza Honorata Viscontiego, utrzymywały cały teatr dworu rzymskiego w ciekawém wyglądaniu niepewnego dotąd rozwiązania téj sprawy. Przez ciąg niemal półszosta lata prała ten piastował nuncyaturę polską z zadowoleniem Jego król. Mości i przyklaskiwaniem tak dworu jako królestwa. Pod koniec jego urzędowania postanowiono darować kapeluszem przy pierwszej promocyi księdza Jana Węzyka arcybiskupa Gnieźnieńskiego i prymasa Korony polskiej, którego to Urban VIII tak szacował, iż obraz jego miał na swoim pałacu i chciał go kardynałem uczynić. Przybycie do Warszawy nowego nuncyusza Filonardiego dało pochop Viscontiemu do tęsknionego wyjazdu; który zabawiwszy krótki czas na dworze rzymskim jechał objąć urząd prezydenta Romanii, i trwał na nim przez cztery lata, w którym to czasie książdz arcybiskup Gnieźnieński uległ srogim prawom natury na żywot jego godzącym. Król tedy uwolniony tym zgonem od obowiązku, iaki był zaciągnął, nominowania onegoż, starał się skwapliwie podstawić na jego miejsce w nominacyi księdza Honorata Viscontiego, czyniąc w tym celu należne przy dworze rzymskim kroki. Z początku zaś Papież dawał odpowiedzi ogólne i nic nie stanowiące; lecz za podwojeniem królewskich zabiegów, jako też za wzmaganiem się zkądinąd w sercu Barberinich niechęci ku Rakuskiemu domowi, spotkano się z większym ba nieumownym oporem; dwór rzymski bowiem dawał za wymówkę wyrok Trydenckiego Soboru przychylny krajowcom, oraz bullę Piusa IV wykluczającą nuncyuszów ubiegających się o kapelusz za pośrednictwem książąt na których dworze przebywają. Pocili się ministrowie królewscy około wyszukania argumentów ku obaleniu powyższych trudności odpowiadając, iż Sobór zachęcał Papieża do promocyi osób z rozlicznych narodów, lecz nie obowiązywał króla do mianowania krajowców, jako tego jasno dowodziły przykłady w samemże królestwie polskiem kardynałów

pobudki do odsunięcia go od kardynalstwa które go większym napelniały wstrętem niż te z jakimi się oświadczył, czy niemiał też onych, dość na tém, iż naj-

Imciów Torresa i Santaeroce, iż nadto król niedomagał się Polaka, bowiem doświadczenie go nauczyło, ile poswarków z przyczyny pierwszeństwa, więc ile niedogodności pociągała za sobą w Polsce purpurą kardynalska. Na odprawę zaś wtórej trudności, powiadali że bulla Piusa IV nie miała miejsca w tym razie, bowiem ksiądz Visconti nie ubiegał się o nominacyą, jakoż że sama krótkość czasu najdowodniej przekonywała, iż nawet mu się nie śniło o śmierci arcybiskupa Gnieźnieńskiego i o zamysłach królewskich względem siebie powziętych w siedm dni po zgonie prymasa. Przydawali nadto, że takowe mniemanie stwierdzało się słowem królewskim, skoro zapewniał Jego król. Mość jako się ksiądz Visconti nigdy nie ubiegał o nominacyą, która wynikała owszem z własnej uprzejmiej króla ku niemu chęci, równie jako z pamiętki, jakąw niepłonną zostawiły po sobie w tym kraju zalety tak cnego prałata: Wśród wielorakich odpowiedzi i odezów, z których dałaby się właśnie gruba ułożyć księga, toczył się przez długi czas spór między obiema strony z wielkiem zobopólném obostrzeniem się i zaciekłością, gdy ze strony Polaków dowodzono krom tego, że w razie nawet by potrzebowano wyraźnej papieżkiej dyspensy, Jego Świątobliwość winien był jak najsnadniej przystać na udział takowej, ze względu na zwykłe tryby przestrzegane przez dwór rzymski w dyspensowaniu wyroków sobornych, nad któremi Papież dzierżał i zachowywał całkowitą przewagę.

„Ciągnęły się te praktyki aż do ostatniej promocyi zaszczej ku końcowi roku pańskiego 1641 zawsze w nadziei dopięcia pożądanego kresu; ale król wyprowadzon z błędu tą ostatnią próbą, aczkolwiek na pierwszą wieść mocno się obruszył, powodując się jednak zwykłym sobie umiarkowaniem, napisał natychmiast do Papieża list pełen poważania i poczesności ku zmiękczeniu jego oporu, błagając pokornie, by zasmuciwszy raczył go teraz pocieszyć. Wydał temże czasy nuncyusz Filonardi pismo, w którym starał się dowieść przykłady wziętemi z promocyi księdza Peretti, książęcia d'Este i księdza Mazzarini, iż majestat króla polskiego nie cierpiał bynajmniej na niezwykłości i nietrybowości takowego wypadku, gdyż Peretti był poddanym króla katolickiego używającym beneficyów w tym kraju i rodził się z Hiszpanki, Mazzarini zaś po nuncyaturze sprawowanej we Francyi wyrobił sobie kapelusze za przyzwo-

główniejszą pobudką było rozumienie jakoby Visconti postąpił był w brew bulli, nie już starając się o nominacyą, lecz nie odmawiając takowej, skoro wiedział

leniem papieżkiem, posiadając z kądiną dobra i dochody duchowne w tém królestwie, a książę d'Este był krewnym Cesarza. W odpowiedzi na to pismo Polacy wykazali, jako pomienione okoliczności nie czyniły jeszcze przerzeczonych osób krajowcami wedle rozumienia Soboru, i jako wszystkie znachodziły się streszczone w księdzu Viscontim; bowiem należał do rodu nieustępującego żadnemu innemu we Włoszech, któremu najwięksi królowie chrześcijaństwa przywłaszczali swe po kądzieli pochodzenie, ktemu zyskał zalecenie z własnych ust Papieża równie jak powszechnie całego dworu pochwały za usługi świadczone przez trzydzieści lat Stolicy Apostolskiej, i był nadto synowcem kardynała Alfonsa Viscontiego i kardynała Pawła Sfondrati, a prawnukiem Papieża Grzegorza XIV; które to zalety samém przeważnem Jego król. Mei zdaniem sownie przemawiały za wartością i znakomitością tegoż prałata. Atoli żaden z przytoczonych dowodów nie przemógł zmiękczyć nieużytości Barberinich, i skłonić ich ku zadoścuczynieniu chęciom króla polskiego. Jakoż gdy kardynałowie Savelli i Borghese wszystkiemi siłami forytowali tę sprawę, starając się by próśby królewskie wzięły pomyślny skutek, Jego Świątobliwość wciąż odpowiadał jednakiem głosem: iż niemógł takowych wysłuchać dla przeszkód jakie stawiała bulla Piusa IV, niemniej jak przez wzgląd dla narodu polskiego nie zaszczyconego w téj chwili purpurą. Aczkolwiek zaś wspomniane Eminencye odzywały się na to, iż nie czyniono tych wszystkich uwag względem księdza Mazzarini, który piastował nuncyaturę francuzką, odpierał znowu Papież, iż walna zachodziła różnica między tym a tamtym wypadkiem, albowiem Mazzarini nie starał się o nominacyą tak jako to czynił Visconti, więc że Francyi nie zbywało na kardynałach z tego narodu. Kiedy zaś przywożono świadectwo królewskie na dowód czystości sumienia i prawych chęci Viscontiego, dalekich od wyrabiania sobie królewskiego do Papieża zalecenia, i przydawano, że duchowienstwo polskie nie nazbyt się ubiega o godność kardynalską, jako o tę, która nieprzynia żadnych w onem królestwie przywilejów. Jego Świątobliwość zastawiał się tém, iż wiedział bardzo dobrze, jako Visconti trzymał w Polsce człeka ku nawodzeniu króla do czynienia zabiegów o jego wyniesienie, że zaś poprzednia nominacya arcybiskupa Gnieźnieńskiego na prośbę królewską sownie dowiodła wziętości i poczesno-

jak domniemywać należy, iż była dlań przeznaczoną. Papież Inocenty nie chciał się pisać żadną miarą na nominacyą Torresa, i rozgniewał się usłyszawszy iż król

ści, w jakiej dostojęństwo kardynalskie zostaje u polskiego narodu; zaczęm z wielkim żalem swoim nie mógł pocieszyć króla promocyą Viscontiego. Gdy tedy przeprowadzenie onęj praktyki dłużyło się wśród tylokrotnych trudności, i gdy wzmagala się coraz bardziej w umyśle królewskim niechęć przeciw nuncyuszowi Filonardiemu, jako temu, który powodując się jedynie ślepa w swych postępkach namiętnością, rozsiewał niezgodę i usiłował powasnić króla z Rzpłtą, przyszło do tego, iż nuncyusza odesłano z królestwa, a polskiego rezydenta usunięto od rzymskiego dworu, lubo nie zerwała się do rezty nic rokowań i nadziei, skoro kardynał Saveli, opiekun Polski, nie opuszczał nadatku chwytania się układów ofiarowanych od czasu do czasu przez pewne osoby, z projektem aby król zmienił nominata, i z oświadczeniem nawet gotowości zadośćuczynienia Jego król. Mei w osobie innego włoskiego subiekta. Że zaś takowe przedłożenie nie przypadało do miary z nieposzlakowanym przestrzeganiem wyroków sobornych, i coraz widoczniejszą czyniło czarną Barberinich prywatę, przeto i gniew królewski coraz się bardziej rozżarzał.

„Nuncyusz zaś zamiast usuwać przeszkody i koić wzburzone spornych stron namiętności nie przestawał ich podżegać i zatrawać rozjątrzonych umysłów złowrogimi swemi doniesieniami, aby Papieża utwierdzić w statecznym wyłączeniu Viscontiego. Przeto sposobiąc pióro prywatnemu łakomstwu i ostrząc je kwoli nienawiści powziętej przeciw królowi jawnie potępiającemu jego postęпки, sklecił był paszkwil raczej niż list zawiadomienia, w którym pomawiał Jego król. Mość o brak żarliwości względem wiary katolickiej, jako tego który dla usmierzenia dysydentów i dla przeszkodzenia zerwaniu sejmu, po którym spodziewał się umorzenia swych długów, gotów był pozwolić tymże dysydentom swobodnego i otworzystego wyznawania odszczepieństwa i błędów, w jakowych tamtejsi Grecy są ślepo uwikłani. Przydawał iż ci sami zawdzięczali na przodku, wolność jawnej praktyki swęj niewiary jedno umiarkowanemu zwierzchności wyrozumieniu, lecz że teraz prawem pospolicie uchwalonem a przeciwiącém się wszystkim innym, jakowe kiedykolwiek stanęły od czasu odrodzenia się tego państwa przez wody chrztu ś. aż do koronacyi Jego król. Mei, uświęcono, postanowiono i zawarowano tak obrzydliwe błędy. Przesadzał z umysłu udaną żałość przydając

mniemał być przyjemném Jego Świątobliwości tego rodzaju mianowanie; rozkazał pisać doń osobno w téj rzeczy przez kardynała Astalli a zaś przez pewnego za-

iż król co miał przytłumić to przekłete nasienie heretyckich jądów, usiłował owszem rozmnożyć je i rozplenić na bujnych Polski niwach więc że dozwolił Rusinom naprawiać stare cerkwie i budować nowe z prawem zakładania nowych szkół i seminaryów krom tych, jakie już posiadają, jako też zaprowadzać bezpiecznie nowe drukarnie i następować wedle zachcenia na wszystkie urzędy świeckie, wypuściwszy im na wieczne czasy trzy klasztory z kościoły i dwie wsi zasobne i dochodne: Zamykał nareszcie opowiadaniem, jako sam gotował przeciwko tym jadom skuteczne lekarstwo protestacyi całego polskiego duchowieństwa władnej zawiesić i unieważnić tak zgubne uchwały; że jeśli tedy król da się słyszeć z nowemi prośby o promocyą Viscontiego, wypadaloby mu natedy odpowiedzieć, że dla dostąpienia podobnych łask należy przedewszystkiém krzewić wiarę ś. katolicką, nie zaś kacerstwo i niewiarę; którą odpowiedź on sam oddawna obmyślając już był ułożył na jej poparcie rozczyste pismo, co w rychle miał podać kongregacyi *de propaganda fide*.“

Łaciński język nie był wówczas jedynie używanym w dyplomatycznych dworów europejskich stósunkach ze stolicą świętą: włoski go też częstokroć zastępował: dołączamy tutaj w przekładzie, jako nader szanowny historyczny zabytek, napisane po włosku

*Usprawiedliwienie się króla Władysława IV przed Papieżem Urbanem VIII.*

Król JMci Polski i Szwedzki, najposłusznieszy Syn Waszój Świątobliwości, nie może wyrozumieć należycie jako Wasza Świątobliwość obrażasz się jego ustawicznemi prośby o promocyą na kardynałstwo księdza JMci Honorata Viscontiego biskupa Larissenkiego, kiedy Bóg Wszechmogący, którego W. Ś. jesteś Namiestnikiem na ziemi, chce być nieprzestannie modlonym, ba pozwala by samo królestwo niebieskie gwałt cierpiało; a nie tylo przychyła się kornym i statecznym wiernych modlitwom, ale nadto w skutek onych zmiana najsprawiedliwszą swoją skażń na grzeszniki. Król JMó tedy nie przestaje błagać najuprzejmiej Świątobliwości Waszój o rzeczona promocyą, tuszając iż W. Ś. raczysz wziąć na rozważę, jako sam o to uniżenie prosi:

konnika do jenerała swego zakonu, który to list można jeszcze obaczyć w tej kancelaryi koronnej, w razie gdyby nie dosyć było na tylu innych IMei kardynała Orsiniego, a mianowicie na jednym z nich pisanym do IMei

Iż jesteś W. Ś. usilnie i ustawicznie modlon przez bieg lat wiele od Króla swego najposłusznieszego Syna, który błaga o łaskę prózną cudzej szkody, o łaskę zwykle udzielaną królom przez świętą Stolicę Apostolską, i nienegowaną onymże innemi razy przez samą Świątobliwość Waszę, o łaskę słowem obiecaną Królowi JMoi od Waszej Świątobliwości z zapewnieniem uczynienia kardynała na jego żądanie przy pierwszej promocyi.

Iż jesteś W. Ś. modlon za Prałatem prawnikiem Grzegorza XIV, cziogodnym nawet krom względów królewskich, zasługującym na takowe dostojenstwo rodowitością, prowadzeniem, zdatnością, niemniej jako trzydziestoletnią nieposzlakowaną świętej Stolicy Apostolskiej służbą na główniejszych sprawowaną urzędach, który nie tylko iż zyskał miłościwe W. Ś. pochwały gdy zostawał od Niego używanym przez cały ciąg najszczęśliwszego W. Ś. panowania, ale nadto odniósł w siła okolicznościach uznanie mnogich ministrów wiele królów.

Iż jesteś nakoniec W. Ś. modlon za Prałatem, który stał się wdzięcznym osobie królewskiej i wszemu Królestwu Polskiemu, kiedy postępował co najchwalebniej w najwালniejszych przygodach, nie tyio za czasów nieśmiertelnej pamięci Najjaśniejszego Króla Zygmunta, lecz także za bezkrólewia i pod elekcyą Jego Król. Mci, z ciągłym okazywaniem z własnej strony dobroci, żarliwości więc osobliwej roztropności, i z tak nadzwyczajnym zadowoleniem i lubością całego Polskiego Narodu, któremu przecie nie brak dostojnych subjektów zarówno ze wszelakiem łunem królestwem, iż ci sami chętnie mu ustępują swoich przywilejów.

Nadziewa się tedy Król JMé iż Ś. W. raczysz go ochłodzić w ojcowskiej swój dobrotności, a że nie staną na przekazie takowej łasce ani święty Sobór Trydencki w rzeczy o krajowcach, bowiem nie wspomina kardynałów obieranych przez wzgląd dla królów, czego dowodzą promocyje spełnione od Świątobliwości Waszej JMoi kardynała Santacroce, a od ś. p. Grzegorza XV kardynała Torresa na prośbę chwalebne go króla Zygmunta; ani też bulla Piusa IV, dla listu który Król JMé pisał do Ś. W. z Torunia na dniu 20 stycznia r. p. 1636 zalecając rzeczony go księdza JMoi, kiedy już był pożegnany króla JMci i złożył tę nuncyaturę; bowiem Ksiądz JMé nie

księdza Doni sekretarza królewskiego, dziś jego posła *per interim* w Neapolu, pod datą 18 stycznia 1652 r., w którym zasługują na uwagę następujące wyrazy: „Nie tylko iż Papież zaprzecza jakoby kazał oznajmić chęć

tylko że się nie ubiegał o wzmiankowany list, ani używał go zgoła, lecz ani też wiedział o brzmieniu onegoż; jako to poświadczą dostatnie słowo królewskie, które odwraca pocisk bulli sięgający jedynie ubiegania się nuncyuszów, przeciw jakowemu została ferowaną, aczkolwiek mając jedno ukaranie na celu, ile wiadomo z jej przedmowy, i w tym nawet względzie da się snadnie ukrócić. Pominąwszy tedy, jako rzeczoną bullą nie wzbrania się królom zalecać nuncyuszów *motu proprio*, nie powinno takowe zalecanie być ze skazą Księdza JMci gdyż inaczej podciągałoby się pod prawo to, czego prawo nie sięga, i za cudzy uczynek karałoby się niewinnego, zwłaszcza iż Król. JMé jego się wówczas przychylił do próżbom mianował kardynałem arcybiskupa Gnieźnieńskiego, względem którego był się zobowiązał; po której promocyi obmyśleniu, przez dwa ostatnie lata żywota rzeczzonego arcybiskupa, Jego król. Mość nie wspominał nawet o innym. Dopiero przed niedawnym czasem otrzymawszy wieść o jego zgonie, tegoż tygodnia, a więc dobrze wcześniej niżli ksiądz JMé Visconti, bawiący we Włoszech mógł się być o tém dowiedzieć, mianował tegoż księdza JMci, co niezbity stanowi dowód jako powyższa nominacya nie była przezeń wyjednaną, lecz pochodziła wprost z osobistego pochopu króla JMci, i to w czasie, kiedy zatem ona bulla już mu przekazać nie mogła. W takim zaś wypadku gdzieby się Waszjej Świątobliwości widziało, iż ta sama bulla stoi dotychczas na przekazie, król JMci błaga najusilniej Świątobliwości Waszjej, iżbyś przez wzgląd dla niego naruszył takowej, zwłaszcza że święta Stolica Apostolska zwykła w takich wypadkach, nie tylo na prośbę książąt, lecz także mnogich prywatnych osób, naruszać bulli papieżkich a nawet ustaw soborów powszechnych, i że się zdaje niepodobna zaprzeczyć, aby pozwolenie dane kardynałom JMciom Torresowi i Santaoroce za ich urzędowania w Polsce na wyrobienie sobie nominacyi u wielkiego króla Zygmunta szczęśliwej pamięci, nie było naruszeniem pomienionej bulli skoro im dozwoliło, czego ona bulla zakazuje. Zaczém król JMé tuszy, iż W. Ś. nie raczysz odmówić mu tej łaski, mianowicie iż król JMé. jest wielce zasłużon Świątobliwości Waszjej, toż całej Rzeczypospolitej chrześcijańskiej:

swoję uczynienia nuncjusza kardynałem w skutek królewskiej nominacji, ale się gniewa na tego, kto taką rzecz napisał w jego imieniu i doniósł, że Jego Świętobliwość ma w tém upodobanie, kiedy owszem nie po-

1) Przeto iż postradał dziedziczne swe Królestwo Szwedzkie w osobie wielkiego Ojca swego, jedynie dla wiary świętej katolickiej.

2) Przeto iż utracił ogromne Moskiewskie Państwo, na które był już obran i powołan odebrawszy przysięgę onych ludów, aby nie nadweryżyć posłuszeństwa winnego Stolicy Apostolskiej.

3) Przeto iż staczał tyle wojen pożytecznych chrześcijaństwu tak dalece, iż można rzecz śmiało że jego żywot był ustawicznym bożowaniem na ziemi.

4) Przeto iż odnosi zawsze prześwieczne zwycięstwa z powszechną chrześcijaństwa korzyścią.

5) Przeto iż tamuje sam jeden jako sławidło jakie, wylew barbarzyńców, któryby zatopił całe chrześcijaństwo.

6) Przeto iż nie dobywał nigdy miecza jedno przeciw nieprzyjaciółom Stolicy Apostolskiej i chrześcijańskiego imienia.

7) Przeto iż niechciał w r. p. 1635 uczynić w Prusiech wiele zyskownego rozejmu ze Szwedem jedno pod warunkiem przywrócenia katolickiego obrzędu w Inflanciech.

8) Przeto iż niechciał ostatnich lat wypuścić w lenność nowemu książęciu Kurlandi i Semigalji, aźby swobodę około wiary katolikom zawarował i przyobiegał nastawiać własnym nakładem kościołów katolickich, co też dopilnowano aby wykonał.

9) Przeto iż przed trzema laty ostrą nader uchwałą wyrumował ze wszech państw swoich zaraźliwe aryjskie kacerstwo, przesładując niespracowanie szczątki onegoż.

10) Przeto iż na ostatnim sejmie walnym obostrzył surowe prawo przeciw kalwinom Wileńskim, stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego równie jako i rzeczonoego kalwińskiego kacerstwa, rozkazując bez najmniejszej baczności na osobiste zyski karać na gardle kacermistrze i kacerze, odbierać im zbory, chorownie i szkoły i wstępować na wieki wieków wyznanie tak dobrze pospolite jako i prywatne powyższej sekty kalwińskiej.

Dla tych tedy powodów ufa Król JMó iż Ś. W. czyniąc zadość innym koronom na przyszłym kardynalskim obiorze, uraczysz go także pożądaną przezeń promocją, jako tego, którego Bóg Wszchemogący nie upośledził i nie minął ani urodzeniem, ani elekcją, ani przestwornością i zaconością państw, zwłaszcza iż W. Ś. przyrzec-

doba mu się wcale *aby nuncjuszowie chadzali nominacyjnymi drogami*“. Zamiast tedy woli Papieża, snąć była to po prostu wola tego, kto do króla IMCi pisał w tym przedmiocie.

Ale jakże da się pogodzić z bullą papieżką ten warunek, iż kiedy w Polsce znajduje się nuncjusz dostojny, jemu a nie innemu należy się nominacja, i jak wybieg wynajdą nuncjusze by nie postępować jedynym wytkniętym od Papieży torem? Wypadałoby chyba przypuścić jedno z dwojga: lub że nuncjusze w Polsce z natury swego urzędu albo przez nadzwyczajną łaskę wyjęci są z pod praw bulli, lub że przekroczyli takową jeszcze przed wyjazdem swoim z Rzymu, przeto iż wiedzieli, że się im a nie innym dostanie nominacja, skoro godnymi jej się staną, zaczem aby onęj dostąpić

---

kałeś już niejednokrotnie obchodzić się z nim na równi z innymi królmi, miłując go serdecznie, ile żeś go W. Ś. osobiście poznał i przyjmował po ojcowsku w swe najświętsze objęcia; albowiem gdziebyś go W. Ś. upośledził w niniejszej przygodzie, racz W. Ś. baczyć z własną sobie przecznością, ileby na tém ucierpiała sława królewska, gdy dla swych bohaterskich spraw, dla swęj katolickięj pobożności a dla tego nadewszystko, iż jest Przemurzem chrześcijaństwa, zasługując on nie tylo na łaski równe onym, jakie się udzielać zwykły innym koronom, lecz na niezrównanie większe, jako to więc sama Świętobliwość Wasza przyznałeś ozywając się wielorako z gotowością zaszczytania go zawsze takowemi.

Mniema przeto Król JMé błagając, jako to na nowo czyni, Świętobliwości Waszëj, iż błaga samego Wszchemogącego Boga, którego Świętobliwość Wasza jesteś obrazem między nami, temi samemi gorącemi, ustawicznemi, pokornemi i przewłocznemi modły, i tuszy więc, iż go Świętobliwość Wasza w ojcowskieję swęj łaskawości i dobrotliwości pocieszysz i ochłodziysz promocyą pomienionego księdza JMci Viscontiego, przez co go zobowiązesz Świętobliwość Wasza do obmyślenia stanowczych i nieprzepracowanych posług Stolicy Apostolskieję i wszemu chrześcijaństwu, i do trwania w świętobliwëj swojej żarliwości przez zbożne wciąż przeciwko kacerzom sprawy jakoteż przez poskromienie i pożywanie nieprzyjaciół tęg Stolicy świętëj i chrześcijańskiego imienia. Co wszystko it.d.

dosyćby mieli na zdolnościach i przymiotach, jakich urząd nuncjusza wyciąga sam przez się; i aczby nawet jak najniżej cenili siebie przez skromność, niemogliby-wszakże nie przyznać, iż Papież różnie o niech trzyma skoro ich obrał za swoich urzędowych i jawnych przedstawicieli w wielkiem państwie. Z samej tedy nuncjatury możnaby się dorozumiewać godności kardynalskiej jako następstwa w swoim czasie przypadającego, coby się wręcz sprzeciwiało celom bulli i bynajmniejby się nie zgadzało z wyrazami Papieży Urbana VIII i Inocentego X.

Zbyteczna byłoby twierdzić, iż tutejsza nuncjatura jest najszcześniejszą, a ztąd najbardziej cenioną i pożądaną, już dla tego, że mogliby nam odrzec, iż rząd papieżki wcale się jakoś nie przyczynia do takiego szczęścia, boć nie pamięta o nuncjaturze, jeśli mu jęj królowie nie przypomną, lub się obraża, gdy ją zaszczycają nominacją, która na czterech Rangonim, Viscontim, Torresie i Vidonim, w osobie dopiero ostatniego przyjętą została; już dla tego, że nazbyt wiele trzebaby o tém mówić, i wykroczyć by nam poniekąd przyszło z założenia naszego.

Nie rzetelną łaską, lecz larwą jedno łaski ze strony Stolicy ś. byłoby prawo nadane tęg Koronie mianowania *hunc et non alium*. W takim bowiem razie król przekładałby tylko nuncjuszowi postanowienie Papieży, który go chce uczynić kardynałem, jakoby J. Św. potrzebował orędownika między sobą a posłem swoim; możnaby nawet rzec naówezas, iż król prosi nuncjusza o pozwolenie obdarzenia go nominacją; bowiem taką rzeczą ustawałaby już potrzeba, by Jego król Mość wyrażał jęj potwierdzenie u Papieży; zaledwo przez czczy ceremoniał wypadałoby poprzednio zapytać, azali Jego Świątobliwość rozumie Nuncjusza być godnym, lub mi-

łym sobie; lecz skoroby był godnym, przeczby nie miał być i miłym?

Nie należy atoli na tém, czy Papięże uważają nominacją za nominacją lub nie; owszem, niech wątpią o niej lub nawet całkowicie jej zaprzeczają, byle tylko wątpiąc albo zaprzeczając pozwolili Koronie polskiej rościć do niej prawo na wzór innych koron. Pisał o tém do króla kardynał Orsini podobno na dniu 10 stycznia 1652 bo data niewyraźna, zdając sprawę z posłuchania u Inocentego X: „Głównym przedmiotem sporu było uroszczenie papieżkie, iżby korony nie używały tych nominacji kardynalskich, *gdyż to jest wielkiem bardzo nadużyciem, o które aż nazbyt się spierano*; na com odpowiedział, iż punkt ten był nietykalnym, że korony od niepamiętnych czasów zostawały w posiadaniu tego przywileju, i że co do mnie nie mogłem się pisać na żadne nowości będące z uszczerbkiem Waszjej królewskiej MCI tyle zasług mającego u Stolicy ś., iż raczej wypadalo przyczyniać mu łask niżli go z nich obierać, że nadto zapewniono mię, iż Jego Świątobliwość dozwalałając Jego król. MCI udziału w nominacji, *zabezpieczyłby mu przez to stan posiadania tój łaski*, oraz miejsca jakie mu się należy w promocji kardynałów; gdyby zaś co przeciwnego miało wypaść, że niemogłem nately przystać żadną miarą na szkodliwe nowości . . ; słowem po siła ceregielach i omówieniach cała sprawa dała się załagodzić w najlepszą. Pewien tedy jestem, iż Wasza król. Mość otrzymasz požądane miejsce i należyne mu zadośćuczynienie.“ W innym znowu liście kardynała do IMCI księdza Doniego z 20 stycznia 1652 zasługują na uwagę następne wyrazy: „Mówił Papięż, że trzyma te promocje kardynałów za nadużycie w prowadzone pod pokrywką onój ustawy soborów, którą uchwalono, aby byli kardynałowie z różnych narodów, a która na to zesła, iż domagają się na jej mocy pry-

watnych nominacji, itd. Prowadził dalej rozmowę tym samym tonem, ja zaś odpowiadałem na wszystko w taki sposób, żem przewyciężył trudności co do jednej, i uzyskałem pewność wykonania tego, o czém piszę do Jego król. MCI. "Co do miejsca tedy czyli udziału, snadź wszystko dało się ułożyć, a na przyszłej promocji król polski zostanie wyraźnie wymienionym w ten zupełnie sposób co inne korony; bowiem jeśli ta i trzy inne korony rzeczywiście mianują, a jeśli nominacja tamtych trzech będzie cierpianą, tedyć słuszna, aby i od czwartej cierpianą była, zwłaszcza że idzie tutaj o łaskę, skoro samo to cierpienie łaską ma się nazywać. Niech mi zaś niezarzucają, że nadużycie będąc błędem, nie wolno się na błąd powoływać; boć skoro Stolica Apostolska uważa za błąd zbytnej szczodroblowości cierpienie jednej tylko nominacji największym Chrześcijaństwa królowi, tedy mniejsi książęta mało, a najmniejsi nie się już niepowinni spodziewać, przez co niewyczerpane źródło łask wyschłoby doszczętnie. Jakkolwiek bądź wszystko co dotąd rzekłem niech posłuży raczej za wzmiankę o rzeczach minionych i za dowód bezzasadności i niewczesności wymówek, jakimi się zastawiano, niż za usiłowanie ku wykazaniu oczywistej przez się krzywdy królowi IMCI polskiemu wyrządzonej. Sam bowiem Ojciec ś. Aleksander panujący zanim nas jeszcze pokrzywdził, oszczędził nam pracy około podobnego wykazu; słowa jego wyrzeczone na konsystorzu do IMCI kardynała Orsini 11 października 1666, same przez się obowiązywały go przyjmując nominacją Króla polskiego wtedy nawet gdyby nie bywało nigdy mowy o podobnym uroszczeniu ze strony Jego król. Mei, ani o przypuszczaniu i cierpieniu onegóż ze strony Papieży.

Kardynał Orsini pisze do króla pod dniem 16 tegoż miesiąca października temi słowy:

„Bacząc niepodobieństwo zyskania osobnej audiencji

na pokojach papieżkich, i uważając że już wszyscy posłowie panujących zanieśli byli prośby o promocją swych subjektów, oznajmiłem iż dierzę rozkaz od Waszój król. Mei podania instancji o promocją skorobym usłyszał iż inni takową podali; że zaś dowiedziawszy się jako to już nastąpiło na ostatniem posłuchaniu, błagałem wimieniu Waszój król. Mei, aby mu udzielono miejsca w rzezonój promocji, jako to nieraz już czyniono dla Niego i dla przesławnych Jego przodków, oraz że Wasza król. Mość nierównie więcej teraz niż przedtém zasługiwał na ono miejsce po tylu znojach i bojach, po tylu wydatkach i niewczasach poniesionych na służeniu wierze świętej. Dołożyłem nieco innych argumentów, o ile mi krótkość czasu pozwalała, na poparcie instancji, którą Papież chętnie przyjąwszy odpowiedział: — Używa się zwykle memoriału do podobnych spraw; zostaw go nam Waszmość; a usłyszawszy że go nie miałem, bowiem to nie było we zwyczajach, przerwał mi temi słowy: — Prawda, prawda, list dostateczny; niech go nam Waszmość zostawi. Na co jam odparł, iż Wasza król. Mość nie przysłał mi dotąd takowego lecz żem się go spodziewał co chwila; że tymczasem tylko uprzedzałem Jego Świątobliwość na wypadek, gdyby już się miał ku promocji, iżby miejsca Waszój król. Mei niezabierano. Odparł: — Postaraj się no Waszmość aby to była osoba godna, i podaj nam ją; upominam tedy Waszę król. Mość byś raczył onę co najrychlej podać. W téj całej rozmowie nie nie słychać o różnicy nominacji i zalecenia, chyba że weźmiem za przymówkę do niej to żądanie memoriału; lecz i w tym razie wniosek się obraca na korzyść nominacji, gdyż Papież oświadcza gotowość do przyjęcia listu; co wszystko oparte na przykładach przeszłości, może się policzyć do niezbitych dowodów.

Wspomina o osobie godnej, nie zaś o kilku osobach; niektórzy utrzymują jakoby Papież dosadniej się jeszcze miał wyrazić powiadając: osoba godna a nam miła; i jakoby przez tę osobę rozumiał nuncjusza, nie zaś kogo innego. Takowa dosadność nie widzę w czem się ma różnić od ogólników; zresztą pomijając już, że to wyrażenie nie znachodzi się w listach kardynała zkadinał dosyć rozwodzistych, niepodobna wyjaśnić należyście tego szczegółu. Co zaś do słów: osoba godna, nie mogły się one do jednej tylo stosować; gdyby zaś z wielu godnych nuncjusz był się okazał najmilszym Papieżowi, jemu bezwątpienia byłoby się dostało dostojenstwo jednego z czterech kardynałów ogłoszonych przez *motu proprio* papieżkie, zwłaszcza iż kaźden z nich byłby chętnie przyjął księdza Pignatelli dla jego rodowitości, znakomitości i usług przez lat trzydzieści Stolicy świętej oddawanych, za równego sobie w zasłudze towarzysza. List nominacyjny dla księdza Bonsiego wydany został 2 grudnia; niedługo zaś potem ksiądz Pignatelli uzyskawszy z Rzymu pozwolenie na wystąpienie się tegóż, uciekł się najprzód do pośrednictwa królowej, a potem króla IMCi o to błagał. Krolestwo zaś oboje odpowiedzieli mu, iż go miłowali i trzymali wielce godnym kardynalstwa; ale że mając jedną Nominację, jednemu tylo mogli onę udzielić, wyznając przytém że już takową oddali księdzu Bonsiemu. Król owszem przydał dość swobodnie, że jego prośba za późnoby przychodziła, wtedy nawet gdyby się sam nie był zobowiązał względem Bonsiego, bowiem jeszcze dawniej ktoś inny nuncjusza uprzedził.

Już na początku stycznia list nominacyjny znajdował się w ręku IMCi kardynała Orsiniego, aczkolwiek go nie podano przed konsystorzem z 7 lutego, ztąd iż dla choroby Papieżkiej nie można mieć posłuchania w innej jak tylo w prywatnej formie. Zanim Jego Święto-

bliwość wziął do ręki pomieniony list, kardynał Orsin, ustnie mu treść onego wykladał; Papież zaś nie pozwalając kończyć przerwał mu temi słowy: — Zaczynasz Waszmość z nominacjami, a wiesz dobrze, że Polska nie ma Nominacji, i że nawet list cesarski musiano przepisywać. Odpowiedział kardynał, iż król IMCi nowości nie wymagał, że list był napisany wedle zwykłej formy że zaś gdyby przypadkiem jaki usterk się znalazł możnaby go sprostować bardzo snadnie. — Papież dolożył przytém iż Polska nie mianuje jednego, lecz że zaleca kilku, a że Najwyższy Pasterz wybiera; na co kardynał odparł, iż wszystkie nominacje znajdowały się w kancelarji stanu, kędy naprózno byś szukał więcej listów niżli jeden do razu, że ta kancelarja zaświadczyć może jako niepodobna okazać listu na kilka osób, i jako nie masz wzmianki o kilku ani w pojedynczych listach, ani w żadnym zbiorze onych noszącym wyraźną Nominacji formę; że wprawdzie bywało iż podawano Papieżom kilka osób do wyboru, ale to tylko w doradczy sposób i w poufném listowaniu, co przecież tą razą nie miało się tłómaczyć na szkodę Jego Król. Mci, bowiem byłoby to odplacać zbyt jawną niegrzecznością za uprzejmość i uczciwość wyrządzoną w dobrej wierze. Koniec końcem Papież przyjął list żaląc się wszelako że był znużony i że doznawał osłabienia głowy.

We środę 23 lutego ksiądz de Vecchi sekretarz cyfry przybył do kardynała Orsiniego i mówił mu w imieniu Jego Świątobliwości, że zwraca listy, rozumiejąc takż zapewne list pisany do kardynała Chigi, bowiem nie są we zwykłej formie; że kardynał winien był przeto odesłać je napowrót do Polski oddając Królowi całkowitą swobodę, jakoby o tej sprawie nigdy nie wspomiano, aby taką miarą Jego król. Mość mógł się rozważniej zastanowić nad tą rzeczą. Kardynał bacząc że to był jedynie wybieg ku uwolnieniu się, od usiłowań

jakie sam czynił ku przewodowi onęj sprawy, stanowczo odparł, iż listów napowrót przyjąć nie może, albowiem co do listu nominacyjnego, ten był w należytej formie, i ukazał odpis jednakowego pisanego za kardynałem Vidonim, przydając, że ponieważ Jego Świątobliwość list przyjął, odpieczętował i dzierzył przez wiele dni u siebie, sam tedy miał tę rzecz za doskonałą, i że nadto już był wyprawił gońca do Polski; pokrótce mówiąc, zakończył w te słowa: — Należy dowieść mi, że listy są sprzeczne i usterkliwe; co do mnie spełniłem Nominacja, złożyłem listy, wyprawiłem nazad gońca, zaczęm nie mi nie pozostaje jedno wyglądać łaski Papieża w swoim czasie. Jeśli zaś Ojciec ś. rozumie się być uwolnionym od prośby, potrafię go przekonać, iż mylnym jest to jego rozumienie, albowiem w imieniu króla IMCi prosić go nie przestaję i trzymam list za niezwrócony; iż zaś takowy nie różni się weale od pisanego za IMCi kardynałem Vidonim, dowodem niżej przytoczony odpis, a mianowicie ten okres w nim się mieszczący: *do błagania W. Ś., jako to więc pokornie czynię, byś go mieć raczył za Nominata na kardynalstwo przy pierwszej promocji:*

„*Najbłogosławieński Ojciec!*

„Zasługuje weale IMC ksiądz Piotr Bonsi, obrotny Floryntyn, Biskup Beziński a Poseł nadzwyczajny Króla IMCi Chrześcijańskiego przy mnie, bym się przyłożył do nagrody, jakowej sposobnym i godnym się okazał przez swoją umiejętność, ćwiczenia i cnotę; bowiem pośród ciężkości niedawnemi czasy odemnie doznanych, a dostatnie wiadomych Świątobliwości Waszjej, nie tyle że z najzarliwszą pilnością sprawiał się obowiązków na się wtłoczonych braterskim afektem a powolną ku mnie

przyjaźnią Jego królewskiej Mości, lecz krom tego nie puścił żadnej sposobności ani nagody ku popisywaniu się ze swą osobliwą a nadzwyczajną żarliwością około obmyślania wewnętrznego porządku tak wielce niezbędnego całemu Kościołowi katolickiemu w tém Chrześcijaństwie Przedmurzu. Takowy słuszny wzgląd na zasługi przerzeczonego Prałata, i takowe rzetelne ku wdzięczności podniety, spowodowały mię do błagania Waszjej Świątobliwości, jako to więc pokornie czynię, byś go mieć raczył za Nominata na kardynałstwo przy pierwszej promocji. Tuszę iż Wasza Świątobliwość stwierdzisz on podany sobie wybór, który się odbył z najprzedniejszą bacznością na cześć Bożą a kościelną; czém ojcowska dobroćliwość Waszjej Świątobliwości zobowiąże mię nowemi powody do świadczenia Mu we wszelakim razie mój całkowitej a synowskiej powolności. Tymczasem modłę Opatrzność Boską o długoletnie zachowanie Waszjej Świątobliwości, zaczem pospołu z moimi ludy poddanemi Jego błogosławieństwu całuję Mu najświętsze stopy.

Warszawa 2 grudnia r. p. 1666.

Waszjej Świątobliwości  
Najposłuszniejszy Syn  
Jan Kazimierz Król“.

Nie będzie zgola od rzeczy dodać na tem miejscu że lubo Papież Inocenty poczytywał za nadużycie nominacje wszelkiego rodzaju, nie przyjął jednak listu przeto iż mu się zdał być raczej zalecalnym a niż nominacyjnym, powiadając iż niechce otwierać szranków do domagania się innego kapelusza tytułem Nominacji. Atoli z dobrodziejstwa swobody, jaką wracano Królowi niepodobna było korzystać, bowiem od 23 lutego, dnia w którym list oddano, do ranka 7 marca kiedy nastą-

piła promocja, liczy się jedno dwanaście dni całkowitych, czas ledwo wystarczający najrańszemu gońcowi na pomknięcie się cokolwiek dalej za Wiedeń, nie już na dotarcie do Warszawy o dobrych dziewiędziesiąt mil ztamtąd odległej. — Widać tedy że gdzieby nawet król chciał był korzystać, czego nigdy nie miał na myśli uczynić, chęci jego nie byłyby wzięły skutku, skoro Papież nie tylko przyspieszył promocją, ale wszystkie w niej miejsca był już pozapelniał.

Przydaje Papież: aby Jego król. Mość mógł się rozważniej zastanowić nad tą rzeczą; a jednak król IMC powiada w swoim liście iż ksiądz Bonsi jest obrotnym Florentynem, synowcem kardynała tego nazwiska, i że uchodzi powszechnie za człeka zasługującego na kardynałstwo przez rodowitość, naukę i obyczaje; że jako poseł nadzwyczajny króla chrześcijańskiego potrafił zaszkodzić względy króla Polskiego, bądź stając się orędownikiem sowitych i wielorakich oświadczeń szczerzej przyjaźni ze strony swego pana, bądź przyczyniając się częstokroć, jako na żarliwego przystało kapłana, do ustalenia pospolitego pokoju i niemałą przynosząc chlubę swemu stanowi przez dobrowolne podjęcie siła dzieł przyturdnych. Listy są jednobrzmiącej treści, i były tak jeden jako i drugi złożone temuż Papieżowi Aleksandrowi. — Oddaje, prawi, zupełną swobodę królowi jakoby nigdy nie było mowy o rzeczonyj sprawie; lecz co za swobodę? — Mianowania nuncjusza a nie innego. — Alić jakoż to mianowanie ponawiać, jeśli kardynał Chigi twierdzi, że Polska nie ma Nominacji, lecz tylko zaleca, a to nie jedną, lecz kilka osób? Tymczasem onemu twierdzeniu kardynalskiemu przeciwią się te słowa: iż dopóki zostaje w Polsce nuncjusz zasługujący na kardynalską godność, Papież nie zezwoliłby nigdy aby się komu innemu dostała, dzierżąc to za krzywdę wyrządzoną wspomnionemu prałatowi. Alić jeżeli

nuncjusz rzeczywiście godzien, co niewątpliwa, kardynańskiego stopnia, tedyć zgoła zrozumieć nie można czemu krzywda, jaka mu się dzieje przez to usunięcie od promocji, ma być przypisana królowi IMCi posiadającemu jedną tylo Nominacją, prędzej niż komu innemu, jakoby nuncjusz nie był ministrem, i nie mógł mieć tyle zasług co inni, ba, niezrównanie więcej od innych ministrów Stolicy Apostolskiej? Nie można więc zgoła pojąć nad czém się król ma zastanawiać, osobliwie gdy promocja odbywa się bez żadnych dla niego względów

Powiada Papież, iż cierpiano Polsce nominacje, z powodu iż bywały rozdawane li tylo nuncjuszom. Są tedy nominacje i bywają cierpiane; jednakowoż Santacroce nie był nuncjuszem (?). Jeżeli zaś wolno je dawać jedynie nuncjuszom, toć taką rzeczą król polski miał pozostać bez Nominacji przeto, iż Papież Inocenty usunął był Torresa niemilego sobie? A jednak cała trudność podówczas zależała na subjeckie.

Przykłada Papież iż posłowie niepowinni się mieszać do Nominacji, co też rzeczywiście było najprzedniejszą przyczyną nieudania się całej téj sprawy; lecz skoro takowej przyczyny nie nazywano po imieniu, nierażno zaiste było odgadnąć, iż charakter poselski czynił księdza Bonsiego niesposobnym kardynaństwa w umyśle papieżkim, bowiem co do bulli i konstytucji, nie widzi mi się by stawały na przekazie posłom; owszem, podobnym postępując strychem otwierałoby się drzwi siła wymówek i wykrętom, gdyż natenczas aby zostać kardynałem przystałoby składać dostojęństwa i urzędy przedtem piastowane.

By król mógł być przypuścić, iż podobna krzywda go spotka, snąć kazałby był przedewszystkiém prosić Jego Świątobliwości, aby sam się raczył zastanowić jako wyrazi: — Rozkaż nam Waszmość list przysłać, i postaraj się, aby to była osoba godna, nie znaczą, że

prośba albo zostanie odrzuconą, albo też będzie przyjętą pod tym jedno warunkiem, by mianowano nuncjusza. Nie mógł zaś mniemać Papież, że król IMĆ będzie nuncjusza mianował, bo wiedział dobrze iż sam nie posyłał temu ostatniemu zezwolenia swego na wyrobienie nominacji czyli na przyjęcie łaski, przeto na wtórem posłuchaniu, kiedy kardynał podawał list Jego Świątobliwości, Ojciec święty mógł przypomnieć sobie, że sam onego zażądał był jeszcze na dniu 11 października, wówczas gdy go błagano o zachowanie miejsca w promocji dla téj korony, i że nieposławszy rzeczzonego zezwolenia nuncjuszowi niepodobna się było spodziewać, aby list królewski, by dobrze kardynał był go już otrzymał, tyczył się nuncjusza.

Jeśli zaś Papież niechciał pisać się na nominacją jedno w osobie nuncjusza, mógł był przynajmniej dla wyrażenia uczciwości opowiedzieć się z takowém postanowieniem, aby zdołano zobopólnie ułożyć się po przyjacielsku względem spornego punktu, nim jeszcze król kogo zamianował.

Niech tedy Papież sam się raczy rozwaźnie zastanowić, że gdyby nawet w rzeczy samej nominacja królewska należała się jednemu tylko nuncjuszowi, przez używanie podobnych ogólników mógł dać snadnie do zrozumienia, iż tą razą nie chciał jój przyjąć w jego osobie; bowiem skoro chciał onę przyjąć nie powinien był mówić: — Staraj się Waszmość, aby to była osoba godna, poprzestając zresztą na ogólnikach nieoznaczających innego nad zwykle papieżkie potwierdzenie warunku; ale najstósowniejsza było odpowiedzieć: pošlemy zezwolenie nasze nuncjuszowi. Że zaś wedle wszelkiego prawdopodobieństwa (owszem byłoby zbytnią prostotą wątpić o tém) nuncjusz niemieszkanie doniósł Jego Świątobliwości, iż nominacją dano księdzu Bonsiemu, Papież miał dwa tygodnie czasu, ba nawet więcej, za-

nim mu list wręczono, do namyslenia się, azali winien był go przyjąć, wiedząc zresztą bardzo dobrze dla kogo był pisany pierwój nawet nim kardynał Orsini otworzył usta by mu treść onego wyłożyć; i nie mógł nie-wiedzieć, iż Bonsi jest posłem natrąciwszy sam jako posłowie niepowinni się mieszać do takowych spraw. — Co zaś do rozmowy między Przeoświeconymi kardynałami Orsinim a Chigim, tę krótkości kwoli opuszczamy, więc dla tego, że sporne punkta w niej dotykane są temi samemi, o których już nieraz była mowa w ciągu niniejszych uwag.

Papież Grzegórz XV ofiarował się z największą gotowością uczynić kardynałem Rangoniego mianowanego przez króla Zygmunta, a wyłączonego przez Pawła V; atoli zgon tego prałata uprzędził jego promocją. Papież Urban VIII zachował *in petto* miejsce dla Korony polskiej; wyłączywszy zaś Viscontiego mianowanego przez króla Władysława, chciał wysłać nuncjusza nadzwyczajnego do Polski, niemniej dla wytlómaczenia się królowi jako w dowód poważania swego dla téj Korony. Papież Aleksander VII obowiązuje się bez najmniejszego wzbraniania się uczynić kardynałem podanego sobie subiekta, nie kładąc innego warunku nad ten, iżby był godzien; otrzymawszy zaś list nie odmawia co do osnowy, ale robi trudności o formę. Odsyła go potém pod pozorem, iż nie jest ułożon wedle uświęconego zwyczajem przepisu, ale nie wytyka, w czém się od takowego uchylił, ani na czém zawisł jego niedostatek, oddaje swobodę, a pragnie namysłu, który ani wystarcza ani jest potrzebny; nareszcie zapełnia miejsce winne téj Koronie tuż po trzech pierwszych, a potém milczy bez najmniejszego względu.

Każdy ztąd łączno pojmie, że jeżeli otworzysta nominacji odmowa byłaby walną zniewagą dla téj Korony, toć podobne postępowanie jest stokroć gorszą; że prze-

to Jego król. Mość może z zupełną słusnością zalić się przed Bogiem i ludźmi, i że sprawiedliwie może narzekać ten król, który od najmłodszych lat przepasywał miecz przeciwko nieprzyjaciolom Kościoła rzymskiego; ten król, którego panowanie było ustawiczną z niewiernymi heretyki i odszczepieńcy walką, i który siłakroć razy kładł na szanie w tylu pamiętnych potrzebach własne królewskie zdrowie, niosąc je pomiędzy ścierające się przemożne zastępy; ten król jedném słowem, który ferował tyle wyroków i uchwał na korzyść Kościoła i wiary katolickiej, ściągając przez to na się nienawiść i nie lada złości. Takąli miłością ogarnia się dom królewski, który utracił dziedziczne państwo jedynie dla wiary świętej co było też początkiem wszystkich ciężkich jego kolei? Ale jakkolwiekbaż prawa królewskie tém się prawdziwszemi i sprawiedliwszemi okazują, im jaśniej baczymy jako główną wyłączenia księdza Bonsiego przyczyną, jeśli przyjmiem w posłuch wieści po pałacu apostolskim krążące, była jego zawisłość od Francyi. Atoli także niepoślednią była odległość Polski, ile że z umysłu szerzą między rzymskim ludem mniemanie, iż jest zbyt odległą by się jój lękać miano. Jeśli zaś żadna z tych przyczyn nie zgadza się z miłującą i bezstronną dobrocią, ani z zachwaloną od względów ludzkich niezawisłością, tedy mianowicie ostatnia sprawia, iżby królowie, by dobrze katolicycy, nie mieli być poważanymi, skoro panują odległym stronom, co niewiem doprawdy ileby przystojném było onemu imieniowi Ojca powszechnego, jakowém Papieżu się szczyca... Że jednak Polska nigdy niechciała ani zamyślała szkodzić Stolicy świętej, snadnie to poznać ze zwyczajnych i nadzwyczajnych dowodów i okazów osobliwego przywiązania i uwielbienia świadczonych Papieżom równie przez króla IMCi, jako przez chwalebnych jego

przodków, lecz poprzestając już na tém cośmy rzekli  
w téj mierze,

Polskim obyczajem  
W słowach bez ogródki  
Wolną myśl podajem <sup>20)</sup>

## List Króla Polskiego

do Papieża Aleksandra VII <sup>21)</sup>.

Gdybym się nie miał użalać na wiele innych kroków  
Waszój Świątobliwości dotyczących wszystkie ostatniej  
kardynałów promocji, sowity powód do skargi znachod-  
ziłbym w tém, iżes nie raczył Wasza Świątobliwość  
pamiętać na słowa wyrzeczone do IMCi kardynała Or-  
siniego dnia 11 przeszłego października, to jest aby się  
starał o list nominacyjny i aby wybrano osobę godną.  
Skoroś Wasza Świątobliwość pożądał wyboru księdza  
IMCi Pignatellogo Nuncjusza Apostolskiego, nie zaś ko-  
go innego, potrzeba było, byś się Wasza Świątobliwość  
raczył opowiedzieć z tą chęcią; boć aczkolwiek byłbym  
wždy pozostawił Świątobliwości Waszój, iżbyś Wasza  
Świątobliwość posła swego *motu proprio* wynagrodził

<sup>20)</sup> E come qui si suole  
Liberi i sensi  
In semplici parole.

<sup>21)</sup> List ten Jana Kazimierza, należący do najcenniejszych po-  
mników dyplomatycznych XVII wieku, a równie jak dwa następne  
tegoż króla dołączone w rękopiśmie włoskim do *Uwag* hrabiego  
Krzysztofa Masini, jest wzorem mocy i godności.

(ile że mi to nakazywała powinność, skoro Wasza Świątobliwość sameś go udawał za Prałata dobrze zasłużonego Stolicy świętej i wielce godnego kardynałstwa), wypadło jednak nie pozbawiać mię sposobności zadowolenia Waszego Błogosławieństwa, jako też dać poznać mnie samemu, azalim zdołał lub nie ugodzić w to zadowolenie. Wszelako iż Wasza Świątobliwość dozwoliłeś mi zamianować subjekta na to jedynie by go potem odrzucić wyrazy nieprzystojnemi Ojcowskiej swęj miłości i niezgodliwemi z poczesnością, jakowa się należy od każdego, a tém bardziej od Papieży wielkiej Chrześcijaństwa Koronie, niechże przynajmniej Wasza Świątobliwość raczy mi przyznać słusność, jeżeli ja Król żałować się nie przestanę w obliczu Boga a całego świata dotąd, aż odzierzę tę naprawę krzywdy, do jakowej istotna pobożność żadną miarą mieć wstrętu nie powinna. Błagam zaś o nią zsynowską czcią Świątobliwości Waszej, i niechciałbym, iżby ma dalekość, a może być krom tego stan frasobliwy, w którym się znajduję, miały nadwątlić słusznych ku pocieszeniu mię powodów; bowiem natenczas z mojem ubolewaniem a przyganą Jego imienia urosłoby u ludzi rozumienie, iż względ na mocarstwa i władze ziemskie mocen drugdy zagłuszyć świętą sprawiedliwość, co więc, Najbłogosławiwszy Ojczy, nie najlepszą byłoby zachętą dalekim książętom ku nawróceniu się do wiary świętej i ku oświadczeniu się, jakim sam zostaje

Warszawa d. 5 kwietnia r. P. 1667

Waszej Świątobliwości  
Najposłusznieszym Synem.  
Jan Kazimierz Król<sup>4</sup>.

## List Króla Polskiego do ś. Kolegium,

*Przeoświeceni i Przewielebni Panowie!*

Wiadomo Waszym Przewielebnym Mościom jakie pokorne prośby zanesione były w imieniu naszym Najbłogosławieńszemu Ojcu Aleksandrowi VII, aby raczył w razie promocji dla książąt zostawić też miejsce na naszą nominację, jako więc nadto Jego Świątobliwość rozumiejąc żeśmy się już opowiedzieli w tej mierze, żądał nominacyjnego listu, i jako nareszcie dowiadując się że nie był dotychczas przysłan, powiadał onemuż kardynałowi IMCi, aby się takowego wystarał i pamiętał o wyborze osoby godnej. Wiadomo także Waszym Przewielebnym Mościom, iż na konsystorzu z dnia 17 lutego (bowiem na inném miejscu i kształtem innym tenże Kardynał IMC nie przemógł był odzierżyć posłuchania) był złożon Jego Świątobliwości mój królewski list nominacyjny, a treść onego udzielona mu ustnie.

Zamierzam że po szesnastu dniach umyślił Papież zwrócić przerzeczony list na ręce IMCi księdza de Vecchi IMCi Kardynałowi Orsiniemu, pod pozorem, jakoby nie był w formie przepisanej zwyczajem, lubo niepodobna było wykazać żadnej różnicy między tym a innym pisanym dla IMCi kardynała Vidoniego; więc nie zstąpimy do wyliczania innych trudności zadawanych przez IMCi Kardynała Chigi w niedzielę 27 lutego na rozmowie z pomienionym IMCi Kardynałem Orsinim; gdyż zamyślając dokonać promocji w upływie ośmiu dni, toż zapewnić wszystkie miejsca wakujące, nie dawano czasu na odprawę tych trudności, ani miano żadnego względu na jakiegokolwiek zarzuty lub modły. — Lecz jakby nie było, mamy za to, iż Papież bez wszelkiego zgoła

wątpienia był się zobowiązał ogłosić nam kwoli subiekta godnego kardynałstwa.

Wiadomo wtaż dostatnie Waszym Przewielebnym Mościom, jako później na promocji zaszłej w dniu 7 przeszłego marca Jego Świątobliwość wykluczył nominacją naszą, oddawszy innym miejsce z prawa należne tój Koronie tuż po subiektach przez tamte trzy korony podanych. Wielkość oczywistój krzywdy, jakową ztąd odniosło królewskie dostojęństwo nasze, da się snadnie ocenić enocie, afektowi a roztropności Waszych Przewielebnych Mościów, którym oświadczamy ciężki żal, jakiegośmy doznali, bacząc się upośledzonymi w sposób nieprzystojny ojcowskiój zyczliwości i zbożnej sprawiedliwości Rzymskiego Pasterza, którego powagą jako też Stolicy świętój przodkowanie w wielorakich zastępowaliśmy przygodach i popierali tak w czasie pokoju jako i wojny. Ufamy tedy statecznie, iż on wypadek sam przez się skłoni Wasze Przewielebne Mości do uczestnictwa w naszych żalach. Jednak iż nam chodzi o całkowitą krzywdy naprawę, aczby już dla samėj chluby tój Stolicy świętój, która winna mieć w osobliwém zachowaniu wszelaki godziwy środek ku zadowoleniu i pociesze książąt chrześciańskich swych miłujących i powolnych synów, tedy zanosimy przed Wasze Przewielebne Mości najserdeczniejsze prośby, abyście raczyli nas wesprzeć włożeniem się swoim i poradą ku naprawieniu Jego Błogosławieństwa do ustąpienia nam pierwszego w ś. Kolegium wakansu.

Co do reszty, ze zwykłym statkiem obracamy na chwałę Bożą i Jego świętego Kościoła wszelaką naszą sprawę, więc samę naszą królewską osobę, zapewniając przytém Wasze Przewielebne Mości, iż nas wždy obchodzą niepomału przystojności tego ś. kolegium, toż że w każdym razie względem wszech w obec i każdego z nich z osobna będziemy się starali dowieść po-

ważania a wdzięczności winnych Apostolskiemu ich dostojństwu i afektowi zawsze nam świadczonemu przez Wasze Przewielebne Mości, którym życzymy najrzetelniejszego powodzenia.

Waszych Przewielebnych Mościów  
szczęry Przyjaciel  
Jan Kazimierz Król.

### List Króla Polskiego do Kardynała Chigi.

*Przeoświecony i Przewielebny Panie!*

Papież upominał IMCi Kardynała Orsiniego, aby się wystarał nominacyjnego listu, zalecając jedynie byśmy wybrali subjekta godnego kardynalstwa. Jego Błogosławieństwo w kilku tygodni później odzierzył list nominacyjny, i nietylko iż za odzierzeniem onego dowiedział się ustnie od IMCi kardynała Orsiniego jako był napisan za Wielebnym księdzem Biskupem Bezier-skim, ale drzewiej nawet mógł był o tém wiedzieć przez IMCi księdza Pignatellego nuncjusza Apostolskiego, któremu mówiliśmy jasno jeszcze pierwszych dni grudnia komu zacz udzielon został. Wasza Przewielebna Mość mogłeś był przeto oszczędzić sobie mozółu około rozprawiania czy królowie Polscy mianują lub tylo zalecają, czy jedną lub kilka osób, czy jedną przez żywot Papieża lub Króla, czy innym nad zalecone przez Ojca ś. osoby służy nominacja, i czy pod bytność tutaj nuncjusza dostojnego a milego Papieżowi należy się jemu a nie komu innemu; albowiem zamilczając iż rozliczność

tych sofistycznych wątpliwości jest niezaprzeczoną dowodem, że się żebrze wymówek by nie uczynić zadość sprawiedliwym naszym żądaniom, dosyć nam na tem, iż Papież się z niemi nie wydał kiedy IMC Kardynał Orsini na konsystorzu w dniu 12 przeszłego października przekładał pokorną instancją Jego Błogosławieństwu, iżby w przypadku promocji raczył zostawić miejsce na naszą nominację, gdyż taką rzeczą powaga papieżka byłaby rozstrzygnęła i zaspokoila wszelakie pytanie a trudność. Jakoż to jedno wystarcza na usprawiedliwienie żalów, które zawodzimy w obliczu Boskiem i całego świata, iż Jego Świątobliwość wyłączył naszą nominację, która tuż po trzech pierwszych Koronach winna była odzierać miejsce oddane wszakoż komu innemu, lubo nam należyte a przyobiecane. Papież Inocenty, któremu niech światłość wiekuista świeci, mawiał że ani Królowie Polscy, ani więc insi, nie posiadają nominacji, ale iż to było tylo cierpiane nadużycie. Nie wdając się już w słuszność takowego twierdzenia, mamy za to, iż nominacja nasza dla jednakich przyczyn miała być przyjętą i cierpianą jako więc innym bywa Koronom, skoro w jój posiadaniu zostajem. Tenże Papież, z tém wszystkiem iż nominacje za nadużycie pożytywał, niepozwoił podać sobie listu, lub go trzymał za niepodany, przeto iż był w formie zalecalnej, oświadczając, iż pragnie nominacyjnego, by nam odjąć wszelką wątpliwość że w powyższej formie innego nie możemy żądać Kardynała. Rozkazał wtaż napisać do nas, iż posłowie Stolicy świętej mogli sobie patrzeć onych dostojenstw z innych rąk niż papieżkie. Ś. p. Urban VIII niechciał przyjąć nominacji nuncjusza z prostego podejrzenia, iż ów dowiedziawszy się jako mu była przeznaczoną od Króla Władysława naszego brata i poprzednika, nie kwapił się z jój odmową. Kilka zaś ty-

godni temu Wasza Przewielebna Mość rzekłes IMCi Kardynałowi Orsinie mu, iż Jego Świątobliwość nie przyjąłby nigdy nominacji w osobie innego subiekta jedno księdza IMCi Pignatello, bowiem jestei onój godzien, aczkolwiek wiedziałes, że w onczas, kiedy Papież zażądał listu od IMCi Kardynała Orsiniego, nuncjusz nie miał bynajmniej zezwolenia na wyrobienie lub przyjęcie tegóż. Alić przecie iż jeden jest Duch święty i że Papieże winni być jednomyślnymi, należałoby takoz mówić zgodliwie, a kiedy dobry zarząd Kościoła wyciąga jakowój zmiany, uchwalić onę raz na zawsze, a nie zażywać jój swawolnie bardziej ze szkodą pojedynczą niż z pożytkiem pospolitości. Utrzymują że list nie był napisan wedle formy zwyczajem uświęconej, a jednak można snadnie dowieść jako w niczém się nie uchyla od tego, który złożono przy nominacji IMCi Kardynała Vidoniego. Przydają nadto że Papież zalecając IMCi Kardynałowi Orsinie mu, by się starał o nominację i pamiętał wybrać osobę godną, zawarował, by miłą mu też była. Przypuszczamy iż to prawda, ale żeby się przez te słowa miało rozumieć, że jeden tylo zdoła być godnym i miłym, a że takowym jest koniecznie IMC ksiądz Pignatelli, nie zaś kto inszy, zdajemy się w tém na własne Waszój Przewielebnej Mości sumienie, który znasz sowicie, że wszystkie te trudności, więc popisywanie się z powolnością dla nuncjusza jest jedno pokrywką wstrętu do potwierdzenia IMCi Księdza Bonsiego Biskupa Beziarskiego. Ze zaś niepodobna powiedzieć by nie był godzien, i jako taki nie zasługiwał być miłym, owszem, że ztrudna przychodzi wyznać, iż odraza okazywana przed i po nominacji, wypływa jedynie z jego zawistości i posłowania od IMCi Króla Chrześcijańskiego, szermuje się blahemi powody, i bez względu na ich płonność podaje się je za słuszne lu-

dowi Rzymskiemu, któremu się wmawia, iż niczego się niepowinien lękać od Króla Polskiego, i że gruntem bezpieczeństwa jest nasza dalekość równie jako i stan kłopotliwy naszego królewskiego domu sięgający czasu, jako dla wiary świętej został wyzuty z dziedzicznego państwa. Taką miarą ten więc tylko mocarz pozyszcze szacunek pałacu Apostolskiego, który zdoła te kraje przepłoszyć orężem? i będą odmawiać kardynalskiego dostojenstwa błaganego tytułem czy to nominacji, czy wystawienia się lub zalecenia, księżęciu, który po tylekroć wśród bisurmańskich, kacerskich i odszczepieńskich zastępów gardłował i podawał na szanie osobiste zdrowie?

Zaiste niepowinnoby to wyjść na zelżenie i ujmę naszej królewskiej powagi, lecz raczej na pogorszenie dysydyntów od papieżkiej. A jakoż się tu niegorszyć, skoro wtedy gdy powagę onę naszą zakładamy własną, zabespieczając pokój Papieża ustawicznym naszym niepokojem, i wyrządzając mu nadto wszelaką poczesność, usiłuje się zniesławić w obliczu całego świata nasze królewskie przystojności? Papież okazuje się aż nazbyt drażliwym słysząc jako niektórzy podli nikezemnicy u Minerwy i u ś. Jędrzeja *della Valle* folgują swym namiętnościom, a sam potem niema weale sumienia narzasać się z nas toż z innych królów.

O tém zaś wszyskiem cheieliśmy sami rozwodzisto napisać do Waszój Przewielebnej Mości, przeto abyś wiedział że teć to jest nasze rozumienie, abyś obmyślił sprawiedliwą naprawę, jakowa się nam należy, więc starał się skłonić ku niej umysł Najwyższego Pasterza, i sam się przeświadczył, iż tyle nadal afektu, szacunku i uwielbienia odniesiesz od nas, ile ich sam okażesz ku naszemu królewskiemu dostojenstwu, bowiem temu nie tylo wedle praw ludzkich ale we wszech wiarach wedle praw Bożych należy się wszelaka cześć i poszanowanie.

Niech tymczasem Bóg miłościwy darzy Waszę Przewielebną Mość wszelkiem weselem.

Warszawa d. 5 kwietnia r. P. 1667.

Waszój Przeoświeconej i Przewielebnój Mości  
szczęry Przyjaciel

Jan Kazimierz Król <sup>22)</sup>.

<sup>22)</sup> Po listach Jana Kazimierza następuje w tymże rękopiśmie włoskim na str. 309 obszerne Sprawozdanie ze stanu politycznego i wojskowego Polski (Relazione dello stato politico e militare della Polonia) przez Sebastjana Cefali. Co do szczegółów dotyczących tego ostatniego równie jak hr. Krzysztofa Masini, patrz przełożone przez nas *Zabięgi Pawła Minucci w Dodatku do Czasu* majowym r. b.

WŁADYSŁAW KULCZYCKI.

# BIOGRAFIA

## KSIECIA ADAMA CZARTORYSKIEGO

*Jenerała Ziem Podolskich*

przez

KAJETANA KOŹMIANA <sup>1)</sup>.

---

Ród Książąt Czartoryskich pochodzi od Olgierda Dzie  
dzicznego Litwy Księcia, potomek tego plemienia Adam  
Książę na Żukowie i Klewaniu Czartoryski urodził się  
w Gdańsku podczas oblężenia tego miasta dnia 1 gru

---

<sup>1)</sup> Ten krótki rys życia księcia Jenerała ziem podolskich skre-  
ślił w kilka miesięcy po zgonie jego, zgasły w roku zeszłym sę-  
dziwy autor *Ziemiaństwa* i Stefana Czarnieckiego, Biografia ta wję-  
zyku polskim nigdy drukiem ogłoszoną nie była, lecz za staraniem  
rodziny zmarłego księcia przełożoną na język francuski przezna-  
czoną wówczas została do pism zagranicznych. Mniemamy iż mi-  
łą rzecz czytelnikom naszym uczyniem przypominając im żywot i  
zasługi jednego z najznakomitszych mężów w narodzie z ubiegłego  
stulecia. (P. R.).

dnia 1734 roku, Ojcem jego był August Książę Czartoryski Wojewoda Ziem Ruskich, którego powaga i gospodarna rządność, weszła w przysłowie narodowe, matka, Marya Zofia Adama Sieniawskiego Kasztelana Krakowskiego Hetmana Wielkiego Koronnego i Elżbiety Księżniczki Lubomirskiej córka, imienia Sieniawskich oraz obszernych dostatków tego sławnego i zasłużonego w Polsce domu jedyna i ostatnia dziedziczka. Wychowanie i pierwsze nauki odebrał w domu rodziców pod okiem Francuza nazwiskiem de Menett, po ukończeniu których zwiedzał przez lat kilka w towarzystwie dodanego przewodnika Tomasza Pruszaka później Kasztelana Gdańskiego, Niemcy, Włochy, Francją i Anglią; — Od najmłodszych lat jaśniejąc świetnemi sercem i umysłu przymiotami, do bystrego dowcipu, nieporównanej pamięci łączył cheiwą żądzę nauki, i tyle zebrał z tej podróży korzyści, że już wtedy trudno było rozeznąć, czyli dla niego hojniejszém było przyrodzenie, wychowanie lub fortuna. Powołany przez ojca do kraju, gdzie na niego umówione związki czekały, zaślubił sobie roku 1761 Izabellę hrabiankę Fleminga Jerzego Fleminga Podskarbiego Litewskiego a potem Wojewody Pomorskiego córkę, urodzoną z Antoniny Księżniczki Czartoryskiej siostry swojej stryjecznej. — Pierwszy wstęp do publicznych posług otworzył mu ojciec przez odstąpienie za zezwoleniem Augusta III Generalstwa Ziem Podolskich; za życia atoli Augusta III nie miał jeszcze czynnego udziału w sprawach krajowych i pierwszy raz dopiero ujrzano go w politycznym zawodzie wr. 1764 na Sejmie Konwokacyjnym, który przed obraniem marszałka burzliwy, po ustąpieniu strony przydawnym kształcie rządu upornie obstającą, pod łaską jego zgubne *liberum veto* uchylili, hetmanów władzę ukrocili, skarb i wojsko pod straż oddzielnych komisji oddał, i po długiej nieczemności narodowej przez

wiele zbawiennych' ustaw ważny i śmiały krok uczynił do wyprowadzenia Ojczyzny z upodlającej ją anarchii.

Jest powszechném w kraju i za granicą mniemaniem, iż ojciec jego Wojewoda Ruski i stryj Kanclerz Wielki Litewski, możni bogactwy, przeważni znaczeniem a oświeceniem wyżsi, kierując pod ówczas naczelnie sprawami publicznemi do tronu go przeznaczali; tym nawet widokom przyznają podróż jego do Petersburga, którą w roku 1762 z polecenia ich przedsięwziął; wprawdzie poznany od Piotra IIIgo tyle sobie zjednał u tego monarchy przychylnych względów, tyle poważania, iż ten pomoc mu swoją do osiągnięcia Korony ofiarował, lecz bądź dalekim był od chęci panowania, bądź przyszłość przeczniej przeglądał, wymówił się; to samo uczynił na sejmikach predelekcyjnych w Wiszni gdy mu Województwa Ruskie podobne oświadczyły życzenie, owszem zostawszy na sejm elekcyjny posłem o głosy dla brata swego ciotecznego Stanisława Poniatowskiego upraszał, i na sejmie elekcyjnym wybór tego króla podpisał. — Obrany powtórę z Województwa Inflantskiego posłem na sejm 1768go podpisał rozwiązanie konfederacyi Radomskiej; do Barskiej która naród na dwa stronnictwa podzieliła nie należał, lecz od zaburzeń domowych uchyliwszy się z kraju, zwiedzał powtórę przez lat kilka Francją, Anglią i Hollandyą.

Od początków panowania Stanisława Augusta wszelkie zbawienne tego króla dla kraju zamiary gorliwie wspierając, do uchwalenia szkoły rycerskiej w roku 1766 nie tylko radą się przyłożył, lecz naczelne nią kierowanie na siebie przyjął, urządzeniem, czynnie się zajął, i we wszystkich epokach poświęcał się jój bez zmordowania i przerwy, sam dla niej porządek nauk przepisał, nauczycieli dobierał, w dzieła naukowe opatrywał i w niej najmiliej przebywając, własnym przykładem i radą serca młodzieży do wyniosłych wyobra-

zeń usposabiał, najmniejsze ubliżenie prawidłom honoru surowo karał, wszelkiego rodzaju zachęceń nie oszczędzał; celującym uczniom znaczeniem swoim drogę zasług ułatwiał, uboższych majątkiem wspierał, zgoła był tej szkoły zwierzchnikiem, nauczycielem, opiekunem i ojcem. — Ci, którzy ten naukowy zawód pod nim przebyli, dotąd wspominają, iż tyle u nich miał miłości i powagi, iż najmniejsza ze strony jego nagana te same na umysłach uczniów sprawiała wrażenia, co wyrzut sumienia lub ojczyzny — jakoż pod takim przewodnikiem-wychowańcy tej szkoły, odznaczali się we wszystkich, epokach duchem publicznym i miłością kraju — z niej wyszedł Kościuszko i tyle znakomitych mężów, co nie-szczęścia Polski walecznymi usiłowaniami lub chwalebnym zgonem uświetnili, i jeżeli wiele Polska winna tej szkole, ta szkoła niewątpliwie Księciu Adamowi Czartoryskiemu winna jest wszystko.

Oprócz przewodniczenia kadetom dowodził jako General lejtnant wojskiem litewskim, a po śmierci Fleminga teścia swego objąwszy pułk gwardyi litewskiej, staraniem i nakładem swoim sprawił, że ta część wojska wkrótce postawą, porządkiem i umiejętnością sztuki wojskowej stała się wzorem dla całego wojska.

W roku 1775 zasiadł w komisyi edukacyjnej i będąc jednym z najczynniejszych jęj członków, fundusze po uchyleniu Zakonu Jezuitów — na publiczne wychowanie młodzieży przeznaczone — od dybiącej na nie chciwości gorliwie bronił — a do przepisania zbawiennych prawideł wychowania, porządku nauk, wyboru nauczycieli, starannie i skutecznie przykładał się.

W roku 1781 zostawszy marszałkiem Trybunału prowincyj Litewskich, sam z siebie dawał pierwszy wzór poświęcenia się, biegłości i nie uległej żadnym względom bezstronności; znane są w kraju dwie sprawy pod jego łaską osądzone, jedna możnego jego ojca z uboż-

szym sąsiadem, w której pierwszy na wieżę i wynagrodzenie szkód pokrzywdzonemu skazanym został — druga niejakięgo Ogonoskiego zbrodniarza najeżdżającego domy, który osadzony na śmierć lubo uciekwszy się pod protekcją Massalskiego biskupa od niego na kapłana wyświęcony został, pod łaską Księcia Adama Czartoryskiego zasłużonej kary nie uszedł. Jak daleko czuł ważność urzędowania swęgo i jak gorliwie uwolnić sprawiedliwość od wszelkich szkodliwych wpływów usiłował, czytać się daje i w jego własnym piśmie w roku 1782 wydaném i w pismach biegłych ludzi w prawie, których do pomocy sobie w tak ważnym dziele wezwał, a piórem ich sam z nabytego doświadczenia kierował.

W roku 1782 posłując z Województwa Wileńskiego na sejmie pod łaską Krasieńskiego obożnego koronnęgo odbyty, ojca utracił.

W roku 1785 dla niesmaków publicznych, których ze strony dworu doświadczył, oddalił się do dóbr swoich w tej części Polski położonych, która przy pierwszym podziale Polski na dział dworu austriackiego przypadała. — W tej właśnie chwili Józef II utwarzając z młodzieży polskiej gwardyę szlachecką galicyjską wezwał go na dowódcę, mianując właścicielem pułku jazdy, oraz Generałem Feldzeug-majstrem, z którego później na stopień Feldmarszałka postąpił; wchodząc w służbę tego monarchy nie wprzód stopnie ofiarowane sobie przyjął, aż otrzymawszy zapewnienie, iż nowe obowiązki w niczem obywatelskich powinności jego dla własnego kraju krępować nie będą, jakoż tyle tylko oddając się nowemu powołaniu, ile tego konieczność służby wymagała, częściej przemieszkował w kraju; w kraju synów wychowywał i dzieląc chwile między nauki i towarzystwo prawych obywateli, z nimi się naradzał, z nimi ducha narodowego ożywiał i pomysłniejszej pory dla uciśnionej ojczyzny doczekiwał, a skoro ta w roku 1788

odzyskaniu niepodległości narodowej zdawała się sprzyjać, został posłem z Województwa Lubelskiego. Niepotrzeba mu było wzorem możnych tworzyć sobie stronnictwo, miłość i ufność ziomków którą posiadał i posiadać był godzien, sama go za naczelnika dobrze myślących wskazała. — Strona ta prawdziwie narodowa, z początku mniej liczna od przeciwniej, lecz duchem, oświeceniem, opinią publiczną i znaczeniem swego przewodnika silna, wkrótce przeważną się stała. Jój są dziełem mądre owego sejmku prawa, wojsko, a nadewszystko rozpoczęta budowa rządu i ustawa, która tron elekcyjny w następstwo a bezrząd w monarchią zamieniła.

W roku 1791 wysłany od króla i sejmku do Drezna dla skłonienia Elektora Saskiego do przyjęcia korony, po usilnych staraniach dobrą wróżbę do kraju odniósł.

Z powodu rozterek domowych i wewnętrznej wojny po przystąpieniu króla Stanisława Augusta do przeciwnego związku, oddalił się z kraju ze smutkiem z obalonego dzieła i razem nie bez pociechy bo w obronie niepodległości kraju widział walczącego syna i licznych swoich wychowañców, którzy nie tylko ze szkoły rycerskiej lecz i z obcej służby z pod jego dowództwa przybyli. — Wzywany od zwyciężkiej strony żadnym naleganiom i postrachom nie dał się skłonić do odstąpienia konstytucyjnego sejmku; po sejmie Grodzieńskim, w chwilach usiłowań rozpaezy — acz nie był obecny w kraju, lecz że broń pochwycili wszyscy ci, z którymi przekonanie dzielił, związki przeto z nimi utrzymywał i cele pochwalał. Usunięcie się jego do Wiednia nie osłoniło go od pomsty, a oraz od znacznych strat majątku, i w istocie w ówczesnych okolicznościach równem jego było staraniem przez wpływ swój w kraju zapędy zapalu hamować, jak sprawie nieszczęśliwej podówczas Polski albo pośrednika albo obrońcę w sąsiedzkim państwie znaleźć. Po ostatnim podziale Polski bawiać nie-

jaki czas w Wiedniu, w Krakowie i Sieniawie, zamieszkał ciągle ulubione sobie i ozdobne Puławy, i całkiem poświęciwszy się domowemu życiu wpośród towarzyszków niedoli kraju, wysłużonych jego obrońców, pośród uczonych i prawych ludzi wpośród nauk i wiejskiej swobody, pociechy szukał.

W przerwach tego czasu cesarz Franciszek II wyniósł go na stopień Feldmarszałka i orderem złotego runa ozdobił. — Sejm węgierski na zgromadzeniu swoim 1788 r. jednogłośnie uznał go wraz z potomstwem jego za obywatela i magnata Królestwa Węgierskiego, miał oraz zaszczyt, witać i przyjmować w domu swoim cesarza Aleksandra, w którym już dobroczyńcę rodaków swoich uwielbiał, a przyszłego wskrzesiciela Polski wróżyć i przewidywać lubił. — Gdy potem zbiegiem nadzwyczajnych wypadków zorza powstania Polski z innej strony zajaśniała, w roku 1809 Galicya zachodnia skutkiem traktatu Wiedeńskiego do Księstwa Warszawskiego przyłączoną została, wykonał przysięgę na wierność Królowi Saskiemu, i tego któremu przed lat 20 ofiarowaną od narodu koronę zwiastował, jak króla w domu swoim witał — poważany od tego monarchy, czczony od rodaków, wojska i jego dowódców acz nachylony latami zdawał się młodnieć widząc w dojrzałych wojownikach owoce starań które w młodocianych sercach zaszczerpił, rzewniła go wdzięczność z jaką nabyte zasługę i chwałę odnosili do tego, który ich do niej usposobił.

W roku 1812 równie widokami Napoleona jak życzeniem narodu przywołany z domowego ustronia, chociaż sędziwy wiekiem niefolgując starganym siłom przybył do Warszawy, okrzykniony posłem z powiatu warszawskiego przyjął marszałkowską laskę i witany w Izbie jako Nestor narodu zasiadł na czele konfederacyi wpośród najlepszych wróżb, które zewnątrz potęga Napole-

ona a wewnątrz użycie takiego męża do kierowania odrodzeniem się Polski po całym kraju we wszystkich umysłach sprawiały — po kilkumiesięcznym urzędowaniu dostrzegłszy powiększającego się zawiązania okoliczności politycznych, niepewności losu ojezyny, do której posług raczej imienia jego nie zaś działania użyto, przygnębiony wiekiem oddalił się na spoczynek.

Po Traktacie Wiedeńskim miał zaszczyt przyjmować w domu swoim w Sieniawie wracającego z kongresu cesarza Aleksandra i złożył mu z rozczuleniem hold wdzięczności za opiekę, wsparcie i uiszczenie części nadziei rodaków.

W roku 1817 zjechał do Międzyrzecza na spotkanie tego monarchy, aby tam żegnając króla swego, raz jeszcze ojezynę swoją jego opiece polecił. — Ostatni raz wtedy widział Polskę bo mimo usilnych życzeń jego aby resztę chwil gasnącego życia mógł w jej stolicy dokonać, niedostatek sił i obawa lekarzów uiszczenie nie dozwoliły.

Do późnego wieku dochowując czerstwości sił, przytomności umysłu, żywości i wesołości dowcipu, na kilka lat przed zgonem podzielił równo obszerny majątek między synów i córki i dnia 20 marca 1823 bez choroby cierpienie licząc 89 rok, dokonał życia. — Zgon jego acz od lat kilku przewidziany zdał się w całym kraju niespodziewanym ciosem. Nie potrzeba tu mówić o powszechnym żalu i smutku rodaków; ostatnia posługa zwłokom jego wyrządzona do której wszystkie części Polski, i prawie cała ludność narodowa należała, dotąd jeszcze obchody żałobne pamięci jego święcone <sup>2)</sup> lepiej dają poznawać miarę czci i uszanowania, które otaczały go za życia, stratę tylu zaszczytów, którą w nim

<sup>2)</sup> Jakiśmy to już wspomnieli, ten życiorys napisany był w kilka miesięcy po zgonie księcia.

Polska poniosła; jednego mu tylko niedostaje hołdu, to jest opisanie dokładnego i rzetelnego spraw jego publicznych i domowych czego ten krótki rys życia zastąpić nie potrafi; godny zaiste i pożądanym przedmiot dla prawdziwego pisarza i bezstronnego pióra; tak znakomitego męża zasługi do czci potomnych podać, lecz jest potrzeba czekać aż dzieje narodowe rzucają światło na te zawikłane a tytu błędnymi podaniami przyćmione czasy, które on życiem swoim zapełniał, gdyż nam nieprzystoi z taką płochością o sprawach ówczesnych sądzić z jaką o nich podobało się obcym pisać; teraz atoli acz w tym krótkim opisanium sumienna prawda to dodać nakazuje, iż równie w publicznym jak domowym życiu, pod względem nauk, oświecenia publicznego, wykształcenia i poloru obyczajów narodowych nikt z prywatnych obywateli zasługą się z nim nierówna. Szedł on od młodości swojej w tym chwalebnym zawodzie na wyścigi ze Stanisławem Augustem i z nim dzieli chwałę wydobycia swojego narodu z poniżającej go ciemnoty i skażenia; wielkie zaiste dzieło, trudne przedsięwzięcie, którego niebezpieczeństwo a zatem wielkość zasługi ten tylko cenić potrafi, kto był bliskim świadkiem owych smutnych zeszłego wieku czasów, których rzetelny obraz malować bez wstydu i wstrętu rodakowi nie podobna; Czasów! w których za każdym zbawiennym krokiem oburzały się uprzedzenia i nałogi, nazywając to zamachem na wolność, religią i obyczaje narodowe, co było zastarzanych przesądów i ciemnoty zawstydzieniem. Potrzeba mieć było tyle zalet, tyle znaczenia, ufności i niezłomności do tego celu usilności, jaką Książę Adam wszystkich możliwych celował, aby zamierzyć, rozpocząć, co dopiero z pomyślnym skutkiem dokonać tak ważnego i chwalebnego przedsięwzięcia. Jemu tylko jednemu w Polsce mogło uchodzić, bez wywołania urazy i zemsty, wydać wojnę krnąbrnej zarozumiałości i przesądom,

wesołością dowcipu nie tylko w mowach lecz w pismach publicznych wysmiewać wady, wyszydzać niewiadomość, zawstydząć podłość, i do podobnej śmiałości drugich zachęcać. Jawnie szacował, głośno gardził, chętnie pomagał, i temi sposobami pożądanego celu dopiął. — Miłość nauk, żądza czynienia dobrze drugim, były jego panującą zaletą, były że tak powiem namiętnością zacnego serca. — Szcześliwy że w dostatkach domowych znajdował niewyczerpane źródło dogodzenia tak szlachetnym skłonnościom, sam uczony, uczonych wszędzie wynajdywał, biegłych w umiejętnościach, sztukach wyzwolonych sprowadzał z zagranicy, i hojnie opatrywał, liczny swój księgozbiór dziełami naukowemi zbogacał, — ziomkom podróże za granice w celu doskonalenia się w naukach ułatwiał, do pisania, do tłumaczenia dzieł starożytnych i nowych zachęcał; nie było uczonego w Polsce, któryby się albo opieką jego nie chlubił, albo do niego lub o nim nie pisał, płodom pracy swojej pod godłem imienia jego wziętości nie szukał. — Wiele dzieł znakomych nie widziałoby świata, gdyby im hojnością swoją w pomoc nie przyszedł; z tych które jemu przypisano możnaby nie szczupły zbiór zgromadzić. Biegły w starożytnych, nowoczesnych, a nawet w wschodnich językach, wielu z zadziwiającą łatwością i poprawnością mówił, lecz ojczystą mowę kochał i dla jej zbogacenia trudów i kosztów nie oszczędzał, teatr narodowy i wzrastające talenta hojnie wspierał, ztąd też słusznie nauki w Polsce nadały mu Mecenasa imię, ztąd Puławy nie bez powodu uważane były w kraju jako świątynia smaku, nauk schronienie i przytułek prześladowanych od losu. Tam młodzież narodowa czerpała do miłości ojczyzny zachętę, wykształcenie i polor, tam Szymanowski nucił swoją Świątynię w Knidos, Karpiński sielanki, Niemcewicz powieści i tklive dumy, Książnin Orfeusza żale, tam Piramowicz układał wymowy prawidła, tam

Ignacy Potocki zwałtłone siły i zasmucony nieszczęściami ojczyzny umysł pokrzepiał, tam wielu ziomków znalazło upragnione odetchnienie i spoczynek. Towarzystwo jego było przyjemne, uprzejmość pociągająca, dobroć i łagodność niewyczerpana, wesołość dowcipu aż do późnych lat niezmienna, baczność na przyjęte w towarzystwie względy staranna i ciągła, wspaniałość niezrównana. Czuł mocno powaby przyjaźni i związków jęj stale dochowywał, poufałość godnością miarkował — powaga jego nigdy zarzutu pychy, wesołość nigdy urazy nie ściągnęła, gdzie się obrócił, był duszą i rozkoszą towarzystwa, wszędzie rozlewał wdzięk i przyjemność, do czego pamięć obszernemi wiadomościami oraz zbiorem publicznych i prywatnych zdarzeń z bogactwem, nie wyczerpane podawała mu sposoby, a która w sędziwym już wieku w oeknieniach swoich zadziwiała, i dopiero na lat trzy przed zgonem z stygnącemi zgrzybiałą starością siłami zgasła. Dom jego i sposób w nim życia zalęcając się uprzejmą gościnnością polską, nie nosił cechy cudzoziemskich zwyczajów lecz wykształconęj polorem narodowości, i razem dawną wspaniałość panów polskich przypominał, w nim można jeszcze było widzieć osiwiąłych sług i dziedzicznych przyjaciół późne rodziny. — Dobroczynność jego ku wysłużonym, ku ludowi obszernych swoich włości, ku wszystkim nieszczęśliwym była bez granic, tak że patrząc na szafunek milionowych jego dochodów rzekłbyś że one nie do niego lecz do uboższych należały, zawsze zdawał się za wiele mieć dla siebie, za mało dla drugich. Szedł naprzeciw z darami, zgadywał potrzeby i ukrywając dobroczynną rękę równie upokarzających prósb każdemu, jak spodlenia się wielu oszczędził; nikt mu też bogactw nie zazdrościł, chyba ci, których gorszące marnotrawstwo tak wspaniałém i godném onych użyciem zawstydzoném się czuło. — We wszystkich nieszczęsnych zdarzeniach, któ-

rych kraj ten stał się igrzyskiem, nieuległe mniemaniom czasowym, jakich kto bronił, widział w ziombkach tylko braci, tylko nieszczęśliwych. Rozpierzchnionych po obcych krajach szukał w odległych miejscach, szukał w więzieniach a używając całego znaczenia i wziętości jakie stopień jego i związki mu nadawały, łagodził srogość losów i nie jednego ojca rozpaczającej rodzinie, nie jednego zacnego obywatela nie bez wielkich i nigdy nie oszczędzanych z majątku ofiar ojczyźnie powrócił.

Tak zostawił w prywatnem życiu z siebie trudny wzór do naśladowania, w publicznym rzadki przykład, że dusza wyniosła i zacna a siebie pewna w jakimkolwiek położeniu się znajduje, na jakąkolwiek uległość okolicznościom wystawioną być może, wszędzie i zawsze kroki swoje nie skalana cnotą do obowiązków prawego męża i obywatela kierować potrafi.

# BAJKI

F. MORAWSKIEGO.

## Zwada.

Wśród strasznej spieki, gdzieś tam z po za góry  
Zagrzmiał straszny ogrom chmury

A dwie kumoszki stojące za płotem  
Tak gadały o tem.

Jedna z nich: kumo okropny grad spadnie

I wszystko zbije szkaradnie

Ztlucze, na proch zetrze,

I jakby nie dość było tej posuchy

Jeszcze głód przyjdzie, po głodzie powietrze

I będziem padać jak muchy.

A druga na to: co wam się też dzieje

Moja Pani Marcinowa?

Wszakże to chmura deszczowa

Śliczny deszezyk pola zleje

Pszeniczka nam się odmłodzi

I sianu rady nie damy

A tyle żyta i hreczki się zrodzi  
    Że świat ten niemi zapchamy.  
Lecz gdy tak w swojej obstawie zwadzie  
    Ta przy deszczu, ta przy gradzie,  
    I tak się wreszcie zacięły  
    Że się już czubić zaczęły,  
Zerwał się wichur, z całej zadał siły  
Rozproszył chmurę i znikła bez śladu  
A obie baby strasznie się dziwiły  
    Nie mając deszczu ni gradu.

—  
Nie ciesz się szczęściem, i nie dręcz przygodą  
    Które się może nie zjawią  
    Najczęściej obie cię zwioda  
    A zawsze na śmiech wystawiają.

—  
**Żyd i Osieł.**  
—

Miał raz żyd osła, którego tak zgłodził  
    Że już ledwo chodził.  
Aż litość brała, serce się krajało  
Patrząc co z owem osłatką się stało;  
    Z całej mu dawniej piękności  
Zostały tylko i skóra i kości.  
Wsiadł on nań przecież, aby w dzień targowy  
Skręcić jakiś szacher nowy  
Lecz go próżno nęka, zmusza  
Osieł się z miejsca nie rusza  
Wali pięta, kijem łoi  
Osieł jak stanął, tak stoi.

Innego może rozpacz by uniosła  
Zrzekłby się pewno i targu i osła  
Ale od czegoż główka kajma?  
By zmusić, przeprzeć osła upór dziki  
Bierze więc siana, czepia w końcu tyki  
I tak zdala przed nim trzyma.  
Osieł nasz cheiwe wytrzeszczając oczy  
Chciałby się siankiem posycić  
Sięga więc... sięga... lecz nie mogąc schwyścić  
Zwolna za niem kroczy.

Kroczy i nogę za nogą stawia  
I zawsze próżno głodny pysk rozdziawia  
A żyd tymczasem jak jedzie tak jedzie  
I głupiego osła wiedzie  
I póty wiedzie i bije i siecze  
Aż się z tryumfem na ów targ dowlecze.

Tak to ku świata ohydzie  
Zwodzą się ludzie i narody zwodzą  
Wabia je, nęca, głupich za nos wodzą  
A osielek idzie.

### Szyna żelaza.

Szyna żelaza w ogniu ro' zgorzała  
Tak pod młotem w' rzekała  
„Kiedyż się tego tyra'na pozbędę  
„I dopókiż znosić będę  
„Takie i ciosy i męki!“  
Ale próżne skargi, jęki,

Póty ją bito, tłuczono  
Aż ją na młot przerobiono.  
Zapytasz mię zapewne co robiła potem?  
Z wszystkich młotów najsroźszym była dla szyn młotem.

---

### Chmura i Świnia.

Grzmiało — wiatr czarną napędzał chmurę  
Ciesząc się świnia, patrzyła w górę.  
A to mi głupia! chłopiek się odzywa  
Od trzech dni słońca moje gnoi żniwa  
Ciągłe leją deszcze  
Ta się zaś cieszy, że ma padać jeszcze.  
A świnia na to: może iż ta słońca  
Do twój się zguby przyczyni  
Lecz będzie więcej i kałuż i błota  
Nadzwyczaj miłych dla Świni.

— 412 —

Jeżeli chcesz zobaczyć obrazek  
Ten przywykły widziałeś dawno  
Zanimś pójdziesz dalek i nieś  
Mój Eustachy

Wiem że zindziejnie z lotem  
I pomieszam też z sobą  
Księgarskiego woina tam  
Mój Eustachy

Boże tobie  
L'rychmiesz  
Zmieszczeniem trosk, strata  
Mój Eustachy

---

Ty napiszesz mi jak stoja  
Poetycznej Muzy  
I co pisze i co  
Mój Eustachy

Dla nich toły wieże lary  
I brzeskaly  
Gdym ja  
Mój Eustachy

---

Niech apiewa  
Wam to  
Giechy

## DO EUSTACHEGO J.....<sup>1)</sup>

Jeszcze chodzą przed oczyma  
Róże, palmy, wieże, gmachy,  
Kair, Teby, Tyr, Solima  
Mój Eustachy.

Jeszcze głowa diabła warta  
Jeszcze czuje morskie strachy,  
Słyszę wycie lwa, lamparta,  
Mój Eustachy.

---

<sup>1)</sup> Niniejszy wiersz przesłany został z Włoch jako list przez JULIUSZA SŁOWACKIEGO wracającego z podróży na Wschód, do p. Eustachego J..... w ówczas zawiadowcy księgarni i drukarni polskiej w Paryżu. (P. R.).

Jeszcze długo spocząć trzeba  
Nim przywyknę widzieć dachy  
Zamiast płócien drzew i nieba  
Mój Eustachy.

Wiem że zbudzisz mnie z letargu  
I pomieszasz róż zapachy  
Księgarskiego wonią targu  
Mój Eustachy.

Będę tobie wdzięcznym za to  
Przypomnisz mi słowo Lachy  
Zniechceniem, troską, stratą  
Mój Eustachy.

Ty napiszesz mi jak stoja  
Poetycznej Muzy gachy  
I co piszą i co broją  
Mój Eustachy.

Dla nich rosły wieże laury  
I brzękały druku blachy  
Gdym ja gonił Kofty, Maury.  
Mój Eustachy.

Niech śpiewają więc Te Deum  
Żem rok gubił budząc Grachy  
I Scypiony w Kollizeum  
Mój Eustachy.

Lecz się wmięszam do Antyfon  
Na Egipskie klę się ptachy  
Na kościoły gdzie Bóg Typhon <sup>2)</sup>  
Mój Eustachy.

Klę się tobie i na Athor <sup>3)</sup>  
Co w Denderze ma swe gmachy  
Że się porwę jak gladjator  
Mój Eustachy.

---

<sup>2)</sup> Typhon — Bóg piekła.

<sup>3)</sup> Athor — Venus egipska.

# MOGIŁY.

## FRAGMENT.

Szary mrok chmurnego wieczora padał powoli na osmutniałą ziemię, odblaskiem zachodu oświeconą luną krwawą... gdzieś nad wierzchami drzew i lasów przebiegł szumiąc górą wichur zapalczywie szarpiąc obłoki, ale nad ziemią ciążyła jeszcze cisza ołowiana, panował tam spokój duszący, grobowy, w którym pierś oddychać nie może. Niekiedy tylko strumień wiatru przedarłszy chmury, upadał świszcząc na pola, zakręcił piaskiem na rozłogach i wydmach, ugiął drzewa, połamał gałęzie, i znowu wszystko milczało postrachem, jak przed zbliżającą się burzą, oczekując zesłanki Bożej... zniszczenia i śmierci... Pierwszy raz może świat bolał razem z wylekłym człowiekiem i nie sztydził weselem pogody z ucisku jego duszy... cały on wydał mi się wielkim smętarzem i jedną mogiłą, z pagórka od którego rozległy kraj w szatach krwawego zachodu i cieniach wieczora rozszerzał się daleko spowity mgłami i blaskami

naszywany... liczyłem okiem groby, i jasnowidzenie ukazywało mi kości i popioły, nadzieje, dziwy i smutki które w ich głębi spoczywały. Cmentarze ostawione krzyżami, najweselszym jeszcze były wśród tych grobowisk widokiem, bo stały na nich znamiona wiary, ubłogosławiała je modlitwa, ogrodziło wspomnienie, porastały trawy opiekuńcze, okrywały drzewa zielone... na innych mogiłach przewijały się gościńce, powyrastały gospody, dzwoniło wesele, walały się kupy śmiecia, a zrzucone krzyże rąbała siekiera do ogniska pijanej biesiady... żadna świętość nie była poszanowana, żadne wspomnienie nie pozostało niepokalane.

Myśl ulatująca nad tym światem, potraçała o pogrzebione boleści i zakrwawiała się niemi... bo nie było stopy wolnej, nie było szeptu nieprzemieszanej z popiołem, z kośćmi, ze łzami, a w chwili jasnowidzenia, gdy wszystko wystąpiło razem z pod warstwy co pokrywała świat wczorajszy, dzieląc go od tego, co się zwija po jego powierzchni... dusza zadrżała i ścisnęła się od tego widoku.

I była we mnie chwila tak straszliwej boleści, takiego zatrucia duszy, tak krwawych łez i wielkiego ucisku, że świat znikł z przed oczów moich, a czarna zasłona pokryła mi wszystko, i obumarłem od cierpienia.

I pytałem się sam siebie, nie mogąc pojąć zkad tyle było złego na ziemi, zkad tyle smutku? dla czego wszystko tak czarne i grobowe? a odpowiedzi dać nieumiałem... i tarzałem się w wątpliwościach.

A lzy popłynęły mi z oczów i w ich blasku znowu odkryła mi się ziemia oświecona krwawą luną zachodu i osłonięta mgłami czarnemi... Widziałem jaśniej groby i smętarzyska i wszystko co w nich spoczywało, alem niemógł dostrzedz aniołów pociechy ulatujących białemi skrzydły nad padole.

I mogiły same spowiadały mi się z boleści które

kryły, i widziałem je do dna, a było ich pełno i jedna piętrzyła się na drugiej dostając do rozpalonych wnętrzości ziemi... i pierwszy człowiek leżał przy ostatnim mastdorcie jednym snem śmierci uspiiony.

Drobinka wesela która błysnęła temu światu, starła się z jego powierzchni, boleść długa wypiętnowała się wszędzie, panowała sama jedna.

I pojąć nie mogłem ani celu cierpienia, ani jego końca, ani nagrody, a dusza zwątpiwszy, drżała i wstrząsała się uciśniona strapieniem wielkim, jakby w obliczu śmierci.

Bolałem nad wszystkim co znikło i przepadło bez śladu.

Naówczas po kolei wystąpiły ku mnie duchy przeszłości z grobów wywołane tęsknicą wielką, i z kolei mówiły mi dzieje swoje.

## II.

— Jam jest duch ludu, co gościł na tej ziemi, mówił pierwszy... z końca w koniec jak widzisz i czego oko twoje nie dojrzy, obszary te były przez wieki pod panowaniem naszym. Dziś już i grobów nawet naszych nie znajdziesz tutaj, bo je ziemia niewdzięczna pożarła. Każda jesień przykrywała je liśćmi, każde lato kwiatami, każda zima śniegiem, każda wiosna mułem i piaskiem... szły powoli w głąb i przepaście i zasunęły się z oczów ludzkich. I umarliśmy całym ludem milionowym bez wspomnienia. A żyliśmy bez przyszłości, a życie to przerwało się jak żywot kwiatu zdeptanego nogą w chwili gdy kielich otwiera do słońca. Pojmujesz ty to człowiecze? tak żyć by zgnić z ciałem i duszą i zniknąć

z oblicza ziemi bez śladu? i nie mieć nawet grobu? głazu? szczątku, i nie bieleć kością na smętarzysku pokoleń, i nie lśnić niczém nad ziemią, nie uskrzydlić się pieśnią, a nie upamiętnić niczém?

A życie nasze było jednym srógiim bojem, bojem z otaczającym światem, który potrzeba było zdobywać, z sobą bośmy w niebezpieczeństwach tylko spajali się, a w spoczynku gryzli niespokojni... bojem z sąsiady, bojem z namiętnością i tęsknicą... I z tych dziejów walki gorącej nie pozostało szczypty popiołu krwią przesiąkniętą, nie! nie! Na ziemi rzadko boleść czyja wywoła mnie do spowiedzi, pieśni i słowa... mileząc, błądzą po pustkowiu i zgrzytam zębami. —

### III.

Potém przystąpił duch młodszy i odepchnął starca, który w przepaść otwartą nagle pod stopami jego ziemi poleciał. — Co jego skargi i żale rozdartej piersi mojej? Jam jest duch pobojuwisk myśli, duch walki bolesnej a niewidcznej, walki serdecznej. Licz mogiły nieznane szeregami, kręgami, warstwami rozsiane po dolinie i górach, i spojrzysz wiele w nich spoczęło utrapień. Jam jest duch łez niepoliczonych, westchnień wiatrem rozwianych, jęków stłumionych wstydem, płomieni co w głębi piersi gorzały a nie wybuchły — i z nich nie pozostało.

Mileżą groby, a ptak nad niemi pieśń zawodzi, mileżą piersi które zgnilizna wyjada, mileży serce pruchniejące powoli... a śmiech szatana przechadza się w całuniu wichrów i burzy. Jam jest duch innej walki, w której krew się nie lała, ale strumienie boleści, w której pot

spadał z czoła i nie użyzniał ziemi; w której dusza tarzała się na ciało i upadała; nie mając ust by poskarżyć się i ryknąć bólem niewysłowionym. Obok mogił w których spoczywają kości, policz mogiły myśli, namiętności i nadziei zawiedzionych, i zapomnienie wiekuiste nad nimi!! A jednak to były walki szlachetne, to był bój o niebo, to była wojna Tytanów, i piersi ich roztrzaskująca ją skała przeżyła... a krew co ją obryzgała czerwonym motem uśmiecha się na głazach.

#### IV.

Aż oto duch przystąpił inny i bolał głosem miękkim ze łzami w łkaniu i utrapieniem niewysłowioném.

— Jam duch młodości zmarnowanej i powiędłych wiosną kwiatów, rzekł do mnie — spojrz pod nogi i daleko, jak ziarna piasku groby moich dzieci w wiosnie przekwitłych, i ściętych w pączku... w jednych spoczywa obwfnięta wstęgą niebieską nadziei miłości piętnastoletnia, w drugich odwaga młodzieńcza skoszona w maju na podściół bydłtom... a dalej, ot dziewietwo skalane zwierzęcą namiętnością i zabite śmiechem zdrady, i praca co się z głodu sama pożarła, a nigdzie na tych grobach krzyża, u stóp ich klęczącej pamięci, i cisza wielka... a w garści smętarnej ziemi, wszystko czarne jak ona... wszystko to poszło jak wody wiosny do morza zapomnienia... na wieki... i te diamenty życia siła żywota starła na lity piasek i brudne pyły.

V.

I wstał powoli duch siwobrody, zgarbiony, zmarszczony z czerwono wypłakanemi oczyma, w których już zrenie nie było, tylko dwa doły krwią ociekłe.

— Jam jest, rzekł cicho, duch zmarnowanych żywotów i zniedołężniałej starości — płynęło życie i rosło w piersi, rosło i gromadziło się doświadczenie, siła, potęga, bogactwo, w nich wszystkich toczył dzieło ludzkie powoli robak zniszczenia.

Jam jest duch jeniuszów co za życia pomarły w rozrosłém cielsku, w wyschłych piersiach, w zbolałym trupie. I na co pracował wiek, to zniszczyła godzina, iskra ognia, kropla jedna, dmuchnienie powietrza, jedno wejrzzenie złowrogie... Jam jest duch starości bezsilnej, kłamiącej życiu całemu; której wreszcie zabrakło słów, wejrzenia, bicia serca i wątki myśli, a młode pokolenia uragały się jej i potraçały. I gdy przyszło kopać grób na bohatera zwłoki, rozmierzono go jak na niedołężnego trupa, gdy przyszło stawić pomnik pamięci, wzniesiono go z lodu i śniegu. Jam jest, dodał, duch tych co się przeżyli, których wypchnięto za drzwi bezsilnych, i zmarzli żebrząc jałmużny... a starość ich zjadła młodości owoce, i nie po nich nie pozostało krom szyderstwa co świszczcze nad grobem, z wieńców laurowych wijąc pomiotło na mogily.

VI.

— Jam jest duch cnót zapomnianych i oplwanych zasług, mówił następny, wskazując jasną szatę, na której

pełno plam było krwawych i brudnych — jam duch walk przezwanych niepocziwemi, duch zapoznanęj pracy, odtraconęj ofiary i poświęcenia ochrzczonego samolubstwem, i krzyżów które osłoniono purpurą rozpusty, i skrytych a potężnych wysiłków, które spętano pośmiewiskiem... jam duch ukamienowanych męczenników, po których zostały tylko kamienie, świętych bohaterów, których wiley nocą rozszarpali na bezdrożu... Spojrzyj... nie ma mogił nawet nad któremibym płakał, proch moich dzieci rozwiały burze, rozniosły ptaki, nakarmiło się nim zwierze, wyssało z ziemi powietrze. — Ślady przejścia zamiotło urągowisko, i stado bydła pasie się na popiołach w które się obróciły dzieci moje... patrz i płacz...

## VII.

Utrapieniem i boleścią ścisnęło się serce moje i wielki wykrzyk wyrwał się z piersi uciśnionej do Boga. A duch jeden jeszcze stanął przy mnie, i milcząc wskazał mi świat, który jak zajrzeć z końca w koniec, widziałem oczyma duszy. Świat ten był straszny, czarny, i jękami się rozlegał jak więzienie. Weselom jego uragały się pogrzeby, pogrzebom śmiechy rozpusty, nadziejom rozpacz, rozpaczom szalone zapędy. Co chwila sypano mogiły nowe wszystkiemu co żyło, i na nich stawiano domostwa dla żywych, których uśmiech młodości krzywił paraliż zgrzybienia. Wszysey szli rozpierzchli w różne strony, potracając się i popychając, padali jedni, po ich grzbietach stąpali drudzy, dopóki ich nie wgnietli w błoto — taniec ocierał się o jęczący pochód na Golgotę, miecz krwawy krajał chleb święty, płonęły gmachy, dzieci tarzały się rozpustując jak starcy, starcy płakali

okryci pośmiewiskiem, a w świątyniach targ się odbywał i rzały konie i ryczały bydłeta, i krew ich lała się na ołtarzach bożych.

Jedno pokolenie następowało po drugiem szybko jak błyskawica, zakopywano je i potrząsano ziemią, kości przez chwile sterczały z pod niej, dopóki nogi dzieci nie zdeptały ramion ojców... I nie było świętego, nie wielkiego, nie trwałego. Piersi matek karmiły dzieci dwóch ojców zmarłego razem i żywego, miłość dziewic rozdawiała się potajemnie lub rozpraszała w uśmiechach, przysięgi wierności kończyły się wiarołomstwa szalem, płacz pośnierzny pijaną pieśnią... a wszystko i zawsze... zapomnieniem.

Ponad sercami latała niedoperzowemi skrzydły tęsknica, zaglądała w nie, i siadała ssąc z nich odrobinę młodości... Ludzie byli jak ptacy co mając dwie na dwóch świata krańcach ojczyzny, tęsknią zawsze za tą którą opuszczają... i trują i w szczęściu wspomnienie straconego.

Odwrociłem oczy aby nie patrzeć, tak znowu ścisnęło się serce moje — i nowy wykrzyk, ryk raczej, wyrwał się z piersi zgniecionej do Boga... padłem na ziemię brocząc ją łzami krwawemi i wołając: Panie! na coś nam dał życie?

## VIII.

I nieczułem jak padłem, niewiem jakem tak leżał nie pomnę jak powstałem, aż otwierając oczy, ujrzałem istotę w bieli i promieniach, która białem ramieniem objawszy mnie, tuliła głowę zbolalą i z cicha szeptała słowa pociechy, pieśnią spokoju płynące mi do duszy.

A gdym się obejrzał odrywając źrenicę od blasku oczów które mi świeciły, nie byłem już na ziemi. Widziałem ją jeszcze u stóp moich rozciągniętą szeroko, daleko, owianą mgłami, ale krzyki nie dolatywały uszów moich, i z za chmur świeciło na nią słońce pogodne poranka.

Cisza wielka owiewała nas, a głowie mojej tak było słodko spoczywać na ramieniu anioła, przytulonej do czystej piersi w której nic ziemskiego nie było, zem ust nieśmiały otworzyć, by snu uroczego nie przerwać.

A nie był to sen, ale jaw zachwytu. — Bolesć podniosła mnie nad ziemię, a anioł który trzymał mnie nad nią w swoich objęciach, i słowa jego, ziemskimi niepowtórzone, powoli balsam lały na rany długiego żywota, i potargane myśli sploty i rozranione serce.

Długom tak spoczywał w objęciach anioła, a nie słychać nie było tylko szelest skrzydeł jego srebrzystych, tylko słodki szept ust jego, tylko oddech śpiewny, i szatę którą powiew lekki poruszał — a szata szmerem się swym modliła.

Między niebem a ziemią, nieubłogosławiony jeszcze, ciałem śmiertelném i nieoczyszczoném podnieść się nie mogąc wyżej, czułem już spokój szczęścia lepszej krainy, której byłem bliżej, i widziałem cały zastęp białych aniołów unoszących się w różne strony koło mnie... Z uśmiechem lecieli z niebios na ziemię, a z ziemi ku niebu.

## IX.

Jak w ulu pszczoły robocze, cicho a żywo przesuwały się białe postacie, posłańcy Boży... i oko moje rozeznaowało powoli braci tego, którego ręka podtrzy-

mywała mnie nad ziemią w półuśpieniu potrzebném biednej zbolałej duszy mojej.

Wszyscy braciśzkowie witali się z uśmiechem i spotykając czystym na chwilę łączyli pocałunkiem, kładąc sobie ręce na ramionach — wszyscy podobni byli do siebie, a blask niebios jaśniał na ich obliczach i szczęście z nich promieniało, i spokój ich otaczał...

Jeden niósł w objęciu białych ramion duszę przeznaczoną do jasnego spoczynku u nóg Bożych i przyciskał ją do piersi jak matka tuli dziecinę, skroń jej ocierał z potów śmiertelnych, łzy ustami osuszał, krew szaty dotknięciem obmywał.

Inny na promyku leciał z naczyniem rany gojącego napoju, gdzieś ku czarnej naszej dolinie, a spieszo mu było i oczy jego pół płakały, pół uśmiechały się radością.

Inni polewali ze złotych konewek świeżo zasiane pola deszczem urodzaju, rosą użyźnienia, inni szaty swe białe rozpościerali osłaniając łany od burzy, inni odganiaли niewidome duchy złoczyńce mieczem ognistym i krzyżem jasnym, ci ścigali promienie, tamci rzucali cień chłodny.

Inni nieruchomi zdawali się oczekiwać rozkazów, patrząc po morzach i łądach, po lasach i polach... z założonemi na krzyż rękami, ze zwieszonemi głowy, tuląc się po dwu do siebie od chłodu którym na nich wiała ziemia.

Jeden niósł matce sen o dziecinie co śpiewało chwałę Bożą, i śpiewając w niebiosach, po niej tęskniło, a sam Bóg mu się litował; — drugi z obrazem matki na szacie, leciał ku dziecku do nieba.

Inny z ziemi westchnienie boleści do krzyża Chrystusowego rozpiętego w niebiosach, dźwigał co żywiej podnosząc się wysoko, a szata biała migiała za nim długą wstęgą.

Trzeci prośby i modlitwy zabrawszy w pole dalmatyki, jak żniwiarz z pola wracający, spieszył z niemi do Bożej stodółki, a oko jego spoglądało z litością na szare i czarne, na świecące i starte prośby ust ludzkich, z których mało było czystych i całych. Jedne podziurawiły namiętności, drugie splamiły lzy ziemskie, inne w proch się rozsypały, tak były lekkie i blache.

Anioł nad jednymi płakał, nad drugimi wzdychał z litością, a ciężko mu z niemi było, i zginał się pod ich brzemieniem, aż zbliżył się do strumienia łaski i obmył w nim modlitwy i poniósł czyste i świecące.

Byli co nieśli palmy zielone na ziemię i krzyże na ziemię, narzędzia męki i krople pociechy.

Był jeden co promyk nieba jak kwiat jasny piastował w ręku, aby nią czyjaś boleść oświecić i woniał niebios ją orzeźwić.

Był, co łzę jak perłę czystą niósł na dłoni do góry.

Był, co pot pocziwój pracy do Boga odnosił, inni nieśli słowa dobre na czystych kartach złotymi głoskami pisane. A spojrzawszy na ten ruch posłańców, ziemia wydała mi się mniej straszna, i życie nie tak nierozwikłaną zagadką, gdym zastęp duchów zobaczył — i zapytałem anioła: zawsze ci jest tak?

## X.

Usta jego uśmiechnęły się z politowaniem macierzyńskim.

— Biedne dziecię, rzekł całując wyplakane powieki moje, jakże ci gorzko musiało być w życiu, gdyś tak zwątpił o Bożej mądrości i opiece? przez jakie przeszedłeś próby? ileś przecierpiał po cichu i niesprawiedliwie?

— Ja? rzekłem — ja? a cóżem ja jeden? maluczki pyłek na małej ziemi naszej.... jedno nic, wśród tego tłumu co cierpi cały! Serce zaszło mi goryczą wszystkich ludzi razem, widokiem męczarni otaczających... i słysząc jęki, zawróciła mi się głowa... zwątpiłem o świecie, pojąć świata naszego nie mogąc. Tyle w nim złego, tyle brudu... tyle czerni, lez tyle... a tak krótko trwa wszystko?

— Wolałżebyś by boleść dłuższą była?

— Ale jedna ona nie ustaje nigdy — a co najszlachetniejszego, najlepszego, co jaśniejszego, to znika i ginie w chwili jednej... powiedz mi, dla czego wszystko ściiera się i ginie.

— Aby żyło i odrodziło się w niebiosach? Dziecię moje, ty się uskarżasz na ziemię, ty tęsknisz nad jej znikomością... a sam ten ból twój jest nieba pragnieniem i stopniem do niego. Dziecię moje, z ziemi na ziemię patrząc, mgły ją zasłaniają, ztąd na nią patrz ze mną, a inaczej ją zobaczysz.

Wszystko tam znikomością, ale nie cała ona tak żalobą pokryta, tak bólem przesiąkła i ciemnościami osuta. Są i tu chwile jasne, są i tu ludzie bieli, ale nie żądaj nieba bez chmury i z ludzi czystych aniołów. O! niema u was ani szczęścia bez goryczy, ani istot w którychby sercu nie czerniała plama grzechu... chciałżeś od ziemi co tylko niebiosa dać mogą? Chodź ze mną, dziecię moje, a inaczej świat zobaczysz, ja cię prowadzić będę.

## XI.

A gdy to mówił anioł mój, podniosłem głowę nieco, pokrzepił mnie uśmiechem, uczulem siłę w sobie, i po boleści nastąpiło jakby odetchnienie spoczynku, powieki

jeszcze nie oschły, serce bić jeszcze nie przestało, ale gwałtowne cierpienie ustępowało zwolna, i z rezygnacją spojrziałem teraz na kolebkę naszą, na cmentarzyko... Skrzydła anioła poruszyły się i poczęliśmy się zbliżać ku ziemi, a on wskazał mi ręką znajomą okolicę.

— Wszystko tu zmienne, przechodzące, niestałe... smutek wieje od chłodnego oblicza matki waszjej, ale nie rozpacz... Patrz jak z więzienia tego ulatują dusze wyzwolone, jak tu wszystko splata się, spaja, słońce i burze, uśmiech i smutek. Nic nie ma trwałego, ale i boleść nie żyje wieki. Całe życie wasze to chwilka i gdy zamkniesz powieki, błyskiem ci się wyda co sądziłeś wiecznością gdyś cierpiał. Nie maszże się czém pocieszyć choć chwilę? Z tych serc skalanych, strzelają niebieskie uczuć kwiaty, w najzepsutszém jest jeszcze białe ziarnko poprawy... tęsknoty... zgryzoty... A taż właśnie młodość cała jeszcze niebiosami woniejąca, a też serca i oczy płaczące towarzyszków podróży? a toż przywiązanie ofiar pełne? nie sąż to obrazy złociste, którym się i anielskie radują serca? A boleści wiele i kału wiele... ale możnaż rozpaczać o ziemi... i odpychać to pobojuwisko pogardą? Nie — dziecię moje... niebo jój strzeże... i czuwa nad nią... a żadna łza nie ginie, żaden jęk nie rozprasza się, żadna kropla krwi męczeńskiej darmo w ziemię nie wsiąka.

Widziałeś ten rój duchów ulatujący nad nią w obłokach? Oko ledwie może ich dojrzeć w chwilach gdy cała dusza oderwana od świata wpłynie w rozszerzoną żrenicę, jak w białej jasności słońca niewidzi siedmiu tęczy kolorów, póki mu ich łza nie rozłoży na siedm wstęg oddzielnych. Ale duchy są wszędzie, otaczają was, wspierają, przynoszą myśli, dźwigają tęsknice wasze i zawołane stają w pomoc niewidome. Człowiek

sobie to przypisuje co im winien... i woła, zkąd mi ta siła? i pyta: zkąd mi myśl taka?

Otwórz oczy twe i patrzaj jaki rój istot różnobarwnych zwija się nad wami? Wasza posługa to ich życie, są to siostry miłosierdzia niebios, jak wasze siostry miłosierdzia są aniołami ziemi... nie żyją dla siebie, służą drugim. Te duchy jasne zesłańcy niebiescy, te szare pokutujące za to że nadto ukochały ziemię i oddzielić się od niej nie mogące, te czarne duchy, którym Bóg dozwolił jak narzędziom zbawienia dokuczać ludziom, by z nich cnoty wywołać i do boju wyzywać... pełne ich powietrze, wody, pustynie i miasta, ich głos słyszycie w wietrze, ich mruczenie w strumieniu, ich mowę w szumie drzew, ich śpiew w tej pieśni, którą dusza wasza śpiewa w osamotnieniu. Z niemi rozmawiacie mówiąc z sobą, oni wam odpowiadają pociechy uczuciem na modlitwie, przyciskają powiekę wezbraną, gdy sami płakać nie możecie, by z niej łza wytrysła, zwieszają uśmiech niespodziany na ustach, kołyszają do snu dzieci wasze i towarzyszą starcom zękanym do trumny. Od jednych ulatują płacząc w niebiosą, gdy czarni niemi owładną, do drugich zbierają się gromadnie w chwili boleści.

Im winniście uczucia szczęścia i spokoju, ten chleb niebieski, który wam po cząstce przynoszą posłowie niebios; jeden wam kładzie na sercu szczyptę nadziei, drugi zapala miłość, inny gasi gorzkie wspomnienie i goi powoli ranę serca głęboką. Niewdzięczni odpychacie ich często; a zapieracie się zawsze. Los, mówicie, człowiek, przypadek to zrządził, a aniołowie uśmiechają się niewidomie nad wami z słów waszych, bo niema istoty tak strzeżonej z woli Bożej, jak człowiek. I krok jego każdy obrachowany i każda myśl otoczona, i każde uderzenie serca naprzód wypielegnowane; a gdy wśród dwóch wpływów, wola i dusza,

pójdą choć częścią za lepszym, ku Bogu, ku niebiosom, wszystko się tu rachuje, i do kosza zasług waszych zanoszą, i do skarbca waszego zamyka, by w dniu uroczystym powrotu, utkało szatę zwycięzcy, dało mu listek do wieńca, klejnot na piersi... i o włos zbliżyło go do światłości niebieskich.

## XII.

— Świat wasz, mówił dalej anioł, nie jest dziełem przypadku — patrz, rzekł wskazując na ziemię, — oto drzewo które rosło wieków kilka, a na nim liść jeden rozwinęła ostatnia wiosna, liść jeden że stu tysięcy, które objadło robactwo i oberwały burze; biedny liść maluczki, co go ledwie oko dostrzeże. I żółkł jesienną posuchą, oto na włosku już zawisł na gałęzi — nareszcie przychodzi ostatnie dmuchnienie wiatru, porywa go, unosi i rzuca w przepływający strumień. Liść czekał tego powiewu, pada, przypatrz się... W strumieniu tonęła mrówka, którą on przeznaczony był ocalić. Liść ten nie upadł przypadkiem, ale od wieków przygotowaną wolą Opatrzności, aby istotka biedna, którą dzieci czekały, dziatki głodne... przezeń ocalona została.... Drugi liść gnijąc, podsycił kwiatek, który ocalił człowieka... Mądrość przedwieczna wydała dąb ten przed stami lat, aby liść jego jeden mrówkę, drugi człowieka ocalił. Tak dzieje się tu wszystko, i niema losu a trafu, jest obmyślenie opatrne... ziarno niesione wichrem nie pada bez woli Bożej, serce nie bije i miłość nie przychodzi, i zapomnienie nie okrywa całunem bez Niego. Miliony jestestw ocierają się i spotykają z sobą, a wszystko tak obrachowane, aby każde przyszło w porę

drugiemu karą, pociechą, bodźcem, boleścią płodną, aby wzajemnie wspierały się, osładzały, budziły.

Żadne spojrzenie nie leci bez woli Bożej, ani przychodzi daremnie, żadne uczucie nie wyrasta w sercu bez przyczyny i bez skutku, i to co ludziom zdaje się niczém w życiu, jest czasem wszystkiego nasionkiem.

Patrz, oto dwie istoty nieznane, dwóch życia pielgrzymów idąc drogą, spotykają się trafem, na chwilę, raz tylko w życiu. Nie przemówili do siebie, spojrzeli tylko, oko czarnej kobiety utkwilo głęboko w piersi człowieka, obraz mężczyzny podniósł myśl kobiety — zatrzymali się, westchnęli, i poszli dalej. Ale nie było daremném spojrzenie, ono podniosło duszę mężczyzny zachwytem ku pięknemu, ku dobremu, ku wielkiemu... w duszy kobiety zrodziło tęsknicę pobożną... oboje tchnęli na siebie czystością, zapalem, i dali sobie siły i wymienili skarby, i poszli... nieznając się więcej. Tylko dwaj aniołowie przewodnicy ich, lecąc nad nimi zbliżyli usta i uściśniły dłonie białe, mówiąc — do zobaczenia!

Któż policzy ile to wejrzenie cnoty zrodziło w nim wstydu i miłości w niewieście, ile on stał się przez nie lepszym, a ona czulszą, ile niebieskich tęsknic wylało się z promieniem żrenicy, którą Bóg na to zapalił ogniem świętym? Ile dwie grzeszne istoty wylały z siebie cnoty, której były naczyniem? Aleście wy ślepi i lekkomyślni, rzekł tęskno anioł mój — i gwar własnego żywota dojrzeć wam, dosłyszeć, zrozumieć nie daje... biedne dzieci! płaczecie gdy dziękować-byście powinni, dziękujecie gdy lękać-by się potrzeba, a idziecie kierowani więcej prawicą Bożą i tchnieniem aniołów, niż własną wiedzą i siłą.

### XIII.

Powoli zstępowaliśmy ku ziemi, a dzień nad nad nią przelatywał to słońcem obłany, to chmurami ocieniony, schodząc z jednego kręgu, wstępując na drugi, tu do snu kołysząc, tam budząc do życia. I widać było jak stworzenie wszelkie otrzęsało się ze snu i kwapiło do krótkiego żywota, lub znużone szukało schronienia, by nowych sił w snach zapomnienia zaczerpnąć. A oblicze ziemi miało całą rozmaitość życia, wszelkie jego żywioły, kolej niezbadanych pogodnych i burzliwych chwil wypełniała całość niepojęta zmian tysiącem, zawsze obok śmierci wskazując życia drugiego początek.

— Wiem, rzekł mi anioł, przytulając znowu głowę moją do swęj piersi — gdzie twój wzrok leci i serce cię pociąga; oto zbliżamy się do tego zaczarowanego kątku, w którym uwiązłeś duszą... Nie wskażę ci innej krainy bo byś tam życia ni ludzi nie pojął, polecim nad twoją rolę czarną owianą mgłami smutnemi, a tobie najpiękniejszą i najdroższą, choć ją także tysiąc odwiecznych mogił zasiało.

Poznałem po dymie, który mi wietrzyk przynosił, żeśmy byli nad ziemią naszą, z której dotąd ani na chwilę stopa moja ani serce nie zeszło.

Dojrzałem lasów szeroko zielonemi gronami rozciągnionych wśród równin, które złote pasy zbóż przerywały... Gdzieniegdzie wiała się niebieska wstęga rzeki, na żółtych piaskach, na zielonych wierzb i łozy zaroślach, gdzieniegdzie siedziały wioski przytulone do matki ziemi i strzelały w górę białe kościółki i piętrzyły się ubogie miasteczka jak nieczyste mrowiska. Ten kobierzec kraju

naszego wydał mi się uroczym pięknym, i zabiło ku niemu stęsknione serce, a łza z oczów spadła na szatę aniola, na której czarną wystąpiła plama — płakałem za ziemią, a duch to był z niebios czysty i we łzie mojej coś niewinnęj, znalazł się zaród grzechu, który ją pokalał.

#### XIV.

— Patrz, rzekł duch, oto ci pokażę kilka żywotów ludzkich z miliona... one cię może z życiem pogodzą. Wszystko to mija jako sen, znika jak cień od chmury, jak marzenie widma... jak mgła poranku; ale wśród tych snów ciężkich i czarnych, są jasne i piękne. Nie płacz że ludzkie oczy ich nie widzą i pamięć nie obejmuje, wszak ci woń ich ziemi niosą do niebios aniółowie do tronu Ojca, i każde go dochodzi westchnienie, każdemu zwycięztwu nad światem, poklaskują chóry serafinów i zastępy anielskie.

Jeżeli co pocieszyć i uspokoić powinno, to widok cichego żywota, który cały płynie cnotą i poświęceniem. Czém obok niego hałaśliwe życie innych ludzi, całe w kłamstwach i samolubnym pokazie, które się rozchodzi, pamięta, zadziwia, ale gdy je aniółowie poniosą do góry... lekkie będzie i nie znaczące. Inne są sądy Boże a inne wyroki wasze, to co wam potężnym się zdaje, tam grzechem jest może, co tu niewidoczne, tam wielkie i święte, a im ciszej się cierpi, im więcej boleść ukrywa, im więcej też z ofiarą, tém świetniejsze w niebiosach czekają palmy i wieńce.

XV.

Mówił, a szmer głosu jego lał mi w piersi spokój jakiś niewysłowiony; inaczéj spoglądałem teraz na ziemię, z za łez które starł dłonią białą, wzrok mój oschły, głębiéj coraz sięgał w ziemię, widział jaśniej i przenikał nietylko pod zakryte miejsca, ale w najzamkniętsze piersi tajniki.

I spostrzegłem między mogiłami wśród kości spalonych na stosie namiętności i poczerniałych od złego... białe niewinnych całuny i szczątki przemienione w drogie kamienie, nad któremi stali geologowie tłumacząc ich pochodzenie ogniem i wodą, gdy one wszystkie były dziełem dusz wybranych, co pył ziemi w klejnot przeistoczyły, co ziemski proch brudny w dziwnych barw i piękności przemieniły kształty.

Widziałem tam tajemnice nieodgadnione dla oka co się nie załzawilo i nie podniosło z aniołem do niebios, i nie oświeciło cierpieniem wielkiém, a gdym zapatrzony dumal, rzekł anioł do mnie:

— Chcesz żebym prochy wskrzesił i przywiódł je przed ciebie, aby ci mówiły o sobie? Wy patrzycie na złomki życia ze świata — chceszli obejrzeć całość jego podniesiony ku niebiosom?

I nie czekając odpowiedzi, której mu dać nie śmiałem, anioł złożył ręce i począł się modlić ku źródłu światła, które jaśniało nad głowami naszymi, a modlitwa jego widomie jak promień biały wstępowała wysoko, pięła się w górę, aż utonęła w wiekuistej aureoli zawieszonyj w średzinie światów.

I po chwili na promieniu który z jasności nazad odstrzelił ku nam, widziałem zstępującą ze smutném obliczem

i złożonemi na piersi rękami, duszę jak śnieg białą. Szła powoli po promieniu ku ziemi, jak wygnanka stęskniona a posłuszna wyższej woli... i spuściła się ponad chwastem porośłą mogiłą smętarza... okrytego drzewy i gąszczą.

Było to stare pole spoczynku, na którym już dziś zwłok nie chowano nowych, bo dla nich miejsca między staremi nie było, i rydel grabarza rozbijał się o popruchniałe trumny i niedognite kości. Groby okrywały jeden przy drugim całą tę przestrzeń, ostatni wyraz życia kilkunastu pokoleń. Tu i owdzie sterczały jeszcze na nich krzyże, wały się gruzy cegieł, kamienie porozbijane i starte, szczątki drzewa, i zdziczałe niegdyś pielęgnowane żalem rośliny, ciężko z chwastów wybijające się ku światłości dnia Bożego. Ze stu drzew może zasadzonych ręką pobożną, kilka wzrosły w grube konary, niesiane i niesadzone przybiegły z litością okryć od wiatru grobowiska ubogich.

Gdzieniedzie na świeższych wzgórzach darnią porośłych, chwast nawet nie miał się czasu rozplenić... stały nagie i odkryte... W rogu tego pola umarłych zapomnianego i opuszczonego przez żywych, w kolo którego obalił się parkan i furta wiodąca doń upadła; ujrzałem ducha zlatującego na niedawną jeszcze mogiłę i powoli przez warstwę ziemi zbitęj przeciskającego się do jej wnętrzości. Tam w przepruchniałej trumience trochę leżało popiołów i kości ściśniętych ziemią i zmartwiałych. Gdy duch wionął na nie, powoli poruszyła się garść prochu i z lekka zarysowała się przed oczyma mojami postać niewiasty spoczywającej w trumnie odzianej szatą białą; ze złożonemi rękami i krzyżykiem na piersiach.

Błada i martwa zrazu postać ta dźwignęła się a ziemia rozsunęła i rozstała dźwigniona ramieniem ducha, który panuje wszystkiemu... i z otwartego grobowca

powoli wysunął się jakby posąg marmurowy niewiasty, która z westchnieniem znużenia siadła na brzegu czarnej przepaści.

Nieziemskie to było zjawisko i na licach upiora, znać było że duch co go ożywiał niedawno z niebios powrócił. Stopniami ożywiało się białe lice i powracało życie, drgało ciało wskrzeszone, i jakby ze snu wychodząc kobieta podniosła oczy na znaną okolicę, zdając się chcieć i niemogąc przypomnieć świata na który chwilowo wracała.

Naówczas dopiero ujrzałem to cudowne zjawisko, z bijącym sercem poglądając na nie. Była to niewiasta w całym blasku dojrzałej idealnej piękności, biała jak lilia, promieniejąca, uśmiechnięta smutnym uśmiechem zagrobowym i zaświatowym. . .nieziemskim. Owal jej twarzy miał ten niepościgniony wdzięk linii, którego żadna dłoń artysty odtworzyć nie potrafi, a ręka tylko Boża zarysować jest w stanie. Na białym tle lica, jak dwie pochodnie paliło się dwoje oczów czarnych ognistych, ale smutnych i zażawionych, a powieki co je otaczały jakby wyplakane ciemniały barwą smętną brunatną wśród marmuru lica. Wysokie czoło białe nieprzecięte jedną zmarszczką jak sklepienie świątyni duszy wznosiło się nad smutnymi powieki; dumало ono myślą nieśmiertelności i tęsknotą za wiekiustą ojczyzną. W ustach był uśmiech i płacz razem, ale te usta milczały.

Anioły tylko śnią się takimi artystom modlitwą natchnionym, jaką się zjawiała ta dziewica — kobieta — wielka, wspaniała, silna, a czuciem i łzami przejęta. Pierwsze jej spojrzenie w świat było podziwieniem smutnym, objęła niem horyzonty dalekie jakby na nieznanym kraju patrzyła; powoli rozbudzało się w niej wspomnienie jak się rozpala lampa, i oświecało twarz nabierającą barwy życia — krew napełniała żyłki i rumieniała lice. Jak wschodzące słońce dusza zaróżowiła niebo jej twarzy,

przed chwilą jeszcze blade i martwe. Z pamięcią wróciła boleść i rozesała się na czole, w ustach, w wejściu, wytrysły łzy przywykłe gościć na powiekach, załamały ręce białe. Już nie z obojętnością, ale z cierpienia wyrazem poglądała na okolicę jak gdyby każdy przedmiot był dla niej wspomnieniem przecierpianej chwili, i podniosła oczy do nieba. Jeszcze tęsknica do niego ogarniała ją, gdy już nowa tęsknica ziemi mięszać się z nią poczęła i goryczą, przed chwilą próżne serce zapełniać.

Wracało życie i ona wracała do życia... anioł smutnie patrzył na nią.

## XVI.

— Gdzież jestem? przemówiły jej usta — co było ze mną? gdzie była? śniłaż mi się wielka jasność Boża, w której tak błogo zatopiona spoczęłam. Na łonie Boga tak mi było szczęśliwie i spokojnie. Byłóż to marzeniem tylko? Grób otwarty, więc umarłam? i świat znowu? dla czego wracam do niego? żyć potrzeba znowu tym starem życiem niewoli, ciężkiem i błędnym, skutem w łańcuchów tysiące? Zdawało mi się jakby już raz pękło serce i skończyła się próba, a śniło mi się że anioł uniósł zranioną duszę do Tronu miłosierdzia, do podwojów łaski, i położył ją u stóp Pana który w nią tchnął zapomnienie boleści i żywot nowy. W tamtym bycie wszystkie moje sny ziemskie cudnie wykwitły rzeczywistością niebieską — serce było pełne, szczęśliwe, bez pragnień i niepokoju. Byłże to sen tylko? A! powoli przychodzi mi na pamięć wszystko zabyte... kajdany... zawody...

I odszedł duch z mogiły stępując powoli, aż wyszedł po za obręb cmentarza i zwrócił się ku jednej stronie, w której drzew massy zieleniały, przesunął się ku wzgórzcu otoczonemu jakby zapomnianym ogrodem. Miejsce to było piękne nad brzegiem rzeczki, na niem ślady jeszcze niedawno obalonych budowli, ale już tam nie mieszkali ludzie. Jak na cmentarzu siało na pustkowiu chwasty zapomnienia, a ptacy świergotali na ruinach. Widocznie był to dwór niegdyś zamożny, który spłonął czy zniszczał, a w kolo niego wspaniały ogród i budynki, w gruz i zarosła się zmieniły. Parę chat zlepionych ze szczątków pańskiej wspaniałości dymiły na rumowiskach ubogim kominem.

Wśród parku i powycinanych pni dębów gdzieniegdzie snuły się grzędy warzywa i płoty suche i zagony ubogie. A jeszcze wśród resztek zieleności rozsadzonej symetrycznie, znać było ślady przepychu, altany gróbowe, długie szpalery, kamienne mosty, i świątynki poobracane na kurniki.

Duch wszedł na najwyższe wzgórze gdzie stał pałac a dziś kupa rumowisk nad lochami rosła burzanem badyłów i zadrżał.— Nie, rzekł, nie! ani śladu!! i załamał ręce.

— Gdzież kaplica? gdzie mój pokoik dziewiczy, z którego widok był tak piękny? gdzie pokój siostry i braci, gdzie matki? gdzie nasze grządki dziecinne?

Jedna kupka bratków i trawy rosła na opustoszoym klombiku, duch płacząc zerwał z nich listek. I tu cmentarz, rzekł— i wszędzie tylko cmentarze... Nikogo, gdzie oni? w mogiłach!

I siadłszy rozwinął karty swojego życia, a gdy z nich czytał powoli anioł mi je tłumaczył... i tak rozsnuł się przedemną żywot ów skończony już, którego ostatnim aktem była cicha łza boleści co okupiła grzechy i ducha do niebios uskrzydliła.

— Pamiętam, mówił duch, było nas dwoje, dwie dziewcząt u boku matki; śmiał się do nas świat i przyszłość, roiliśmy szczęście i kołysały do niego. Ileż to prześniliśmy obie chodząc po tych ulicach, biegając za kwiatkami po ogródkach, odpoczywając w tej cichej izdebce naszej, gdzieśmy stroiły majowy ołtarzyk Maryi.

Gdy duch mówił jam cudem jakimś postrzegł przemieniającą się okolicę... znikła z przedemnie otwarta mogiła; i owa ruina, i ów opuszczony ogród, a ujrzałem w miejscu stosu gruzów, wspaniałe domostwo ciche i poważnie siedzące wśród żyznego kraju kątka. Był to stary dwór pański, otoczony sadem i ogrodem cienistym, a ożywiali go ludzie mnodzy i życie wielkie i zamożność. Duch ów przemienił się w młodziuchne dziewczę tak piękne jak anieli brata aniola, z dwoma czarnymi warkoczami na ramionach przebiegające ogródek; siadające to na kolanach matki, to przytulające się do młodej siostrzyczki. Obie razem były jak dwa kwiatki na jednej łodydze z których jeden rozkwita, drugi w pączku pół otwartym się kryje. Jeszcze chwila, jeszcze promyk słońca a oto się już otworzy.

Widziałem je połączone uściskiem serdecznym u kolan matki, której oczy zawczasu plakały... gdy dzieci śmiały się jeszcze niepojętemu życiu i światu.

## XVII.

Nagle dwór mi światłami mnogimi zajaśniał jakby przygotowaniem weselném, ludzie kręcili się żywo, ale na ich twarzach nie było wesela... tylko zajęcie jakieś i smutek. W głębi pokoju spostrzegłem ducha, który klęczał przed poważną postacią macierzyńską obleczoną

powagą—i płakał, i posłyszałem wyrazy niewiasty, która córkę przytulając do piersi tak mówiła:

— Przygotuj się być dobrowolną ofiarą i nie buntuj przeciw losowi kobiety... dziś, jutro nią być musisz. Nikt nie posiadał czego pożądał i nie złożył życia jak je wymarzył, ani miał tego co ukochał. Naszem przeznaczeniem cierpieć po cichu, modlić się, płakać, uśmiechać usta choć przepelnionymi goryczą, i umierać z krzyżem w piersi wbitym. Kobieta rodzi się do niedoli, a jeśli marzenie przejdzie po nad czołem jój białem, otrząsnąć je musi jak wieniec uwiedły... by nieprzyrosł do skroni. Czyż nam pragnąć szczęścia, tutaj gdzie dzień żaden nie kończy się jak zaczął, a jutro najeżone kolcami? Gdzież szczęście? dziecię moje! chyba w snach z kolebki niebieskiej wyniesionych, chyba w widzeniu młodej duszy, co jeszcze palcem ziemi ni stopą nie tknęła! Dziś czy jutro potrzeba spełnić kielich ofiary i goryczy usta gotowemi, a kto mu się opiera traci zasługę i co dobrowolnie nie oppełnił, przemocą wychyli do dna.

## XVIII.

Dziecię klęcząc u nóg matki spytało — Co mi każesz uczynić? — Widzisz ten zbytek co nas otacza, ten dostatek w którym wychowaną zostałaś? To są pokrywy tylko ciężkiej rzeczywistości, pod niemi leży zimne i straszne ubóstwo, upokorzenie. Wychowane do świata blasku będziecie ubogimi, jeśli z siebie dla nas nieuczynicie ofiary; dla braci z któremi dzielić się niemacie czém, dla starości naszej, która wam chleba powszedniego dostarczyć nie może. Niepytaj serca, a po-

daj rękę komu wskażę Leoniu, spełnij obowiązki życia jakby cię ku nim wiodła miłość.

Dziewczę zadrżało... a matka mówiła chłodno. — Nie szczęście ale krzyż Chrystusów kładnę na ramiona twoje dając cię dziś temu człowiekowi — ale ty go podźwignąć możesz i siebie zbawić i jego. Nie kochasz go, wiem, ale serce twe wolne.

Twarz Leoni oblała się rumieńcem i spuściła ku ziemi i jak marmur zbladła.

— Nie prawdaż? ty niekochasz? jabym o tém wiedziała? surowo dodała matka.

I pierwsze w życiu kłamstwo wstydlive przeszło usta dziewczę, a stłumiony głos odpowiedział: Nie Kocham matko.

Ale ile w nim było boleści i poświęcenia, ile siły w tém kłamstwie! Powoli podniosła oczy dziewczyna i skryć je musiała tak były łez pełne, a gdy wstała pobłogosławiona przez matkę, drżała jak liść i blada była i łkała w duszy. Krzyż matki nad głową jęj drżącą ręką skreślony, namaścił ją na ofiarę... i wstała silną i wielką.

## XIX.

Księżyc wschodził na niebie podnosząc się powoli i bledniejąc w miarę jak się posuwał ku górze... krwią oblany, rumiany, złocisty, srebrny wreszcie martwiały jak człowiek co się starzeje. Cisza była w ogrodzie uroczysta, ciemno w ulicach, dwór tylko płonął światłami. W alei przechadzał się z załamanemi rękami mężczyzna młody i szarpał na sobie odzież która piersi mu się gnieść zdawała. O nie suknia to ale boleść je gniotła

a tój odjąć niemógł — patrzył w okno płonące światłami i płakał a łzy połykał.

— Wszystko się skończyło, mówił do siebie po cichu, sny, nadzieje, szczęście, młodość, jeden krok a będę na progu rzeczywistości, w świetle rachuby i ludzi. Ona niechce mnie choć kocha, odpycha i dobrowolnie oddaje się drugiemu, w nie więc nawet w serce dziewczęcia wierzyć nie można. Nawet w serce piętnastoletniej dziewczynki której ledwie wczoraj skrzydła anioła z ramion opadły. — O to straszliwe, to okropne! I załamał ręce, gdy na nich uczuł dotknięcie białej znanj dłoni, drżącj jak woda przebiegająca po kamiakach.

— Adamie, rzekł głos cichy — czułam że cierpisz i przyszlłam cię pożegnać, dać ci ostatnie słowo otuchy, prosić o odwagę.

— A ty ją masz szczęśliwa, boś niekochała nigdy.

— Mam ją bo kocham inaczj i silniój może od ciebie, odpowiedziało dziewczę. Powiedz mi, dodała podnosząc oczy na księżyc, a w nich przejrzała się jasność i odkryła łzę której w głosie slychać nie było — co ty nazywasz miłością? Alboż się czyście i święcie na wiek wieków kochać nam bronią?

— Ale ty będziesz cudzą żoną i zaprzysięsz mu wiare. —

— I wiary dotrzymam, rzekła kobieta — jak jój ode mnie wymagać będzie, przysięga, obyczaj, ludzie, ale nie wyrwie ono z serca miłości stałej i wiekuistj dla ciebie. Gdyby nas los z sobą powiązał i zbliżył tak, byśmy do jednej taczki przykuci, naprzykrzeć się sobie musieli, ciągnąc ją nierównymi siłami, nie jednako — któż wie czyby nie ostygło to przywiązanie nasze zrodzone w dzieciństwie wesolém; — rozdzieleni, zmuszeni patrzeć na siebie z daleka i wiecznie być godnemi siebie, widzieć w sobie będziemy ideały młodości i kochać się możemy, musimy na zawsze.

— A nie żyć z sobą? a rozstać? podchwycił młody człowiek.

— Z kimże żyjemy? z kim się nie rozstajem? codzień nam coś umiera, czego nie przestajemy kochać pogrobową miłością? codzień coś tracim i tęsknim za straconém... Ale my Adamie nie przestaniemy kochać się wielką i świętą miłością, z Bogiem, w Bogu, która świecić będzie życiu naszemu. Mąż mój mieć będzie tylko ostatek tego serca, które bije dla ciebie, i nie będę się z tém tać przed światem, bo się nie wstydzę tego; bo miłość moja nie jest przechodzącą namiętnością, ale ukochaniem ciebie.

I z czystém wzruszeniem rzuciła mu się na szyję.

— A! rzekł Adam — to nie to com marzył, żyć z dłonią w dłoni, razem, w ciszy, w pocałunku i uścisku, kochać tylko ciebie, mieć twoją miłość wielką i całą.

Leonia uśmiechnęła się boleśnie. — I ja tak marzyłam, rzekła — ale to miłość co źródło swe wysusza może, co upaja i szal daje, i trwać nie może... Zresztą, dla ciebie byłabym czémbyś chciał, stałabym się czémbyś kazał, ale wola Boża inaczej mną rozporządziła. Będę ofiarą dla nich, rzekła wskazując na okna dworu... a kochać cię nie przestanę.

— A! a życie moje! rzekł rozpaczliwie Adam.

— A mojęż? uśmiechnęła się boleśnie Leonia — spojrzj na nie i powiedz mi czegobys mi mógł zazdrościć? Tyś wolny i pozostaniesz sobą, ja własnością cudzą, ja niewolnicą człowieka, ja sługą tego którego nie kocham a któremu żoną i towarzyszką mi być każą... Nie podzielam myśli jego, uczuć, nie między nami nie ma wspólnego... Adamie...

Ten niesłuchał, łyż mu po mężkiej lały się twarzą, choć je chciał stłumić w sobie, i znowu dziewczę rzuciło mu się na ramiona — Adamie! męztwa! rzekła, tyś

mi je dać był powinien, a odbierasz, ja cię o nie proszę dla ciebie... wytrwania i mężstwa. Stałość nie wybuchu potrzebuje, miłość nasza, związek dwóch serc to rzecz droga i święta, pracujmy by go nie zerwać, by być godnemi siebie, by się nie zmienić, nie ochłodzić, nie zapomnieć.

## XX.

Ale czemu są słowa, gdy z dwojga serc jedną nutą brzmi zgodnie uczucie jedno w chwili rozstania? Starczą one za jedno serce uderzenie? zastąpią ten dreszcz który przebiega po człowieku? złamią one choć jedną boleść? zetrą choć jedno gorzkie wspomnienie? Ona mówiła mężnie ale drżała; on płakał, i w milczeniu przybliżyli się do siebie, przytulili, radzi tak umrzeć w swoich objęciach lub czyści przejść do niebios na skrzydłach aniołów stróżów, których dwie białe postacie widać było w górze w uścisku zjednoczone z sobą. Chcieli tak umrzeć a żyć musieli rozerwani... Szelest i hałas szukających narzeczonej dał się słyszeć w koło; Leonia wyrwała się wołając — Mężtwa Adamie! i uciekła, on pozostał wkuty do miejsca, pragnąc ciągle śmierci, tak dalej nie pojmował życia.

I nierychło poszedł trawiony gorączką, z miłości pocziwój i spokojnej przechodząc w zwątpienie i posądzenie anioła, który płakał nad nim i nad sobą.

## XXI.

Dwór stary znikł mi z oczów, znowu się zmieniając w ruiny i pustkę jak przed chwilą, ulica w której się

żegnali zarosła chwastem, i samotne bydle paśło się na miejscu, gdzie ostatnią łzę Leoni wypił pocałunek Adama. Duch w szacie białej powoli przesuwał się przez pola i lasy do pałacu który stał opodal na dolinie szeroką rzeką przeciętą, szedł tam jakby żelaznym mimowoli ciągniony łańcuchem, łkając i oglądając się za siebie. Adam znikł mi z oczów.

Tu znowu zaczęło się życie i piękna twarz Leoni z za łez uśmiechnęła się wyrazem przymuszonego szczęścia, potrzeba było udawać i kłamać wesele przed światem, aby świat nie mówił że ją rodzice poświęcili i sprzedali swą córkę, aby na nich kamieniem nie rzucano za dziecię. Leonia pojęła to i podniosła się do ideału w poświęceniu. Z gorzką tęsknotą w sercu dźwignęła czoło schmurzone i kazała uśmiechać się ustom, poczęła ten dramat szczęścia, który miała grać całe życie z wyznaczonym jęj od losu współaktorem. Oczy moje padły na jęj towarzysza, który jak ciemna plama wystąpił obok tęj czystęj i jasnęj gwiazdeczki. Człowiek to był, niestety! z mięsa i kości, ale bez ducha, ale bez serca i uczucia, nierozbudziło się w nim żadne pragnienie czegoś lepszego, większego, wyższego nad to co ręką ująć i przygarnąć było można. Dostyc mu było tego co go otaczało i ciało jego żywiło strawą codzienną. Iluż to tak pospolitych ludzi po świecie? ale się w nich czasem wieszczą ozwie tęsknota do niebios i czegoś wyższego, choć zachmurzy się czoło? choć zabije serce, choć przeleci pragnienie nie skreślone, choć podniesie ich uwielbienie ku czemuś wielkiemu i świętemu... ten zaś człowiek nie miał iskierki duszy w rozpasłym ciele, a wiekiusty uśmiech głupoty na ustach.

Dwóch istot z przeciwniejszych biegunów nie mogły losy spojic dziwacznięj — ta cała anielska i niebieska, ten cały ziemski i chłodny, ta wzniosła i pogodna jak

oblicze aniołów, on szyderski wśród wesela, pochmurny w smutku znużenia, i samolubny zawsze.

Ona zawsze tęskniąca za niepoścignioną doskonałością, on nie wierzący nawet w ideę doskonałości i brzydzący się wszystkiem co usiłowało podnieść od ziemi, ona święta i cierpliwa, on despotyczny i gniewny. Często tak w świecie zwiążą się dwa ogniwa dwóch żywiołów, aby wzajemnie w sobie życie budziły, ale tu z jednej strony była ofiara niewinna, z drugiej kat bez litości, z jednej uśmiechnięta owca, z drugiej zwierż krwią niesyty. Małżeństwo to na oko szczęśliwe było świętokradzkim związkiem w głębi, ale nikt tego nie dojrzał, bo niewiasta broniła czci domowego ogniska i okryła szytym płaszczem swojego szczęścia i występku mężowski i swoją niedolą.

A gdy noc przyszła i modlić się jój pozwolono, klękała dopiero płakać, modlić się, myśleć o cichych, czystych rozmowach z Adamem i ścigać dumą ukochanego swego po szerokim świecie... A kiedy jój serce rozboleło do śmierci, anioł stróż przynosił sen i marzenia i sypał je z szaty swój na spoczywającą.

## XXII.

Żadne upokorzenie nie minęło Leoni, towarzysz jój doli nie oszczędził żadnego, śmiał się gdy płakała, łajał gdy była wesolą, wyszydzał gdy się unosiła, zadawał publicznie kłamstwo jój szczęściu lub chlubił się miłością, która ją tyle kosztowała. Nielitościwy odgrywał swą rolę kata jakby się do niej urodził, niepożalował nigdy, nie wstrzymał się językiem, rozżerał coraz bardziej gdy go oczyma błagała. A wszystko to czynił zi-

mno, dla rozrywki, gdy biedna kobieta konała prawie pod ciężarem boleści nie mogąc jej podolać. Ale z ust jej uśmiech nie schodził i pogoda z czoła... ofiarując Bogu męczarnie szła dalej nieszczęśliwa... myśl o Adamie i łza cicha krzepiła ją w siły na dalszą wędrówkę. Adama widać nie było... na długo znikł jej z oczów; nareszcie ukazał się... Niepознаłem go niestety. Ona była jaśniejszą niż kiedy lilia, on zczerniał i upadł... Z rozkwitłego młodziana stał się pospolitym spasłym na duchu człowiekiem... Z uśmiechem zadowolenia zbliżył się do niej i w imię czystej miłości dziecięcej, nieczystą gorzał namiętnością. Twarz jej zbladła jak marmur gdy go ujrzała... Sądziłem że padnie trupem, patrząc na swą ostatnią nadzieję i wiarę zawiedzione tak boleśnie... Człowiek który był dla niej ideałem, stał się podobnym temu z którym żyła, zamiast się podnieść, skarłał i ostygł, był szczęśliwy i życie mu starczyło powszednim chlebem swoim, uśmiechał się nie tęsknotą ale zadowoleniem...

Napróżno szukała w nim obietnic przeszłości... woń którą go namaściła młodość rozwiła się i uciekła, został człowiek wbity w ziemię, pospolity i rad sobie. Wy coście przetorowali marzenie ideału i już je schwyłali w ziemskie objęcia, a mniemając zaczerpnąć życia poczuli w niem trupa chłodnego, wiecie jaka to boleść gdy serce ukocha to co kochania niegodne, jak trudno mu się wyrwać z tych kajdan, jak z niej do politowania i zapomnienia przejść trudno, jaka potem... pustka piekiel zostaje w sercu. Leonia załamała ręce słuchając go i padła zemdlona, nie miała siły zanieść swęj ofiary do stóp krzyża... i po chwili łzów niepohamowanych uklękła dopiero na modlitwę ofiarną, na błaganie służebne przed ołtarzem.

W sercu pochowała Adama i nad mogiłą jego posta-

wiła krzyż wspomnienia... ideał spoczął na dnie pamiętek młodości... na świecie już go nie było.

### XXIII.

Jak mgła przesuwaly się lata nad duchem, który na nowo przeżywał ubiegłe życie w starłej szacie swojej... i odsłoniły się przed oczyma mojemi dzień po dniu, godzina po godzinie wszystkie męczarnie istoty której męczeństwo nie miało rozgłosu, widzów, cyrku i chwały. Nie broczyła ani krwią, ani łzami areny, nie poklaskiwała tłuszczą rozdzierającemu ją zwierzęciu, nie poniosła śmierci wśród extazy w chwili podniesienia ducha, nie odebrała jej z rąk kata szybko i litościwie zadanej, ale cicho cierpiała w ciszy zakryta przed oczyma świata, uśmiechnięta, oploniona, a gdy ją pytano czy cierpiała, musiała kłamać swobodę i pokój... nikt by męczarni nie uwierzył. W istocie czego jej brakło do pospolitego ideału tego co się szczęściem zowie? Nie a nawet kolebki dziecięcia o którego losy zawcześnie się trwożyła, choć inni widzieli w nióm pociechę przyszłości. Ludzie znali ją bogatą, pieszczoną, piękną, rumianą gorączką, ożywioną bojem codziennym i mówili: Jaka ona szczęśliwa? Łez jej nocnych nikt niewidział, kolebka była tylko nową trwożą, czy wychowa dziecko światu czy Bogu? czy zeń uczyni anioła do cierpienia, czy człowieka do rokoszy? Nie wiedziała czyj tu wpływ przeważy, ojca co mu miał dać ciało, czy matki co wlać chciała z łzą na kolebkę spadającą, duszę. A tym czasem próżnia była w koło niej i pustkowie... ani siostry, ani tego brata przybranego, którego tak dawniej kochała! Ludzie obcy, zimni zawsze, ledwie na chwilę

umiejący się podnieść myślą nad ziemię, by znowu spaść w tok powszedniej prozy i błota. Nikt prócz anioła stróża nie opiekował się sierotą, którą uciskały więzy rzeczywistości, jak ryba w sieci miotała się w niej wygnanka.

Na ten widok żalem zdjęty zapytałem cicho anioła.

— Czemu i ty nad nią nie płaczesz?

— Alboż to nie jest wielki i potężny obraz mocy Bożej w człowieku? alboż nie trzeba spiewać Hosanna i wielbić tego co w maluczkiem stworzeniu taką złożył siłę? Patrz... ta istota odosobniona, walcząca ze wszystkiem co świat i ziemia na zezwierżenie jej zebrać mogli, wystawiona codzien na pociski szyderstwa, na obwiewający ją chłód, nie jestli wielką i majestatycznie piękną w tej koronie, nie z ciernia, bo cień jest jeszcze poezją męczeństwa, ale z pokrzywy z pod płotów i z badyłów śmieciska...

Ta kobieta tak wyższa od wszystkiego co ją otacza nie jestli wielką, wspaniałą, piękną? Byłażby taką w szczęściu, i nie na placu boju, w ciszy ubłogosławionej miłością i cichém marzeniem u boku ulubionego? Nie stałażby się pospolitą niewiastą, matką szczęśliwą? nie zdrzemnęłażby się uspokojona? gdy dziś jest wielką i świętą męczennicą! Na tę rycerkę chrześcijańską patrzą aniołowie i święci z czcią i miłością, gdy kryjąc się od męża wynosi ubogim swe mienie odkradzione skapemu oku; gdy broni dziecka od wpływów co by je w kolebce struć mogły? gdy własną pierś od zgubnego tehu zwątpienia krzyżem osłania? Patrz w górę jak chór aniołów ulata nad tą niewiastą świętą, i jak każdy krok jej męczeński, jest wielkim widokiem dla górnego świata.

## XXIV.

Zdumiałem się życia znaczeniu, które w pospolite ramy ujęte, pięknym, tylko powszednim było dla mnie obrazkiem... znikły z niego barwy pospolite, które nań zlewał cień meża i otaczających ludzi, przeistoczyło się to w wielki wizerunek męczeństwa.

I patrzałem dalej jak leciały lata, jak męźniała i dojrzewała kobieta z sercem wyschłym od potrzeby kochania, otoczona ludźmi których umiłować nie mogła. W tém nowa postać zjawiała mi się obok niej, i zdało mi się że to był Adam lat młodych. Bratnie z nim miał podobieństwo twarzy, ten sam co on dawniej uśmiech rozpromieniony marzeniem, też same oczy w widzeniach utopione zaziemskich, to same pragnienie poezyi i miłości.

Widziałem jak Leonia spotkawszy go wzdrygnęła się jak gdyby ujrzała upiora, chciała mu się rzucić na szyję i cofnęła przerażona. On to był i nie on znówu, dojrzały, piękniejszy, taki jakim by był Adam gdyby dobrowolnie nie upadł. Wzrok biednego ducha witał go jak wskrzeszonego z mogiły... i była to chwila w życiu niewiasty może jedyna szczęśliwa choć łzawa.

Zbliżyli się, poznali, zgadłem że się pokochać musieli miłością wielką i świętą — ale było przeznaczeniem jej w każdej kropli i godzinie życia napić się żółci ilekroć pragnęła. Ten człowiek tak pozornie wielki, tak czysty, tak duszą górujący nad innemi, tak sercem młody, był niestety wielkim tylko mistrzem w téj sztuce, która jest utworem człowieka... w kłamstwie słowa i czynu. W świecie Bożym nie kłamać nie umie krom jednego człowieka, wiele rzeczy ludzi, wiele istot uwodzi,

jeden człowiek kłamie. Nie on nie stworzył krom tego, ale fałsz jest jego dziełem. Zwierzę jest zawsze tém czém jest, sobą, człowiek sam przebiera siebie, serce, uczynki, słowa swoje w barwy fałszu, on jeden zabija wiarę w to czém jest, nigdy prawie nie będąc szczerze sobą. Jedni kłamią dobre, drudzy złe, inni stwarzają z siebie nowych ludzi, mało jest takich co są jakimi ich Bóg uczynił. Szczerłość i prawda najrzadsze z cnót ludzkich. Człowiek dosztukowuje się i lata do ideału lub własnego o niem pojęcia na szczytach kłamstwa... ten dorabia sobie serca, drugi duszy, ów męstwa, tamten szlachetności, i jak malują twarzę i włosy, tak barwią serca i charaktery! Cnotliwy wstydzi się swój poczciwej cnoty, namiętny swego zapалу, występny swój zbrodni, a wszyscy kładną jakąś maskę na twarz, aby ich niepoznano. Z zazdrości pierwszego zabójcy na ziemi zrodziło się pierwsze kłamstwo którym Kain zakryć się chciał przed okiem Bożem, a synowie Kaina choć nieoszukali Boga, ludzi i braci chcą wiecznie uwodzić.

Udaje się to czy niepowodzi, kłamstwo jest nieustannym wyrazem życia, a prawda najdroższą cnotą. Ów Adam nowy, był najumiejętniejszym na scenie ludzkiej aktorem, Leonja najprawdziwszą z niewiast, ona niepojmowała fałszu, ani się go domyślała na świecie, i widzieć go w nim niechciała. Miłość jego, wielkość pozorną, przywiązanie wzięła za prawdę, i z oczów wybuchające uczucie przyjęła do serca spragnionego; wskrzeszając dla nich tę miłość pierwszą, której niedoschła gałązka zieleniała gdzieś w zakątku.

Kochała go jak aniołowie kochają się w niebie, on ją jak ludzie kochają się na ziemi, ona jak ideał męża, on ją jak pospolitą a piękną niewiastę. Nikt lepij nadeń zapalu i poezij grać nie umiał choć miał ich w duszy, sam aktor i wódz śmiał się z tego co mówił,

a słuchając go rzekłbyś że krwią i łzami płynęły słowa. Umiął płakać, umiał rozpaczać, umiał umierać na zimno; i grał dla niej dramat w którym ona płaciła uczuciem czystym jak złoto, on fałszywą monetą próżności ludzkiej i lodowatego serca.

## XXV.

Smutny to był i rozrzewniający widok, tego czystego uczucia z jednej strony, tej niepocziwej i szyderskiej miłości z drugiej, i anioł teoryj płakał z złamanemi rękoma nad jęj głową. Drżałem myśląc że czysta niewiasta upaść i skalać się może ofiarą wielką dla istoty, która nie była jęj godną; widziałem jak rozplómięniało się jęj serce, jak w nięj obudzał litość, jak ją rozczulał męczarnią, której niedoznawał, jak kłamał przed nią poezją, której w duszy nięmiał i kropli, którą pożyczal z kolei z podań, z xiąg, ze wspomnień— jak się dla nięj przebierał, istny zwierz dziki, któremu zima daje suknię śniegu, aby ofiara po jęj barwie niepoznała wroga.

le — Żadenże z aniołów w pomoc jęj nie przyjdzie! zawołałem zrozpaczony, żadenże syn niepowie jęj o niebezpieczeństwie? czyż do końca pozostanie ślepą i ufną ofiarą?

Duch który mnie utrzymywał w górze, westchnął ze mną i wskazał mi ręką ostatnią scenę tego dramatu, co serce boleścią przejmował. . .

Był chmurny wieczór jesieni, w dwóch ich zimnych aktorów siedzieli w pokoju zabijając nudy chorobą, ten porost zgnilych umysłów — rozmową szyderską i śmiechu suchego pełną. Kłamany Adam i drugi mu podo-

bny zwierzali się sobie pustych żywotów swoich, wywlekając czém by się pochłubić mogli. Czém się chlubią ludzie tacy? nie zwycięstwem nad sobą, nie ofiarą, nie wielkim czynem i myślą potężną, ale maluczkimi podbojami nieuczciwości, tryumfy nad słabością, czyjaś, zdrada i chłodem bezlitosnym.

W téjże chwili gdy Leonja płakała w swoim kątku myśląc o głębokiej miłości jaką czuła i wzbudziła gdy uniesiona uczuciem litości, gotowa była na wszelką ofiarę dla człowieka co uwieść tylko ją pragnął, gdy łzy jęj spadały na kolebkę, a serce rozerwane pękało między obowiązkiem a miłością, obok — ten któremu się chciała poświęcić, po cichu szydził z biednej niewiasty.

— Słuchaj, mówił do przyjaciela — znasz Leonję, prawda że cudna, jak anioł piękna i święta... otóż co do kobiety... Ja jęj nie kocham, ale rzucony w tę pustynię chciałem spróbować jak też niezwykłą jest ta cnota. — I zwyciężyłeś? spytał przyjaciel niedowierzająco lecz szydersko. — Nie jeszcze, alem już prawie zwycięzca, zawróciłem jęj głowę, szaleje za mną, wezmę ją gdy zechcę, wiem jak do kogo przemawiać, byłem poważny, przejęty, czuły, zrozpaczony, biedne kobiecisko, uwierzyła mi i kocha.

— A ty? zapytał przyjaciel. — Ja — bawię się, cóż chcesz, musiałem się czém zająć na tęp pustyni... ona tak piękna, ja tak znudzony — sam jeden. Boję się tylko żeby na serjo tego nie wzięła, ona mi wierzy i może wymagać.

— Ale godziź się to? przerwał drugi z oburzeniem.

— Pojadę, zapomni, one mają pamięć krótką, im serce czulsze, im boleś zrazu większa, tém później przechodzi.

— Krótko trwa czy długo? znasz że ty kobiety? kto wie? może jęj strujesz życie całe.

— Śmieszny jesteś, rzekł przyjaciel, alboż nie codzień tak na świecie się dzieje, że się uczucie odegrywa choć go w sercu niema.

— Ale jeśli obudzisz prawdziwe?

— Trwał ono? zapytał pierwszy, trwał ono w sercu kobiety, które chytyta gorąco coraz nowe, oplakuje straty i uśmiecha się zaraz przybywającemu gościowi.

Śluchając tych słów stygłem... ale w tej chwili ujrzałem anioła, który się spuścił ku niej, rozbudził ją dotknięciem sukni i przywiódł nie myślącą pod drzwi przez które miała posłyszeć dwóch przyjaciół rozmowę. Ona szła z postanowieniem poświęcenia się temu, którego kochała, z sercem pełnem miłości, zapłakana drżąca i stanęła wryta usłyszawszy szyderstwo z ust, które pocieszać ją miały. W ucho jej wpadł zrazu dźwięk którego nie zrozumiała, któremu uwierzyć nie mogła, widziałem ją jak żonę Lotową stojącą posągiem osłupienia... nie miała siły uciekać, stała, słuchała i napawała się goryczą, która z tych ust ukochanych spływała na nią powoli. Śmiech kochanka rozległ się w sercu jej wzdetém — krzyknęła i upadła.

— Ocalona! rzekł Anioł, i widok ten znikł mi z oczów.

## XXVI.

Drzałem gdy nowy obraz przed nami się odsłonił — męczennica siedziała znowu samotna u kolebki swego dziecka drugiego, modląc się, ale spokojna. Jój piękność powiększyło cierpienie, podniosła duma zwycięstwa i odwaga bojów codziennych. Obok niej ujrzałem tylko dzieci i tę istotę do której została przykuta przy-

sięgą zimną, szyderską... W cichłej izdebce spoczywała płacząc, a obok w oświetlonej sali szumiała zabawa, migwały światła, gospodarz domu przyjmował gości jak on szukających rozrywki, nasycenia, odurzenia się. Wzdrygnąłem się na widok zetknięcia tych istot tak różnych, czystej duszy zbolalęj, i odrzutków ciemności, co po kolana w kale ziemi chodzili. Co mogło ich zbliżyć?

Do samotnego pokoju wszedł zarumieniony mąż niewiasty, widać było że tylko co wstał od stołu, który słudzy sprzątałi... w salonie kobiety nieczyste gwarzyły, siedząc i leżąc po sofach, obok nich szeptali mężczyźni podpili i weseli... śpiewano, grano, a ta pobiesiadna chwila przypominała rzymską ucztę z czasów Cezarów. Kobiety były piękne, uśmiechnione a smutne, mężczyźni wycieńczeni a znudzeni, ale wszyscy udawali wesołość nie mogąc jęj przywołać.

— Czemu nie jesteś z nami? zapytał mąż surowo.

— Jestem słaba, rzekła kobieta... a miejsce moje u kolebki dzieci.

— Przy dzieciach nianki, odparł surowo mężczyzna, twoje miejsce jako gospodyni z nami, z gośćmi, u boku mojego.

— Jestem chora — Tak bo ci moi goście nie mili.

— Szczerze chcesz wiedzieć? tak — oni mi się nie-podobają...

— Co to jest? zaryczał mąż — jak? dla czego? że nie grają komedij cnoty? że nie spuszczaają oczów i ust nie sznurują? — to są moi przyjaciele... — Ale któż oni są te kobiety — ci panowie.

— Dosyć że ja ich przyjmuję — a więc, zawołał głośnieję, proszę z nami, pójdź pani, jeśli nie chcesz bym ją gwałtem poprowadził, i na Boga — z wesołą twarzą! proszę!

To mówiąc schwycił ją gwałtownie, z wściekłością prawie.

— Dość tego, rzekł, dość tych scen i udanych płaczów, czynisz się nieszczęśliwą by mnie obwinieć, cóż ci branknie?

Kobieta złożywszy ręce, milczała.

— Zaraz mi bądź wesolą, chcę — i każę!

I nie dając jój rzec słowa, wciągnął ją do sali.

Weszła jak męczennica do cyrku, a zwierzęta pobłądły przed nią, choć szyderskim mierzyły ją wzrokiem — ona nie śmiała podnieść oczów, bo rozpustę choć pozornie okrytą, wszędzie jój wzrok spotykał. Ścisnęły się ręce, szeptały usta przyrzeczenia jednodniowe, a w powietrzu woń jakaś sybarytyzmu polatywała... wstyd purpurą okrył jój czoło.

Mąż szydził z tego rumieńca niewinności.

— Zabawciez ją, wołał do przyjaciół, na ciebie kołój, odezwał się do najwstydlivszego i najslabszego z młodzieży, ręczę że tego dopniesz, jest w tobie zaród exaltacyi, ona to lubi, serca się wasze rozumieją. I rozśmiał się popychając wybranego przez siebie kochanka, który z poszanowaniem stanął przed tym zblądłym posągiem — łza może ostatnia w życiu, zaiskrzyła mu na powiece.

— A! daruj pani! rzekł.

— Myślisz że nie ładna, zawołał mąż — ale oczy zapłakane, ubiór zaniedbany, przypatrzo się tylko... co za kształty! żadna z pań, zakład trzymam, nie ma tak utoczonej nogi jak ona.

Biedna kobieta znowu oblala się rumieńcem, przytuliła do kątku, błagała napróżno litości wzrokiem pokornym, któryby rozbroił kata, ale nie mógł zwyciężyć oszalałego namiętnościami człowieka. Jój wstyd wydał mu się udaniem, smutek przeciwieństwem umyślném, i zmusił ją do pokazania nogi, przed którą nie godzien

był ucałować prochu po którym stapała. Chciała uciec zapłakana, ale drzwi były pozamykane, a kielichy szampa na cześć jój podniosły się ze stron wszystkich, ze śpiewem, z szyderstwem z jój łez i wstydu.

Z boleścią przypatrywałem się temu pastwieniu nad biedną istotą, w której ei ludzie wzbudzali wstręt i przestraszach, i zamknąłem oczy...

## XXVII.

Znowu mgła szara zakryła mi to zjawienie, nie widziałem nic, alem drżał. — Czegóż jeszcze w przyszłości spodziewać się dla niej mogłem? Ziemia nie już dać jój nie miała, a wstęga życia długą jeszcze była; bo śmierć nie przychodzi rychło tym co się modlą o nią. Anioł milczał i czując znużenie moje, bom się znów do piersi jego przytulił, dał mi spocząć i odetchnąć.

— Koniec że to jój żywota? zapytałem.

— O! nie! rzekł — to dopiero początek — niewyczerpała jeszcze czary goryczy do dna, a każde cierpienie zbroi ją i zastala na przyszłe. Spojrz, dodał rozpędzając obłoki skinieniem ręki — jak silna i promienista, jak wielka i mocna, choć ją jeszcze większe bóle i straszniejsze czekają ofiary.

Wśród tłumu ludzi, na który padł mój wzrok, jaśniała ona blaskiem nadziemskim, młodość jój zdawała się wiekuista, nieprzeżyta... i była piękniejszą jeszcze. Macierzyństwo obwiodło ją wieńcem odwagi, bo o swe dzieci codziennie walczyć musiała ciągnąc je ku Bogu, gdy ojciec porywał do świata. — I widziałem chwilę téj walki nieustannej, której ogromu domyślałem się tylko, walki skrytej, by ojca w obliczu dzieci nie upokorzyć i nie

ohydzić, a niemowlęta z pod wpływu wyrwać zgubnego, by uleczyć co chorobliwego wlewało w nie życie powszednie, widoki codzienne, przykład, słowo, duch domowy. — A było ich dwie w tym domu: męczennica w płaszczu purpury walcząca za dzieci przyciśnione do łona, i zalotnica kochanka, która do dzieci uśmiechała się zwodliwie macoszynemi pieśczętami, i żonie prawej kazała kłaniać się przed sobą. Potrzeba było uczynić ją przyjaciółką, by męża oczyścić przed oczyma ludzi, trzeba było dozwolić jej dzieci, a potem z serca ich wyrwać kłakol, który w nich zdradnie zasiała. Były chwile rozpacz i znużenia, ale w modlitwie i w widoku dzieci czerpała siłę Leonia, i upadłszy na chwilę gdy o śmierć błagała, wstawiała dla dzieci prosząc o życie. Sieroty z tym ojcem gdzie i jak zająć miały wiedzione ręką zalotnic po drodze różami ślonej? Trzeba było żyć i oddechem świeżym gasić truciznę wyziewu ust nieczystych, a czynić to tak, aby ojca nie oburzyć i przed światem nie potępić. Cudów dokazywało macierzyńskie serce pełne tajemniczój siły — słowa zwyciężało wejrzaniem, naukę zgubną uściskiem, pokusy dzieciom stawiane modlitwą. I dzieci ciągnione własnymi namiętnościami w jedną, siłą cnoty w drugą stronę, choć uśmiechały się ojcu, sercami szły za surową matką; bo je wiodła nie moc i potęga ludzka, ale siła łaski zesłanej w pomoc téj kobiecie.

I widziałem anioły jak zlatywały posłuszne jej, kierując krokami drobnemi dziećmi, osłaniając je skrzydłami swemi, odpychając od uszów ich mowy zgubne, od serc namiętności zarody, od piersi niepokój żądz. Zatulowały im oczy, zamykały usta, a przed wzrokiem otwierały niebo by odwieść od ziemi.

Gdy tak zatopiony w tym widoku cierpiał z nią i modlił się, przeżyłem żywotem jej lata długie, które w mgnieniu oka przeszły dla mnie widomo w najdro-

bniejszych szczegółach, policzyłem jój łzy i chwile zwątpienia, wartość odwagi i walki, całe to pasmo nici złotych z których utkana była wstęga jój życia krwawymi wzory przesyta. Ile tam było poświęceń, ile upokorzeń, ile ofiar cichych, ile zaparcia! któż policzy? a w kolo wciąż szyderstwo, obojętność tylko i uśmiech litości jak nad słabością, jak nad omyłką! Omyłki te były bohaterstwy i poświęceniami, były pobożnemi kłamstwami i upodleniami dźwiganemi mężnie na wysiłonych barkach.

## XXVIII.

Widziałem ją znowu osamotnioną, potem wrzuconą w świat wśród którego on swobodniej mógł namiętnościom dogodzić, unikając zarazem tej smutnej twarzy, której wszystko mógł nakazać prócz uśmiechu i wesela. Ta twarz przerażała go wiekuistym milczącym wyrzutem, budziła gniew i złość, które w dziko namiętnych rodzi zawsze surowsze oblicze enoty.

Potem znów została sama z dziećmi, opuszczona ale swobodna całe dnie, nocę całe. On powracał niekiedy oszalony namiętnością przynosząc z sobą z tego świata w którym przebywał, woń dziwną, wrażenia i mowę niepojęte, jakąś wesołość niezdrową graniczącą z wybuchami gniewu, jakiś śmiech szyderski i zimny, jakieś odurzenie zwierzęce, lub osłupienie martwe. Wbiegał do żony i onieśmielony jój powagą i spokojem przy których gorączkowy stan jego dziwniej jeszcze odbijał, wysiłał się aby ją nastroić do siebie, ściągnąć z błękitów ku sobie, gniewając się, że niechciała, że nie mogła być jak on dzieckiem ziemi. Na ówczas wszystko

go w niej gniewało, drażniło, jój powaga stawała się dlań chłodem, jój przywiązanie uprzykrzeniem, słowa natręctwem, milczenie obelgą, a im z większą przystępowała pokora, tém więcej się rozjadał zowiąc komedją, co było nieszczęściem i rezygnacją. Dzieci mu się przykrzyły, dom zdawał nudny, i w tój atmosferze ciężej wytrwać niemogąc biegł znowu za domem w nieczystém źródle rozpusty szukać nasycenia, którego nigdzie dlań niebyło. Namiętności są jak trucizny palące wnętrzości, które budzą pragnienie nienasycone i wywołują śmierć; ale niema napoju coby żar ich ugasić potrafił. Leonja łajana milczała, chłostana urągowskiem spuszczała oczy jak winowajca, a jeśli łza pokazała się na jój powiece kryła się z nią, bo wiedziała, że dla tyrana i ona przeciw niej będzie orężem. W tój walce niestworzonych dla siebie istot sływały dni długie i straszliwe, a dramat ten pokryty dla oka ludzi cieniem pokoju i szczęścia tem był straszliwszy że chodził w szatach wytwornych i stroił się, a uśmiechać musiał.

Jój już nie szło o siebie, chciała tylko ocalić dzieci tuląc je do piersi czystej, ale i tego jój broniono, one widziały, czuły a wybrać jeszcze nie umiały między spokojem religijnym [placzącj matki, a burzliwą wesoloscją i pieszczotami ojca. Słowa jego psuły w chwili robotę lat długich, zabijały świętości pielęgnowane, chwiałały najczulsze osłonki cnoty.

Każdego dnia człowiek ten powracał pod dach niechętniejszy i bardziej znużony, i co było w nim skutkiem jadu namiętności składał na karb tój kobiety, męczył się i mękę swą ręką własną rzucał jój w oczy. Ona milcząc cierpiała. Nareszcie ujrzałem go padającego na łożu boleści, złamanego chorobą okrutną i przerażającego zniszczeniem, jak Łazarza okrytego wrzodami, walczącego z pragnieniem życia. Wszysey go odstąpili

przyjaciele i przyjaciółki, przestрах ogarnął towarzyszków swawoli i współbiedników życia, jedna żona pozostała przy nim stróżem i towarzyszką.

Pusto było w tym domu, który przed chwilą wesołemi śmiechami się rozlegał, gorzkie owoce żywota ziemskiego napelniały spalone usta człowieka co cierpieć nie umiał, a wśród boleści zżymał się, porywał, rozpaczał, do modlitwy dojść nie mogąc. Męczennica jedna z nim ten kielich podzielała bez wstępu, bez szemrania, z radością prawie że nareszcie potrzebną mu się stała. I jakby sobie u Boga wyprosiła zamianę cierpienia w miarę jak on się dźwigał i zdrowiał, ona słabnąc i boleć poczyniała. Wstał a jego łoże zaległa niewinna istota, która oddechem wciągnęła w siebie jad choroby — przy niej nie było nikogo prócz aniołów co nad łożem czuwali. Z poddaniem się przyjęła zesłańce i przez chwilę uśmiechała się jój śmierć bliska... ale godzina próby ostatniej nie wybiła, mimo konania, nie umarła, wstała wycieńczona tylko, by żyć i cierpieć jeszcze.

## XXIX.

Wszystko co może przecierpieć człowiek przebyła, zdawało się że nie dla niej niepozostało na dnie kielicha goryczy; opuścili ją rozpędzeni krewni, osamotniała, jedną dziecinę porwał anioł i przeniósł do niebios zawczasie, nie miała przyjaciół, a prześladowcę zawsze u boku, patrzałem na każde poruszenie jój serca, na uśmiech omdlałe rozjaśniający wargi, i z uczuciem poszanowania schylałem głowę przed tą istotą tak nieznaną a tak wielką.

— Oto jedna z istot zawołał anioł, jakich na okręgu

ziemi kona co chwila tysiące; nikt ich imion niewie, nikt grobu ich niezna, a nikt prócz Boga nie policzył co cierpiały. Wśród tłumu obojętnego ziemi towarzyszami ich anioły, opieką ich święci, a gdy wylecą z powłoki wprost idą spocząć na łono ojcowskie, u tronu wiekuistego spokoju. Królestwo ich nie jest z tej ziemi, pojmujeszli dla czego cierpiały... aby się niepokalały ziemią, aby się nie przywiązały do niej, aby się oderwały od żywota i rozpromieniły ofiarą, obmyły łzami na ucztę nieśmiertelności. Daj im szczęście ziemskie a zabijesz ich i upokorzysz, słabi ulegną mu i upadną, dolina próby będzie dla nich przepaścią zatracenia. Boleść jest dla nich lekarstwem i zbroją.

Mówił a jam płakał po cichu jako dziecko ziemi, które okiem wyżej podnieść się nie umie, a liczy tylko chwile znikome i razy poniesione i krew sącząca się powoli — bolałem nad tem co było zbawieniem dla męczennicy, bom inaczej nie mógł. Słaby nie podniosłem się jeszcze nad wyziewy doliny z którą łączyło mnie ciało, i oko po nad nią nie sięgało wyżej. A gdy mgły rozbiegły się znowu i nowy obraz okazał się oczom moim drżałem jako woda w strumieniu, obawiając nowego widoku męczeństwa, gdy i tak przesycona niem była dusza moja.

I dano mi było po tych dziejach próby, ujrzeć godzinę wyzwolenia godową, wybranej istoty. Chwila jej ostatnia odpowiadała życiu, łoże samotne, cisza i pustki otaczały, dzieci sen zmorzył, a ona ich budzić nie chciała dla pożegnania choć czuła śmierć odrętwiającą powoli. Piękność jak szata oblubienicy okryła oblicze jej białe, czyste, pogodne... modliła się, modliła za dzieci stojące nad przepaścią, nad którymi Boga i aniołów widziały jej oczy. Jeden kapłan starzec czuwał u wezglowia z torebką podróżną, w której przyniósł jej... ciało Pana: jedna lampa gorzała w kątku, męża jej nie

było... pociągnął go świat i powiedział sobie odchodząc, że ona nie umrze, że udaje chorobę aby go odciągnąć od zabawy.

Anioł i kapłan byli przy niej, przez otwarte okna uśmiechała się wiosna, dochodził śpiew słowika, woń bzów dokwitających, jaśminów i rosą oblanej trawy skoszonej... nie nie słychać było prócz rzeźwych głosów poranku wzywających do życia, i kapłana modlitwy i pacierza umierającej. Koniała powoli z przytomnością i siłą... oczy jej zapalały się blaskiem potężnym, usta układały się w ostatni uśmiech do trumny, czoło wypogadzało jak niebo nad zachodem, krucze włosy rozplątane strumieniem czarnym oblewały do koła cudny ten owal, który co chwila bledszym i podobniejszym do marmuru się stawał.

— Dzieci moje, wyszemrały usta — Boże mój dzieci moje!

A kapłan podał jej w tej chwili krzyż, i pojęła całując go, że one mają ojca, że się do świata nawet miłością dla nich przywiązywać nie była powinna, gdy duszę jej wołał ojciec wspólny na łono spoczynku. Przyciągnęła do ust Chrystusa i powieki jej spławiające oczy pełne życia jeszcze przymknęły się wyciskając ostatnią łzę, która na zziębłym obliczu potoczyła się jak perła — Widziałem wówczas z powłoki ciała zastyglęj a cudnie jaśniejącej czystości rysów niepokalanych ulatującą duszę i anioła, który ją przytulił bratersko i promień jasny po którym strzałą wzniesli się ku niebu.

Z temi samemi rysy, które miała na ziemi poleciała do Boga — ale weselsza, rozpromieniona, jasna i ściągając ją oczyma widziałem długo, długo, białym cieniem potem gwiazdką jasną, potem punktem błyszczącym, aż jasność jej zlała się w niebiosach z luną bijącą od tronu Bożego, i stopiła się w światłościach. Znikome zwło-

ki, „ten posąg wzniesiony zgasłej duszy\*) pożarła ziemia i zieloną okryła mogiłą. Wiatr przeleciał i stał szczątki tego smutnego obrazu, jam pozostał w zachwycie sił smutku, sił wesela i płakałem. Czemu? niewiem.

Żal mi było téj istoty do której się przywiązałem, której już nie miałem ujrzeć na ziemi.

### XXX.

Anioł uniósł mnie dalej za sobą, pod stopami naszemi kłębiły się mgły, obłoki, wyziewy, a z między nich kiedy niekiedy ukazywał się to uśmiechający kątek świata, to czarna rola krwią zbroczona, to ktoś żywy sam w pustyni, to tłumy ludzi popychające się i walczące z sobą.

Skrzydła anioła niosły mnie dalej, a dalej, i nie zatrzymały się aż nad porosłą chwastem mogiłą, na której przed laty ręka czyjaś przygotowała była pomnik zmarłemu. Jakby na szyderstwo te głazy wyciosane, zrzucone były bezładnie obok kupy ziemi, którą litościwa wiosna pokryła zielonym kobiercem. Ten pomnik nowy nigdy nie został wzniesiony, wśród pracy około niego pamięć ostygła czy ludzie zobojętnieli i bryły te pozostały tak przy grobowcu okrywając się mechami, i rozsypując w gruz nim się wzniosły.

Inne przeżyły choć tyle ile żyją groby i pamiętniki, ten w kolebce umarł i rozsypał się, nim był postawiony. Na tablicy niebyło imienia, znaku, daty, a dziwne hieroglify śmierci wyjadła wilgoć, powygryzały mchy, pokreśliły spływające wody, pisząc słowa które Bóg

---

\*) Jean Paul.

tylko potrafiłyby wyczytać. W stosie kamieni, które jeden dzień zrzucił na jutro odkładając budowę pomnika, co nigdy istnieć nie miał i stał się od razu ruiną — bujne rośliny powystrzeliwały do góry liśćmi zielonemi przeciskając się przez szpary, wijąc się w wieńce, splatając w wiązanki, pochylając w różne strony jakby się ulitowały gruzom i ocienić je a oszczędzić chciały. Grób to był nienarodzony a zniszczony, a obok niego to miejsce, które życie człowieka zamknęło w sobie, wkleśłe i zapadłe... było jako blizna która powoli zaciąga się i goi. Przy nim stały pomniki różnej wielkości i budowy, różnego pozoru i znaczenia, proste krzyże drewniane obok spiżowych tumb, marmury i cegły, pruchno i błyszczące złociste ozdoby, jedne świeże jeszcze i połyskujące, inne zezerniałe i pochylone... otoczone kwiatami, opasane chwastem.

Gdym okiem osmuconém spozierał na to pole pobojowiska, a niemógł przebić okiem skorupy ziemi, co tyle żywotów pochłonęła i pożarła — wiatr się zerwał nad cmentarzem i rozwiął tuman unoszący się nad nim, w blasku promienia który padł z góry zobaczyłem gdzie niegdzie unoszące się postacie białe napróżno usiłujące od grobów dźwignąć się ku niebu. Jeden powiew podnosił je nieco, drugi strącał na ziemię, niemially skrzydeł lub złamanemi próżno podnieść się pragnęły, strącone upadały na mogiły i leżały na nich znużone.

U niepostawionego pomnika w kupie rozsypujących się kamieni leżał duch zgnieciony bezsilnością, niemożąc od niej się dźwignąć; niewidziałem jego oblicza, bo je miał osłonięte całunem, słyszałem tylko wśród ciszy jak ciężko rozbita pierś jego dyszała, i wyrazy przerywane dochodziły uszu moich.

— To jeden z tych, rzekł anioł, co żyjąc na ziemi sercem się do niej przywiązali, namiętnościami do niej przykuli, i choć dusza ich pragnie spokoju, i powrotu

na łono Boże, niema siły podlecieć ku niemu. Patrz jako się męczy ten człowiek w zapasach z pamięcią żywota i jasnym niebios widzeniem. Otwiera się przed nim to niebo, spogląda w raj, a więzy które sam ukuł trzymają go przy kupie zgnilizny i rozsypanej szacie znikomój.

Gdy podniósł głowę ujrzałem piękne ale znużone oblicze człowieka jakby mi od wieków znajome, jakby braterskie, niemógłem przypomnieć gdzie je widział, czy w wędrówce po ziemi czy w snach niebieskich, czy przeczuciem żywota i téj chwili. Była to mara człowieka co ucierpiał wiele, — bo się nigdy od stworzenia ku Bogu podnieść nie umiał, choć Boga pragnął, choć prawdę kochał, choć piał się ku wielkiemu i czystemu. Życie przeszłe malowało się w rysach widma jak w księdze i czytałem je jasno jakbym całe jego pasmo rozwinął.

— Codzień, rzekł anioł, męczennik ten na nowo przeżywa żywot swój i przechodzi jego koleje — patrz i ucz się.

### XXXI.

I stał się poranek chmurny, a duch zwlókłszy się z grobu swojego posunął daleko od cmentarza, aby się dręczyć odnowioną przeszłością. Życie to nowe dzieścikroć było straszniejsze od dawnego, bo przez nie z końca w koniec widział skazany następstwa, zawody, koleje fałszu i to co miał ściągnąć na siebie — i w stare idąc błędy szedł chłodno pojmując że grzeszył. Taką była kara i oczyszczenie jego na które sam się

wskazał żywotem; ale zakreślona mu miara wyczerpywała powoli te męczarnie.

Za każdym zwrotem do starego życia ubywała zeń chwila, skracała się przestrzeń między kolebką a grobem, każde nowe przyjście było lżejsze... a jednak ylekroć powtórzone życie, jak być musiało ciężkie i z jaką tęsknicą powracał duch do niego, z jakim wysiłkiem je kończył, by na nowo z jutrzeńką rozpocząć.

Był to jeden z rycerzy ducha. Widziałem go rodzącego się z płomykiem u czoła i gorącym wejrzeniem, z rozwartymi ku światu ramionami i bijącym sercem, młodości jego poklaskiwał ogromny orszak otaczający. Dziecię z drugiej rozpowite kolebki wybiegło w świat otoczone staraniami, karmione i pojone czém ziemia miała najwybrańszém, cheiwe wiedzy, rozkoszy, wrażeń, wszystkiego razem najczystsze i najpłomienistszego. Pukle włosów jasnych otaczały mu skroń wydętą jakby myśl co w niej mieszkała rozsadzić ją chciała. Był to maluczki król stworzenia co się czuł za wezasa panem i dla gospody w której panował zapomniał o wiekuistej ojczyźnie. Z dziecka wyrosnął młodzieńcem i z podniesioną skronią poleciał w świat który doń wyciągał ręce.

Wszystko co los może dać szczęśliwemu on miał, co inni zdobywają powoli i mozolnie, jemu przyniosła dola w darze do kołyski, imię, bogactwo, znaczenie, nawet płomyk geniuszu. Namaściła mu usta poezja, rozjaśniła oblicze piękność, urok czarownicy twarz opromienił, urok mu okolił serce, słowo jego porywali, płomień co go palił rozgrzewał najzimniejszych — zdawało się że jak zwycięzca na wozie tryumfu przejedzie przez tłumy do wielkiej akropolis nieśmiertelnych...

## XXXII.

Ujrzałem go naprzód promieniejącego tą wielkością i mówiącego w sercu — jam jeden | z wybranych — wdziwiającego na się purpurę dumy i podnoszącego czoło po nad gmin a głos po nad wrzawę, gotującego się wywoływać prawdy wielkie.

Ale w nim duma struła wszystko, samolubstwo rzuciło go o ziemię, słowo co miało proste a wielkie lecieć z duszy, odziało się też samą szatą purpurową dumy co on i z niej się rozdziać nie mogło. Mówił już dla oklasku nie dla apostołstwa, śpiewał nie uczucie ale próżność swoją, a gorączka panowania w świecie ducha i słowa objęła go płomieniem pożerczym.

A była iskra świętsza w tej istocie upadłej zbytciem siły, i były dlań chwile porywów wielkich, w których się odzywał słowem natchnioném, z serca wytrysła łązka tęsknotą potężną, zgryzotą możną — ale tuż zaraz zwracała mu się głowa uwieńczona i śpiewał sobie hymn chwały, gdy powinien był ukorzyć się Bogu — a gdy ludzie niesłuchali go sypał słowy i obrazkami, dźwiękami i przekleństwami aby ich ku sobie pociągnąć, i stawał się przez dumę dzieckiem ziemi, gdy pokora była by go uczyniła synem Bożym.

Widziałem go przeżywającego tak na nowo chwilę, która mu dana była, silnym młodzieńcem, potem dojrzałym mężem... co rozpoczęła młodość dopełniły lata późniejsze, zamiast oczyszczenia dumniał tylko i rósł chorobliwie jak owi ludzie których ciało wzdyma się, obrasta duszę w nich zasklepioną i czyni kalekami ociężałymi — Tak duma czyniła go kaleką na duchu, i zamiast wyrosnąć w olbrzyma, przerabiał się na opu-

chłą istotę, co się dźwignąć nie umiała... odziana codzien grubiej narastającą skorupą.

— Cożem ja, mówił sobie wielkimi stąpając krokami i uderzając się w czoło — anioł upadły? zesłaniec Boży? istota znamieniem wielkiem napiętnowana w kolebce, posłannik apostoła? czemu ci ludzie nie klęczą przedemną? czemu nie zegną karków? Czuję w sobie ogień święty i jasne widzenie świata i dłoń do stępu stworzoną i usta do roskazywania stworzone. Dla czego sprzeciwiają mi się i kto godzin stanąć przy mnie, obok mnie, ze mną? Jam wielki jako żaden, a zwyciężyć ich nie mogę.

Zapomniał, że tylko potwora zwycięża, tylko ofiara podbija.

### XXXIII.

Szedł tak i padał i podnosił się — aż oko w oko spotkał się z kobietą, która mimo niego przeleciała, pochwycił ją wejrzeniem i przytulił do siebie. — Była piękną lecz krasą nieziemską, która jest jakby niebios wspomnieniem, w oczach jej błyskał promień miłości ożywiony łzami, w ustach uśmiech dobroci niewyczerpanej. Spotkali się i rozstać mieli, bo ich dwa silne łańcuchy pociągały w dwie strony przeciwne, ale on stanął i rozkazał się jej zatrzymać. Posłuszna niewolnica ukłękła przed panem, a pan upadł przed niewolnicą i śpiewać jej zaczął pieśń miłości, panowania, swe sny, swą dumę, nadzieje i wielkość swoją, a świat umilkł i słuchał chwilę tej pierwszej pieśni, która się we wszystkich rozległa sercach.

— Co ona zwiastuje? pytano — czy wielkiego poetę, czy wielkiego męża? Ona zwiastowała tylko namiętność wielką i dumę olbrzymią; ale szaty jego były tak świetne, blask tak wielki, dźwięki tak brzmiące mile.

U nóg kobiety poczęte u stóp jej powoli płynęło to życie, chciał wstać i niemógł pójść dalej, ale rozklęczały dźwignąć się nie miał siły, — śpiewał co miał czynić, a nie czynił nic . . roił co jutro wstawszy pocznie, jutro znowu te same oczy więziły go w kole marzeń i przykuwały do tegoż co wczoraj pręgierza. Jutro, mówił, pieśń skończę, a życie rozpocznę — ale życie było skończone, a pieśń jedna i jedna powtarzała się codzień.

I siedzieli tak w milczeniu, utęsknieniu i znużeniu oboje, miłość ta była wielkiem cierpieniem, lecz gdy jej pęta chcieli potargać, łańcuch bolał więcej jeszcze, ostygłe nadzieje ożywiały się, wspomnienia chwytaly ich swemi szpony, i nie dawały im się rozstać.

Piękne czoło poety pokryło się zmarszczkami przedwczesnemi, oczy zagasły, ale duma świeciła w nich jeszcze. I jak do barłogu Hioba przyszli doń przyjaciele i mówili — Tyżci to, wstań a idź i czyn.

A upadły odpowiadał im obłąkany:

— Miłość moja sama czynem jest, życie moje miłością, słowo nasieniem, czego więcej chcecie odemnie? Nie pójde dalej, bom u celu i kresu.

Wówczas osmucili się druhowie i stali w koło z opuszczonemi rękami mówiąc — Tyżci to czy cień twój? gdzie wielkie twe czyny, gdzie siły? gdzie panowanie nad sobą? gdzie królestwo i berło twoje?

A słowa te nie do jego serca, które duma zasklepiała, ale do duszy kobiety trafiły, i powiedziała sobie, że jest dlań brzemieniem, zawadą, że powinna uczynić ofiarę z siebie i odejść, by go uczynić silnym. Wstała więc targając więzy i uciekła, ale oswobodzony padł

w tém miejscu które zajmował szczęśliwy i nie poszedł już dalej.

Chwila ta namiętności wyssała zeń skarby życia, nogi drżały, czoło się chyliło, dłoń zmiękła, nie pragnęła pracy, usta powtarzały jedne słowa, a serce dumą tylko wzbierało. Pieśni próbował i dawną tylko nucił ustami nie duszą, bo w nią już sam wierzył, a im chłodniejszą była, tém więcej stroił ją i wdzięczył, i jak do trumny dziecięcia sypią kwiaty, tak on ją w najpiękniejszą odziewał sukienkę.

#### XXXIV.

Przeszła chwila długa, gdy mi znów nań anioł wskazał, był to skelet przeszłości, istotna mumia zeszyła na sercu, zbiedniała, a czująca się jeszcze wielką, choć czynem nie mogła już dowieść posłannictwa swego. Rozdrażniony rzucił jeszcze słowa, ale chłodne choć wielkie i błyszczące, potem umilkł obwijając się szatą, którą uszył na całun grobowy. Życie za karę stało się dlań pasmem maluczkich, i pospolitych powszednich męczarni, w sprzeczności stając z pieśnią, którą głosił. Pieśń opiewała miłość, życie dało mu za towarzyszkę istotę, co wielkiego i gorącego przywiązania pojąć nie mogła, cichego anioła bez skrzydeł, truchlejącego przed panem, lecz niepojmującego pana; pieśń pragnęła dramatu, życie osnuło mu pospolite i chłodne sceny pokoju i ciszy; śpiew zwiastował uczucie, a w sercu ono wygasło, obiecywał czyn, a dłoń go dopełnić niemogła — i otoczony wszystkim, co na ziemi nazywa się szczęściem, stał się męczennikiem słabości i dumy.

I rozdziwił się biedny na powszednią istotę i wielkiego męża, w pieśni będąc olbrzymem, w życiu najpospolitszym z ludzi, a w sercu jego rozpoczęła się ta walka nieskończona niewiary i dumy, wielkości i znikomości, upokorzenia i żądzy sławy, ciszy grobowej i pragnienia rozgłosu. Z każdym dniem tylko dźwigał się myślą i stawiał sobie wyżej coraz ołtarze, przed którymi codzien ubywało czcicieli... jedna tylko niewiasta cicho podsycala płomienie gasnące. Życie marniło i roztopiało się w tém morzu łez niedopatrzonych, i oblicze schło i oko gasło, aby wejść na drogę działania nie było już mocy, odwagi, może nad wszystko pokory.

— Ja miałbym mięszać się z tłumem! mówił w duchu! ja wybrany! Niech mnie otacza, niech przyjdzie pod stopy moje, ja ku niemu wynijść nie mogę.. jam prorok i wieszcz, głos mój siłą i czynem moim, słyszą go z za chmur.. niech przyjdą i biją czołem.

Ale nikt nie przychodził, i wielka pustka rozciągała się wkoło tego stosu rozpalonego próżnością i pożerającego się powoli. Wiekuistym monologiem płynęło to życie, które się rozpoczęło hymnem zwycięstwa i obietnicami niepoścignionemi.. ten Hamlet nowy jak lew w klatce chodził i pytał siebie — czém jest? czém będzie? co przed nim? co w koło? Palił się dumą swą a łąą zgasić już tego pożaru niemógł. O! gdyby łąa jedna! i jedna chwila pokory.. one by okupiły życie całe i odrodziły go może.

Widziałem go chodzącego samotnie, oddzielonego od rodziny, obwarowanego wielkością swoją od przystępu ludzi i chwytającego się za skroń wyłysiałą, szukającego na niej wieńca poety, cierni męczennika, a znajdującego tylko nagaą czaszkę wycieńzonego życia w człowieku... Wieńce się osypały, cierni nawet rozplótł i upadł.. boleścią wielkim być nieumiał!

### XXXV

— Wy nań patrzycie w zdumieniu, rzekł anioł, a stróż jego niebieski płacze — spojrzij jak odepchnięty unosi się nad nim ze złożonemi rękoma usiłując mu poszeptać słowo które od uszu jego odlata i pada. Dla was to istota wybrana, dla niebios nieszczęśliwy obłąkaniec, w waszych oczach ta duma to uczucie siły, dla nas to oznaka słabości, wielkie pragnienie i niemoc; dla was to bohater niepojęty, dla aniołów to dziecię oszalałe.

I gdy maluczki a pokorny którego on popchnął w swój drodze, uleci czystą duszą ku niebu, on się tu błąkać będzie musiał dopóki nie spożyje grzechu pokutą ducha, który zawinił.

Patrz jak upada powoli, jako milknie, jako zapomnienie go odziewa, a miłość własna zżyma się w tych okowach nieznośnych, opuszczają go wszysecy, a zimny uścisk ziemi obejmuje, umiera z boleści nieznaną czując się już małym a głosząc wielkim i potężnym.

### XXXVI

— Otóż ostatnie słowo tego życia, rzekł anioł pochylając się ze mną ku ziemi nad którą wieczór letni w chmurach porwanych w szaty czarne przelatywał.

Niebo było straszne, zaiskrzone, czerwone, miedziane, złociste . . na jego ognistém tle jak plamy rozpierzchły się obłoki ciężkie, dziwnie porozrywane i podarte. Tu i owdzie daleki blask jakby pożarnej luny jaśniał z po-

między tych czerni ruchomych żeglujących po niebie. W samotnym domie, na którego czole nie napisane nie było krom troski o ład i czystość, ubezpieczające jutro w domu chłodnym i pospolitym, w ciemnej izbie na bogatym łożu konał powoli ten człowiek co żyć nie umiał. I nie mógł się skarżyć na życie, bo mu ono dało wszystko co dać mogło . . . odmówiło tylko ubóstwa, ciernia i boleści, a otoczyło na przekor dostatkiem, ciszą i miłością. Cierpienie byłoby go zbawiło, podniosło, uczyniło bohaterem, szczęście odjęło siły, zabiło. Ilekroć chciał się wyrwać z objęć jego, ciało niedopuszczało rozpieszczone i umysł szukał dla brata wymówki. Jutro miał być wielkim dopiero, ale to jutro coraz się dalej usuwało . . . mówił potem, nareszcie i słów zabrakło — duma już go niepotrzebowała.

— To życie jednego ze szczęśliwych i wielkich, rzekł anioł — od kolebki otoczone tém, co tylko zamarzyć można na ziemi, ale je rozkosz łamie, ale je szczęście zjada i rozgryza na szczątki . . . ale go duma pożera i ryje . . . człowiek schnie, wyżywa się, ginie.

Żnaszli teraz wartość boleści? zapytał duch — spojrzj i ucz się jako niepojmujecie świata, tego co nim rządzi, co się złém i dobrém nazywa.

## XXXVII

Nadeszła chwila zgonu uroczysta . . . łoże jego otaczały istoty ciche, maluczkie, przywiązane, mileżące, ale ich uczucia niewystarczały człowiekowi, któremu oklask świata i żaloba narodów były jeszcze za małe, bo się w swém sercu ukoronował za władzcę i pana. W tej chwili zbliżania się do Boga, cały żywot przesunął się

fantasmagorya, przed oczyma jego: młodość, ukochane istoty, obietnice życia, pieśni, marzenia, i powiędłe wianki i szczątki wszystkiego co żyło. Wszystko miał, wszystkiego użył, wszystkiem wzgardził, nie nie uczynił... konał zmożony sobą.. brzydząc się wreszcie bałwanem którego wykuł, milczący, zasklepiiony, duszą się jeszcze nie mogąc podnieść do pokory.. A konanie było powolne, i ciężkie, młodsza od ciała dusza wyniść zeń niemogła, nie chciała.. pękły więzy.. i duch uleciał w przestrzenie, ale upadł z wyżyny i uwiązał przy grobowcu, na którym ani bluszczu, ani monumentu nie było, ani odgłosu pieśni co miała być nieśmiertelną.

Staliśmy jeszcze w powietrzu nad mogiłą upiora który powrócił do niej, i przyrosłe do ziemi stopy próżno chciał od niej oderwać — chciał krzyczeć, usta niedały głosu, westchnąć, piersi mu brakło, lecieć, a skutki upadł na grobowisko swoje.. Litościwy anioł stróż odepchnięty za życia spuścił się nad to łożo boleści i przytulił do piersi skroń rozbitą, szepejąc mu słowa leczebne pokory i modlitwy.. Mgła biała obwiała obu i straciliśmy ich z oczów.

### XXXVIII.

Podnieśliśmy się wyżej i ulecieli dalej, a wszędzie w przestrzeniach niezmiernych napotykałiśmy zastępy duchów krzyżujące się nad światem widowym niewidomie dla ziemskiego oka.. im wyżej, tém czystsze one były i wybrańsze.

W różnych warstwach eteru spoczywały i oczyszczały się podróżujące dusze, którym służyli aniołowie jako im służą na ziemi i ożywiali je tchnieniem swém, i koły-

sali modlitwą. Ulatujące z ciał znikomych dusze potrzebowały téj kąpieli niebios, aby zmyć z siebie pleśń ziemi i pozbyć jój zaprzątnień i myśli, jój przywiązań i słabości.

Jedne już rozjaśniał uśmiech niebieski szczęścia, drugie jeszcze obłoczek smutku ziemskiego otaczał i oczy ich usiłowały przebijać przestrzenie dalekie, sięgnąć na ten świat, na którym pozostawiły drogie sobie istoty i miejsce i powłokę śmiertelną, z którą się niepotrafiły rozstać bez żalu. Za niemi leciały jak wyziewy wspomnienia, jak para, lzy ludzi, i obciążały im skrzydła i wstrzymywały w polocie.

Prąd wielki podniósł nas wysoko, wysoko, i od jasnych przestrzeni tron Boży otaczających, odlecieliśmy z nim w sine głębie dalekie, wśród których coraz rzadziej a rzadziej spotykaliśmy dusze błędne. I ciemno było w tych eteru głębiach, i ciemno, oko tonęło w niezmiernych ich przepaściach, cichych, zastygłych, graniczących gdzieś z nicością. . . Tu już niebyło ani aniołów, ani duchów, ani życia, cisza grobowa, nieskończona . . . pustynia bez krańców. Zastygłem rzucony za światy i objąłem anioła przewodnika bojąc się by mnie tu nie rzucił nieszczęśliwego w stronie, od której się oko Boże odwraca i duchy nawet nie lecą, a nie przerywa ciszy umarłej i ciemności nieprzebitej! Strach wielki mnie ogarnął aż drzeć począłem i pot zimny oblał skroń moją, a anioł promieniem oka, wskazał mi w téj pustyni żywą istotę wygnańca.

### XXXIX.

— Czém jest to piekło i czyściec, rzekł anioł, które wy sobie waszemi barwami malujecie, przy tém, które

dusze same gotują sobie życiem i grzechem? Spójrzysz a powiedz mi, jestli męczarnia nad tę? Do koła pustynia i milczenie, ani ducha, ani duszy żywej, ani węzła, coby z jakim łączył światem, odrzucenie, zapomnienie, samotnia w grzechu i upadku.

Sprowadź tu roje szatanów, zadaj mu tysiąc męczarni, a one niewyrównają temu odepchnięciu wiekuistemu w jakim zostaje ta dusza.

— Jestli to piekło, zawołałem.

— Nie! rzekł, uśmiechając się anioł — piekło to nic, to śmierć wieczna, to zniszczenie nieśmiertelnego — jest to kraniec piekła, miejsce próby, stanowisko oczyszczenia dla duszy upadłej. Ona się tu trawi w sobie i pożera, aż dopóki wszelkiej słabości niepozbedzie, nie oczyści, nie usposobi do zbliżenia ku Bogu. Powoli uz tej głębiny zstąpi w jaśniejsze strefy i ujrzy duchy i uczuje się nie samą jedną ale znów w ogniskach żywota. Największe męczarnie będą dla niej słodkimi po tym odrzuceniu i ciszy śmierci, w której godziny zdają się wieków milionem, — a lata wieśmiertelnością piekielną.

Duch skazan na oczyszczenie przez ciszę i milczenie zawieszony był w przestrzeni siłą niewidomą, oślepy, głuchy, nieruchomy... w głębi niego tylko kłębiły się myśli i wspomnienia ziemi — zgrzyoty i pragnienia.

— Cóż to za wielki zbrodzień? — spytałem zdumiony.

— Ten ci to sam, którego widziałeś na mogile, przeniesiony tu prawicą Wszechmocnego dopóki dumy swój niepożre, i nieprzetrawi się, osnuty nią, a niewyleci z niej jako motyl, z okrywającej go skorupki. Ale ile lat potrzeba, aby jad co duszę przeżarł, wypić pomału i oczyścić się w osamotnieniu z dumy, odepchnieniem i ciemnością z próżności, ciszą grobową z chwały? i

co się tam dzieć będzie w tej duszy nieszczęśliwej przez lata próby i oczyszczenia?

Módlmy się za niego.

Kłękliśmy w obłoku i modlić się zaczęli, anioł złożył mi ręce i usta nastroił, i widziałem jak modlitwy nasze poruszyły te nieme, zastygłe stery, wietrzykiem doleciały do odepchnionego i ochłodziły mu skroń — poczuł się nie tak samotnym i zadrgał.

— Lećmy, rzekł anioł, aby się nie sprzeciwiać wyrokowi Bożemu, który go skazał... otośmy i tak przerwali ciszę, i kto wie? może odnowili ranę, może zwiększyli boleść?

Odetchnąłem, gdy stopniami z ciemni szafirów spuszczać się poczęliśmy znowu w jaśniejsze, choć mgłami ziemi odziane przestrzenie oświecone słońcem: powoli pierś znanego nabrała powietrza, i woń dolin, woń żywota doleciała do nas, a ziemską moją naturą upoiła się nią, jak najczystszym z napojów. Jeszcze oczy niepostrzegły padolu, a jużem go miał w piersi i odgadywał zbliżenie jego, i wszystkie węzły, które mnie z nią łączyły, zadrgały.

## XL.

Stała się noc gwiazdzista i spokojna... niebo nad naszymi głowami osypało się milionami różnobarwnych światełek, które wisiały bliżej i dalej do koła, drząc wśród fal powietrznych promykami, które ich życie zdradzały. Gdziekolwiek jak pasy srebrzyste i drogi wysypane były po niebie, jak pył diamentowy uścielał szlak jakiś bez początku i końca rozplywający się w ciemnościach... to znów po kilka światel błyskały

jak znaki dróżne tu i owdzie różnemi blaski; — i niebo wyglądało jak tajemnicza karta na której głoskami ognistemi Bóg wypisał niepojęte słowo bytu. Wśród gromad światel różowych, zielonawych, krwawo i sino błyszczących, kiedy niekiedy jakby na znak życia wśród nieruchomej jednostajności zrywała się ze sklepień niebieskich gwiazda, szalała w przestrzeni, a życie to poczawszy, kończyć je musiała gasnąc natychmiast... płacąc śmiercią za trochę swawoli. Smuga ognista zostawała na chwilę jak warkocz rozpleciony w przestrzeni, rozplywała się, rozwiewała i gasła. — Dalej biały obłoczek wędrowny, mieszkaniec różnych krain, strażnik ziemi, jak nocny wartownik powoli się przesuwał, i ospale szedł gdzieś gnany niewidomą prądów siłą, póki się w powietrzu nie roztopił. Nad widnokregiem z wyziewów i par ziemi dobywały się jak z morza głębin powoli wschodzące gwiazdki, i postępując ku górze coraz jaśniej błyskały, jako duch, co się ku niebu podnosi. —

Widok niebios wśród milezenia był majestatyczny i wielki, a ta sieć ogni rozwieszonych na niem nieprzeliczonemi węzły związana, wprawiała w zadumienie przestrasz... Ni początku, ni liczby, ni końca... Im trwałej zagłębiało się oko, tém więcej tam czytało tajemnic i głosek niepoliczonych, a rachując je, mordowało się i upadało pod ciężarem nieskończoności. Anioł wygnaniec wzdychał ku Bogu, ja ziemi dziecko tęskniłem za ziemią ojczyzną, i boleść moją ukojoną widokiem niebios, zastąpiło pragnienie ziemskie, zstąpienia i dotknięcia stopą padole wygnania. A chociażem milczał z ruchu mój piersi zrozumiał anioł żądę co mnie trawiła — i z litością znowu skroń moją przytulił do siebie.

— Biedny człowiecze, rzekł — tak że ci żal ziemi, że już wzniesiony łaską i miłosierdziem tęsknisz za nią

i wyrywasz się do niej? Cóżes tam porzucił za sobą, prócz boleści i zawodów, prócz trumien i ementarzy wszystkiego coś ukochał i co żywo w sereu pogrzebłeś? Posłuchaj, czy cię kto woła? spojrz, czy kto płacze po tobie? I ani tam stają po śladach twoich, i fale morza życia zamknęły się już za tobą.

## XLI.

Niewiem co się stało ze mną, alem się zbudził, gdy na wschodzie jaśniała jutrzienka różowa, której krąg światła roztaczał się powoli krwawiąc obłoki, rozlewając się strugami po chmurach, rozpromieniając i roznośząc przebudzenie do życia stworzeniu. Wśród ciszy nocnej powstał szmer téj jutrzni dnia, ażeśmy się spuścili ponad samą ziemię i kapali w jęj ciepłym wyziewie, doszły do nas dzwony poranne, szelest lasów co się budziły gałęzmi, strumienie wiatru przelatującego po nąd polami na dzień dobry i świergot niespokojny ptasząt, i nakoniec jęk boleści ludzkiej.

— Spojrz, rzekł anioł, jako się cieszy wszystko stworzenie, jako raduje życie, jeden tylko człowiek mający przecucie lepszej ojczyzny, otoczony nawet szczęściem, tęskni i płacze, spogląda w niebo i pragnie. Dla tych istot niema śmierci bo jęj niewidzą ani przeczuwają, niema postrachu przyszłości, bo ich byt cały się zamyka w garści ziemi i prochu; — w człowieku drga dusza nieśmiertelna i czyni go wiekuistym wygnańcem.— Rzuca się on, nie wie jako i czego ma pragnąć, a jęczy i pragnie, przychodzi do źródeł z pragnieniem i odchodzi nienasycony, kosztuje wszelkiego owocu a głód mu dokucza, próbuje miejsce wszystkich, i wszędzie mu

tęskno, — i zawsze czémś boleje. Najnieszczęśliwszy ze stworzeń gdyby się był jego kończył na ziemi, ale w tém znamienu boleści Bóg mu dał objaw żywota i szczęścia, powiedział mu, że tu nie koniec jego doli, że bez rozwiązania w niebie życie dlań zawsze zagadką... Niepokój duszy jest pokoju niebios zwia-  
stunem.

## XLII.

Gdyśmy przelatywali po nad ziemią, wysoka mogiła zwróciła oko moje, a stała na rozdrożu w pustém polu, przy wijącej się drodze i krzyż jęj żaden nie ocieniał, a pamięć ludzka niemogła dobadać, czy była grobowiskiem, czy kopcem co dwie rozdzielał granice. — Oku ziemskiemu niewidomy był duch, co siedząc płakał na wierzchołku... Myśmy go widzieli z wyżyny, w szacie białej poważnie zamyszonego na grobowcu, podpartego na dłoni zamulonej i wyczekującego chwili powołania z téj strażnicy. Po nad nim w górze unosily się dwa anioły, jakby czekały chwili, aby go dźwignąć do nieba. Na téj wyłysiałej czaszce, w oczach przymkniętych cierpieniem, w ustach skrzywionych i zapadłych, tyle mówiło do mnie znaków boleści, żem wzrokiem upadł u stóp tego ducha co tak siedząc na ziemi patrzył smętny, a od ziemi nie był widziany. Spytałem anioła prośbą oczów o nieznane widmo.

— Zbliźmy się, rzekł anioł, — a usłyszysz z ust jego skargę i dzieje. I zlecieliśmy ku mogile, a duch podniósł ku nam blade oczy i ręce drżące.

— Czy godzina wyzwolenia nadeszła? spytał głosem grobowym, czyście posłańcy lepszego kraju, czy wę-

drowcy powietrzni? Tyle tu ich przeleciało nad głowy mojemu, a zwiastuna swobody mojej nie widzę... Długie lata, długie... niemasz że i niebędzie końca? zawszeż tak mi tu siedzieć na tej mogile i patrzeć na oplakaną ziemi znikomość?

— Któż wie wolę Bożą? rzekł anioł z nieba — ażali wy sami nie wskazujecie się na te kary grzechy wasze, które duszę obciążają i w chwili zgonu uciec jej nie dadzą? Ażali Bóg nie jest sprawiedliwością i miłosierdziem? Ty ukochałeś ziemię i uwierzyłeś w nią przez cóż skarżysz się, że ci na nią patrzeć dozwolono?

— Ziemia, rzekł starzec spuszczać oczy — O! jej widoku mam dosyć; to widowisko zniszczenia i śmierci a żywota pragnę, jam dość już umierał! Niezem ta chwila, w której rozstawałem się z życiem w obec tysięcy zgonów na które patrzę, któremi konam codziennie. Bo wszystko moje pomarło, wszystko com posiał zeszło i znikło, na com pracował zwiędło marnie i rozsypało się w proch.

I potrząsł ogołoconą czaszką i długą brodą siwą i milczał. A myśmy także stali w milczeniu czekając, rychło li przemówi znowu.

Znać było, że gdyby był miał łzy, byłby zapłakał gorzko, ale z pod powiek umarłych nie pociekło, choć pragnęły, by je zwilżyła łza żywa... I począł się miotać starzec i drzeć na sobie całun biały, a po chwili tak się odezwał powoli.

— Grzechem moim zem w ziemię i ludzi uwierzył więcej niż w Boga i niebo, i przywiązał się do świata i budował na nim, — a pokutą widok tego jak się dzieło rąk moich rozpełzło i niszczało. Byłem głową rodu mojego i ostatnim wielkiego imienia potomkiem — cały żywot poświęciłem dla imienia, dla sławy, dla ziemskiej wiekuiwości której tu niema i być niemoże. Stawilem gmachy, obwarowałem następców, aby utrwa-

lic byt rodziny i uczynić ją niepożytą... Dałem synom mienie wielkie zdobyte w pocie czoła i zabezpieczyłem je od utraty, obwarowałem się prawem, ostrożnością, wszystkiem co człowiek obmyślić może, aby dzieło jego żyło.

Podniósł się na mogile, i wyciągając rękę kościstą, żółtą a drżącą, wskazał na lasy i doliny.

— Oto tam gdzie szumią lasy dębowe stał zamek nasz... na wałach jego rośnie puszcza i huczy sowa... ani cegły, ani gruzu ani wspomnienia... spytaj ludzi, nie ci nie powiedzą o nas, imię wymazane z pamięci, ślady zatarte... nie! nie! cisza i milczenie! Oto tam były sioła i dwory synów moich... a dziś orze skibę obcy człek służebny i niewie nawet, że pług jego orze mogiły, zbutwiałe druzgocąc kości. Te kościoły myśmy stawili, te drogi myśmy trzebili, te stawy napelniliśmy wodą... ten kraj winien nam życie... a nie błogosławi... Nieraz w tęsknicy wielkiej kiedy mi samotność wiekowa jak kamień młyński cięży na wyschłej piersi, wstanę i lecę i słucham, azali się gdzie nieodezwie i nie zapłacze kto i nie uzali — ale nie! Cisza i milczenie. Wnuki wnuków moich rozsypali się w grobach bez śladu, ostatnia kropla krwi żywej niewie, że z biodr moich płynie.

I mówiąc to wzleciał ciągnąc nas za sobą, a bieglismy powietrzem szybko jak strzała z łuku puszczonea i zawisliśmy nad nędzną chatą w lesie. Była to chałupa budnika wśród gąszczy leśnych, z ciernisk sosnowych sklecona, maluczka, okopcona od dymu, na progu jój z twarzą wybladłą siedział człowiek i szczeptał drzewo w milczeniu. Starzec stanął słupem przed nim i bolał. Na licu żywego mniej było życia niż w umarłego twarzy, — znać w nim było istotę, co się wlokła do trumny drogą nieznaną, niewiedząc celu, bez

ochoty, bez zapалу, w utrapieniu i udęce. W obliczu tego potomka wielkich rodzin, niebyło śladu dziejów krwi, ni wielkości dusznej, ani potęgi i sławy — kilka pokoleń w upadku wypiętnowały tylko na nim ucisk i cierpienie. Rysy stały się pospolite i jakby zgniecione, piękność cielesna nie zwracała ku nim oczów... iskra ducha nie ozłacała aureolą promienną głowy w której myśl zmarła nieprzebudzona.

— Oto ostatni potomek rodu! rzekł duch łamiąc dłonie... na własnej niegdyś ziemi oplacający zagon przybyszom, często bez chleba kawałka, bez pamięci pochodzenia, nieumiejący wypowiedzieć nazwiska, i jarzmo nędzy dźwigający od urodzenia. Dopóki ostatnia kropla krwi naszej płynie w żyłach żywej istoty, ja muszę błądzić i patrzeć, i boleć z nią. Modliłem się, by na nim ten szereg nieszczęść się skończył, — Bóg chciał inaczej.

W tej chwili ujrzelśmy bose dzieciaki wybiegające z chałupy i idące się ze psy bawić na śmieciisku — duch zadrżał.

— O! rzekł, ziemio! ziemio! znam teraz żeś prochem i nikczemnością, że człowiek kochać cię niepowinien, ani na tobie budować. Wszystko trwa tylko chwilę i niema prawa przeciw wyrokowi Bożym... co żyło umrzeć musi, co świeciło zgasnąć... Jedno godzinę, wiek żyje drugie, a wiek i godzina równe w nieskończoności. —

Kiedyż me więzy opadną? kiedy ostatni z nich umrze i ja z mogiły jego oswobodzony polecę?

Mówiąc to padł a jęczał, a myśmy po cichu zęglowali dalej w świat od tego nieszczęśliwego.

### XLIII.

A lecąc gdym spoglądał na ziemię, anioł mi groby wskazywał — było ich tyle, że stopy jednej w której-by pokoleń proch nie był wmiészany, nie znalazłem. Świat cały był jedną wielką trumną, po której przegnilych deskach chodzili żywi, a to wesele ich straszne było. Pytałem każdego pyłu o jego dzieje zapomniane i stawałem co chwila, a lez mi na oplakanie tylu nieszczęść brakło, bo więcej było niedoli i męczarni niż szczęścia! — a raczej tego co my tém imieniem zowiemy.

Anioł znowu wskazał mi niebo aby boleść moją uśmierzyć, i żeglowaliśmy dalej ponad ziemią czarną.

W tém jak w piekle Dant, gdy dwa uściskiem połączone ze sobą ujrzał duchy i wielką był zdjęty litością, aż wysłuchawszy ich skargi martwym z bólu padł na ziemię — i ja wstrzymałem się nagle przejęty politowaniem ujrzawszy postać wiotką i przejrzystą, która gonila za nami.

Młode miał rysy ten człowiek głębokiem napiętnowane cierpieniem, długi włos jasny i miękki polatywał mu na ramionach, oczy niebieskie we łzach utopione pływały, czoło jego przedwczesnemi okryte było faldami a na ustach mieszkalo narzekanie. Niemogłes nań spojrzeć byś z nim nie zabolął, tak strasznie długa męka wyryła się na licu, które nią było uświęcone. Nie skarżył się i nie jęczał, nie modlił, ale tak leciał z wiatrem i prądem ponad ziemią, czegoś na niej szukając oczyma i sercem. A duch to był tak czysty, jakgdyby za chwilę miał odlecieć do nieba, a jednak coś go trzy-

mało nad ziemią i ciężar jakiś niedawał mu się od niej oderwać.

Stanęliśmy gdy się przybliżył, i milczeniem zdawał się błagać litości, a anioł mój spytał go — Czego pragniesz? —

#### XLIV.

— Słowa pociechy! szepnął duch nieśmiało, i końca męczarni. Powiedz mi gdzie ona? W niebiesiech, to się do nich wmodłę, w piekle? to po nią zstąpię, na ziemi? to zejdem do niej raz drugi, gdzie ona?

— A anioł uśmiechnął się i rzekł mu z litością.

— Biedny obłąkany, — alboż wiem? gdzie ją wyroki Boże posłały?

— Lecz kto ty jesteś biedny człowiecze? spytałem, powiedz — albowiem zdajesz się cierpieć wiele.

— Ginę z boleści a jęku mojego nikt nie słyszy, jęć niema! jęć niema! jęć niema!

— Któż ona? spytałem.

— Słuchaj, rzekł — dwóch ich nie było na świecie, jedna była. Serce moje ukochało ją nad wszystko, poświęciło jęć życie, dla niej zapomniało o Bogu — a ona!

I przerwał milczeniem boleśniejším nad słowo, i skończywszy, przypadł do ziemi tarzając się jako ranny w pierwszej chwili nagłego bólu. Myśmy stali nad nim zwieszeni i poglądali z boleścią.

— Wszelka miłość świata tego tak się kończy, niema w niej jeno nasienie utrapienia, rzekł anioł — oto ten człowiek istotę ziemską ukochał miłością niebieską i cierpi. Bóg tylko tak być kochanym powinien, ziemia tego uczucia niewarta.

— Cicho płynęło życie moje, odezwał się duch powoli płynęło jak rzeka szeroka wśród głębin lasów poważnie i spokojnie — młodość zieloną przebyłem bez szwanku i namiętności. Od ранней dzieciństwa godziny śnił się mój duszy ideał kobiety niepokalany, a oczy go niewidziały na ziemi i serce było spokojne, czułem że tęskność za nim chwytała i pędziła ku przechodzącym cieniom. Zdala zdawały mi się nią, ale gdy oblicze ujrzałem, posłyszałem mowę, zbliżyłem się do nich, urok pękał i córki ziemi ledwie mnie na chwilę ku niej ściągaly. I myślałem że kochać niepotrafię, a umrę niedoznawszy uczucia którego nie pojmovalem. Ludzie mówili żem zimny, jam szczęśliwy był i spokojny. I minęły ranne lata, i prześniła się młodość i kończył prawie wiek dojrzały... gdy przy gasnących światłach pogrzebu, w blasku pochodni spostrzegłem tę postać anioła zesłaną na męki i rozkosze moje. Nigdy w snach niewidziałem takiej postaci... ale odarta z tych wszystkich promieni któremi ją Bóg otoczył, jeszczeby dla mnie miała urok czarodziejski, co duszą zawładnął moją. Jój głos, ruch, postać miały dla mnie potęgę niepojętą, niewysłowioną... Widziałem plamy w tém słońcu a klęczałem przed niem. I miłość ta stała się męczarnią żywota i jego osłodą. Szarpałem więzy gdym jój niewidział, padałem przed nią gdym zobaczył, dręczyłem się oddaleniem, obawiałem widzenia i rozstać nieumiałem. A téj namiętności szalonej wszystko stało na drodze, ludzie, losy, przysięgi... sama ta istota uwielbiona która miała trochę litości dla mnie, miłości dla nikogo mieć nie mogła. Jój serce przecierpiało tyle, tak było wielkie, że kochało zarówno wszystkich i wszystko, a coraz nowego pragnąc pokarmu, coraz innéj żywności, wyssawszy trochę życia z jednego, rzucało się ku drugiemu.

I była ta istota różnobarwna, zmienna, dziwna, niepojęta, niepochwycona; jednego dnia czuła i łzawa, drugiego zimna i szyderska, przejęta modlitwą i niewierna... litościwa i chłodna, snop kwiatów i kolców, ziela i liści suchych, dziś młoda jak dziecię, jutro zastarzała i zdrewniona. Dzień każdy czynił ją inną, każde wrażenie świata zmieniałó jój barwę, ale tło było czarodziejskie... a ja szalony... Całą mą duszę oddałem tój istocie i wzięła ją z uśmiechem i poniosła z sobą i niernam jój... bo ją gdzieś rzuciła w otchłań po drodze jak zwiędły kwiat balowego wieńca.

— Żaden z was niewidział jój, dodał duch, niepojmiecie jój władzy a mojej niewoli i męczarni. Wszystko czém żyłem wprzódy zostało zapomniane i odrzucone, speliło i znikło dla mnie, ona sama stała przedemną, celem, Bogiem, niebem, i piekłem. Życie, los, przyszłość oddałem w jój ręce i czekałem wyroku, ona się mną bawiła, jak psem dziecię popsute, przyzywała gdy chciała, odpędzała gdym ją nudził. Sto razy zwiedziony patrzyłem na niewierną, obojętną, zimną, nielitościwą, a zawołany wracałem zadając fałsz oczom moim, fałsz uszom, fałsz sercu co się burzyło wśród walki.

Stary, na barki złamane wzięłem tę namiętność ciężką do dźwignania, pękało od niej serce wzdęte, a wyżyć bez niej ani z nią żyć niernogłem.

I niebyło na to lekarstwa, przerażony badałem siebie i uczulem nieuleczonym, — ludzie się śmiali, jam niesłyszał ich dojmującego szyderstwa... ja ją tak kochałem... i kocham ją tak jeszcze.

I zerwał się duch i zleciał z miejsca tego wiodąc nas za sobą.

— Oto drogi mojego życia, rzekł — nie liczę tego com przeżył wprzódy, lata te były stracone, tum się urodził bom tu ją ujrzał raz pierwszy... postawiłbym ołtarz na tém miejscu gdzie ona mi się zjawiła!

Miejsce to było pustką tém smutniejszą, że śmieciem i gruzami nieczystymi zarzuconą, po nad tym progiem gdzie mu się ów jasny obraz królowej jego życia objawił, jak szubienica stał uszak drzwi wyłamanych opalony i zwęglaly... on złożył ręce jak gdyby widział ją jeszcze.

— Tędy szła, mówił lecąc — to ślady jój kroków, to droga jój — tu żyła, tu spoczywała, tum obok niej spędził jedyne godziny pamiętne jeszcze — tu pierwszy raz żądło zazdrości przebiło serce moje, uśmiechnęła się innemu jam cierpiał szatańskie męczarnie... Jej wzrok odwrócił się odemnie, usta jój mówiły do innego, dłoń zbliżyła się i zadrzała w cudzej dłoni, chciałem umrzeć, porzucić, oddalić się — niemogłem. Nie wolnik stałem patrząc i konając.

Niewiecie com przeżył, Bóg by się powinien zlitować temu cierpieniu i grzechy moje przebaczyć. Czulem że niemogę być kochanym a potrzebowałem jej miłości, we mnie było jakby dwóch ludzi — jeden co się urągał namiętności, drugi który nią szalał, na chwile przemagał jeden, to znowu zwyciężał drugi, i w téj walce z samym sobą spaliły się ostatnie godziny... niewiem co działo się zemną, ze światem, z ludźmi, nic niewiem prócz że m kochał i był nieszczęśliwy.

Dopóki ostatni ślad jój stopy nie zetrze się z téj ziemi, póki nie rozsypie się w proch jój ubostwione ciało, póki w pamięci ludzkiej pozostanie jój imie, ja tulać się muszę, ja odejść nie mogę. Codziennie wstaję z jutrenką i idę drogą cierniową wspomnień nędznego życia, i staję w każdym miejscu bym odbolał na nowo, przypominał i odświeżył rany, szukać jej i nie znaleźć, ani cienia, ani obrazu, ani pamięci... Przeszła, uśmiechnęła się znikła... a żywa jeszcze stoi przedemną... Powiedzcie mi gdzie ona!

— Biedny obłąkany, rzekł anioł — nigdzie jej nie ma, ona była promykiem co zaświecił od dłoni Bożej odbity w kałuży ziemi... jedną iskierką słońca, które nad nami jaśnieje, zwróć się duszo ku światłu wielkiemu, a tam ją znajdziesz... Ale duch biedny nie słuchał, płacząc suchemi łzami strasznej rozpaczyny nad życiem którego koniec namiętność pożarła — rozpoczął na nowo pochód żałobny wspomnień swoich od progu w którym ją zobaczył, do mogiły co ją zamknęła... a nad którą ducha jej nie było.

— Czy za tyle miłości dała mu choć kroplę litości? spytałem.

— Miłość ziemi nie nasycy, rzekł stróż mój z łagodnym uśmiechem — jest to tylko odbłask tego uczucia którym żyją w niebiosach, ale słaby i nietrwały. Tu wszystko u nas chwilą i chwilami żywot znikomy, — nie trwa jeno Bóg. W każdym waszém pragnieniu jest poczucie wieczności i jej pragnienie, którego nie nasyci źródło mętne z jakiego wy pijecie. Miłość kobiety chwilą tylko w życiu, rodzi się, rozkwita, przechodzi w westchnieniu... Szczyście wasze chwilą maluczką, wy sami nią tylko, cnota wasza trwa chwilę, a wyście jako nieznaczący pyłek w którym ulatuje ziarenko niebieskie. Jakże od ziemi pragnąć żywota gdy na niej śmierć mieszka? jak od kobiety miłości, gdy im większa miłość tém bardziej nienasycona? Co życie dać może? przecucie chyba innego żywota.... sen przyszłości.

— Nieulituje się Bóg cierpieniom jego?

— Wieki niebieskiego spokoju je zapłacą — odparł anioł, i ta wędrówka męczeńska jest chwilą jak wszystko, Bóg grzechy miłości zbłąkanej łatwiej przebacza nad inne... nienawiść tylko zabija na duszy, ona rozpręga węzły, odosobnia, wyłącza, niszczy; miłość jednoczy i żywi. A im więcej dusza kochać umie, tém

silniej tą potęgą połączyć się potrafi z tym, którego imienia anieli wymówić nie śmieją. Jeszcze oczy odwracał za nieszczęśliwym bratem w boleści, gdy anioł odniósł mnie daleko na skrzydłach swoich w stronę nieznana.

## XLV.

A lećąc minęliśmy szeregi mogił, i gdy lot nasz się powstrzymał, ujrzałem u stóp moich grobowiec ze spiżu i marmurów wykuty, wysoki i wspaniały, na którym obłam strzaskanego piorunem krzyża połyskiwał.

Wspaniały ten dom śmierci otaczały chwasty i trawka wysoko rozlosłe, znać noga ludzka od dawna tu niepostała, ani żywy przyszedł człowiek. Zbudowano pomnik ale nikt go nieodwiedza, i wróble w jego gzeskach pozakładały gniazda, a jaskółki polepiły swe błotniste koszyki, hodując dzieci na głoskach złotych, które imie zmarłego przypominać miały. Jakiś chłód wiał od tego grobowca zapomnianego, na którego stopniach leżała istota ze wstrętem i ohydą odpychająca oczy moje. Duch to był czarny prawie bezkształtny... zbliżając się uczuliśmy śmierć od niego, jakby nigdy nie miał być oczyszczonym i powróconym na łono Boże. Zwinięty w kłęb nieforemny kręcił się w boleściach niemych, tak, że głowy jego rozpekłej od reszty cielska trudno było rozróżnić, białe krwią nabiegłe zdradzały ją źrenice, gdy niemi rzucając się błysnął. Czarne ciało tego potwora padało kawałami z kości obnażonych i sterzących, a potępieniec zbierał je jak szmaty i ścisnął bojaźliwie. Czerep czaszki roztrzaskaniej dymił jakimś wyziewem... w obliczu potępienca było coś podłego

i złośliwego tak, że się wzdrygnął i odskoczył, i cofnął przerażony jak przed szatanem, a anioł objął mnie jak tarczą białymi ramionami swymi.

Wciąż z przestachem zwrócone miał w jedno miejsce i utkwione wejrzenie, a gdy głowę przychowwał na chwilę, z bojaźnią później porywał się i spoglądał, ażali to co go dręczyło, stało jeszcze przed nim.

W koło grobu zdawało się pusto i idąc dopiero za oczyma potępieńca postrzegłem opodal odeń w milczeniu i nieruchomości posągów stojące postacie, które przed nim trwały jak widmo grzechu i wyrzut sumienia. I ujrzałem starca siwowłosego, podpartego na kijku, i niewiastę zapłakaną i dziewczę blade z głową schyloną ku ziemi, i dziecinę maluczką umarłą w pieluchach, leżącą na piasku, a przed niemi rzucony krzyż Chrystusów i zdarte szaty nasze stare. Istoty te zdawały się cieniami wśród duchów nawet, niebyły to widma ani upiory, ale obraz namalowany ręką zgryzoty, za karę stojący przed oczyma wyrzut wiekuisty. Potępieńiec siłą wewnętrzną zmuszony patrzył na nich, i udręczony, odwracał oczy co chwila, gryząc sam poszarpane ciało swoje. Wzdrygnąłem się i spytałem oń anioła.

A ten nie mi nieodpowiadając, przesunął się ze mną na inne miejsce, i odsłaniając mi obraz nowy, milczeniem wskazał życie straszego ducha.

Oczy moje nie łatwo się oswoiły z widokiem, który miałem przed sobą, zdało mi się jakoby widział kraj własny, ale kilkudziesięcią laty dawniejszy; wielki spokój panował w tym zakątku, osłoniętym lasami i pooblewany wody wielkimi, odsuniętym od gwaru świata i ludzi. Na brzegu rzeki stało domostwo szlacheckie ubogie i małe, dwór z gankiem w ławy ubranym, gołębnikiem w dziedzińcu i studnią, obok budowy gospodarskie i wielka lipa z bocianem na gnieździe, i pasie-

czka w rozkwitłym sadzie. Dwoje ludzi już niezbyt młodych, siedzieli na ławkach i modlili się cicho, a w twarzach ich poznałem widmo grobowe, starca i niewiastę. W progu stało dziewczę wesole i uśmiechnięte... téż same którym widział stojące w oczach potępionego. Ale wszystkie te twarze i cały obraz tchnął jeszcze niezłomnym spokojem i szczęśliwością wonną a prostą. Na podwórku szumiało gospodarskie życie wieczora, wracało bydelko z pola, układało się do snu ptastwo, śmieli się powracający z pola ludzie, a oko gospodarzy błogosławiło pomyślności stworzeń nawet, i radowało się w pokoju i modliło dziękczynnie. Z tych tysiąca głosów, które zdawały się dochodzić do ucha mojego składał się jakby hymn modlitwy wieczornej, pieśń pełna majestatycznej prostoty i przejęcia głębokiego, w której harmonijnie grały nawet głosy zwierząt poddanych człowiekowi, i szmer lip starych i poważne klekotanie bocianów karmiących dziatwę. Nagle tuman wzniosł się na gościńcu zdała i wzbil szeroko w powietrzu i począł zbliżać do dworu. Wszystko umilkło przed niespodzianém zjawiskiem, jakieś powozy ciężkie przez ciasną dróżynę polową toczyły się do dworku szlacheica i wpadły w ciche jego podwórko. Zamęt powstał dziwny, i pieśń pokoju przerwana została przestraczem, ciekawością. W koło powozów powstał gwar, otoczyli je ludzie z poodkrywanemi głowy dopytujący się drogi, pomiatający otaczającemi. Starzec i kobieta powstali z uszanowaniem naprzeciw zesłanego im gościa, dziewczę uciekło, lecz zjawił się z ciekawością na twarzy młody chłopak, z czarném okiem ognistém i rumanem licem lat dwudziestu.

Z powozu wysiadł stary podpierający się na lasce mężczyzna, w peruce, z workiem włosów i sukni niemieckiej, którego otaczający zwali Wojewodą, powiódł okiem podziwienia i prawie pogardy po ubogim dwor-

ku i pokornych gospodarzach, i pytać począł o drogę, z której znać zbił się winą ludzi. Słońce tymczasem zachodziło krwawo i wieczór zapadał, dalej jechać nie było można po drogach ciasnych i po lasach ciemnych. Gospodarstwo zaprosili gościa do niskiego dworku. Traf czy wola Boża sprowadziła tu starca — pana do zagrody człowieka, który nieznanym mu, ubogi, jedno z nim imię i znak szlachecki nosił na tarczy. Pan się zgorzszył i oburzył niemal ubóstwem imiennika, szlachcic nie poczuł ani zadziwienia, ani upokorzenia, z czołem pogodnym przygarnął tę wielkość jak przygarniał nagiego i bosego przychodnia w imię Boże. Nie rodziła ona w nim ani zazdrości, ani niepokoju, może ledwie litość nad człowiekiem spętanym niewolą bogactwa i dumy.

Ale chłopię młode, ów czarnooki syn gospodarza, który snił znać w kolebce o innym losie i pragnął innego życia, stał z żarzącym wzrokiem zazdrości w progu, wpatrując się w magnata, i znać było z oczów jego, że mu biło serce, do świata z którego ten zesłaniec przybywał.

Do późna w nocy dworek świecił i dymił przyjęciem gościa, a nazajutrz rano gdy go pan opuszczał, młode chłopię pakowało się z tłumoczką swoim za nim do stolicy; ojciec, matka i dziewczę płakali w progu.

Starym nie uśmiechała się wcale ta przyszłość, której syn ich pragnął tak gorąco, chcieli go mieć przy sobie, on im się wyrывał z uśmiechem, chłodno bez żalu. Cały swą wielkością marzoną zajęty, obiecaną mu przez pana, który płacąc za nocleg obiecywał chłopcu noszące mu jego imię — wielkie łaski i wzniesienie wielkie! — W młodzieńcu paliło się i wrzało, miał przeczucie innego jutra, a chata ojcowska, zagon i ta cisza wstręt w nim budziły... Nie miał lży na powiece przy pożegnaniu, ani tęsknoty za laty młodem, ani miłości dla tych, co go ostatkiem sił cisnąc do sereca żegnali i blo-

gosławili. I jak ożywna rosa nie przystaje do kamienia, tak błogosławieństwa ich zsunęły się z dziecięcia.

Z uśmiechem, pewien siebie, wsiadł na koń, machnął ręką, i rojąc wielkość przyszłą, poleciał w świat skinawszy ledwie płaczącemu dziewczęciu, staremu ojcu, nieprzytomnej z boleści matce. A żaloba była w dworku osamotnionym i cisza oczekiwania na długie w nim zamieszkała lata.

## XLVI.

Gdym ujrzał go znowu, chłopak się przeistoczył do niepoznania w stolicy; ledwie w nim czarnookiego młodzieńca z pod słomianej strzechy poznać mogłem, tak rychło i łatwo przyjął barwy świata nowego i w niego się wcielił. Imie torowało mu drogi, słowo pana prowadziło go wszędzie, a dowcip i gotowość do ofiar czyniły go ulubieńcem ludzi co sług potrzebują bez woli, godności, czci i wiary. Adam gotów był na wszystko dla wzniesienia się, nie zastanawiał się gdy mu upodlić się przyszło, upaść i zwać, byle krok dalej tym kosztem poszedł na drodze znaczenia, byle się szczeblem wdrapał wyżej. Wszystko dlań tańcem było, a nie świętém, w duszy czezość i pustkę nosił z pragnieniem władzy i wzniesienia. Szedł też na swój drodze szybko i przeistaczał się w blade widmo pożerane żądzą nienasyconą... a sięgał wyżej i wyżej. Ubogie dziecię szlacheckie wpadł między pany i stracić się z raz zdobytego niedawał stanowiska. Piękne imie, twarz piękna i usłużność bez granic dały mu wstęp między ludzi, którzy go za swego przyjęli. Chłopię przeodziało się w suknię nową, w pychę dla słabych, uniżoność dla możnych, i szedł drogą nie pracy i znoju, ale pochleb-

stwa i próżności. Wiare, sumienie, uczucie godności, stracił powoli za szatę mieniając brudną lecz błyszczącą. Półkał upokorzenia, aby je niższym oddać z nawiązką, padał by gnieść, i w tym wirze zbłąkany stał się jednym z tych stworzeń co w społeczności miejsca oznaczonego nie mając, bojują, o nie, wszelkimi środkami i sposoby.

A na wsi płynęło starym rodzicom zapomnianym przez syna, życie cicho, tęskno i spokojnie, modlili się, pragnęli, wołali go, ale dziecię nie się od nich spodziewać nie mogąc, milczało. Matka tłumaczyła je sercem macierzyńskim, ojciec gryzł się lecz nie obwiniał, pragnęli go oboje z utęsknieniem, ale doczekać nie mogli, nie wracał... lat kilka czekali napróżno. Dziewczę, co go kochało, wyszło po nim z żalu, szły listy i nieczytane butwiały.

## XLVII.

Później ujrzałem znowu ciche podwórko wiejskie i w ganku staruszków dwoje, a na progu dziewczę blade, ale wieczór ten niepodobien był pierwszemu; — o smutniało to wszystko, zgrzybiał ojciec, upadła na siłach oczekująca matka, do tęsknoty ich nastroiło się wszystko otaczające, bo człowiek panuje temu, z czém żyje i odbija się w kręgu swoim. Nie widać już tu było wesela, starania, ale opuszczenie i zaniedbanie bez jutra. Guiazdo bocianie stało pustką jak dworek bez dziecięcia, czeladź chodziła ze spuszczoną głową i mrok z szaremi chmury zawisł nad dworkiem podupadłym. Na gościńcu jak dawniej ukazał mi się powóz w tumanach pyłu, jak czarne posuwając się znamie, powiększał

się, zbliżał, a z nim niepewność, oczekiwanie, niepokój. Oczy wszystkich zwrócone były na drogę, o ujrzawszy pojazd wielki i bryki ładowne, osmutniały, nie spodziewały się w nich syna. Przybliżyło się to do wrót, zatoczyło przed ganek i wysiadł człowiek w którym swego dziecka nawet oko matki poznać nie mogło. Wyszedł ztąd świeżym młodzieńcem, powracał zbladłym mężczyzną innej twarzy, obyczaju i mowy. Gniazdo się do niego przyznać nie mogło, on go prawie niepoznawał, ciasno mu było i duszno. Czuł się już czéms. lepszym nad tych, co mu dali życie, zbliżył się z uśmiechem, powitał protekcyjnalnie... Zmarszczyła się brew ojca, bo syn, co paść był powinien na kolana, ledwie przed siwizną rodzicielską głowę skłonił. Zdumieli się razem niewdzięczności i szczęściu jego, z którym się przychodził pochlubić. Ojciec ze wzgardą spojrział na konie, wozy i ludzi, niebędące owocem pracy, ale datkiem przyjętym z upokorzeniem lub zapłatą podłości.

Czoło jego nachmurzyło się gróźnie, a matka drząc poczęła.

— Mów, rzekł jako sędzia stojąc przeciw syna, coś robił, gdzieś to zyskał? Spowiadaj mi się z życia, a jeśli w tém co tu z sobą przywozisz jest okruszyna cudzego, jest owoc łez czyich, lub grosz wyfrymarzony zapomnieniem prawa Bożego... idź, zkażeś przyszedł, i niepokazuj się więcej — ja nie mam syna!

Wielkim był starzec gdy to mówił jak jeden z bohaterów dawniej Grecyi, jak matka jako Spartanka... gdy wstał i jako sędzia gotował się własne potępić dziecię, prawem Bożem i głosem sumienia... wyrósł w olbrzyma, aż przed nim zmalął i skarłał przybyły. Ale nie uległ świętemu upokorzeniu które poczuł i podniósł się w sercu dumą niepoczciwą... matka czekała ze złożonemi rękami, pragnąc oczyszczenia, wierzyła

w nie, i przypuścić nie chciała konieczności odepchnięcia dziecięcia.

Uśmiechnął się przybyły szydersko ze staroświeckiej prawości ojca, pomyślał co miał czynić, a nałóg życia nieczystego podszeptnął mu kłamstwo jakby przez litość nad ojcem... począł przed nim pasmo fałszu i matactwa; co zyskał szacherstwem i zdradą, malował mu jako zdobycz pracy, co zarobił podłością dał za poświęcenie, podniósł się, uszlachetnił, obmył, i z góry oglądał na oszukanego rodzica.

Ten słuchał długo w głębokim milczeniu, czuł w sercu fałsz, a nie miał siły już dziecka potępić, zdało mu się, że kłamstwem tém oddawał hołd encocie, że się miał poprawić, uczuwszy wstyd, do którego przywiezion został. — Nie pobłogosławił, ale nieprzeklął starzec, usiadł milczący, ponury: po chwili wyjąknął.

— Człowiek nie przeklina ani błogosławi, nie potępia ani oczyszcza, ani sądzi. Bóg sam pan sere i myśli uczynić to może, na niego to zdaję, niech będzie sędzią i mścicielem lub sędzią i nagrodą, słowa twoje nie idą do duszy mojej, ale cię badać niechcę — przyjmuję cię pod dach rodzicielski sereem starém, siadaj i pożywaj chleb nasz czarny, a przeszłość niech będzie zapomniana.

Matka oblała się łzami i przycisnęła go do piersi — dziewczę podało mu rękę, i ten nowy syn marnotrawny, co zgubił duszę na rozdrożach, a przybył okryty łachmanami znaczenia i bogaetwa, wszedł znowu w kółko wśród którego długo pustém i niezajętém stało miejsce jego. Wszystkie serca skłoniły się znowu ku niemu, ale on pozostał zimnym i nieporuszonym, żadne pocziwe nie odżyło w nim uczucie. Nie mógł go już pokarmić, chleb ów prosty, ani proste serca wieśniacze, ni wytrwać mógł z niemi, ni ich zrozumieć. Dziewczę ukochane wydało mu się pospolitą istotą po miejskich malowanych twarzach bogiń, które złotem płaciły za u-

ściiski jego młodości, na ojca i matkę ledwie spoglądał, a gorące serce prostych ludzi, z którymi igrał w młodości, co go nosili na rękach, ze śmiechem odepchnął i pogardał, jakby się lękał, żeby go ich dotknięcie nie zwalało. Myśl jego, marzenia, były gdzieindziej, przybył tylko pochwalić się zdobytą wielkością, pochwyć nowe środki do podźwignienia się jeszcze, wymusić na rodzicach ofiary, i znów powrócić na swój plac boju i popisu.

Ani razu nie uderzyło mu serce na widok starego dworku i miejsce drogich każdemu bo uświęconych wspomnieniem lat dziecinnych, nudził się w tém kółku dlań małym, pospolitem i ciasnym. Dla rozrywki przybliżył się do dziewczęcia, które ku niemu wyciągało ręce drżące — ale to dziewczę było ubogie, sierota, zawada i ciężar tylko... on swą młodość dawną na sprzedaż wystawił i targował się o nią: z towarzyski dzieciństwa uczynił tylko zabawkę rozpustnika. Serce nie było w nim, ludzi za narzędzia uważał, nie troszczył się łzami które miał zostawić za sobą, ani jej zgubą i wstydem... nie odepchnął palącego uścisku, nie obronił się namiętności chwilowej, i splamił przeszłość świętą i czystą.

Ojciec wydawał mu się prostym starcem gdérającym nudnie, jakgdyby między nimi żadnego świętszego węzła nie było, jakby mu był obcym, uśmiechał się w sercu, słuchając prostych nauk jego. Między nim a dziećciem niebyło żadnego związku, zrozumieć się nie mogli — ten chciał od syna powrotu do zagonu, do chaty, żywota wiejskiego i uczuć wieśniaczych, wiary i modlitwy, — tamten mówił o świecie nowym, nowych prawach, i starych przesądach... Śmiał się z tego co czcił starzec, a padał na twarze przed złotym cielcem bałwochwalca. Długo bojowali z sobą i walczyli, syn śmiechem, ojciec oburzeniem i zgrozą, aż w powiekach starca zjawiała się łza cicha, ostatnia, a później przyszło

milezenie długie, pogardliwe. Zamilkł widząc że go ani powstrzyma ni nawróci. Matka broniła jeszcze, sama płacząc po cichu, ojciec mileząc potępił, lecz trzymał usta zawarte aby ich nieotworzył przeklon i odrzucenie, bo wiedział, że wyrok ojca na ziemi, często Bóg potwierdza w niebiosach.

Dla niego wszystko to było obojętném — namiętność ciągnęła go gdzieindziej, każda chwila tu przebyta jak wiek zdawała się długą, chciał tylko wydrzeć co prędzej ostatek mienia, a gdy otrzymał co pożądał, pożegnał bez łzy, odleciał nieoglądając się na tych, co stojąc w progu płakali, czując, że go już tracą na wieki.

Starzec po odjeździe syna kazał przynieść do izby trumnę przygotowaną od lat dziesięciu i postawił ją przy łóżku swoim, matka wylewała łzy krwawe modląc się jeszcze, dziewczę przez okno wyglądało na gościniec, i spodziewało się, choć niewierzyło odstępcy.

## XLVIII.

On znowu wszedł w koło ludzi wśród których zdobył sobie miejsce idąc tą drogą upodlenia, tracił powoli co w nim jeszcze czystsze i świętsze zostawało, wstyd poczciwy, rumieniec jasny, uczucie godności, sumienie, wiarę, miłość... przeistaczał się w poczwarę co zaparła się wszystkiego dla nasycenia żądz podźwignienia się z nicości. Drogo okupywał szczebel każdy, ale szedł dalej spychając ludzi, depcząc tych co mu podali rękę, zdradzając i śmiejąc się z łatwowiernych, z przywiązania jak ze słabości... Szatan mu pomagał szepecząc na ucho — Tyś stworzony do wielkości I wzdymało się serce jego coraz więcej, a stąpając tak upajał

się, szalał, dumniał, czując się godnym tego co niegodziwością okupił. Na piersi jego błysnęła gwiazda, przepasała go wstęga, okrył się tytułami wyfrymarczonemi, nakoniec imię, życie i resztę młodości sprzedał znieślawionej niewieście, która go wwiiodła w grono ludzi sterujących społeczeństwu. Patrzano nań ze wzgardą, on popychał z lekceważeniem bezlitosnym, byli i tacy co z uniżeniem podawali ręce i skłaniali grzbiety, bo był mocen... Wywniół się wreszcie jako chciał i zajrzał w swe serce pytając się azali miał dosyć?... próżnia tam była i boleść.

Szałem potrzeba było zastąpić szczęście i spokój utracony, więc poszedł dalej coraz nowych dobijając się stopni, coraz głośniejszego imienia, choćby niepocziwością i upodleniem.

W starym dworku panowało milczenie głuche, nikt tam nie wiedział o synu marnotrawnym, nie dochodziły o nim wieści, bo nikt nie śmiał zadać śmiertelnego ciosu objawieniem prawdy; niepokój tylko przecucia ogarniał starca gdy o synu słuchał i pytał się co mógł uczynić by się dostać tak wysoko?

Ofiary uczynione dla dziecka przywiodły do ubóstwa... wierzyciele grozili, trzeba się było odezwać do syna, ojciec pisać nie chciał, posłała matka i milczenie było odpowiedzią. Przyszli ludzie i wygnali starca z dworku jego jak żebraka, musiał pożegnać strzechę rodzinną, dziedzińczyk spokojny, zagon którego uprawiał i siąść na wózek niewiedząc kędy pojedzie. Matka ufała w syna dziewczę milczało przybite.

I troje tych biednych istot jednego poranka z raju wygnanych głosem człowieka co prawo spełniał lęzierając z oczów, pojechali w świat drogą smutną, a z niemi szła poprzedzając ich nędza, i strach polatywał szumiąc skrzydły wielkimi. Potoczył się wózek ubogi wiozący resztkę złamanych ludzi, a gdy stanął przed pałacem w którym mieszkał ów wielki dziś człowiek,

służba kasztelana odepchnęła go od wrót śmiechami i błotem.

Była to chwila mroku — i miałem przed sobą obraz na który wzdrygnęło się serce moje. Portyk pałacu jaśniał lampami, z niego czwórką koni pstrych wyjeżdżał powóz, a w nim siedziała kobieta wymalowana, piękna jeszcze ale bezwstydnie popisująca się z resztkami zużytych wdzięków... obok niej z gwiazdą na piersiach siedział w powozie mężczyzna którego serce chyba matki rozpoznać mogło... Wózek rodziców stał na drodze spychany przez gawieź służebną, gdy nań wpadły konie wiozące syna.... Z drogi! z drogi! dały się słyszeć głosy i stacząc zaczęto wóz wiejski, a oko pana padło nań i poznało starą matkę, ojca i dziewczę rozplakane; oni ku niemu wyciągali ręce... On odwrócił się i zawołał groźnie: Precz z temi włóczęgami!

I niepoczciwie zawstydził się rodzzonego ojca i matki, a rumieniec oblał mu oblicze zbladłe... bał się przyznać przed niewiastą co królów kołysała na kolanach, że wyszedł z pod pocziwój ubogięj strzechy... kłamał przed nią przeszłość wielką do nowęj ją dołatując wielkości.

Na dziedzińcu krzyk tylko matki co wyciągnęła ku dziecku ramiona i głos płaczliwy dziewczęcia dały się słyszeć, a ojciec powstał dzwigniony siłą ogromną i w chwili gdy pojazd mijał go, rzucił przekleństwo straszliwe, które jak piorun zgmiotło odstępce...

Widziałem je jak wychodząc z ust starca niesione było do tronu Bożego, nie na jasnym promieniu na jakim płynie modlitwa, ale na czarnym pasie ciemności, który odbite przekleństwo zrzucił na głowę potępionego.

Ciemności obraz mi zakryły... a gdym znowu przejrzał, obaczyłem tylko trzy mogiły na ubogich cmentarzu, starca co skonał ze słowem potępienia w ustach, matki co nie przeżyła straty dziecka i dziewczęcia, które

z dziecięciem na piersi poszło do trumny. Litość ludzka pochowała tych istot troje, a gdy dzwon ubogich po cichu na żalobną wzywał modlitwę za ich dusze, kasztelan wyjeżdżał płaszczyć się i podrzeźniać tym, których łaska tak go wysoko podniosła... swobodny że nie miał już rodziny której by się wstydził, i więzów coby go krępowały.

## XLIX.

Ale i dla niego także wybić miała godzina próby i kary, wisiało nad nim ojca przekleństwo, łzy macierzyńskie i jęk ofiary którą zdradził bez serca... Zaémilo się w około i poczęli wstawać nieprzyjaciele. Rozzuchwalony człowiek zmuszony był do walki... i bój zimny a zacięty rozpoczął. Nie była to ta walka siły i męztwa jaka na polu bitwy bratnie piersi stawia przeciw sobie dla zdobycia imienia lub obrony ziemi i ognisk... ale walka pokatna ludzi co bujają słowy, potwarzają, zdradają, uśmiechem, co kopią jamy i kryją się w cieniu podając rękę temu, któremu wczoraj posłali śmierć a pogładają rychło li na ich twarzach ujrzą skutek zadanej trucizny. Ta kobieta której dał imię, ci co go wspierali obrócili się przeciw przekłętemu, szal go ogarnął i dumą gdy uczuł pociski wymierzone, a bronić się uczuł potrzebę. Myślał że jest niezwyciężony, ale dziecko nieudolne, upadłać się tylko umiał, walczyć niepotrafił z wprawnymi szermierzami. Wielką pustką otoczyli go naprzód.. odeszli ludzie, dwuznacznie uśmiechając się cofnęli przyjaciele... Szeptano gdy wchodził, szydzono gdy odstępował, w zbladłym czole dopytywano cierpienia. Potępieniec szedł z odwagą naprzód, potem ze zło-

ścią i gniewem, nareszcie z wściekłością bezrozumną, szamotał się rzucał, a im był szaleńszy tém słabszy. Żona popchnęła go pierwsza, już imie jego mając niepotrzebowała więcej. . . . W chwilę marzenia odarła go z majątności, za nią poszli przyjaciele nowi opiekunowie, tłum, wszyscy.

Jak przed zapowietrzonym ustąpiło wszystko. . . tak jak on zaparł się ojca i matki zapierając się jego i pytali go udając że niepoznają: — Czego chce ten człowiek? co są za słowa jego? — Rwał piersi z bólu i ryczał, a świat śmiał się z niego, a sługus jakiś pański popchnął go wyrzucając za drzwi. . . i pozostał w ulicy pośmiewiskiem. . . Naówczas z sercem namiętném co się ocknęło a już kochać nie mogło, rzucił się na rozpustę z resztą imienia i młodości, tarzać się począł w kałużach, pragnął złota a w rękach jego topniało.

Ujrzałem potem mogilnik ubogi na którym piolunem i rozchodnikiem porastały groty ojca i matki, dziewczęcia i dziecka. . . On, wybiegł nań nocą z jamy jakiejś, w której przegrał resztkę mienia, niemając gdzie schronić głowy. . . leciał wiedziony nie myślą żadną ale ręką losu, i nogi drżące same go powiodły za miasto, na pole umarłych. Nowy Judasz szukał gałęzi, na której by skończył uprzykrzone życie, a suchy dąb niedaleko mogiły ojca zaszeleścił mu staremi konary. . . Zgrzytnął zębami ze złości, bo mu nieszczeście nawet łez nie dało, na kawałku sznura, po którym do ziemi spuszczano trumnę rodziców. . . zawisł zloczyńca. . . Wielkiemu imieniu, które nosiła żona postawiono ów pomnik z marmuru i spiżu, robotnicy pracowali nad nim śpiewając, a nikt przy nim nieodmówił pacierza. . . duch potępieńca na wieki został przykuty między mogiłą a drzewem, na którem zawisł z rozpaczy.

L.

Na ciemny ten obraz patrząc oczy moje oblokły się nocą nieprzebitą, i lecieliśmy wśród niej dalej w wilgotnych przestrzeniach, a wzrok nie dojrzeć nie mógł, ani w górze nad głowy naszymi ani pod nogami, oprócz kłębów ciemnych chmur, które się przewijały do koła, to podnosząc, to zniżając, to rozbijając, to skupiając. Chłód przykry obwiał mnie i tęsknota znowu ścisnęła serce znękanę, żal mi było jaśniejszego widoku ziemi, aniołów i duchów, wśród którego przebywszy chwilę, duszno mi było i ciężko. Alem poskarżyć się nie śmiał wiedziony przez anioła i drżałem tylko by mnie ośleplego i osamotnionego nie rzucił na gościńcu dawniejszej mojej pielgrzymki.

W tym świecie pośrednim w którym spocząłem po życiu troski i pracy lepiej mi było, z niego widziałem jaśniej ziemię i zamiast niechęci i żalu do ludzi, czułem w sercu miłość ku nim i uczucia bratnie. Czytałem ztąd lepiej w piersiach ich, widziałem w nich słabość nie występki, błyski chwilowe i porywy ku Bogu, i godziłem się z nieszczęśliwymi, których [potępić nie mogłem. Padali ale wstawali, jęczeli z bólu ale często ból ofiarowali Bogu, zaciemniało się ich oblicze, ale je obmywała łza. I ziemską znikomość nie tak bolała serce moje, bom, uczułem i poznałem że jeno to trwać może co się nie poczyna, lub z ducha stworzone zostało a ciało prochem jest i co cielesne rozkwita by zwiędnąć.

Żeglując tak wpośród ciemności nagromadzonych do koła przez które przebijaliśmy się dalej, westchnąłem w ucisku anioł ulitowawszy się ręki skinieniem rozbił

tumany otaczające... i poczęło się rozwidniać, a obraz wesoly rozjaśnił oblicze tęskne i rozpogodził mi serce.

## LI.

A! uradowałem się matce ziemi, bom jeszcze cząstką do niej należał i przyrosłym się czułem do tej kolebki i grobu. Zabiło mi serce żywo, uśmiechnąłem się na widok spokoju jakim ta chwila jaśniała.

Obraz wielki i piękny stał przed oczyma mojemu.

Mgły ciemne i obłoki czarne, kupami rozegnał wiatr pędząc na drugą półkulę, rzadniały coraz i rozpierzchały się powoli, stały wpół przezroczyste, a niekiedy promyk słońca rozrzynał je drząc w wyziewach i malując je w barwy nieskończonej rozmaitości. Tysiące tęczy kołami swemi malowanemi porozpinały się nad głowy naszemi, i nikły i znowu wytryskały, a mgła co raz to rzadsza, co raz świetlejsza i bielsza, jak przezroczysty rąbek tylko osłaniała nas, i przez nią już widziałem ziemię w jakimś świetle dziwnym jakby oblaną płynem, który jej obrazy ruchomemi czynił. Niekiedy złoto lazur i purpura zakrywała mi ten widok, to znowu rozbijał je lekki wiatr ciepły, i ostatnie wreszcie obłony spadły, ostatnie obłoczki białe i leciuchne odleciały po za nas, a wielka przestrzeń odsłoniła się przed oczyma memi. Ujrzałem znowu kolebkę moją, ukochaną, dolinę łez i żaloby, ale razem wesela i uśmiechów i uradowało się serce moje... a łza na oku zawisła.

Pięknaż to była ziemia... jak umie być chwilami gdy ją oko boże opromieni... są dla niej dnie jasne w których świeci cudnie, w taki dzień właśnie ujrzałem ją wychodzącą z łona mroków... przyodziła się dla

mnie wiosną, zielonością, złotem, lazurem wód, wszystkimi klejnotami co jój krasę zdobią... a szeroko, szeroko widać ją było rozwiniętą, posłaną jak żywy kobierzec u stóp tronu bożego. Góry śnieżyste i omszone lasami stały z jednej strony na strażnicy ze swemi ostremi wierzchołki i pomalowanemi potoki grzbietami, strumienie szumiące płynęły z ich wierzchowin ku dolinom zasypanym głazami, i wonnemi poroślemi rośliny. Dalej ciągnęły się łąki falujące zielonemi wzgórzami i płaszczyzny rozległe, poprzecinane pasami lasów, porozdzielane sznurami rzek, ubrylantowane jeziorami jasnemi. Maluczkie ztąd widać było dzieło człowieka wśród potężnego obrazu ręki bożej, ale im bardziej zbliżyliśmy się ku ziemi, tém widniejszy był na niej pan i mieszkaniec. Ujrzałem szerokie drogi któremi chodzi człowiek, miasta dymu pełne w których mieszka, wioski w których się tuli i domostwa rozsypane po wzgórzach i nad wodami, kościoły strzelające ku niebu i wielkie gmachy, i wszystko co zbudował człowiek. — Znac tęsknota pędziła mnie ku czarnej skibie naszej, bom ciągnął bliżej a bliżej coraz nad rodzinną ziemię, by nią me oczy nasycić. Na górach postrzegłem trzody i ludzi, w dolinach wsie i domy, na rzekach statki i łodzie, w miastach gwarny tłum handlarzy, w siołach ludękę tęsknie wesoły i wesoło tęskny... po drogach podróźnych z kijem pielgrzymów... a dalej jeszcze tysiąc istot jak mrowia wybiegłych i uwijających się z sobą na życia gościńcach.

Ten wielki obraz ludzkiego żywota widziany z góry inaczej i pełniej zajął mnie i zadumał — w duszy zrodziło się pytanie, jaka myśl, jaka żądza, jaki cel kieruje tém życiem tak pracy, utrapienia i lez pełném, jaka siła popędza dalej, gdy oczy ziemskie śmierć tylko widzą w końcu? Poczulem całą zasługę bytu który się tu zapłacić nie może, ale i woń jego dni jasnych za-

grzała piersi. Nie na sam tylko smutek i znużenie patrzałem były chwile błęgiego spoczynku i wytchnienia — żaden rys czarny nie plamił świetnej całości... pieśni wesela i wiary płynęły ku górze, westchnienia ciche przelatywały mimo nas i nad nami. Nikogo pojedynczo widzieć nie mogłem ale tłumy rysowały mi się wyraźnie, patrzałem na znoje i trud, upadki i słabości, ale miłość ku ludziom okrywała mi je szatą jasną.

## LII.

Pogodziłby się ze światem ktoby nań ze mną tak spojrział z tej wyżyny i osądził nie z rysów drobnych, ale z wielkiej całości, w której dobre przemagało.

I podniosło się od radości serce moje dziękczynieniem ku Bogu, ale jasny obraz trwał tylko chwilę, zniżaliśmy się i znowu jakiś wyziew nieczysty otoczył nas... wśród śpiewów odezwały się jęki, wśród wrzawy przekleństwa. Ludzkość którą przy brzasku porannym widziałem kłęczącą przed Bogiem myślą i czynem, powoli w znoju zbliżającego się południa inne przybierała barwy. Tłumy na krańcach walczyły i krew łać się poczęła, a pył i kurzawa zasłoniły pobojuwisko. Do koła walczących stały zastępy matek z załamaniem rękami, siostr, żon dzieci które czekało sieroctwo.

— Czego oni walczą? spytałem anioła.

— Niezbadane są sądy boże, odpowiedział, a ty co je pojąć pragniesz zuchwałym jesteś. Mogiły rycerzy poległych osmucają cię, a wieszże co z nich rośnie, i jaki duch z nich wzleci, i co daje wojna użyzniająca pole na którym pracujecie — co kupuje ludzkość krwią ofiar swoich??

Dla ciebie niepojętą ta walka, marzysz spokój gnuśny, bo śmierć wydaje ci się po ludzku końcem życia, a ona jest jego początkiem. — Cóż że giną tysiące, gdy na zgliszczach wyrasta myśl co dzieciom sierotom nowe otwiera drogi??

### LIII.

Odwróciłem oczy od pobojuwiska i uszy od jęków, a w drugą powiodłem je stronę — Zastęp jakiś handlarzy włókł się w łodziach przez morza z kupią jadąc po grosz do dalekich krajów. Niektóre statki tonęły i rozbijały się od burzy, inne dochodziły celu, i wyludzały od ludów nowych owoce ich pracy za szkiełka i fraszki. Na powrót tych kupców czekały kupy z nowymi towary, wznosiły się warsztaty, schli w nich ludzie ubodzy aby dać innym środek frymarczenia nowego. I dziesięciu bogaciło się potem miliona, i serce mi się wzdrygnęło i posłałem wejrzenie ku aniołowi memu z pytaniem — Dla czego Bóg na to pozwala? być li to może bezkarnie?

Anioł uśmiechnął się z politowaniem.

— Wszystko to są narzędzia w prawicy bożej, rzekł ci co się bogacą, i ci co mrą z nędzy. Alboż wiedzieć możesz co płynie w dalekie kraje z statkami temi?... czy to co w nich wiozą, czy to co niewidome w nich jedzie? Jaka myśl do żagłów przypięta? co urodzi handel? co kupi grosz? co da słowo? co sieje ucisk i krzywda? płacz i narzekanie? Wszystko na ślepo robicie, jak skoro jeden z was Boga naśladować chce pojąć dzieła jego... błądziecie gorzej rozumem, niż ślepotą. Azali wiedzieć możecie co jest w końcu? jaki będzie skutek?

Obrachowujecie zuchwale, a dzieje się to czegoście ani się domyślali, ani spodziewać mogli.

Oto handel i frymarki nieczyste przerażają się w apostolstwo mimowolne, wojna krwawa sieje żądze pokoju i braterstwa, pożar buduje, burza żywi, pogoda umarza i zabija, a cudów nie widzicie i rozumieć nie możecie.

## LIV.

A gdy tak mówił wskazał mi człowieka maluczkiego który szedł drogą zamyślony.

Czoło jego było olbrzymie i oko ogniste... rzekłbyś że głowa wszystkie siły ciała jego skupiła i kosztem bark wyrosła: tak był chudy, zniszczony, maluczki, drobny, a na słabych ramionach dźwigał potężną czaszkę.

— Oto, wskazał anioł, jeden z tych co ludzkością chcą kierować ubogie dziecię strzechy słomianej, ale niepokój ducha podniósł je i uczynił mężem głośnym i wielkim. Zdaje mu się a sądzi że go posłał Bóg aby stworzył świat, i czuje się pełen ducha.... Zbladł nad księgami w których czytał formuły życia i myśli że je odgadł — że dlań nie ma ono tajemnic, że jako i nicią pokieruje ludźmi i powiedzie ich kędy zechce.

I w dumie bezbożnej rzekł sobie — szeroki świat boży! źle tak jest jako jest, niech będzie inaczej.

Zbladły nad księgami mól napisał sobie formułę żywota i spojrzawszy na żywych że do niej nie przystawali, zażądał ich przerobić. Jedni są nisko, rzekł, drudzy do zbytku wysoko, jedni głodni cierpią, drudzy przesyleni boleją, ci rozkazują, tamci się uginają i słuchać muszą — czemu tak jest? czemu człowiek czło-

wiekowi równy nie ma też równego w darach bożych udziału? I począł wołać i gromadzić lud, a odzywać się do wydziedziczonych, aby nowy dziedzictwa podział uczynili, a nędza i trud i łzy wysłuchały go i słowo jego zaszczepiło zazdrość, zasiało nadzieje płocze, uradowali się biedni, że im świat nowy obiecano.

Ten apostoł pokoju i szczęścia począł od krwawych podżegań namiętności — Weźmijcie, rzekł, czego wam niedają, wydrzyjcie co wam wydarto, a później na ruinach zbudujemy lepszy świat — gród ludzki miasto grodu nieprawości. Gdy tak mówił i zapalał się a zapominał ów człowiek, nie pomniał że narzędzie którego używał ludzkim było, i w myśli swój postawiwszy istotę niebywałą na ziemi, rachował iż z ideałem do czynienia mieć będzie; a miał tylko ze słabościami i upadkiem z istoty upadłemi i kruchemi. Zgarnął do kupy lud ubogi, i począł nowy świat tworzyć... a naprzód stary uprzętać. Wpatrzywszy się w twarz człowieka zapomniał Boga i powiedział sobie — Ludzkość jest Bogiem, ja, ty, my i niema innego; a tamten był na postrach stworzony.

Przypatrując się ziemi i siołu, rzekł — niema jeno zgnilizna po śmierci, ani życia krom tego które widzicie, reszta wymysł i łapka na was, więc wszystko można co człek pragnie, bo nań nikt nie patrzy, a on sam panem sobie. Słowa jego podobały się tłumom, rzuciły się więc na świątynie boże, na domy wyniosłe, na ludzi co im stali na zawadzie, na kapłanów i na możnych, i w proch rozsypał się świat stary wśród gruzowisk krwią przesiąknięch, a po nad niemi stanął ów człowiek co nowy chciał świat budować i patrzył — Aż gdy burzyć skończono, zdziwił się że nie było z czego budować —

— Wszyseśmy równi, rzekł mu jeden więc ja chcę nie tego co ty, a co chcę mam prawo uczynić — ustąp mi z drogi i czyni co ci każe, bo mam siłę i tłum za sobą.

A drugi rzekł: Nie ma Boga i przyszłości, więc gdy mi stajesz na drodze, zepchnę cię i nieodpowiadam jedno sobie. Litość jest głupstwem niepotrzebnym.

A że ów pierwszy miał jeszcze siłę, rzekł w duchu: Nie dosyć ofiar. Sprzątnęliśmy możliwych i usunęli kapłanów, wynieśliśmy uczucie trwogi dziecięcej z serca, ale oto są duchy co nam zawadzają, niech wezmą ich i ubiją, bo są nieprzyjaciołmi ludzkości i mojemi.

Gawiedź ich ukamienowała i tych i wielu innych z niemi. Poczęto budować ale nikt nie słuchał i stało się jak z wieżą Babel, tym symbolem utopij ludzkich bez natchnienia Bożego, noszono wapno gdzie trzeba było wody, a wodę gdzie piasku czekano... i nie szła budowa.

— Jeszcze uprzątnąć potrzeba, rzekł przewodzca, jeszcze oczyścić, ze starego świata nadto pozostało chwastów— wyciąć je! wyciąć musimy.

I posłano znów na rusztowanie tysiące i krew polala się napróżno, a dzieci męczenników śpiewając hymn szły na ścieżce, modląc się szli starcy, szły niewiasty... jak na ucztę radosną. A gdy przestraszyły i zgroza rozszerzyły się po kraju, rzekł w sobie człowiek idei— Oh już dosyć, zaczniemy budować!

Ale nie szło mu sporo bez Boga, wspanak kleiła się robota bo każdy sobie mówił — Dla czego on ma nam kierować, azali nie równe prawa nasze i umysły i oczy? czemu nie ja stoję na przodzie i steruję innym? dla czego nie tłumacząc w prawo mi iść każą gdy ja w lewo pragnę? Precz z tym człowiekiem. I u podstawy gmachu który się jeszcze nie budował poważnili się budowniczy i bojowali, ci co wiekuistego pokoju i braterstwa mieli być twórcami.

A na ruinach nowych, siadł ten człowiek co świą chciał przerabiać i pytał się — Co jest że niemogę jak pragnę! że myśli wieleć nie umiem? że skoro zbiję je-

dnę wyżej stojącą głowę już się druga podnosi i góruje? Co jest że nie władam ludem i niemam siły aby mu panować? że sieję ziarno a chwast wschodzi! Pójdźmy i wytrzebmy jeszcze, aż póki nie pozostaną powolni sami i jako dzieci posłuszni...

Poszli więc i posłali katów idei nowój torując drogę toporem i rusztowaniem, a robota była bez końca i nie szła sporo... w imie braterstwa mordowano braci, wszystko upadło na sercu i duchu, gmin i tłum głupi na gruzach i trnpach bawił się pijaństwem swoim.

I stała się rzeź wielka w imie ludzkości, a ów człowiek patrzył i łza mu nie pociekła... gdy z kolei i jego powiedziano na śmierć... wielkim śmiechem szaleństwa i rozpaczony skończył mizerne życie.

## LV.

— Wieszcze, dodał anioł, co uczynił ten nieprzyjaciel możnych i kapłanów i władców? oto wyrosła z nieładu wojna, z wojny bohaterstwo, z boju potrzeba porządku i władzy, a w miejsce zrzuconego z tronu, przyszedł żołnierz i zatknął miecz swój krwawy, mówiąc — jam panem. W miejscu rządów zepsutych dworaków, nastąpiła władza żołnierzy jego braci, w imie braterstwa ludów zawrzała wojna, dyktatura i przemoc i uciski...

Tak się dzieje z dziełami tych wszystkich co świat Boży chcą po myśli przetwarzać swojej, bo człowiek siebie jenó przerabiać może i powinien, — stać się Bogiem nie może, ani jasno przejrzeć, ani opatrzenie działać na jutro... Idzie ale nie wie dokąd... ślepy prowadzić niezdolny — rachuje, ale go myli rachuba w przyszłość, jakże potrafi odgadnąć czego nie obejmie myślą?

Gdzież siła by wniknął w tę z milionów składającą się całość tak rozmaitą, tak potężną, tak złożoną, w której tysiące działań się niszczy, przeciwważy, unieczemnia, łamie, bojuje, spięra, łączy, a cicho; jednak spełnia co im przeznaczono.

Jestli kto coby mógł rzec w duszy — Znam i wiem jakimi drogi idzie ludzkość, kędy i dokąd ją prowadzić! Jedni ją wiedą na step bezwodny by umierała z pragnienia, drudzy na paszę od której zbytku kona, inni na wędrowkę skalistą w przepaście... a Bóg tylko, co błąd ludzki obrachował, z tych pokuszeń zbrodniczych umie zrodzić skutki błogie, niespodziane. Na stepie bezwodnym konające tłumy bijąc czoły ukorzonemi, wykują źródło dla dzieci... na paszy zbytniej obzarłe gminu tysiące, usypią ciałami górę co osłoni wnuków... przepaść zasuną męczennicy, by po niej później przeszli potomkowie drogą bezpieczną.

Wielki Bóg! my nuemy Hosanna!

Biedny człowiek! my litość nie przekleństwo złożmy na jego mogile...

## LVI.

— Teraz spojrz, rzekł biały mój przewodnik, jako nowi występują apostołowie w imie ducha... na tych zgliszczach krwią oblaných, które widziałeś przed chwilą. Odkryli oni prawdę wielką, że ludzkość idzie naprzód nieprzewyciężona, ale zarazem że ją popychać potrzeba — ideą znowu chcą przysporzyć jej biegu.

Tysiące lat i pokoleń szły naprzód niewiedząc o tém, dalej a dalej samą siłą natury swój i woli Bożej, ale teraz dopiero, mówią oni, gdy już wiemy że idziemy

i czujemy ruch i chód, pójdziemy szybko przyspieszonym do celu biegiem. Więc naprzód — ale jak? Duchem zaszedł już człowiek od wieków tak wysoko i daleko, jako tylko mógł, wyśpiewał wszelkie uczucia, wszystką tęsknotę, każdą boleść, najpotężniejsze słowo stworzenia... pozostało więc rozumem badać, a ciałem używać!

I oto znów powstaje wielki wódz, który głosi, że boleść wykorzeni, że ubóstwo zniszczy, że dobry byt zaszczepli i da ludzkości szczęście, w postaci nie chleba co się Bogiem staje, ale Boga uczynionego chlebem. — Do pracy! do pracy! woła, nie do trudu ducha, nie na wyżyny natchnienia, nie do pogardy męczarni i potów krwawych, ale do pracy cielesnej, co się płaci ziemią i nią ogranicza. Dalej mrówki do roboty... a spojrzeć w niebo nie wolno, bo to odrywa napróżno, a westchnąć się nie godzi, bo zwiększa westchnienie, a zamyśleć się występkiem, bo zachwyty jest czasu stratą... a zapłakać grzechem, bo łza zwałaby robotę...

Anioł smutnie spuścił głowę, a jam uczył że patrzę na chwilę obecną, i poglądałem w ciszy, jak bezrozumem ludzkim spełniała się niewidoma jeszcze wola Boża. Człowiek pracował na chleb powszedni tylko, a trud jego i poty budowały gmach niewidzialny przyszłości.

## LVII.

Westchnąłem mijając widoki różne które się co chwila odmieniały: tu bitwy zajadłe, tam zajadłą pracę, owdzie spoczynek martwy skostniałych tłumów, zakładane grody i sypane mogiły. Wtém duch jakiś biały unoszący się pomiędzy niebem a ziemią przesunął się u stóp naszych

i powiewną szatą błysnął w powietrzu. A był tak czysty i jasny, żebym go wziął za anioła, ale skrzydeł nie miał srebrzystych, i czarny warkocz rozplątany w powietrzu zdradził niewiastę, którą siła jakaś ciągnęła ku niebu, a druga przy ziemi trzymała. Jakieś uczucie ziemskie przywiązywało ją do doliny łez, choć anioł nie był nad nią czystszy ni jaśniejszy. Postrzegłem ją wirowym ruchem okręcającą się w powietrzu ze złożonemi rękami jakby na modlitwie, a potem zstępującą na ziemię.

W kolebce spało dziccię sierotka, i nikt nad niem nie czuwał, duch matki zstępował ku niemu... Bóg pozwolił jój samój być niewidzialnym aniołem stróżem dziecięcia, które odlatując rzuciła — wymodliła sobie niepokoje i boleści dla dziecięcia, które się obawiała powierzyć duchom nawet niebieskim.

Wiemyż my co się w koło nas i z nami dzieje, kto niewidomie nas wspiera? kto myśl przynosi? kto zasiewa ziarno dobrego, kto popycha, kieruje, wspomaga? W życiu nieraz czujemy siłę co nami rządzi, której się opieramy często i zaprzeczamy jój w ostatku.

Cały świat niewidomy nam błędzącym w cieniach, widziałem ztąd jasno. Nikt z ziemi nie dostrzegł tego cienia matki, która porzuciła niebo, by z dzieckiem swoim pozostać, a ofiarę by jój policzono, bo duch jój z ciała uleciał wprzód do Boga i roztopił się w jasności jego, skosztował szczęścia i spokoju, a jednak powrócił na plac walki i bojaźni, aby stróżować u wezłównia sieroty.

I widziałem życie ducha co zawisł nad tą kolebką dzieciny, jego pracę i łzy, ruch każdy policzyłem — Sierotka opuszczona szła jedna widząc cień matki nad sobą, ludzie go nie postrzegali. Z drogi dziecięcia kamyki odsuwała dłoń matki, pielęgnowała je, zasłaniała broniła, a ludzie się dziwili opiece niewidomej wytłumaczyć jój nie mogąc. Było to życie które pospolite oczy

cudem zowią... rzucona bezbronna sierotka, zdawała się przeznaczoną na pastwę wszystkiemu co człowieka prześladowa — chorobom, wypadkom, zdradzie, prześladowaniu, uciskom, zdawało się że stęrać się musi, że zginąć powinna, że w głowie jej myśl zgaśnie na wieki, w sercu zle tylko rozkrzewi się bujnie... Ale nad dzieckiem z grobu czuwała matka, szedł za nim krok w krok cień jej, i gdy spoczęło, usiadł nad sierotą, szepejąc jej do ucha myśli pocziwe, wlewając uczucia święte. Duch czytał w sercu, odgarniał co w nim złego wyrosło, wypielal chwasty, a ludzie dziwili się podrastającą dziecinie która kwitła piękniej, niż inne ziemskimi pielęgnowane rękoma. I poczytywano cudem, co było zagrobową miłością macierzyńską i poświęceniem.

Duch macierzy nieopuszczał dziecięcia, czuwał nad niem nieustannie, szedł krok w krok, ludzi odpychał, serca skłaniał, siły szkodliwe rozbrajał, bronił, ogarniał i zsyłał moc Bożą na podźwignienie.

— Patrz, rzekł anioł, to najwyższa, najczystsza miłość na ziemi; bo w niej największe poświęcenie, nie ma nad nią świętszej ani trwalszej, ani silniejszej, — jedno serce matki tak kochać umie jak Bóg kocha dzieci swoje, jedna to miłość co nie rachuje na odpłatę, nie chce nic dla siebie, nie pragnie chluby, nie targuje się z ofiarami; cicha, łagodna, niezmożona, wielka, trwa do końca. Niewdzięcznością odplacona, płacze ale przebacza, odepchnięta powraca, zdradzona wzmaga się, życie straci i z za życia jeszcze promienieje. Dla tego błogosławieństwo matki jest siłą wielką, a przekleństwo macierzyńskie śmiertelnem.

Ludzie przywykli upatrywać moc i potęgę w tém tylko, co ciała dotyka, nie rachują tajemnych sił co ich otaczają. Takiemi dźwigniami są miłość, modlitwa, słowa błogosławieństwa i przekleństwa słowa, uczucie silne ku jednemu wymierzone przedmiotowi. Znacież ich moc

i potęgę! widzicie cuda czasem, ale zakryte dla was drogi, któremi spływają na człowieka szczęście i niedola. Często słowo jedno mocniejszym jest od rąk stu ludzi, jedno wejrzenie zabija i żywi, jedna wola silna rozprasza lub skupia. Niebaczni, szafujecie tém co macie najdroższego, nieznając skarbów swoich, zdaje się wam że rychlej może podścignąć dłoń niż dusza, a gdy Pan mówił że wiara góry przenosić może, choć tajemnicę wam odkrył, wyście mu niewierzyli. Myślicie o podobieństwie, a w słowach Jego prawda, której skutki widzieliście dokoła, przyczyny nie nauczyliście się dotąd.

### LVIII.

Co chwila spotykaliśmy duchy przykute do świata przywiązaniem jakimś jak ta matka, namiętnością wielką, która po za granicami życia więziła ich jeszcze, tęsknicą którą przebolewać musieli długie lata, wyziewem ziemi z którego się obmywać musieli.

Matka u kolebki dziecka - sieroty, żona u boku męża, dzieci przy piersi macierzyńskiej — snuli się tęskniąc w rozerwaniu, jedną połową duszy do nieba, drugą do ojczyzny ziemi z której wyrosli. Rzadki duch odlatywał wprost oswobodzony z ciała, w objęcia Boga lub w przepaść zapomnienia, większa ich liczba błędziła nad ziemią naszą.

I nie dziwiłem się sile tego węzła co tak mocno łączył nawet dusze nieśmiertelne z ziemią znikomą, bom sam miał wielką miłość do niej, i tęsknica porывała mnie z objęć aniołów. Łzy kręciły mi się w oku, z góry postrzegając wszystkie miejsca w których upły-

nęło życie moje, ponaznaczane łzami, wysypane piaskiem mogilnym pamiątek.

Błądząc okiem po wielkiej przestrzeni rozeslanej pod nogami mojemu, pierwszy raz w życiu obejmowałem i tuliłem do piersi wszystkie miejsca ukochane, za którymi bolałem, a niepokój ku nim mnie pędził. Splołem je wzrokiem w jeden pęk kwiecisty.

Anioł milczał ulitowawszy się uczuciu memu, a w tém zstąpiliśmy nad nieznane mi miejsce.

## LIX.

Była to pustka po za wsią, cztery tylko ściany w ruinach i gruzie, po jednej z nich wyższej i wznioślejszej poznałem rozwaliny kościoła, którego tylko szczyt podparty grubszymi szkarpy nad wzgórzem ożynami i tarniną porostym panował, a na nim chwiał się jeszcze stary krzyż żelazny, do którego przyparte było gniazdo bocianie. Po okopconych od ognia ruderaach, których deszcze obmyć nie mogły, znać było, że ta ruina nie obaliła się powolnie, ale płomieniem pożartą została.

Ludzie zamiast podnieść dom Boży, dali mu upaść i nie wskrzesili stariej poczciwej ojców modlitwy kamienniej. Kilka krzyżów drewnianych, kilka mogił podnoszących się nad grzbiet ziemi, kilka drzew starych współczesnych kościółkowi wiejskiemu, ubierały to miejsce smutne, dziczające i ciche.

Z pagórka na którym wznosił się kościółek nad urwiskiem i płynącą u stóp jego rzeką, wzrok sięgał w dal ogromną po za drugi brzeg wody, na lasy, siola, pola i dwory. Pięknie tu było choć smutno. Słońce zachodzące złociło szczyt upadłej budowy, a bocian klekotał

na gnieździe, wróble układały się do snu w krzakach bujno rozrosłych dokoła... para krówek chudych powoli schodziła z paszy na grobach ku chatom w dolinie. Ostatni promyk słońca złościł jeszcze przez chwilę krzyż żelazny, odbijał się w wodzie rzeczulki, potem zgasł nagle i mrok szary począł się rozsuwać po ziemi. Patrzałem na ten obrazek z uczuciem, gdy wśród powiększających się ciemności, zadzwoniono w dolinie na Anioł Pański i echo poniosło daleko po rosie odgłos dzwonka wiejskiego.

Anioły lecące w powietrzu się zatrzymały i modliły za poległych. Ale nie za samych tylko poległych w krwawej wojnie.

Za poległych we wszystkich bojach, które po cichu odbywają się na ziemi, w których padają przesyćci bez chwały i oklasku, z uśmiechem na ustach, często z pozorem zwycięstwa.

Za poległych w walce ze światem, z ludźmi, z uczuciem potężnym, z cierpieniem wielkim, z rozpaczą, tęsknotą, boleścią.

Za rycerzy ducha, za nieznanych apostołów przykładem i czynem opowiadających wiarę, za umęczonych przez braci uciskiem, miłością, nienawiścią, zdradą, niepojęciem i pogardą.

Za zgasłych w poboju wielkim w rozkwicie lat, w pełni nadziei, za wszystkich co walczyli i upadli ciałem, a nie umarli duszą.

A te duchy modlące się w niebiesiach za dusze uwięzione na ziemi, klęczące w obłokach na wysokości, wywołały kilku oswobodzonych ku niebu. Jak białe obłoczki wznieśli się w oczach moich wyzwoleni do Boga, a aniołowie popłynęli znowu na straż przy mogiłach i ludziach, i w ciemnym tle niebios ujrzałem blado przyświecającą pierwszą gwiazdę wieczora.

LX.

Spoglądając na ruiny kościółka, ujrzałem mogiłę, z której przetarlszy oczy, rażno podniósł się starzec, zbudzony dzwonem na Anioł Pański. Postać to była pospolita, staruszek zgarbiony, o rysach twarzy zwiędłych, łysiej głowie i barkach pochyłonych, okryty szarą saitą, w ręku miał klucze i kij, którym się podpierał, — wyglądał na stróża tej ruiny i był nim w istocie. — Szybko dzwignął się z ziemi i ścieżką sobie znajomą skierował się ku miejscu gdzie były dawne drzwi kościoła, a dziś wyszarpany tylko otwór w murze rozbitym. Dla niego znać wszystko tu stało jak niegdyś całe i świeże. A w miarę jak się zbliżał ku drzwiom kościelnym, ujrzałem powstające z gruzu mury i cudem wskrzeszoną świątynię. Kościółek stał znowu jak przed laty opasany murem, z całym szczytem, z wieżyczką, sygnaturką, z ołtarzami po wiejsku przybranemi, z całą swą skromną ozdobą. Starzec zbliżył się do drzwi i odemknął je kluczem, i wszedł wewnątrz niespokojny.

Wzrok jego zgasły ożywił się na widok gmachu, który ukochał, do którego się przywiązał, który pielęgnował jak dziecię swoje — spojrzął szukając pyłu, śledząc czy się gdzie co nie osunęło, czy pajak nie zasunął gdzie sieci swoich lub ptak przez otwór jaki nie dostał się do wnętrza. Przyklękawszy w progu i pokropiwszy się wodą święconą, skierował się wprzód ku wielkiemu ołtarzowi, poprawił obrusy, ustawił dzwonki, ponaginane wyprostował świece, i wszedł do zakrystyi na prawo. Tu wszystko było w porządku, kielich jest do mszy nakryty, mszał wielki na stole, krucyfix, i alba rozpostarta i ornat przygotowany na mszę żałobną... tylko

księdza nie było. Po chwili siwowłosy kapłan ukazał się w progu zakrystyi, i począł się do wielkiej przygotowywać ofiary... starzec tymczasem zapalał światła w wielkim oltarzu, zdejmował zasłony i żywo do mszy przyrządzał. Z macierzyńską troskliwością opatrywał najmniejszy szczegół dokoła, a nigdy mu dosyć nie było, ciągle coś miał do poprawy i przystrojenia. Lich-tarz nie stał na swoim miejscu, trochę wosku opadło na mense, dywanik zagiął się na stopniach, ampułki poprzeczylały niebezpiecznie, pokarbowany ręcznik nie trzymał się w miejscu.

Nareszcie wszystko do mszy gotowe... kapłan wychodzi, dzwonek się poruszył i msza żałobna poczęła...

Dwóch starców tylko na kościół cały, nikogo więcej choć drzwi stały otworem.

W cichości ta pogrobowa zaczęła się ofiara, myśmy na nią patrzyli w milezeniu i przerażeniu... umarli zastępowali żywych! Łzy płynęły z oczów kapłana strumieniem gdy odprawiał ofiarę za ojców co stawiali dom Boży, za pogrzebionych na cmentarzu, za dzieci ich co uciekły daleko opuściwszy świątynie, za zobojętnia-łych, rozproszonych, za rozpędzone owieczki i zginioną trzodę, za żywych ciałem a duchem umarłych!

## LXI.

Gdy kapłan stojący przed oltarzem począł wspominać umarłych, w grobach otaczających podźwignęła się zie-mia, i po jednym poczęły wstawać cienie snem długim spowite, i szły szeregiem do kościółka obwinione w ca-łuny.

Kościółek napelniał się i ożywał jak przedtem,

zagrały organy, zalał go pobożny tłum nieboszczyków. Niektórzy z dalekich krajów otrząsłszy ziemię obcą, która ciężkiem brzemieniem piersi ich przygniatała, przywlekli się do kościołka pustego, którego chrzcielnica zmyła z nich grzech pierworodny, przywlekli się w śnie pośmiertnym, całując piasek domowy, i jęczeli głosem powróconych wygnańców, szukając oczyma dawnych towarzyszów pielgrzymki swojej.

Postrzegali ich w całunach i płakali, nie poznając swoich jeno sercem, bo ich oblicza zmieniły cierpienia i mogiła. A było tam pokoleń wiele począwszy od pierwszych chrztem obmytych świętym, od tych co na swoim jeszcze pogańskim leżeli mogilniku, i drzwi oblegając wewnątrz wniść nie śmieli, na maczugach oparci — potem synowie ich w grubych sukniach i prostej odzieży, wąsaci i barczyści, i niewiasty zawinięte jak wieśniaczki w skromnej odzieży, i wykwintniejsi Zygmuntowi rycerze, i piękniejszego oblicza żony ich z włoska strojne i zfrancuziałe, zniemczale, skarłale plemie późniejsze. Patrząc na to zbiegowisko duchów co na chwilę oblokły dawne postacie, trudno było uwierzyć żeby jedna krew niegdyś w ich żyłach płynęła, jeden poprzednik ich rodził, tak twarze i dusze były odmienne, tak różne wejrzenia i pragnienia. Mieścili się tu wszyscy aż do ostatnich z między nas świeżo wziętych, zbolełych męczenników, którym sił na wytrwanie boleści nie stało.

Byli też starecy, matrony i dzieci w pieluchach, lud prosty i panowie, wszyscy zrównani w obliczu Bożem, jedni tylko bielsi swą cnotą, drudzy ciemniejsi namiętnościami i grzechem.

Msza umarłych ciągnęła się długo, długo, a przed ostatnią modlitwą o wieczny spoczynek, kapłan stanął u ołtarza i wyszły dwa duchy jasne z tłumu który się przed nimi rozstał. Było to dziewczę jak marmur

blade, w długim całunie miasto zasłony weselnój, w zeschniętym wianku przeplecionym cierniami, błyszczącym jasnymi gwiazdy; twarz umarłej była jak piękny posąg spokojna i uśmiechnięta nie ziemską już radością. Obok niej szedł młodzieniec, którego ducha przynieśli aniołowie z mogiły dalekiej na drugiej półkuli świata.

Kochali się niegdyś, zaręczyli, przysięgli, i dwie ich dusze tęskniły do siebie przez długie lata rozdziału, aż oboje zabiła tęsknica i przysypała ziemia. Wstali znac z mogił, aby dotrzymać przysięgi i powtórzyć ją raz jeszcze przed kapłanem na ziemi. Tłum widzów stał w poważnej zadumie, patrząc na parę zbliżającą się do ołtarza. Młodzian w piersi miasto ślubnego kwiatu miał ranę głęboką a jasną jak gwiazdy wieńca dziewiczego; przyszli razem i podali sobie dłonie, i oblicza ich zajaśniały radością, jakiej niezaznały na ziemi. Kapłan zamiast stuy, związał ich czarnym całuna końcem i pobłogosławił w cichości... Ukłękli i tak życie prześnili przed ołtarzem, bo ziemską ich pielgrzymką i pokutą była skończoną.

Rozstąpił się znowu tłum mar i widm, a młodzi umarli z dłonią w dłoni poszli do domu mogiły, odnosząc szaty swych ciał ziemi. Czekał na nich otwarty grób, powiódł ich orszak ku niemu, i widziałem jak się prochy układały przy sobie, ziemia otuliła ich ciała, i mogiła je przygniotła, a duchy towarzysze rozeszły się powoli do grobowisk swoich.

Gdym się znowu obejrzał na kościółek przed chwilą oświecony i pełny, ujrzałem tylko gruzy i sterczące ściany, chwasty i krzewy które je porastały, i cień od chmury osłaniający wzgórze puste. Ostatni kapłan i starzec kościelny znikli mi z oczów w czarnych mogił otworach.

Mój wzrok nad ślubną zadrzał mogiłą i westchnąłem, a anioł rzekł mi — Żal ci ich? ale dłuższeż wasze ziem-

skie życie nad tę chwilę, którą oni z połączonemi dłońmi przeszli w upojeniu błogiem od ołtarza do mogiły?

Spojrż, rzekł, i ujrzałem dwa duchy czyste, żeglujące ku niebu, jasne, uśmiechnięte, szczęśliwe, — poprzedzały je dwa anioły, siła jakaś gnała prądem do góry, i znikli w głębiach eteru i jasności, w smudze blasku.

## LXII.

Szliśmy dalej z aniołem, a kraj nasz ukochany powoli z oczów nam znikał, i ż wyżyny, na którą mnie podniosły skrzydła mojego białego stróża, postrzegłem tyle ziemi ile jój wzrok ludzki objąć może... Pod stopami naszymi rozdzielała się dziwnie rozmaita i dzika, pogarbiona górami, zaciemniona lasy, morzami oszklona, z grody swemi i dziełami rąk ludzkich, które leżały na niej prochem białym. Jak mrowie snuli mi się to pojedynczo, to kupami ludzie krzyżujący po ziemskich obszarach, a ta trwałość życia wśród ciągłej śmierci, wygnała na chwilę myśl znikomości człowieka. Umierał człowiek ale ludzkość żyła, odnawiało się co znikło, odżywiało zmarłe, a na mogiłach bawiły się pokolenia nowe. Wielka była różnaitość w tym obrazie jednostajnym z pozoru, i jak niejedne lasy okrywały ziemię, tak różne narody błąkały się po niej. Każdy kątek tych przestrzeni jakby oddzielną myśl Stworzyciela wyrażał, wszystkie zlewały się w potężną, harmonijną całość.

Między ziemią i jój mieszkańcami widziałem związek niedojrzany wprzódy, i pojąłem miłość dla kraju i każdego kraju oddzielność.

— Każdy, rzekł mi skrzydlaty przewodnik, pracuje na swoim zagonie dla wszystkich, każdy ma słowo do po-

wiedzenia i czyn do spełnienia. Oto jedni dożyli dni swych i spoczywają w ruinach, dopóki nie odetchną jako człowiek znudzony do życia nowego.

I wskazał mi kraj pyramid i sfinxów przerznęty Nilem i żółtymi zasypyany piaskami, z dziwnie zamarym ludem, który duchem niepojmował dzieł ojców swoich i olbrzymom niebieskim przypisywał ich gmachy... Ta ziemia była wielkiem cmentarzyskiem, świątynie puste, znaki i godła milczące, ogromne ruiny do pasa piaskami zawiane, miliony grobów a w nich miliony zmarłych z twarzami przeszłości... wszystko to tak zapomniane, tak nierozwikłane, tak przez wnuków zabyte, że im obcy przychodnie własną ich przeszłość musieli tłumaczyć.

Nad tą wielką pustynią obce panowanie, długa cisza cmentarzowa... Taka śmierć całego narodu, zabycie przeszłości, zerwanie związków z własnego życia ciągiem, nie jest li najstraszniejszym z widoków na ziemi? Jakże płakać nad znikomością jednego człowieka, gdy całe narody tak nikną? jak żądać by życie jednostki świeciło z po za grobu, gdy pokolenia całe wielkich ludów spią bez kamieni mogiłnych... a wnuki się ich zapierają. Jestli co ludzkiego trwałem, gdy różne państwa tak się w proch sypią, one co się tak o uwiecznienie swój pamięci starały, których życie było ciągłym zawarowaniem od śmierci? Przez nie rzekł Bóg światu: patrz, czém są dzieła twoje, oto lud, który żył kopiąc groby wiekuiste, rzeząc napisy, aby pamięć jego nie zginęła, spowity w hieroglify — a zginiony jak inne. Trwają kamienie ręką jego wzniesione, w kopalniach glazu pozostał młot i dłuto co hieroglify wyłabiało, a język i pamięć i nazwisko jego wiatr rozbi w pustyni o pyramid boki.

### LXIII.

Prąd co nas unosił, powiał ku brzegom Grecyi, wesolój krainy wielkich mężów i czynów, tu jeszcze żyła pamięć wszystkiego, ale w inny sposób bezsilna, bo odrodzić przeszłości niemogła. Wszystko zdawało się maluczkie, drobne, budowy ich sławione, grody wielkie, góry śpiewane przez poetów, strumienie, których imiona poetycznie rozlały się po świecie. Wśród tych gór u brzegu tego morza, rzekłbyś inny lud mieszkał, tak w piersi jego nie z dawnéj niepozostało wielkości. Ida, Olymp jak ludzie i ludzie jak góry zmaleli. Na wielkich Bogów Grecyi i bohaterów dziejów olbrzymich nie było miejsca w ciasnej Helladzie. Troję okrywały krzaki karłowate i kamienie otłuczone, a pastuch nie nucił pieśni Homera. Spiewał pieśń pół rozpustną i pół zbojecką.

— Lud ten, rzekł mi duch mój, — nie ryl na marmurze, ani pisał kamieniom, a żywot jego przeszły jeszcze dziś żywy i przytomny, tak że w obec jego scena poematu maleje, i wszystko to zda się drobném i lichém... czyny bohaterów przeszłości trudno pomieścić na tym skrawku ziemi. Bo tu panował duch wielki, i poryw i przecucie dobra. Jak lud Izraela posłował do ludów pogańskich z ideą jednego Boga, tak Grecya zwiastowała im ideę poświęcenia, cnoty, bohaterstwa. Sokrat był przecuciem nowéj ery, Plato prorokował przyszłość, posagi natchnione wyprzedziły pojęcie sztuki, gmachy układały się w linije wdzięku pełne... Spartańczyk hartował już ciało któremu hamulec i wędzidło miała włożyć nauka Boża. Tu wszystko w zarodku, to cała poezya przeszłości ludów, a co z niej

uleciało dziś jeszcze świetnieje niezgasłe. Tam u Nilu potęga prawicy ludzkiej wyraziła się głazami, których głoski pozostały niewyczytane, tu niema napisów a żyją słowa, a czytasz dziś jeszcze przeszłość Grecyi.

U waszych mędrców co wierzą w ziemię i ciało, powiedz mi, — wiódł dalej duch — jak wytłumaczyć tajemnicę zniknięcia ludu i przemiany jego... Toż samo niebo, też wody, te morza co były, też krew, co w żyłach ojców płynęła, dla czegoż dawna Grecya odradza się w karłach niedołężnych, w handlarzach nikezemnych, w narodzie zubożałym, na duchu, który raz tylko dźwignął się rozpaczą wielką i zwycięzca upadł gorzej niż gdy był zwyciężony. Dla czego nie kwitnie tu ani sztuka, ani pieśń, ani duch Sokratesa i Platona? czemu nie wnijdzie znowu ślepy Homer? a pieśń dzisiejsza taką przestrzenią dzieli się od starej... Ziemia, ludzie, ciż sami, ale młodość ich przeszła i posłannictwo skończone. — Bóg chciał, zamknęły się lata chwały, a poczęły lata pokuty.

Pogodny dzień z niebem jasnym i skwarem ubielonym świecił Athenom... gdyśmy stanęli nad nimi, i próżno tu było szukać ich dawniej świetności... nad upadłemi pomnikami ich zielone drzewa i smutne minarety panowały nowym życiem. Szczątki Parthenonu świątynia Thezea z żalobną palmą jedyną, kilka kolumn, trochę murów odartych... oto co pozostało z starego grodu Minerwy. Wzgórza otaczające, nagie lub porośnięte bładami gajami oliwnymi, krzakami cypru i myrtów, nie miały już starych nazw swoich... przecież to były Ikar, Hymett... a wody wyschłe zwały się Ilisem, Kallinhoe, Cefyzem... Wielkie milczenie wieków, wśród którego ani słyhać było gwaru nowego życia, przygniatało stolicę Aleybiadesową. Anioł wskazał mi przed Latarnią Diogenesową mnicha modlącego się na rui-

nach... w tej modlitwie była jeszcze iskra przyszłości.

Agora była powszednią targowicą, a prozaiczny zegar Elgina wybijał godziny konania.

Wzrok nasz poleciał ztąd przez Ceramik i równiny Cefyzu po nad ruiny Eleusis nad górę Cerate nad Megarę ku starem Koryntowi.... Tam stała twierdza Muzułmańska, a u pegazowego źródła piły konie obcych wędrowców... Góry Delfijskie spały, żałoba i pustka były wszędzie... jam płakał... anioł uśmiechał się spokojnie.

— Jedna to zbutwiała karta dziejów, jakich tysiące porwały wiatry... Umierają ludzie i ludy, rodzą się dzieci obojgu, wstają pokolenia nowe... lecz wszystko ziemskie trwa chwilę... jak twoja łza. . . . .

Żytomierz d. 30 marca 1857.

**J. I. KRASZEWSKI.**

## PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

---

Poezya zastępuje stosunki żywotne; przez śpiew łączą się serca i tworzą znajomości. — Pisma czasowe biorą po poetach spuściznę. — Znalezienie się w rzeczywistości cechą pisma czasowego. — Stan pism czasowych i niedostatki ich. — Teka Wileńska i artykuły w niej zawarte.

Litwa może się nazwać ubłogosławioną ziemią, nie-tyle pod względem czarujących okolic, bujności gruntu, przyjaznego klimatu, ruchu cywilizacyjnego, ile że wydała wielkiego wieszczę, który wyśpiewał duchowe jęjtajemnice, i takimi urokami potrząsł jęjtciemne lasy i ciche zaścianki że kto jęjt niewidział, zbiera go tęsknota, jak za nieznaną kochanką.

Cudowna to kolęjt którą poszli nasi śpiewacy ześpiewujący w jeden chór tony rodzinnych zagonów! Pieśń lecąca pod obłoki nienapotykaçąc krańców, służyła niejako za posłankę wzajemnych wynurzeń się z bólów i tęsknot i słodkich myśli. Witano ją też serdecznie i mieszczono w pamięci serca, gdzie się tworzył idealno-

uczuciowy organizm, który pospolicie i właściwie zowiemy duchem.

Po zerwanych stosunkach życia, po przebrzmiałych znajomościach i przyjaźniach, po straconych koligacjach, zarosłych drogach domowych, słowo pieśni brzmiące starą powieścią krzyżacką, już anegdotą popularnego potentata, już wiejską półpogańską piosnką, już roztańczające tajemnicze dziwy puszczy niezbrodzonych, czarownych Ponar i nadniemeńskich dolin, ożywiało tradycje, wiązało rozbryźnięte cząstki życia w całość, odnawiało powinowactwo historycznej rodziny.

Szanowny z wielu miar autor Wieczorów Pielgrzyma nazywał tę dążność *powiatowszczyzną*, gniewał się na to podnoszenie cech plemiennych i tych różnic charakterystycznych, zapominając, że tym właśnie sposobem cząstki przychodziły do uznania się w swoim jestestwie aby tem szczerniej skupić się w dziedzinie ducha. — Geniusz poety niezmylił się w drodze którą pokazał. Nowi Lumirowie ześpiewywali, jak w staroczeskim zażytku, serca do serca, a każdy kolebkę swoją umiał przystroić takimi kwiatami fantazyi, że splecione razem, wydawały się jak ta równianka położona w ofiarze na oltarzu Bogarodzicy w dzień jej uroczystości.

Po pierwszym wylewie uczuć powitania, po tych wynurzeniach się z wspomnień, następuje zazwyczaj trzeźwiejsza spowiedź o osobach rodziny, o sprawach domowych, o stanie majątkowym, o widokach gospodarczych, zgola te tysiączne drobiazgi życia z których się składa egzystencya człowieka. Podobną koleją szły rzeczy w świecie umysłowym, w pracy piśmiennej. Obok poezyi powstawała proza, obudzająca niemniejsze zajęcie. Powieści opowiadały obraz towarzyskiego życia; pokazywały ludzi w zapasach z losem, z nieszczęściem; dusze wzniosłe i poświęcające się, to znowu upadłe, znikczemnione; surowy tradycyjny obyczaj obok samolubstwa nu-

rzającego się w zmysłowości z wszystkimi cechami duchowego odstępstwa; wiarę religijną przekazaną od ojców, obok indyferentyzmu lub pysznego mędrkowania. W formie tej najwięcej dawało się zmieścić, była więc najpopularniejszą; choć jako plód fantazyi powieść, nie miała tój ścisłości, jakiej wymaga się, gdy rzecz idzie o pewne dane. Najważniejszą w tem rolę odgrywały poszukiwania historyczne robione na stósownej skali; archeologia wydzierająca ziemi, lub poniewierce, dalekie wskazówki mogące niejedno wyjaśnić; lud badany pod względem podań, pieśni, obyczajów dostarczał ciekawych postrzeżeń, jeżeli nań umiano patrzeć bez czułości sielankowej i bez chytrego celu używania go za puklerz do ścierania się z innymi warstwami towarzyskimi; najwięcej zaś oświecały o stanie prowincyi opisy podróży dające tak dobrze poznać i stan społeczeństwa, i jego oświatę, i obyczaj, i gospodarstwo obok kreślonych z humorem fizionomij miejsc, tłumnych zebrań odpustowych, jarmarcznych, wyrobów i konde-sceneyi.

Piszący w tych różnorodnych przedmiotach tworzyli literaturę prowincyi — wychodziły wielotomowe książki które w spokojnem zaciszu kiedykolwiek można było przeczytać, bez zaciągania jakiegokolwiek obowiązku względem ich autorów, czyli bez tój solidarności jaka łączy czytelnika z piszącym, jeżeli tenże chce obudzić interes bieżącej chwili. — Rzecz bowiem pewna, iż piśmiennictwo ograniczone na samych dziełach wielotomowych, tworzonych oderwanie od interesu chwili, aczkolwiek może wydawać i wydaje doskonalsze, wypracowańsze pod każdym względem plody, jednakowoż niezaspokaja tej potrzeby codziennój budzącej się w czytelnikach z powodu tysiącznych kwestyj życia czy publicznego, czy ekonomiczno-gospodarczego, czy wreszcie naukowego i artystycznego. Jest to własnością wy-

kształceńszej publiki że jest ciekawą najświeższych nowości, chce posłuchać zdań większego świata, aby zorientować się w kwestyi nieraz zbyt jednostronnie, lub niepraktycznie pojmowanej; potrzebuje też i pewnych potrażeń i wskazówek, aby skorzystać ze skarbów leżących odłogiem bo niepostrzeżonych dotąd; słowem publiczność potrzebuje organu budzącego ruch i życie przez odświeżenie myśli zatechłej jednostajnością nawyknień.

Takiego organu, któryby umysłowe i materyalne interesa przedstawiał i rozwijał, chociażby w bardzo szczupłych granicach, nie miała Litwa od czasu jak Dziennik Wileński przestał wychodzić.

Później *Wizerunki* naukowe zapełniały same przekłady z *Revue Britannique* i innych; czasami tylko zaplaćtał się jaki ułamek z historyi naszej lub z literatury — ale i to było lepsze jak nic. *Atheneum* wydawane przez Kraszewskiego miało wyborne artykuły książkowe; a choć ducha czasowego pisma nie miało, mogło się być wyrobić.

Nie jest to bynajmniej rzeczą tak łatwą, jak się wielu zdaje, znaleźć się w każdej danej chwili, ogarnąć ją, a przynajmniej zrozumieć i wytłumaczyć; zwracać baczną uwagę na proste lub krzywe kierunki, na symptomata czasu, umieć z nich dobre wyprowadzać, lub wstrzymywać na pochyłościach, — czyli po prostu, być pośrednikiem między odgrywającą się historią na bliższych lub dalszych scenach świata, a tymi co na nią patrzą, stanowi właściwe zadanie czasowego pisma. Rola objaśniacza, komentatora, a niekiedy przewodnika zostawiona jest dziś tego rodzaju pismom, do czego koniecznym warunkiem znaleźć się w rzeczywistości jaka jest, a umiejętnością, rozpatrzenie się w niej i dokładne poznanie organicznego jej składu, i sił żywotnych, produkujących, aby je do celów użytecznych prowadzić. Same najwznioślejsze teorye nie są bynajmniej prakty-

ka, a przenoszenie się myślą w wieki przeszłe, lub przyszłe aczkolwiek odsłania piękne poetyczne światy, niema tej ścisłości zastosowawczej jaka niezbędna jest w organie, który chce być tłumaczem potrzeb i interesów bieżących. Wyższe kierownictwo duchowe bywa zazwyczaj udziałem wieszczów i myślicieli; czasowe pismo o ile w jego mocy powinno owładywać terażniejszość rzeczywistą, dotykającą, choćby w najdrobniejszym zakresie, który choć nieznacznie, a rozszerzy się bo to pewna, że wszelkie ustępstwa zdobywają się miłością prawdy i spokojną a wytrwałą pracą.

Pismo czasowe nieodpowiadające temu warunkowi choćby w najdrobniejszym punkcie, przestaje nosić właściwą sobie cechę i zamienia się w zbiór artykułów różnorodnych jakie zazwyczaj czytujemy w publikacjach na intencję pogorzalców lub potopielców. Nie o to bowiem idzie, aby pióra miały pole exercycyi lub popisu, ale żeby żywotność i czynność społeczna znalazła swój organ, słaby, lub silny, w miarę jak stosunek miejscowy pozwala. Ważność i użyteczność pism czasowych uznana została przez wszystkie rządy, które, czy je w ciaśniejszych czy luźniejszych trzymają karbach, czy są w nich interesowane, lub nie, zawsze jednak uwzględniać mogą wyraz opinii kraju, jeżeli takowa wyrażona jest w tonie przyzwoitym i umiarkowanym, oparta na pewnych niezbitych faktach i danych, a odznaczająca się praktycznym poglądem. Trzeba pamiętać, że i najliberalniejszy rząd nieusłucha pierwszego lepszego gaziarskiego krzyku, ale rad zastanowi się nad przedmiotem ułatwiającym mu dokładne poznanie miejscowych stosunków i potrzeb. Zapewne, przypadki te mogą być częstsze lub rzadsze, odpowiednio do usposobień i trybu machinery rządowej, ale zawsze sumienne, nienamiętne a gruntowne przedstawienia zyskują pewien wzgląd, pewien szacunek dla organu publicznego, który w dro-

dze obustronnego zaufania może niejedną oddać przysługę.

Aczkolwiek w obecnej chwili wielka jest wszędzie pochopność do dziennikarstwa mianowicie w Warszawie, jednakowoż trudno się dopatrzeć w dziennikach jej, z małym wyjątkiem, odpowiedniego celu. Trochę historii, trochę archeologii, trochę miejscowych plotek, nadmiar gawęd o sztuce i sztukach, dużo powieści dla zabawy i wczasu, a zresztą bardzo mało, lub nic tego, co treść publicznego organu stanowi.

Nieprzeczę że trudny tam przystęp słowom mającym na względzie praktyczność jakich zmian i urządzeń, jakich potrzeb, ulepszeń wewnętrznych; kontrola opinii nieprzeciska się tak snadnie; ależ znowu nie da się przypuścić żeby poważny głos w formie stósownej podniesiony, niemógł się przedrzeć od czasu do czasu.

*Kronika* jedna zaczyna nieco wyrabiać się na tej drodze; dociera nieraz do kwestyi rzeczywistych, stawia się w położeniu obecnem, dyskutuje i oświeca umysły o ważnych zadaniach zaprzatających obywatelstwo i zaczepiających o żywotne interesa. Zresztą panuje ton niefrasobliwy, jakby ciągle powietrze grało muzyką Doliny Szwajcarskiej, a echo odpowiadało muzyką innego ogródka *en vogue*. A jednak ten stan dziennikarstwa acz tylko ograniczony do teorycznych rozpraw w dziedzinie sztuki i literatury, do moralnych obroków i buletynów z pola przedstawień sceniczno-baletniczo-koncertowych i do sprawozdań turystów, przerzucających przez nogę całą cywilizację zachodu, zapewne żeby pokazać wyższość swojskiej kultury — wielką jest jeszcze zdołbyczą, jeżeli zważymy jak upośledzone są w tym względzie inne prowincye, mianowicie litewska.

Były uniwersytet Wileński zasiawszy tam ziarno oświaty w obywatelstwie, utrzymujące się dotąd, zrodził w umysłach potrzebę zostawania w nieprzerwanym sto-

sunku z pracą i ruchem myśli europejskiej, a tem samem narzucił konieczność przyczepienia swego ogniwka do wielkiego łańcucha cywilizacji. Stan wyższej kultury nie może się obejść bez ognisk, gdzieby spływały pomysły i zdania, te owoce nauki; — ztąd też nieprzerwanie widzieliśmy uczonych i pisarzy litewskich uprawiających niwę umiejętności i poezji; wychodziły od czasu do czasu dzieła ważne i pracowite badania, niepoślednie utwory fantazyi — ale usiłowania te pozostawały bez kierunku, bez skupienia się, bo niebyło organu, któryby zdawał z nich sprawę, utrzymywał ruch, wytykał kierunki, zaspokajał potrzebę dowiedzenia się jaki postęp zrobiła ta lub owa umiejętność, nakoniec zwracał uwagę na braki i zapomnienia wymagające uzupełnień; a co najważniejsza, któryby przystępnemi czynił większej massie czytelników te pytania o jakie świat spiera się, zastosowując obejrzenie i rozwiązanie onych do miejscowości. Cóż dopiero powiedzieć o zaszczerpieniu dobrego smaku w publiczności, o wyrobieniu sądu nad dziełami piśmiennictwa i sztuk pięknych; przecież rzecz wiadoma, iż publiczność w massie wzięta, nigdy nie jest zdolną osądzić, jakikolwiek talent albowiem zasady podług których to się dzieje, nierodzą się z nami, jak mówi Goethe; a przypadkiem niemożna też ich nabyć, bo tylko dochodzi się do nich przez ćwiczenie i studia.

Ucieszyło to nas niepomalu, gdy przed rokiem pismo nasze doniosło o mającym wychodzić Tygodniku Wileńskim. Projekt upadł i tylko został list Kraszewskiego także ogłoszony w *Czasie*, w którym zacny ten pisarz skreślił drogę po jakiej pismo to powinno postępować. Rady były dobre i trafne, lubo niewyczerpujące do gruntu zadania pisma peryodycznego. Na tym punkcie stała rzecz, aż do chwili pojawienia się pierwszego zeszytu *Teki Wileńskiej* wydawanąj przez Jana

ze Śliwina znanego z prac na historyczno-archeologicznym polu.

Wydawnictwo *Teki* przybrać musiało, formę zbiorowej książki; bo nieogłasza ani programu, ani prenumeraty, ani oznacza terminu wychodzenia zeszytów. Niewidać też. w pierwszym zeszycie tej jednej, przenikającej całość zasady, i tego koloru, który powleka zazwyczaj prace wypływające z grona pisarzy reprezentujących pewną opinię; skutkiem tego postrzegać się daje rozstrzelanie zasad, wyobrażeń i dążeń — czy dla tego aby otworzyć arenę do staré polemicznych? Nie sądzę, przynajmniej uważam to za niepraktyczność szkodliwą dla pisma, z téj miary iżby niebawem zmieniło się w arsenał polemizujących diatrib, z których czytelnicy daleko mniejby skorzystali, niż syntetycznie podanych artykułów; te bowiem dotykając najróżnorodniejszych przedmiotów tem więcej rzucają na nie światła, im więcej kieruje nimi górujące principium i przekonanie. Światło i siła powinny mieć ognisko rzeczywiste, aby przez pryzmat pisma wylewała się siła i światło. Samo pismo niech będzie wynikiem założenia, a nie środkiem przez który do założenia dojść można. Tak pomyślane i prowadzone pismo miałyby niezaprzeczoną podstawę swego istnienia, albowiem przedstawiałyby nie zbiorowisko indywidualnych widoków i zdań, ale pewną stronę społeczeńskiego organizmu.

Niepodaję tych uwag na potępienie *Teki*; pojmuję bowiem trudności zniepodobieństwami graniczące, zwłaszcza że wielka część pracowników rozrzucona po kraju, ulegając różnym miejscowym wyobrażeniom, nieprzywykła do walk opinii, niepatrząca na ich odbicie się w rzeczywistości, a przeto niewprawna w ocenianie donośności symptomatów i pojawów epoki, nietatwo pojmuje potrzebę ześrodkowania sił duchowych.

Szlachetne usiłowania byle miały początek, znajdują zapewne w dłuższem trwaniu przedsięwzięcia, sposób odpowiedzenia słusznym wymaganiom. Czas odkrywa wiele tajemnic; praktyka więcej uczy niż najlepsza teoryja.

Przypatrzmy się zatem bliżej artykułom w *Tece Wileńskiej* zawartym.

Szereg ich rozpoczyna poezyja.

Kantata: *Franciszek z Assisu* (Assizu) wyszła z pod pióra Syrokomli.

Poeta czerpnął natchnienie z innego źródła jak miał zwyczaj czerpać dotychczas, co nieprzeszkadza żeby go niezamącił wyobrażeniami niemającymi żadnego stosunku ani z wiekiem, ani z świętą osobą, którą wziął sobie za przedmiot do pieśni.

W Ozanama dziele: O poetach franciszkańskich we Włoszech, napotkał nieporównanego wdzięku i prostoty temat: „Pewnego wieczora, mówi legenda, gdy Ś Franciszek wzruszony był aż do łez śpiewem słowika, uczuł się natchnionym do odpowiedzi śpiewem na śpiew, i do późnej nocy wywodził z nim na przemian chwałę boską. Taż legenda dodaje iż Święty pierwszy ustał, za co przyznał zwycięstwo ptakowi.“

Tę walkę muzyczną człowieka z ptakiem, przywdział Syrokomla w bogate formy liryczne; ustępy niektóre tchną wdziękiem słodkopiłnym i skromną prostotą. Szczególniej w śpiewie Franciszka w ostatnich wierszach trącił nawet o szczytność.

Kocham Cię Boże, całą istotą!

Tłumne uczucia piersi mi gniołą

Tysiące hymnów szumi w mój głowie;

Lecz niewyspiewam, lecz niewysłowię!

Najwyższa pieśnią, gdy w proch się korzę,

Jęcząc ze łzami: kocham Cię Boże!...

Niepodobna było wzniosłej oddać téj walki — człowiek tylko w ten sposób mógł ją przegrać. Wszakże po tryumfalnym dośpiewku słowika, wypadło, zdaniem mojem już skończyć, a niewyprowadzać choru rycerzy i minstrelów śpiewających pieśni światowe którym Franciszek wtóruje i wielbi cuda swój ojczyzny rokosznej Italii, mieszając reminiscencye burzliwej młodości. Słabe to, powszednie i niepotrzebne. Oprócz tego znajduję parę miejsc rażących niezrozumieniem owéj miłości Świętego Franciszka dla stworzeń boskich jak gołąbki, owieczki, pszczołki, kwiatki; on je kochał jako dzieła boże co mu symbolicznie przypominały tajemnice wiary, lub służyły za przykład dla uczniów; on rozumiał ich język, przestawał z nimi rozkazywał im bo zbożony jak Adam przed upadkiem, osiągnął pierwotną władzę nad całą naturą. Należało go zostawić z tem, bo to była rzeczywistość cudu świętości, a nie wkładać mu w usta:

On (Bóg) w chwale majestatu

Założył wszędzie tron:

W słońcach i pyłku kwiatu

Wszędzie On!

Zawsze On!

Niewiem czy Ś. Franciszek mógł pojmovać Boga rozlanego w naturze, jak go sobie dzisiejszy panteizm przedstawia; to pewna, że szkoła protestanckich panteistów nieinaczéj się wyraża. Błędna ta doktryna szczególniej przez poezją wkrada się nieznacznie i często mimowoli; lecz zawsze jest to pierwszy krok aby i do poważnych rzeczy się przedarła, co już u nas nienowina.

Następny wierszyk Karoliny Proniewskiej: *Trzy promienie ducha* gładkim rymem opiewa trzy niebios córki: poezję, muzykę i malarstwo — materya estetyczno dy-

daktyczna krojem Deotymy oddana w mowie wiązanej.

Z powieści czytamy *Piastunkę* przez Adama Pługa. Są to „relikwie z pocziwój przeszłości“ jak tytuł twierdzi, ale napisane dla niepocziwój terażniejszości, która jakoś niemoże się poznać na tych ekliwo sentymentalnych ideałach w siermięgach i chodakach odgrywających w tój powieści rolę jaką od wieka wieków odgrywał stan wyższy, wykształcony moralnie i towarzysko, to jest: szlachecki.— W świecie powieściarskim inny teraz obrót i porządek rzeczy nastaje; jest to pora Saturnaliów. Zrabowana i zniszczona ogniem rodzina dzierżawcy doznaje od włościan opieki, a nawet piędźnej pomocy, gdy tymczasem żaden z obywateli sąsiadów niechce nawet słyszeć o rodzinie dotkniętej nieszczęściem. Co więcój plenipotent dziedzica wpada po tój katastrofie i domaga się brutalsko raty dzierżawnej u złożonej niemocą dzierżawczyni, grozi wyrzuceniem jój i t. d. . . . Nieprzeczę, na świecie różne bywają przypadki i różne trafiają się potwory, więc i podobny wypadek mógł się zapewne przytrafić; ale podając taką osobliwość należało niezamykać się w ogólnikach powieści, tylko wyraźnie napisać gdzie to, komu i jak, zdarzyło się, a wtenczas policzylibyśmy tę awanturę do tych fenomenalnych zjawisk, jak ciele o dwóch głowach, lub wół o jedném oku. Gdy zaś wypadek ten podał p. Pług w formie poetycznej fikcyi przeto niemożemy inaczój przypuszczać, tylko że tak dzieje się w rzeczywistości to jest: że wszyscy chłopci gotowi są do najszczytniejszych poświęceń się gdy idzie o niesienie bliźniemu ratunku; i odwrotnie; że zatwardziałe egoizmem stoczone serce szlachty niepoczuwa się nigdy do żadnego obowiązku względem bliźniego, jeszcze szlachcica i sąsiada.

Kto zestawia z umysłu takie kontrasty, musi koniecznie przyzwolić na powyższą konkluzję. Nieruszałbym nawet tego artykułu p. Pługa, bo niezasługuje ze wzglę-

du sztuki pisania i kompozycji na wzmaukę— ale spotkawszy się z niedorzeczną tendencją w piśmie tak poważnem jak *Teka* i to obok artykułów wprost przeciwnej dążności, pomyślałem sobie; tak igrać niegodzi się, bo jeżeli czujemy zdrową prawdę, zgodną z duchem i historią narodu, jeżeli mamy przekonanie że jest zbawienną, że ją podzielają umysły wykształcone i obywatelskie, to podobne banialuki służą tylko do podsycania zarozumiałości głów spaczonych, którym się zdaje że niwellacya społeczna jest najdoskonalszą formą człowieczeństwa.

Pociesznie to przechodzić z tych nizin umysłowych z tej *materyi* duchowej do artykułu p. Trentowskiego tryszczącego nauką i rozumem, ogarniającego Boga, naturę człowieka i człowieczeństwo. Są to ułamki, snadź większych rozmiarów dzieła, ale ułamki pozwalające schwycić niektóre ogniwa myśli filozofa. Aby krótkimi słowy wyrazić o co mu idzie, powiem, że mówi o *Rodzinie* i wskazuje jój cele, a te są: odzyskanie rajy na ziemi. Od upadku bowiem Adama i Ewy tyle wieków ubiegło, a działanie *grzechu pierworodnego* równie jest silne jak na początku. Człowiek się mnoży, a mnoży jak trawa i piasek, a iluż to odzyskać umiało raj utracony i żyć w błogosławieństwie Bożem, sporządzając wyższe warstwy? Oto ledwo jedna tysięczna część jest tej śmietany— a 999 części znajduje się wciąż za bramami Edenu, i zostaje na stopniu zwierzęcości i tworzy „kwaśne motłochu mleko.“

„Okropny to stan czerni! — mówi autor — leniwa, ciężka, ospała, lubi próżniactwo, a jeżeli nie kij, to żołądek własny zniewala ją do przebrzydłej pracy. Idzie więc do roboty, ale na przekór chęci, a zgrzytając zębami i złorzecząc światu, klnąc zgoła samemu Bogu, o którym niema dostatecznej wiedzy i nauki. Nadmiar w jadłe i napoju, przesytność zwierzęcy, to zbawienie jój na

ziemi. . . Cierpiąc głód i pragnienie, patrzeć musi jak inni jedzą, piją, zbytkują. O jakież to piekło dla niej i t. d. Cóż czerń? — pyta dalej: Zmysłowość godząca wciąż na zaspokojenie, które wciąż przed nią ucieka; *wielki wyjaw pierworodnego grzechu; złe żywe; dolne i pogardliwe człowieczeństwa ciała.* — Ona, czasów wszech, mianowicie naszych *bolączka najstraszliwsza.*“

Trudno zaprzeczyć że czerń jest taką jaką ją maluje autor zwłaszcza gdy się wyłamie z karbów odwiecznej organizacyi społecznej, gdy się rozhuła i rozbestwi na głos apostołów swoich, których nazwał *przespolecznia-czami* czyli *ludowcami.*

P. Trentowski twierdzi że takie jest usposobienie czerni na zachodzie; ale że u nas nieco odmienne — ale czy lepsze? — jako żywo? — W tym względzie zrobił sobie niepotrzebny skrupuł, bo czerń od bieguna do bieguna wszędzie jest jedna i ta sama, odkąd staje się czernią.

Kto tedy poczuje w sobie dostojność człowieka, *Bo-żość*, kto chce przestać być dwónożnym bydlęciem, powinien wszystkimi siłami wydobyć się z bagnisk czerni, i dostać się do bram rajy, czyli na archanielskich skrzydłach wpaść do wyższych warstw społeczeństwa, jak zaś to osiągnąć? oto trzema widomemi potęgami: *Bo-gactwem, oświatą i władzą.*

Zdaje mi się, że człowiek z natury ma usposobienie piąć się coraz wyżej po stopniach hierarchii społecznej bogacić się, i przewodzić nad drugimi, że w nim pod-sycać téj namiętności niepotrzeba bo w cóżby się obró-ciła daleko wznioślejsza idea ewanieliczna przyrzekają-ca ubóstwu przestającemu na skromnym dóbr ziemskich udziale, łatwiejszy przystęp do nieba, niż bogaczom i potentatom świata?

Zresztą ta *Bożoobrazowość* do której p. T. dociągać

nam każe, brzmi dość podejrzenie dla nas przywykłych słyszyć katechizmowe wykłady.

Gdyby Bóg wymagał po nas żebyśmy raj mieli na ziemi, i sami zamienili się w Boga, niepotrzebnie by nam wskazywał przyszłe życie, i kazał szukać za grobem zbawienia, kiedy możnaby je osiągnąć po tej stronie grobu.

Strona religijnych wyobrażeń p. T. niezmiernie wątpliwiej jest wartości; jakaś w nich mieszanina panteizmu, deizmu, protestantyzmu pociągnięta pokostem wyrażen się używanych w katolickim kościele. Czytając też niektóre wyborne jego pomysły, szczególnie, gdy kreśli stan idei społecznych, żal zbiera że jeniałny talent niepoznał się dotąd na prostocie, jasności, wielkości i głębokości najpopularniejszej książki na świecie, wyjąwszy między filozofami — to jest, na katechizmie.

W Berlinie sływał niedawnym czasem znakomity protestancki teolog Dr. Schleiermacher. Zwolennik panteistycznej filozofii Hegla, do tego stopnia umiał pogodzić Chrześcijańskie ideje ze swą filozoficzną szkołą, że o nim mówiono powszechnie, jako jest ze wszech miar prawowiernym teologiem ewangelickiego wyznania, wyjąwszy téj maleńkiej różnicy, że w Boga niewierzy. Od czasu atoli, jak Straus, również doktor protestanckiej teologii, również heglista, wydał swe osławione dzieło o życiu Jezusa, w którym dowodził, że Jezus nigdy nie żył na świecie i jest tylko *mithem* Boga-człowieka, jak go sobie panteistyczna filozofia wyobraża, — weszło w Niemczech w modę filozofować nibyto po chrześcijańsku — z pojęcia panteistycznego, a zatem ateistycznego; co na jedno wychodzi; albowiem ta dusza świata, to wszechbóstwo jest niczem innem tylko zaprzeczeniem trójosobowego Boga, i postawieniem natomiast człowieka jako najwyższy szczyt wszystkiego, co istnieje.

je; który przeto człowiek w swem wydoskonaleniu staje się Bogiem, a więc *Bogiem-człowiekiem*; staje się synem bożym, gdyż ta dusza świata w nim się poznaje, rozumi i zwierciedli, jak Ojciec w swym synu.

Tak tylko można sobie wytłumaczyć wyrażenie się p. Trentowskiego: *Boga obrazowość*.

Taki *Bóg-człowiek*, choćby nim był sam nieboszczyk Hegel, lub p. T. — zastąpić nam ma Pana naszego Jezusa Chrystusa, któremu, czy tam istniał, czy nie istniał, wolno być w wyobraźni ludów ideałem panteistycznego Boga-człowieka, przynajmniej na tak długo, póki go jakiś najdoskonalszy nowszych czasów zbawiciel zastąpić niezdola...

*Zbożajcie* — woła ustawnie p. T. *zbożajcie rodzinę, za pomocą jej członków; Bożością własną utrzymujcie świętej ziemi naszej Bożość!* A zatem podług tej rady musimy się starać zostać Bogami, lub jak przedtem w Chowannie powiedział: „Bóstwo *in potentia*, przemieniać w bóstwo *in actu*“. Przez jego filozofię wiedzie droga do tej apoteozy; a „zbożenie powszechne“ nazywa „królestwem Bożem“ na ziemi.

Tu znowu na pozór bardzo po chrześcijańsku przemawia, że do tego jedyną drogą, wyzwolenie się z *grzechu pierworodnego*. Ale cóż nazywa *grzechem pierworodnym*? Oto stan ubostwa i prostactwa. Kto się więc wydobył z tego stanu pracą i sławą, kto zrobił majątek, przyszedł do władzy, już „zbożał“ i zdobył sobie „niebo“ na ziemi.

„Praca, cierpienie i śmierć — mówi p. T. — na którego ród ludzki był wskazany, stały się też rychło sposobami do odzyskania rajy i drogą do królestwa Bożego na ziemi. Są one albowiem darem Bożym, a „krynicą z niebios, z której wysączają się dla rodu ludzkiego, bogaństwo, oświata i władza“. — Tak więc

budując na bogactwie, oświacie i władzy odzyskanie raju i królestwo Boże — niech sobie raczy przypomnieć, że dawno przed nim szatan kusząc Chrystusa na puszczy wykladał mu kubek w kubek tę samą teorię, ale jak zmyty poszedł z odprawą. Tak samo, jak mówi p. T. o rodzinie, tak mówi i o małżeństwie. Jedna myśl, jedna dążność tu wytknięta: stworzyć sobie niebo na ziemi. Dla panteisty niema przecież gdzieindziej nieba. Wprawdzie natrąca o *nieśmiertelności*; ale niech nikt niemniema, żeby podtém uznawał nieśmiertelność własnej osoby, to się bowiem odnosi tylko do nieśmiertelności ogółu, to jest rodu ludzkiego, dla którego indywiduum czyli szczegół winien się poświęcać; bo jeśli nie zginie, to go czeka niebo, czyli: majątek, sława i władza; a jak zginie, to przepadło! ogół zawsze na tem zyskuje.

Czy się p. T. zdaje, że my tak chciwi jesteśmy tych tam z Wittembergu nowostek, że niemi zaprawiać musi każdy zdrowy, rozumny pomysł, jaki w jego jasno pojmującej głowie się zrodzi? — Czy sądzi, że go bardziej admirować będziemy, kiedy postawi się w sprzeczności z tem, co Kościół naucza, a my wierzymy? Jeżeli tak jest, to mogę go zaręczyć, że się mocno myli.

Są u nas, jak zwykle między ludźmi: obojętni w materjach religijnych, są racyonaliści, rządzący się tak zwanym zdrowym rozsądkiem, który im wystarcza do potrzeb materyalnych, są duchowce, co uznają niby katolicyzm ale niechęcą formy kościoła; są może jakie inne jeszcze odcienia — niewiem; to jednak pewna, że ta doktryna pychy którą pragnie wdmuchać w głowy nasze, nieznajdzie adeptów, choćby nawet prześcignął samego Adama i zagrzmiał hymnem zaczynającym się apostrofą: „*Bożo-obrazowości!* podaj mi skrzydła!“

Bądź jak bądź kwestye dotknięte w *Tece* przez pana

Trentowskiego nie są bez wagi, z tej miary, że mogą rozbudzić umysły czujniejsze i światlejsze, do zastanowienia się nad nimi; jest bowiem w nich pewna dzielność, która wstrząsa i ocuca.

Następny artykuł: *Kwestye żywotne* jest tłumaczeniem z rosyjskiego. Artykuł ten napisany przez Mikołaja Pirogowa, traktuje o wychowaniu młodzieży. Przebiegł on elektrycznym pędem całą Rosyę, i niewątpię, że sprawił lub sprawi rewolucyę w systemacie wychowania istniejącego w tej monarchii. — Wiele tam ustępów podlega dyskusyi, a przynajmniej wymagałoby spokojnego rozwinięcia — lecz trzeba pamiętać, że jak burza z piorunami i deszczem potrzebną jest aby odświeżyć omdlewającą z pragnienia i duszności naturę tak i artykuł ten zatrzęsł całym systematem uorganizowanej ciemnoty, aby młódz wychować do wyższych celów życia.

Kończy zbiór ten monografia *Mińska* skreślona piórem W. Syrokomli; następnie wyborna rzecz: o *Ziemianach* podług dawnych praw litewskich przez M. Malinowskiego.

Rosprawa ta ma więcęj niż literacko-historyczną wartość, bo ocaliła tysiące może rodzin litewskich od smutnej doli. Ś. p. Turkull mianowany ministrem, sekretarzem stanu królestwa, zasiadał w radzie państwa i był przedstawicielem elementu polskiego. Przy urządzeniu nowych stosunków społecznych, musiano w tej radzie, na każdym kroku zapytywać przeszłości i jeden tylko Turkull chciał i umiał odpowiadać prawdziwie i dowodnie. Wtenczas to z ogromnemi trudnościami musieli walczyć potomkowie sztaboficerów, urzędników ziemskich nieobowiązkowych i woźnych, w osiągnięciu służących sobie praw do szlachectwa. Turkull wsparty rozprawą Malinowskiego i innych uczonych, wyjaśnił prawdziwe znaczenie uchwalonych w tym przedmiocie

ustaw — i rodowość ich utrzymał, przez co stał się do-  
broczyńcą ogromnej liczby osób.

Z taką pomocą piór jak p. Malinowskiego, Balińskiego,  
Odyńca, Syrokomli, Kirkora itd. *Teka* może się wy-  
robić na doskonały organ swojej prowincyi; czego jój  
z serca życzę.

LUCYAN SIEMIŃSKI.

DRUGI OBIĘD  
BŁĘDNEGO KOŁA.

## DRUGI OBIEG BŁĘDNEGO KOŁA.

---

Chwila, w której przed dwoma laty otwierał się szereg studyów politycznych w tém piśmie, zdawała się zapowiadać nową w polityce erę. Do teoretycznej idei państwa zastosowano systemat polityczny, wspólności zasad i solidarności interesów; do wykonania tego systemu zaprowadzono narzędzie praktyczne konferencyj, a wszystko to zapisano mniej więcej szczegółowo, mniej więcej wyraźnie w traktacie paryzkim z d. 30go marca, który miał odtąd być podstawą prawa publicznego.

Studyów więc niniejszych, przeznaczonych do obrazowania każdorazowej chwili sytuacyjnej, głównem było zadaniem, śledzić następstwa owego nowo ogłoszonego systemu, jego pochod i zbliżanie się do celu. W tym pochodzie ważniejsze skutki systemu, aniżeli wypadki od niego częstokroć niezawisłe. Wypadki mogły dawać przedmiot do studyów; treścią ich powinno było być

działanie systematu, usiłującego utrwalić pokój w Europie i zaprowadzić nie tylko równowagę ale doskonałą harmonię między wszystkimi państwami.

Jak w usiłowaniach systematu politycznego musiał być pewien loiczny związek, tak też i w studyach śledzących kierunek jego pochodzenia, musiała być pewna konsekwencja, tém łatwiejsza do zachowania, że w rozumowaniach praktyka nie stoi na zawadzie teorii. Złożyły one w roku przeszłym jakby łańcuch ogniw tworzących całość, przedstawioną pod napisem: *Błędne Koło*. Podobny obraz i tego roku przedstawić wypada.

## I.

Rok 1857 otworzyły *Drugie Konferencye*. Ktokolwiek przypatrywał się pilnie pierwszym, domyślał się, że będą drugie, trzecie i tak dalej. Domyśl zamienił się w pewność przy konferencyach, w sprawie granicy besarabskiej, czyli Bułgradu i Wyspy Wężowej. Było tu uznanie potrzeby ciągłego kongresu, nieustającego trybunału dla spraw europejskich. Bez konferencyj wojna tylko sprawę Bułgradu rozstrzygnąć mogła. Cecha drugich główna ta sama co pierwszych: zasada idea państwa celem zgodzenie wszelkich interesów. Niema mowy o żadnym prawie. Ten sam sposób wykonania: program z góry ułożony i punkta spisane, na które się gabinety naprzód zgodziły. Konferencye drugie orzekają jednomyślnie; nikt więc nie ustępuje, bo inaczej solidarność niepodobna. Złożone są z reprezentantów tych samych mocarstw co pierwsze, ale nie już umyślnie zesłanych,

jakby na dowód że tylko wypełniają mandat pierwszych konferencyj, a protokół drugich konferencyj jest tylko dodatkiem do traktatu spisane go przez pierwsze. Ale dodatek zmienia trzy artykuły traktatu, otóż najważniejsze, a nader niebezpieczne następstwo drugich konferencyj. Trwają one bardzo krótko, towarzyszą im pewne oznaki uległości i przypadkowości, jakby wyniki zdarzenia lub przymusu, brakuje im na samodzielności pierwszych. Wrażają przekonanie, że odtąd żaden, chociażby najmniejszy wypadek, spór, wątpliwość nawet, tycząca się traktatu paryzkiego, a zatem uznana za europejską, bez konferencyj obejść się nie zdoła; że lato zużyte być może narzędzie do załatwienia sporów i utrzymania pokoju europejskiego w dzisiejszym systemacie służące. Słowem, konferencye drugie przywróciły spokojność, ale jedynie chwilowo. Były tylko równoważeniem równowagi.

## II.

Sprawa Neufchatelska wymagała także konferencyj, ale na innój podstawie, bo tu nie szło o same czyny, tu występowały *Fakt i Prawo*. Sprawa ta nieodnosiła się do traktatu paryzkiego, ale niemniej była za europejską uznaną w Londynie w r. 1852. Konferencya w ówczas zapisała w protokóle, „że żaden fakt prawa nadweryżyc nie może“. Była więc strona prawna w téj sprawie, i konferencye uwzględnić ją musiały. Szło o to, co było faktem, a co prawem. Fakt z r. 1848 zasłaniał światło. Prawem była narodowość szwajcarska, ukryta pod fałszywą zasłoną faktu rewolucyjnego. Aksyoma bardzo prawdziwe protokołu londyńskiego, stosowało się

całkiem gdzieindziej, aniżeli tam, gdzie zapisane było, i na czyją korzyść je wyrzeczono. Trudność była nie do zwalczenia, bez zrzeczenia się praw korony pruskiej. Spokojność Europy otrzymała tę ofiarę: prawa narodowości uznane zostały. Kwestya ta była niejako spuścizną dawnego systematu politycznego, bo żaden nie mija bez pewnych pozostałości, pewnego testamentu, kodycyllów, którym następny od razu zadość uczynić nie jest w stanie.

### III.

*Jeszcze jedna Kwestya*, należąca do liczby takich właśnie kodycyllów, trąca o dzisiejszy systemat polityczny i nowe konferencye wywoływać się zdaje. Sprawa duńsko-niemiecka jest z rzędu kwestyj powstałych z owych położzeń niektórych krajów lub prowincyj mających odrębne prawa i przywileje wcielonych do składu państw całkiem sobie narodowością obcych. Położenia te mieszane, bardzo naturalne w dawnym systemacie, w obec idei państwa, są anormalne. Sprawa Danii i Holsztynu ma analogię widoczną ze sprawą neufchatelską, ma ją także ze sprawą reorganizacyi Księstw naddunajskich. Chodzi o prawa różnych prowincyj będących pod obcym berłem. Lecz sprawa duńsko-niemiecka nie została dotąd uznana za sprawę europejską. Jest jeszcze sprawą niemiecką, i w moc tego powołano ją przed Bundestag. Nie ma mowy o narodowości w tej sprawie, ale o rasie. Tego dowodzi trybunał Bundestagu. Ta nowa trudność dla konferencyj, gdyby kiedyś zwołane być dla niej miały, jest tą samą, która w gruncie przeszkadza załatwieniu kwestyi Księstw naddunajskich. W tém ró-

wniez trudność dla Bundestagu. Jak załatwić spór Danii z Holsztynem i Lauenburgiem, czyli rasy skandynawskiej z niemiecką na zasadzie idei państwa, do której się odwołuje Dania, a której zaprzeczać nie mogą. Niemcy, czyli Austria i Prusy? Miałażby owa kwestya ras, miałożby jęj urzeczywistnienie, usunąć anomalie praktyczne w zastosowaniu idei państwa? Systemat państw oparty na rasach, byłżeby ostatnięm słowem idei państwa, przeprowadzony w społeczeństwie i polityce?...

#### IV.

Zanim atoli przyszłość poda odpowiedź na powyższe pytania, powstające z różnych i drobnych, ale zawsze ważnych symptomatów, systemat terażniejszy wymagać się zdaje, aby wszystkie mocarstwa do niego należące, połączone były w pewną harmonię, przynajmniej co do formy politycznej zewnętrznej, to jest, aby każde z nich było państwem. W Anglii też widzimy *Państwo i Self-government*. Jest ona państwem na zewnątrz, to jest w polityce zewnętrznej, wewnątrz posiada jeszcze self-government. Anomalię tę, między formą społeczności angielskiej, a kierunkiem jęj polityki zewnętrznej, wydoły na jaw szczególnież wybory w r. 1857 do nowego parlamentu. Okazało się parcie idei państwa na społeczność angielską, bo idea państwa nie jest tylko idea polityczną ale idea społeczną. Arystokracya zastępując w Anglii biórokracyę, zasłoniła ją dotąd przed kwestyą społeczną, zdaje się atoli, że jęj nadal zasłonić nie zdoła. Czy Anglia potrafi się obejść bez biórokracyi? otóż cała kwestya społeczna w Anglii. Biórokracya to ruina selfgovernmentu, podwaliny gmachu państwa. Wybory

wypadły na korzyść centralizacji. Stronnictwo liberalne zyskało, konserwatorowie przegrali. O torysach, i whigach niema mowy. Jedno stronnictwo wstrzymuje zmiany czyli reformę elektorálną, parlamentárną, która jest drogą do obalenia arystokracji i kościoła anglikańskiego; drugie żąda reformy, wzmacnia się, postępuje ciągle chociaż nie używa rewolucyjnych środków: Upadną w końcu instytucye self-governmentu; bo instytucye choćby najlepsze, są dla ludzi; a stosunki społeczne w Anglii, zmieniły się już bardzo i ciągle się zmieniają. Ze zmianą instytucyj, zniknie, powyższa anomalia. Anglia zostanie państwem.

## V.

Lecz jeżeli zmiany widoczne są w Anglii, to w Rosyi są *Zmiany konieczne*. Nikt nie wątpił i dotąd nie wątpi, że zmiany w Rosyi nastąpić muszą. Są chwile w dziejach każdego kraju, gdzie się one stają nieuchronnemi. Taką chwilą dla Francyi w wieku przeszłym była śmierć Ludwika XIV. Taką chwilą dla Rosyi, z zastrzeżeniem różnicy co do epoki, kraju i osób, śmierć cesarza Mikołaja. Osobistość tego monarchy zdołała jedynie utrzymywać dwoistą politykę, zastosowaną do cywilizacji europejskiej na zewnątrz, nieruchomą na wewnątrz. W ostatnich latach nawet jego panowania przekonana się Rosya, że przy owój nieruchomości wewnętrznej, pomimo największych ofiar w walce z cywilizacją nowoczesną, uzbrojoną we wszystkie środki, jakich jój ostatnie pół wieku dostarczyło, nie podola. Nie dość Rosyi być państwem na zewnątrz, aby potęgę swą utrzymać lub powiększać. Musi się ona wewnątrz prze-

istoczyć. Rozprzeżenie jest powszechne; to poprzedza zwykle reformy tam, gdzie niemi potężna ręka nie kieruje, gdzie są konieczne. Idą naprzód reformy materialne; zapowiedziano koleje żelazne. Za niemi pójdą inne nierównie ważniejsze, społeczne. To kolej nieuchronna. Zresztą zapowiedziała Rosya te reformy cywilizacyjne na kongresie paryzkim. Jest obawa w Europie, aby niebyły zbyt olbrzymie, aby nienastąpiły zbyt gwałtownie, niesprowadziły wstrząśnienia. Lecz nim zaczęto domagać się zmian od Rosyi i do nich dopomagać, wypadło się obliczyć z następstwami. Dzisiejsze obawy są po niewczasie. Każdy dzień, każdy ruch w Rosyi zapowiada zmiany, inaczej być niemoże.

## VI.

Ruch znowu wewnątrz Francyi całkiem inne miewa znaczenie. Dowodem tego były ostatnie wybory do ciała prawodawczego. Jak wybory w Anglii wykazały anomalie między państwem a self-government w polityce angielskiej, tak wybory we Francyi wyświeciły, że *Państwo i Opozycja* istnieć obok siebie niemogą. Francya pod rządem cesarza Napoleona III nie tylko jest państwem w Europie w politycznym znaczeniu tego wyrazu, ale nadto jest państwem w Europie urządzonym ze wszystkich państw najściślej według teoryi idei państwa. Może pod tym względem służyć za przykład i służy za takowy. Rozczłonkowanie na indywidua i niwellacya najdalej tam postąpiła, bo kraj jest jednolity i ma wybory powszechne. Próba więc parlamentaryzmu w państwie, czyli wprowadzenia w jego organizm opozycyi legalnej nie udała się wcale. Państwo nie przypuszcza

stronnictw: widzi w nich tylko garstkę indywidualów. Nie przypuszcza różnicy zasad, bo będąc najwyższą formą społeczną, dyskusyi nad formą rządu dozwolić nie może. Nie przypuszcza odrębnych interesów, bo je wszystkie ogarnia i absorbuje. W państwie opozycya mogłaby tylko być społeczną, a wtedy przestałaby być opozycya.

## VII.

Z tego atoli, że wszystkie kwestye przybierają dzisiaj cechę społeczną, że każdy ruch zwłaszcza w Anglii i Francyi wpada w tę kolój, nie wynika jeszcze, aby każde postępowanie innego państwa a zwłaszcza Rosyi miało już być reformą społeczną. Tém większem jest złudzeniem stawiać ją za wzór do naśladowania na tej drodze. *Rosya i Kwestye społeczne* to bezwątpienia jedno z najważniejszych zadań europejskich w XIX wieku, ale rozwinięcie się tych kwestyj w Rosyi jeszcze nie nastąpiło. Tam dopiero pękają lody, spłynąć one muszą, zanim ruszą reformy społeczne. Stąd, że Rosya wydała nową taryfę handlową, nie trzeba jeszcze wnosić aby już była na szczycie systematu wolnego handlu. Buduje koleje żelazne ale niema w niej jeszcze ruchu odpowiedniego do tego przedsięwzięcia. Rozpuściła wiele wojska, ale zapominać nie trzeba, że wiele wojska rosyjskiego istnieje tylko na papierze. To wszystko przygotawcze dopiero dzieła do kwestyj społecznych. Urządzenie stosunków włościańskich, o którym tyle mowy, to dopiero kwestya społeczna. Dość spojrzeć, aby się przekonać, jak postępuje zwolna, na ile natrafia trudności. Niewiadomo dotąd, czyli jest i o ile jest myślą rządu. Owa gmina rosyjska, która miała ją ułatwić, wy-

daje się być jedną trudnością, więcej, jeżeli nie niebezpieczeństwem. Stosunek włościański w Rosyi jest tak rozliczny, że go pierwój rozgatunkować, określić i ocenić wypada. Stosunek włościański w Królestwie Polskiem jest całkiem różny, a oczynszowanie tam włościan, nie może weale służyć za normę dla państwa rosyjskiego. W Królestwie Polskiem zresztą jest kodeks Napoleona. Łatwiej zastosować organizacyę do prawodawstwa, jak prawodawstwo do organizacyi. Usamowolnienie włościan w Rosyi byłoby wyższą organizacyą, aniżeli ją swod rosyjski pojmuje. Jakże daleką drogę musi przebiec jeszcze Rosya, zanim stanie w téj harmonii cywilizacyjnej, jakiej po niej oczekuje Europa, jakiej nawet ma prawo wymagać po państwie należącym do systematu politycznego wspólności zasad i solidarności interesów.

## VIII.

Do tegoż systematu należy jeszcze inne *Państwo Dwulicowe*, to jest Turcyja, państwo muzułmańskie, oparte na Koranie, i państwo europejskie na mocy kongresu paryzkiego. Obie cechy zachować Turcyja musi, aby się w Europie utrzymać. Zrzekając się Koranu, traci podstawę rzeczywistą swego bytu w Europie, usuwając się przed reformami, jakich się po niej systemat państw do którego została przyjęta domaga, traci podstawę polityczną. To téż polityka turecka, to jakby skoczek na linie, z drażkiem w ręku, u którego na jednym końcu widać fez, a u drugiego pióro, którem Ali pasza podpisał traktat paryzki. Sultan wyprawia muzułmańskie festyny na obrządek obrzezania swego syna, i przyjmuje

na nich Siostry Miłosierdzia; z jednej strony wrzeszcza i wirują derwisze, z drugiej dyplomaci rozprawiają o sprawie księstw Naddunajskich; tu znieważają Turcy cmentarze i kościoły chrześcijańskie, tam obraduje rada nad hattihumajonem; w Londynie rachują piastry przesłane przez Sultana na korzyść poległych Anglików w Bengalu, w Indyach Nena Saib ogłasza jedną po drugiej odezwę, opierając się na współczuciu Sultana dla sprawy muzulmańskiej. Nigdzie anomalia nie jest widoczniejszą, wyraźniejszą. W obec niej przeobrażenie nastąpić nie może jak tylko siłą rzeczy i czasu. Reformy ogłoszone niewchodzą w życie, tylko fałszywą drogą. Kłam ciągły z jednej lub drugiej z strony. Cywilizacya postępuje, bo postępować musi, ale idzie o własnej sile, i prowadzi Turcyę do zguby. Dostarcza jej chwilowych korzyści; wzmacnia jej prawa polityczne, zaprowadza centralizacyę, niszczy swobody muzulmańskie, obala przywileje, ale w końcu zawsze osłabia i wiedzie do zguby. Stanowisko podwójne Turcyi, niejest bynajmniej rozwiązaniem kwestyi Wschodniej. Jest tylko nową jej koleją. Kwestya ta wystąpić jeszcze może zanim traktat paryzki wykonanym zostanie.

## IX.

Nie na samą Turcyi ogranicza się kwestya Wschodnia. Toczy się ona nietylko nad brzegami Bosforu, ale i w Persyi, gdzie antagonizm Rosyi i Anglii niebezpiecznego dostarcza tej kwestyi żywiołu; ale i w Chinach, gdzie spór rozpoczęty bardzo łatwo ogromne przybrać może rozmiary; ale i w Indyach, gdzie krew od sześciu miesięcy leje się strumieniem. Wszędzie tam

ruch wschodni i walka. W walce téj dziś jak od wieków, zawsze po jednej stronie chrześcjanizm, po drugiej barbarzyństwo. Zapomniała tego, a raczej uznać nie chciała Anglia w Indyach. Walka, jaką tam staczają *Państwo i Kolonie* nosi na sobie cechę walki siły uorganizowanej z barbarzyńską. Anglia chciała w Indyach założyć państwo bez chrześcijańskiej podstawy. Obrala za sztandar jakąś fałszywą cywilizacyę, pokrywającą tylko własny interes. Chrystyanizm tylko zdobyć wytłumaczyć może, inaczéj niema ona prawnej podstawy, jest tylko siłą, przemocą, tyranją. W powstaniu indyjskiém, Anglia srogą odbiera karę za swoją pychę, zaślepienie i chciwość. Kara tém srozsza, że nie skończy się na ofiarach. Anglia może napowrót ujarzmić Indye, ale wielkie pytanie, czy je zachować potrafi. W każdym razie cios odebrany przez tę katastrofę odbije się w potędze angielskiej. Rozczarowanie Europy nad siłą Anglii już nastąpiło. Trudno jéj będzie powrócić do dawnéj przewagi, zwłaszcza, jeżeli przekop Suezu dojdzie do skutku. Trudniéj jeszcze, prawie niepodobna, aby wypadki indyjskie nie odbiły się na wewnątrz Anglii Upadła Kompania indyjska. Cała siła i przewaga téj instytucyi przechodzi w ręce Korony. Rozporządzać będzie urzędami, powiększyć musi wojsko. Władza się centralizuje, arystokracja słabnie, reforma parlamentarna się wzmaga; wszystko rokuje coraz bliższy upadek self-governmentu w Anglii, coraz bliższe przeobrażenie się w państwo. Jakież stanowisko zajmie tak przeobrażona Anglia w dzisiejszym systemacie politycznym? Jakiż stosunek będzie do nowéj Anglii mocarstw innych w systemacie tym głównych czynników? . . . .

## X.

Dosyć byłoby powyższego pytania, które się bardzo naturalnie w obec wątpliwego wypadku powstania indyjskiego nasuwało, aby wytłómaczyć cały rozgłos, jaki miały w świecie politycznym ostatnie *Zjazdy Monarsze i Opinii Europejskiej* o nich domysły. Tem więcej zwracały one powszechną uwagę, że w systemacie dzisiejszym solidarności państw przymierza mogą być tylko porozumieniem się, czy tę lub ową kwestyę uważać za europejską. Ileż to kwestyj bieżących? ile interesów krzyżujących się z sobą, jeżeli nie całkiem między sobą sprzecznych?... Wszystkie wszakże domysły i wnioski które zresztą doskonale wyjaśnione nie zostały, opinia europejska zlała w jedną pewność, którą bardzo dobitnie wyraziła, przypisując Zjazdom znaczenie pokojowe. Bo główna dziś obawa w społeczności europejskiej jest przed wszelką zmianą *statu quo*. Nie jest to dowodem optymizmu, ale słabości spowodowanej właśnie tą ciągłą obawą zmiany. Pokój jest dla niej narzędziem tej nieruchomości upragnionej, a systemat solidarności rękojmnią przeciw zmianom, a raczej sporom, któreby wojnę wywołać mogły.

## XI.

Zachodzi jednakowoż wielka wątpliwość, czy opinia europejska zdaje sobie sprawę jak należy, czém jest ów systemat solidarności, o którym już tyle napisano? czy nie ludzi się dobrowolnie, widząc w nim jedną trudność więcej do zerwania pokoju, i nieprzypisuje całej Euro-

pie tego co jest tylko wyłączną wielkich mocarstw własnością? czy nie widzi systematu politycznego tam, gdzie jest tylko siła w nową formę przybrana? Nie wszystkie państwa należą do tego systematu. Nie wszystkie go uznają. Niektóre mu się opierają. W kwestyach, w których systemat ten się objawia, lubo na pozór nikt nie ustępuje, zawsze jednak w gruncie ktoś ulegać musi. Przymus jest w imię interesu europejskiego, ale zawsze nie silniejszy lecz słabszy ulega. Pomimo sztucznej formy, systemat solidarności jest tylko zasłoną, pod którą ukrywa się *Oligarchia polityczna*. Czyż interesar występują, a raczej ważą się przy każdym sporze? czy stron między którymi toczy się sprawa? Najważniejszą zawsze kwestyą w każdej sprawie, jest interes pięciu wielkich mocarstw. Od tych interesów zawisł wypadek ostateczny, czyli obrót sprawy i zastosowanie systematu. Można by go więc słusznie nazwać pentarchią europejską.

## XII.

Z przeglądu powyższych krótko zebranych skazówek ruchu politycznego w bieżącym roku, a opartych na ogłoszonym w traktacie paryzkim systemacie solidarności, pokazuje się widocznie, że niedoszedł on jeszcze do celu jaki zamierzył, do stałego utrwalenia pokoju i zabezpieczenia interesów europejskich. Postępował tą samą drogą co w roku przeszłym, opierał się na tych samych zasadach, używał tych samych środków, trudnił się temi samemi kwestyami, ale nie łatwem do odgadnięcia byłoby zadanie: czy i jak wiele zbliżył się do celu?... Każda sprawa wzbudza niepokój w Europie, bo staje na pograniczu wojny. Sprawa Bułgarska spro-

wadziła flotę angielską na Morze Czarne, a była chwila w sprawie Księstw Naddunajskich, gdzie trzeba było wizyty monarszej, aby usunąć wróżbę wojny powiewającą w miejscu zwiniętych pawilonów w Stambule... Godném jest uwagi, że rozwiązana rzeczywiście i ostatecznie została tylko jedna kwestya, sprawa neufchatelska, ta właśnie, w której naturą rzeczy zmuszony systemat przyjął grunt prawa a nie faktu. Wszystkie inne sprawy czekają rozwiązania. Drugie konferencye miały ukończyć sprawę granicy besarabskiej, ale gdy się zebrałi w przeszłym miesiącu reprezentanci mocarstw dla podpisania ratyfikowanego aktu, podpisać go niemogli z powodów dotąd nieznaných... Rozgraniczenie Turcyi od Rosyi w Azyi, podpisane jak zapewniają w Stambule, czekać będzie zapewne na ratyfikacyę... Rosya po stronie azyatyckiej Morza Czarnego trzy tylko wolne porty ogłasza, co się sprzeciwia uznanej zasadzie neutralizacyi Morza Czarnego, i dotąd negocyacye się toczą o ten jeden z najważniejszych punktów traktatu paryzkiego... Wolność żeglugi na Dunaju natrafia na trudności, a niewdając się zkad one pochodzą, dość na tém, że nowy punkt traktatu paryzkiego niewykonany, i komisye *ad hoc* prac swych niewykończyły. Cóż dopiero powiedzieć o kwestyi Księstw naddunajskich, o tym prawdziwym labiryncie do wyjścia z którego dyplomacya jeszcze jak się zdaje nie znalazła nici Aryadny... Hattihumajon leży odłogiem, i niema wcale widoków, aby miał być w bliskim czasie uprawiany... Otóż i cały traktat paryzki niewykonany, i możnaby wątpić, czy wykonanym kiedy zostanie, gdyby drugie konferencye nie były dały przykładu, że można w nim zmieniać artykuły. To ułatwi niezawodnie jego wykonanie, ależ któż przewidzieć zdola, jaki będzie ostateczny wypadek... Inne kwestye nietyczące się wprost traktatu, bezpośrednio więc tylko systemat solidarności

obchodzące, wszystkie w zawieszeniu. Sprawa duńsko-niemiecka przed Bundestagiem — zerwanie stosunków dyplomatycznych między Neapolem a Francją i Anglią, jako też między Austrią a Piemontem, nie posunęło się o ile wiadomo ani kroku ku zgodzie lub wojnie. . . Nakoniec systemat solidarności i przywiązane doń sposoby polityczne tak ważne jak zjazdy monarsze i konferencye, nie zdołały ochronić Europy i zabezpieczyć jej interesów od ciosu, jaki jej przysłała Ameryka w kryzys finansowej. . . Nie jest że to wszystko *Drugi obieg błędnego Koła?*

Przeciąg jednego roku nie jest żadną epoką polityczną. Ale dziwném zrządzeniem trafu, rok 1861 i rok 1857 mają uderzającą polityczną analogię usprawiedliwiająca napis użyty na czele téj pracy. Rok 1856 otworzyły pierwsze konferencye paryzkie — skończył się on oczekiwaniem d. ugich konferencyj w sprawie Bołgradu i Wyspy Węzowej. Rok 1857 rozpoczęły drugie konferencye, a kończy się zapowieścią trzecich, w sprawie księstw Naddunajskich.

MAURYCY MANN.

## KRONIKA.

### Kraków w grudniu.

Miesiąc temu ważyły się losy przyszłe niniejszego czasopisma. Głosy pełne życzliwości, przemawiające publicznie i prywatnie za jego nadal utrzymaniem, wielką za prawdę dla wydawnictwa były pociechą w doznanych stratach *materyalnych* w ciągu dwuletniego jego istnienia; pełne zaś otuchy i nadziei, niemalym stały się *moralnym* bodźcem i zachętą do przedłużenia bytu jego. Otwartość, z jaką wydawnictwo uczyniło zależnem wydawanie pisma od dostatecznej liczby oświadczeń przyszłorocznych abonentów, dozwoliłaby tu powiedzieć, że liczba ta nie jest jeszcze tak wysoka, aby wyłącznie mogła stanowić *materyalną* podstawę *Dodatku* w ciągu roku 1858. A cóż mówić jeszcze o dalszych latach? Czyż z końcem roku przyszłego przyjdzie na nowo powtórzyć te prawie natrętne wezwania, mogące się zdawać jakoby żebranią o nowe 10 reńskich? Bo wiemy, że dla wielu jeszcze osób w kraju naszym, wezwanie do przedpłaty na czasopisma, takie ma znaczenie, jakby wyciągano do nich rękę o jałmużnę. W tem przekonaniu poczytują się oni za dobroczyńców i mecenasów piśmiennictwa ojczystego. A prze-

cież ta książka która im się daje w zamian za pieniądze abonamentowe, więcej kosztuje niżeli cały abonament razem wzięty. Autorska praca, noce ślęceń i nauki, zapal natchnienia i siła twórcza nie rodzą złotych owoców na naszej jałowej ziemi. Ten szczupły poczet ludzi w kraju, żyjących z pióra, gdyby tę swoją pracę, naukę, zapal i wytrwałość zwrócił był do roli, kupiectwa lub rzemiosła, mógłby przynajmniej mieć nadzieję zapewnienia sobie starości bez troski i niegłodnej. Aż tu oto pierwszy mistrz pióra i pierwszy gieniusz swojego wieku umarł w ubóstwie, i musiano przez dwa lata żebrać dla dzieci jego, by je było za co wychować i za młodu na żebraczkę niepuścić.

Stośunek jaki zachodzi między liczbą mieszkańców a liczbą książek rozechodzących się po kraju, usprawiedliwia Kronikarza krakowskiego, że nie zwykł zbaczać w swoich miesięcznych sprawozdaniach niewydeptaną jeszcze ścieżką na bezdroża umysłowego życia. Znalazłby tam wprawdzie kilku pracowników wiodących żywot ciechy i odludny. Nie dostatki i sława, ale miłość wiedzy i nauki zawiodła ich w te pustynie, gdzie wyrzekli się uciech życia i zaszczytów tego świata. Niekiedy wyciągają ich ztamtąd gwałtem, sadzają wśród salonu na kanapie, żeby się pochłubić przed obcemi, iż się ceni nauki i uczonych, że się ich przypuszcza do równouprawnienia salonowego i za panbrat z nimi się żyje, tak jak to modą jest gdzieindziej. W sferach tych bowiem roszeją sobie prawo do wykształcenia, a przeto literatura bywa tam niekiedy przekąską przy herbacie; ustępuje jednak zawsze miejsca zaostrożonej skandalu ciekawości, która w braku własnych przedmiotów, na szczęście tak rzadko się nastreczających, szuka ich w *Gazette des Tribunaux*.

W innych sferach, książka rzadkim bywa gościem; długie jednak wieczory zimowe nakazują szukać w niej niekiedy rozrywki. Mieszczanin czystej krwi nie posiada w swojej bibliotece innych książek prócz książki do nabożeństwa i kalendarza. Córka jego wprawdzie, między pensją a zamążpójściem uzupełnia edukację swoją i do późniejszego stanu sposobi się na przekładach romansów dumasowych, które w wypożyczalni

książek miesięcznie prenumeruje. Francuzczyzna z pensyi niewystarcza jej jeszcze, aby czytać w oryginale.

Są jeszcze innego rodzaju czytelnicy, począwszy od studenta, co pod ławką w czasie lekcyi kształci umysł i serce na Pawle Koku, aż do prototypu Marszałka w „*Chatce*“ Syrokomli, który bierze książkę do ręki żeby łatwiej nad nią usnąć. Młodzież wyszedłszy ze szkoły przesiada się natychmiast z ławki szkolnej do zielonego stolika, gdzie europejska kryzys finansowa najpopolitsze znajdować zwykła zastosowanie swoje.

Namiętność gry opanowała wszystkie klasy: a kiedyż właściwiej o niej mówić, jak wśród zimy? Nie tyle może jednak przynoszą szkody społeczeństwu gry hazardowe, ile tak zwane komercyjne. Czy kto strwoni majątek tym lub innym sposobem, czy go przegra w karty, przehula, przeje i przepije, to mała różnica; ale gra komercyjna, na zimno, bez wzbudzania namiętności, odzwyczajają od poważniejszych zajęć, oducza myśleć, a ze wszystkich zabaw towarzyskich najwięcej odkrada czasu pracy. Zamiast zaostrzać dowcip jak niejedna zabawa, przytępia ona umysł i wprawia go do mechanicznego tylko działania w ograniczonym zakresie pewnych swoich kombinacyj. Gra komercyjna zabiła życie towarzyskie, ujednostajniła najsprzeczniesze nawet indywidualności, które w każdym innym razie przez ścieranie się z sobą wydobywałyby, fizycznie mówiąc, ciepło i elektryczność, to jest budziły życie; zniżyła umysły podnioslejsze a nie podniosła wyższych; zrównała wiek, pozbawiając starość powagi, a młodości odbierając lekkość i swobodę; wykluczyła z koła społeczeńskiego kobietę i pozbawiła towarzystwo jej wpływu, bądź co bądź zawsze uzaeniającego, choćby nie był spotęgowany nadzwyczajnemi przymiotami umysłu i serca. Gra w karty skazała wreszcie ludzi na milczenie, ograniczając całą ich rozmowę do pewnych tylko terminów, a nawet milczenie jest w grze największą pochwałą. Ztąd też rozwinęła się ona i upowszechniła szczególnie tam, gdzie najsurowsza panuje cenzura na myśl, mowę i pismo; tam wreszcie gdzie płytkość wykształcenia każe unikać wszelkiego poważniejszego zajęcia, a powierzchowna ogląda obstoi za wewnętrzną wartość. Gra w karty podkopala życie familijne; bo jakaż rola

kobiety i żony za krzesłem grającego męża? Musi ona szukać dla siebie oddzielnego towarzystwa lub osamotniona czuć się opuszczoną.

Gra w karty po całodzienném znużeniu umysłowém może być uważana jako wypoczynek po pracy, bo zwracając w przedmiot obojętny całą uwagę, uwalnia od myślenia i nietrudzi. Ale kiedy się staje zatrudnieniem nie-strudzonego umysłu, wtedy pozbawia go ostatniej sposobności ćwiczenia się, jaką mu nastęrczyć może obcowanie z ludźmi.

Wprawdzie wielka to trudność spędzić w Krakowie grudniowy wieczór inaczéj jak przy kartach, chyba gdyby się go spędzić chciało w ciszy domowego zakątka. Zeby jednak na chwilę myśl oderwać od kłopotów i trosk dniowych, na to nie znajdzie miejsca chyba przy zielonym stoliku. Szczególniej klasa średnia przeznaczona jest na to odosobnienie, a o niéj zawsze i przedewszystkiem mówić wypada, bo ona stanowi główne jądro miasta, nie zaś owe kilka lub kilkanaście domów skupiających w sobie życie wielkiego świata, dla których Kraków jest tylko stacją podrózną, zimowém leżem, dla których zresztą miejsce, czas i przestrzeń nikną: bo jako kosmopolici w każdym miejscu znajdują swoich; jako pracujący nie z musu, wolni są od wyznawania aksjomatu „*times is money*“; a bez obowiązków, coby ich przykuwały do progu domowego, przebiegać mogą świat wszerz i wdłuż. Owóż dla mieszczan, téj najliczniejszej klasy mieszkańców miasta, niemasz towarzystwa, bo niemasz jeszcze u nas społeczności miejskiej. Albo więc mieszczenie cisną się do pańskich przedpokoi gdzie wolą być ostatnimi niż pierwszymi u siebie, albo przyjąwszy obyczaj cudzoziemski, w kawiarniach i knajpach szukają wytechnienia i rozrywki, albo wreszcie prowadzą żywot odosobniony, w którym egoizm i hypokondrya, owe niepolskie choroby, prosperują jak najlepiej w ciepłe zamkniętego szczelnie pokoju.

Pod wpływem tych okoliczności życie kawiarniane coraz się więcéj u nas rozwija. Dawnemi czasy to tylko zwało się w Krakowie kawiarnią, gdzie kawy można było dostać. Dziś kawiarnie zakładane na sposób, jeżeli nie paryzki, to przynajmniej na wzór wiedeński, coraz zwiększają swoje lokale i nabierają okazałości, okaza-

łości w porównaniu z dawnymi izbami kawiarnianemi. Znajduje się tam i kilka gazet i bilard i stolik do gry i twarze znajome, znajduje się wszystko, co może zastąpić towarzystwo, i nikt tam niepyta, co zacząć; a lubo w tych przypadkowych zebraniach nie może panować swoboda towarzystwa przyjacielskiego, panuje jednak swoboda konwencyonalności.

Kawiarnie tego rodzaju w Krakowie, to całe nowy nabytek europejski, jeden krok więcej na drodze cywilizacyi. Nie wyniknął on jednak z miejscowej potrzeby, ale wprowadzony tu został gotowo przez wojskowych i urzędników, dla których niebyło dawniej wygodnych i przyzwoitych miejsc schadzki. Odtąd znacznie się one rozwinęły, a mieszczenie tutejsi powoli zaczynają smakować w tego rodzaju wieczornych zebraniach.

W ogóle powierzchowna, zewnętrzna postać Krakowa z każdym rokiem nabiera coraz więcej cechy miast zagranicznych. Słuszna, aby przy zamknięciu roku coś o tém wspomnieć. Sklepy nasze, dawniej mało różne od kazimierskich kramów, jaśnieją dziś jeśli nie wspaniałemi, to przynajmniej dość okazałemi wystawami. Szyby zwierciadlane nie są już dziś osobiwością nietylko u kupców, ale i u rzemieślników, którzy znieśli się z pięt na dół i rozłożyli w sklepach składy wyrobów swoich. Gaz, który po raz pierwszy w dniu 22 grudnia zajaśniał na ulicach Krakowa, podniesie jeszcze tę okazałość.

Pod względem drożyzny Kraków również stanął w rzędzie pierwszych miast europejskich. Poliglotyzm jaki w nim obecnie panuje, czyni go bardziej jeszcze miastem europejskiem. Na ulicy najmniej słychać po polsku. Jedni mówią po niemiecku, drudzy po francusku, zostawiając ludowi tylko mowę polską. Myślałby kto iż w Krakowie sami tylko mieszkają cudzoziemcy. Bynajmniej. Liczba cudzoziemców jest stosunkowo nie większa jak po innych miastach; lecz jednym nakazuje moda używać obcego języka, drudzy odwykają od swego. Polacy słynni z łatwości uczenia się obcych języków, oplacają tę łatwość lekceważeniem swojej mowy. Lubią się oni przed cudzoziemcami popisywać i wolać łamać się z trudnościami języka obcego, niż dozwolić

aby cudzoziemiec to czynił względem ich języka. Francuz, Niemiec, Anglik, za granicą nawet nie chcą się łątwo wyzuwać ze swojego narodowego charakteru, a wtedy dopiero obcego używają języka, kiedy się swoim rozmówić niemoga; my przeciwnie, wtedy tylko mówimy po polsku, kiedy innym językiem rozmówić się nie możemy. Od czasów śp. Witwickiego nie a nie się w tem niezmieniło, i tak jako komedye Moliera lub satyry Krasickiego dziś jeszcze zachowały całą swoją świeżość jako przedstawiające ludzi w ogóle a nie ludzi pewnej tylko epoki, tak gromy Witwickiego na lafiryndyzm polski, dadzą się tak zastosować, jak gdyby Witwicki pisał był o nim na schyłku r. 1857 i w Krakowie. Zdaje się więc, że lafiryndyzm jest chorobą nie grasującą chwilowo i przemienne, ale chorobą narodową, jak np. spleen angielski.

Święta Bożego Narodzenia powinny być właściwym przedmiotem grudniowej kroniki. Nigdzie jednak nie obchodzą świąt tych z taką cichością jak w Krakowie. Mikołajki, Gwiazdki, drzewka złotemi jabłkami i orzechami upstrzone, wszystko to należy do rzędu podań przedhistorycznych, których pamięć zaginęła, a pokolenie obecne straciło nawet uczucie obrzędu Świąt Bożego Narodzenia w ich familijnem znaczeniu. Pod tym względem wyścignęliśmy jeszcze kraje niemieckie, gdzie z całą uroczystością starożytnych zwyczajów święta te obchodzą w domowym kółku. Prawda, że tam łączy się interes osobisty wielu osób z tem zachowaniem dawnych zwyczajów, bo to jest zwykłą porą podarunków; kupy i rzemieślnicy Wiednia, Berlina, Wrocławia straciłyby znaczną część odbytu z zarzuceniem „Gwiazdki.“ Gdyby i u nas choć z tych pobudek starano się utrzymać ten starożytny obrzęd, możeby pod hasłem tak u nas nowem przechowano pamiątkę zrosłą z naszą przeszłością i naszym religijnym uczuciom odpowiednią.

Kończąc niniejszą kroniką całoroczny poczet sprawozdań miesięcznych, należałoby może skupić w jedno to co się tu i owdzie rzuciło na papier. Lecz Kronika krakowska nie składa szeregu artykułów osnutych na jedną myśl, ale tylko dowolne i swobodne spostrzeżenia nad chwilowym stanem, nad charakterem miejscowym, a spostrzeżenia te lubo nieulożone w systemat, miały

zawsze na celu przedstawienie wrażenia ogółu, bez do-  
tknięcia szczegółowych zdarzeń i osób.

### Wiedeń w grudniu.

Nie moja wina, jeśli tym miesięcznym sprawozdaniem moim, zbywa przypadkiem na tych powabach, jakie miewa dla publiczności każdy wypadek ciekawy, zadziwiający, nadzwyczajny, równie jak każdy zręcznie uchwycony i wiernie oddany odcień życia pełnego ruchu, zmian, wzruszeń i blasku. Listy moje, mają wszakże to jedno za sobą, że są rzeczywistym Wiednia obrazem. Owiż Wiedeń, jest wyjątkową i od wszystkich innych, odmienną stolicą. Paryż, Londyn, Petersburg, Rzym, Neapol, mają prócz ogólnego sobie właściwego, i w całej Europie znanego charakteru, tysiące, że tak powiem odłamków, z których każdy uważany z bliska i osobno, stanowić może zupełną i od innych części zupełnie różną całość. Jak miasta te do przedmieść, tak następnie przedmieścia jedne do drugich zupełnie niepodobne. Jak we wszystkich dosyć wymienić ulicę, żeby wiedzieć jaka klasa ludności je zamieszkuje, tak również we wszystkich dosyć wiedzieć, z jaką klasą ludności chce mieć do czynienia, żeby trafić do celu bez przewodnika. Tak podzielone mniejsze te lub większe szachownice, przedstawiają oczom widza grę nie łatwą do objęcia, ale pełną życia i pojęty. Na skutki tej gry, jakiejkolwiek takowe są natury, patrzą z radością lub trwogą miliony ludów. Któż nie zna wspaniałej ody Wiktora Hugo do Paryża? Kto w tych zwłaszcza dniach wielkich świąt katolickich Bożego Narodzenia nie myśli o uderzającej swym blaskiem powadze Rzymu? Kto sobie nie przypomina, jaki widok, nie mówiąc już nawet o Petersburgu, przedstawiają w tych dniach a mianowicie w dniu Nowego Roku, wszystkie nawet gubernialne miasta rosyjskie? W Wiedniu przeciwnie, dni te są jak wszystkie inne w roku. Nawet zwyczaj niemiecki ustawiania sadu we wilię, zaczyna wychodzić ze zwyczaju. Kalendarz i konieczne powinszowania pozostaną niezadługo jedyną tutaj tych dni oznaką.

Skąd pochodzi ta coraz wybitniejsza jednotonność tutejszego życia? Dla czego, jeśli mu zbywa na zewnętrznym blasku, który nie zawsze jest skutkiem tylko pieniędzy, nie ma w niem równie żadnej wewnętrznej głęboko narysowanej i silnie uderzającej strony? Odpowiedź oparta na charakterze narodowym, dałaby powód do nowych zapytań. Skąd powstał ten charakter, czy zawsze był takim jak teraz, i dla czego w gruncie różnym jest nietylko od innych wielkich narodowych charakterów, ale nawet od charakteru czysto niemieckiego? Historia filozoficzna i fizyologiczna Wiednia, odpowie kiedyś na te zapytania. Ona wykaże, jakim był Wiedeń wtedy, kiedy Austria panowała nad połową Europy; jakim był później, kiedy przyjmowała w tej stolicy Monarchów całej Europy i nareszcie, dla czego i o ile przestał być tém, czém go ogłosił jeden z ulubionych poetów niemieckich:

*„Es ist nur eine Kaiser Stadt, nur ein Wien.“*

Stan terazniejszy Wiednia jest pod wielu względami, stanem wewnętrznego i zewnętrznego przeobrażenia. Na tle spokojném, równém, jednobarwném, charakteru głównie niemieckiego, który oznacza większość ludności tego miasta, jest widoczna, acz powolna, ostrożna i troskliwie obrachowana praca postępu i rozwoju nowych sił, nowych życzeń i nowych dążeń. Przeznaczony od lat kilku przez nową organizację całego państwa, na stolicę naczelną, Wiedeń staje się coraz wyraźniej środkiem nietylko władzy rządowej i wpływu politycznego na wszystkie inne większe miasta prowincjonalne, ale nadto ogniskiem, z którego się rozchodzą i w którym się łączą i zlewają, głównejsze przynajmniej promienie życia ogólnego. A że życie to w składzie swoim jest tak rozmaite pod względem narodowych, moralnych intelektualnych i materyalnych pierwiastków, obraz przeto tego ruchu i tego działania środkowego, przypatrując mu się z bliska, nie jest bez wartości i właściwej sobie barwy. Trzeba tylko, jak powiadam, badać ten ruch pilnie i śledzić go głębiej, gdyż powłoka wierzeźnia jest podobna do tego pyłu, którym wieki zapomnienia

pokrywają nieraz najszacowniejsze twórczości umysłu ludzkiego dzieła.

Że rok, który jest na skonaniu, w tej pracy przeobrażenia się Wiednia, znaczne położył zasługi, że dokonał wiele zmian i ulepszeń ważnych, i przygotował w spadku latom następnym pożyteczne materiały, wątpliwości nie podpada. Dość rzucić okiem, żeby się o tém przekonać, na wspaniałą, już prawie dokończoną drogę żelazną, która przerywając miasto, połączy wkrótce kolej północną z koleją południową; dość zwrócić uwagę na budowle publiczne i prywatne, które się wzniosły w rozmaitych częściach miasta, na te ozdoby w które się przystroili i coraz liczniej stroją rozmaite kupieckie składy, na przybór który panuje teraz w ich wewnętrznem urządzeniu, a nareszcie na podwójną pilność w utrzymaniu czystości ulic, nawet na przedmieściach, żeby duchowi powołującemu Wiedeń na odpowiednie jego przeznaczeniu w przyszłości stanowisko, oddać zasłużoną sprawiedliwość. Przy łatwości komunikacyj pocztowych przewozowych i celnych, i przy znacznem zmniejszeniu opłaty od towarów zagranicznych, smak w ubiorach, powozach, urządzeniu domów i ich utrzymywaniu kształci się, rozszerza i coraz głębiej we wszystkie przechodzi klasy społeczności. Wyroby francuzkie i angielskie, któremi zapełnione widzieć można było w tych dniach świątecznej wystawy, tutejsze sklepy, znalazły pod wielu względami godne z płodami tutejszych fabryk współzawodnictwo. Jednem słowem, strona przemysłowa, handlowa i budownicza Wiednia zrobiły w tym roku na drodze postępu krok wyraźny i obiecujący wiele na przyszłość.

Pod względem umysłowym i artystycznym, wydobyć się z długoletniej na systemacie politycznym ugruntowanej oziębłości, idzie powolniej. Akademia cesarska nauk zapowiedziała przy wejściu w swą terażniejszą siedzibę, szereg prac ważnych, i w przemowach któremi zagała swe uroczyste posiedzenie, można było widzieć zakład, że się z danego słowa godnie wywiąże. Może z niej wyjdzie popęd do rozleglejszych po za jej obrębem usiłowań, prac i badań. Może z czasem, obok pism poświęconych dotąd głównie interesom finansowym, administracyjnym lub przemysłowym, staną dzieła rozle-

glejszych rozmiarów i głębszej dążności. Życzyłoby też należało, żeby usiłowania artystyczne rozstrzelone dotąd bez kierunku, podstawy i wyższej pomocy znalazły dla siebie te zakłady, z jakich wyszło tylu znakomitych w innych krajach mistrzów w rozmaitych zawodach i gałęziach sztuk pięknych. Literatura w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, zamknięta dotąd w spekulacji romansowych i powieściowych przez dzienniki ogłaszanych płodów, oczekuje także właściwego sobie popędu. Też same dzienniki pojną również, jak się spodziewać można, przeznaczenie swe polityczne; lubo w zawezwaniach do prenumeraty na rok przyszły ograniczyły się prawie wszystkie do oznajmienia tylko, że podnoszą swe ceny w skutek nowego przez rząd nałożonego podatku stęplowego. Publiczność zapłaci chętnie ten podatek, jeżeli w zamian znajdzie w dziennikach pokarm umysłowy i moralny. W każdym razie spodziewać się trzeba, że z Nowym Rokiem będziemy mieli w Wiedniu nowe dziennikarstwo, gdyż stare albo upadnie, albo się odrodzi.

Co do teatrów, miesiąc ostatni starego roku nie poprawił w niczem błędów lub niedoleżności zakorzenionych od dawna. Życzenia moje w tej mierze na rok przyszły zamknę w dwóch słowach: nowa przynajmniej dla opery i baletu budowa i nowa albo poprawiona we wszystkich artystyczna dyrekcyja.

### **Poznań w grudniu.**

Kiedy po złożeniu broni przez pojednane zawartym pokojem państwa, rządy zachodnie i środkowej Europy zdają się obiecywać sobie utrwaloną spokojność wewnętrzną nie mając żadnej kwestyi żywotnej do rozstrzygnięcia, na północy, w państwie potrzebującym więcej od innych spoczynku po wysileniach wojennych, powstała myśl całą nową przyszłością tego państwa brzemienna, myśl mająca powołać do prawdziwego życia, do godności ludzkiej, do praw człowiekowi służących, wielomilionową ludność. Nie wchodzi, czyli myśl ta sama się ocknęła, czyli ją przezorna troskliwość wła-

dzy poruszyła, ale mniemam, że raz obudzona usnąć się więcej nie da. — Jakie ona kształty przybierze, w jaki sposób ciałem, i jakim ciałem się stanie, czy to jej przejście w świat materyalny silna wola i dłoń silna przeprowadzić potrafi, trudno przewidzieć; lecz każdy czuje, że nadchodzi wielkiego znaczenia epoka dla krajów pod berłem północnym zostających. W Królestwie Polskim epoka ta mniej się groźnie przedstawia, bo w niem ta myśl usamowolnienia i uwłaszczenia włościan od dawna krążyła i coraz bliższą była dojrzałości, lecz w dawnych ziemiach polskich, równie jak w Rosyi zadanie to w zatrważającej a przynajmniej w obudzającej troskliwość występuje postaci. Aby pojąć dokładnie całość tego zadania, zbadanie przeszłości stosunków, które dziś zmianie ulegz mają, jest koniecznym. Otóż w tak ważnej chwili dla mieszkańców polskich berłu rosyjskiemu poddanych, Towarzystwo Przyjaciół Nauk poznańskie zamierza ogłosić konkurs do napisania *Historji włościan i stosunków ekonomicznych w dawniej Polsce*. Myśl tego konkursu powziął prezes Towarzystwa p. August Cieszkowski, i dla urzeczywistnienia jej z chwalebna szczodrobliwością Zł. pol. 6000 złożył na nagrodę konkursową. Zarząd Towarzystwa wezwał Wydział Nauk Historycznych i Moralnych do ogłoszenia konkursu i ułożenia stosownego programu. Prezydujący w wydziale wyznaczył czterech członków do zajęcia się tą ważną pracą, i w tych dniach ma się odbyć narada, z której powstanie ów program mający przed ogłoszeniem publicznym pójść jeszcze pod rozpoznanie i potwierdzenie prezesa będącego twórcą konkursu i dawcą nagrody.

Ofiarujący ją niemógł zaiste więcej zajmującego i większej ważności przedmiotu do obrobienia wybrać z dziejów przeszłości naszej, ale razem mniej rozświetlonego, trudniejszego, i powiedzmy szczerze myśl naszą, niebezpieczniejszego. — Cel i użyteczność konkursów tego rodzaju nie polega na tém, aby z nich wyszło dzieło dobre napisane, któreby zubożyło piśmiennictwo krajowe, lecz ażeby w obieg puścić myśl użyteczną, rozjaśnienia potrzebującą, aby zachęcić do zastanowienia się nad nią i ułatwić wprowadzenie jej na drogę praktyczną. Z tego stanowiska zapatrując się na konkurs, mniemamy, że

zadanie przedstawione przez Towarzystwo poznańskie przychodzi i za późno i za wcześnie.

Za późno — bo pora na nie właściwa była w ten czas, kiedy na ziemi przez ludność polską zamieszkałą, stosunki włościańskie jeszcze żadnej niebyły zmianie uległy, kiedy znajdowały się w tym stanie, w jakim je sejm konstytucyjny zostawił, i do dalszego rozwinięcia myśli ustawie jego przewodniczącej usposobił; wtenczas kiedy dziejami przeszłości naszej, naukami w nich wy-czerpanemi należało przygotować i zachęcić umysły do zaprowadzenia dobrowolnego zmian dalszych. — Lecz dziś, gdy w dwóch częściach dawnej Polski, władze panujące w dłoń swoją tę sprawę ująwszy, te zmiany stanowcze do skutku przywiodły, wystąpienie z dziejami dawnych stosunków, i z nauką jakiej dostarczają, jest, powtarzamy, za późne. Jest zaś zawczesne, gdyż w chwili, w której w trzeciej części Polski trzeciemu berłu podległej, sprawa ta wymknąwszy się z rąk które ją uchwycić powinny były, lecz uchwycić raczej nie mogły, jak nie chciały, toczy się pod kierunkiem i strażą władzy oświeconej cudzem doświadczeniem, i mądrą zyskaną przezornością, unikać należy wszystkiego, coby dać mogło powód do zakłócenia spokojności umysłów, do obudzenia namiętności i rozwolnienia węzła ufności, tyle potrzebnej stronom występującym w tej sprawie. — Powiedzieliśmy jednak wyżej, że w tym wielkiem dziele, poznanie dawnych stosunków, dokładna znajomość historyczna przeszłości stanu włościańskiego w kraju naszym, jest koniecznie potrzebna, i nie cofamy się z tym twierdzeniem; lecz przekonani jesteśmy, że praca konkursowa o tyle tylko może się stać użyteczną, o ile będzie oględna, bezstronna, wolną od wszystkich teoryj, systematów i namiętności. — Wytknąć więc jej drogę jaką obrać powinna, wskazać ducha w jakim ma być poczęta i wykonana, jest koniecznością — i jest właśnie zadaniem programu. Ułożenie więc tegoż z przejęciem się myślą, której tu nierozwijamy, lecz tylko napomykamy, zdaje się nam być wielkiej ważności, i ogłoszenia takowego z natężonem zajęciem oczekiwać będziemy.

Powiedzieliśmy, że przedmiot ten uważamy za jeden z najtrudniejszych do obrobienia. I w istocie, aby wy-

dobyć z ciemności przeszłych czasów i nagromadzić dokładne wiadomości historyczne, na jaki trud, na jaki ogrom pracy musi się pisarz przygotować! W kronikarzach i historykach naszych mało on znajdzie materiałów do swego dzieła. W ich opowiadaniu lud pospolity, lud włościański pominięty obojętnością, nie znajduje miejsca wśród dziejów ojczyznych; z dawnymi prawami swemi, z nędzą, z uciskiem, zatarty jest wśród ruchu krajowego, wśród wrzawy wojen, wśród blasku chwały narodowej. Pisane prawodawstwo więcej mu dostarczy wiadomości, lecz i te jeszcze niedostateczne będą. Trzeba ich poszukiwać, trzeba badać, jaka była tego ludu dola, jakie obowiązki, ciężary, jakie stosunki z właścicielami ziemi, w pargaminach, dokumentach, w nadaniach, przywilejach, inwentarzach, tranzakcyach, lustracyach, które po archiwach i księgozbiorach są przechowywane. Do czasów późniejszych trzeba się radzić drobnych pisemek, kazań, broszurek, opisów kraju i podróży, które w rzadkich egzemplarzach po zamożnych tylko znajdują się bibliotekach. Tak nagromadziwszy liczne materiały, należy je uporządkować, porównać, krytycznie ocenić, i dopiero przy ich pomocy ułożyć ciąg zmian rozmaitych, jakie w losach ludu włościańskiego zachodziły. Wśród tego opowiadania nie wypada pominąć wspomnienia zacnych, szlacheckich, pojedynczych chęci, które się nieraz w obywatelstwie polskiem od najdawniejszych czasów objawiały, jako to np. w XVII wieku w fundacyi Jana Lipnickiego dla włościan, konstytucyą roku 1641 potwierdzonej, w XVIII stuleciu w różnych usiłowaniach na Litwie przedsięwziętych i w znacznej części dokonanych, a za czasów naszych w ustawie Hrubieszowskiej Staszica. Taki rys historyczny przedstawwszy, porównawszy z różnych epok stan włościan polskich z stanem współczesnym ludu rolniczego w innych krajach, należy bez gniewu i pobłażania zważyć na jednej szali sprawiedliwości, błędy, przesady, winy czynu i opuszczenia, na drugiej trudności pochodzące z położenia i stanu kraju, znaczne usiłowania i ogólne i pojedyncze, żal za winy i błędy, i karę za nie ponieścioną, i z tego porównania dopiero wyprowadzić zdrowy i bezstronny sąd i korzystną naukę.

Zdaje się, że zadanie konkursowe ograniczyć chce rys historyczny tylko do przeszłości dawnej Polski; nam się zdaje że obraz i nauka zupełną by nie była, gdyby tego rysu pisarz do obecnych czasów nie przeciągnął. — Jest to więc do dokonania dzieło obszernego rozmiaru i ogromnego trudu. — Nie rok, ale lat kilka na wykonanie go, ubiegającym się o nagrodę zostawić należy.

Dowiadujemy się, że pan Stawiski ogłosił w Warszawie podobnej treści dzieło. Nie wątpimy, że przedsięwziąwszy swą pracę, przejął się jej ważnością, i nim ją rozpoczął, przez długi czas przysposabiał się do niej; lecz wyznajemy szczerze, iż między obecnie znanymi pisarzami nie wielu jest takich, których i nauka i umysł badawczy i ducha powaga i sąd bezstronny mogą być rękojmią, że ich piórem skreślone dzieje włościańskie odpowiedzą tym wszystkim warunkom, które się nam niezbędnymi zdają. Gdyby wasz wydawca Statutu Kazimierzowego, zacny i uczony Antoni Helcel, chciał się niemi zająć, powszechność krajowa mogłaby z ufnością oczekiwać od niego dzieła, równie głęboką nauką jak dojrzałością sądu znakomitego.

Nowy poszyt pisma literackiego poznańskiego ukaże się w tych dniach. Wstępny jego artykułem ma być Wiadomość o posagu księcia Józefa Poniatowskiego, wraz z wierszem w roku 1815 do siostrzenicy księcia owczesnej Aleksandrowej Hr. Potockiej, dzisiejszej Hr. Wąsowiczowej, napisany z okoliczności zamierzonego wzniesienia tego posagu, który miał uwiecznić i chwale bohatera i wdzięczność narodu. Dokonany dżutem Torwaldsena, odlany z spiżu, zdaje się on niepowrotnie dla kraju straconym. — Nie spiżem więc, nie posągiem uwiecznia się chwala i wdzięczność. Przodkowie nasi nie zwykli byli objawiać niemi czei swojej dla swych władców, bohaterów i mężów wielkich. Po ulicach miast naszych nie wznosiły się posągi i pomniki, żaden z naszych wojowników oprócz Czarnieckiego w Tykocinie, żaden z naszych królów oprócz Zygmunta w Warszawie w ten sposób uczczony nie został. Jeżeli Polacy dżutem rzeźbiarzy powierzali wyobrażenia z marmuru i spiżu swych królów i mężów sławnych, to niemi zaludniali kościoły, mieścili je na grobach, łącząc z niemi myśl religijną i hołd oddając chwale ziemskiej, przypominali

razem jęj nicość. Lecz lud polski sobie właściwą stworzył sztukę do sławienia swych bohaterów; on nie głazu ani marmuru, ani bronzu, lecz ziemi swojej używał do ich pomników — on góry wznosił, górami do potomości przemawiał. — On usypał mogiły pierwszemu swemu bohaterowi i jednemu z ostatnich swych obrońców, które zdają się dziś wyobrać dwa kopce graniczne jego dawnego bytu. A to sypanie mogił było jego sztuką narodową, polską *Ars Polonorum*, jak ją stary nasz Długosz, mówiąc o mogile Krakusa nazywa. Wzniosła to była sztuka, i jęj pomniki tylko ludu całego wdzięczność stwarzać mogła.

Drugim artykułem dziennika poznańskiego ma być zakończenie rozbioru dzieła Bielowskiego, który z uczonością napisany, znużył swoją obszernością i drobiazgowością.

Między innemi recenzjami nowego poznańskiego poszytu, znajdują się także uwagi nad mową Margrabiego Wielopolskiego, i z jęj powodu nad zapisem Swidzińskiego. — Kronika religijna jak zwykle zamyka ten poszyt.

W Lesznie u Günthera wyszły dwa tomiki *Żywotów Świętych przez przyjaciela dzieci*. Tym przyjacielem dzieci jest ksiądz Koszutski. Dwa pierwsze tomy dawniej wydrukowane były w Gnieźnie.

W drukarni Kamińskiego i Spółki jest pod prassą i ukaże się zaraz po Nowym roku: Obrazu wieku i panowania Zygmunta III, czyli obrazu stanu narodu i kraju tom drugi, przez księdza Siarczyńskiego. Przecież więc na kolędę mieć będziemy dzieło poważniejszej treści — dzieło pośmiertne uczonego i znanego pisarza.

Mam jeszcze do wspomnienia o Obrazie, lecz niestety o dramatycznym i niestety o wierszowanym. — Wyszedł on u Żupańskiego, tytuł jego: *Demokraci i Arystokraci*, obrazek dramatyczny w pięciu odsłonach. Cel jego trudny do zrozumienia, osnowa nie łatwa do pojęcia. Duch ani arystokratyczny, ani czysto demokratyczny. Wiersz łatwy, potoczny nawet, ale najczęściej z myślą błahą lub fałszywą. Dedykacya do dwóch najznakomitszych dramaturgów polskich, których nazwiska zamileza autor. Ale za to wielkie nowości znacznie do postępu sztuki dramatycznej przyczynić się mogące, wprowadzone do

tego obrazku. Jest on najprzód w pięciu nie aktach, lecz odslonach. Te odslony nie podzielone są na sceny jak to w użyciu było za czasów barbarzyństwa sztuki dramatycznej. Wiersze są drukowane prawie jak proza, i częstokroć zasługują na to, to jest że wielkimi literami pierwszy wyraz każdego wiersza nie jest oznaczony. Nadto wśród tego polskiego dramatu są całe ustępy *niby francuzkich* wierszy, mówię niby, bo złą francuzczyzną i bez zachowania żadnych prawideł wierszowania ukleconych. Był czas, w którym takie nowości ogłoszone by zostały jako śmiałość gieniuszu; dziś je tylko jako drobiazgową, bezwładną żądzę oryginalności uważać musimy. Z dedykacyi dowiadujemy się, że to jest pierwsza praca autora, i temu łatwo wierzymy. Z przedmowy niczego się dowiedzieć nie mogliśmy. Może dawniej ta przedmowa byłaby uważaną za bardzo głęboką, dziś ją tylko czytelnicy za ciemną i niezrozumiałą uznają. Ukrywa się i w niej i w dramacie jakaś myśl i towarzyska i filozoficzna i polityczna i narodowa, ale w tak mgliste obłoki obwinęta, że jej dojrzeć niepodobna. Z trudnością także przychodzi zdać sprawę z treści całej sztuki. Osoby do niej wchodzące zdają się wyobrażać różne pierwiastki obecnego naszego towarzystwa. Major przedstawia dawną zasługę, cnotę i prawość. Konrad sierota, wychowany przez księcia, zakochany w księżniczce, zapaleniec z żądzą poświęcenia i sławy, lecz pełen pogardy i szyderstwa, jest wyobrazicielem szlachećnej lecz w marzeniach zatopionej demokracji. Mrozowicz, to demokratą szlachecki. Edward na dwóch stołkach siedzi, chce i z arystokratami utrzymywać zażyłość i żyć w zgodzie z demokratami. Książę i księżna, hrabia i hrabina wyobrażają arystokracją, najprzód w tém, że w większej części po francuzku mówią. — U Majora zbierają się te wszystkie *personae dramatis*. Mrozowicz obraża się na księcia, że mu potrafił żonę i siadł jej na kolana, i przez Edwarda wyzywa go na pojedynek. Książę bić się nie chce, i tu się objawia pierwsza cecha arystokracji, *tchórzostwo*. Hrabina, która wiele przychylności okazuje Edwardowi, chce go żenić z księżniczką Matyldą, którą on kocha, a gdy książę i księżna odmawiają zezwolenia, ona wyznaje, że Edward jest jej synem, i synem tego, którego namó-

wiona przez matkę księżny, wraz z księciem otruła, dla tego, aby książę przywłaszczył sobie jego majątek a ona mogła wyjść za brata księżny. Otóż tu wykazują się drugie znamiona wyraźne arystokracji: *rozpusta, otrucie, i łupieztwo*. Matylda kocha Konrada i sama mu to wyznaje rzucając mu się na szyję z największym uniesieniem, w czém znowu znamie arystokratyczne daje się dostrzedz. Konrad przewidując w przesądach rodziców potępienie jój miłości, mówi Matyldzie, „że on jój nie kocha“. Matylda w obłąkanie wpada, potem odzyskuje przytomność. Hrabina umiera. Edward dowiedziawszy się całej prawdy, zrzeka się i ręki księżniczki i majątku, który zostaje w ręku księcia, będąc jego własnością. — Książę chcąc zmazać małe grzechy przeszłości otrucia i łupieztwa, oddaje rękę Matyldy Konradowi. Major pochwała ten związek i widzi w nim zgodę arystokracji z demokracją.

Dla mnie zakryte przyszłe losów naszych dzieje.  
Lecz w was i w związku waszym pokładam nadzieję,  
Że zabójczą niezgodę, co naród rozprzega,  
Zastąpi ducha jedność i zgody potęga.  
Że jako serca wasze miłością spojone,  
Zleją się w bratni uścisk uczucia rozstrzelone.

Lecz związek ten nieprzychodzi do skutku, bo Konrad stoi nieporuszony i uroczyście zwiastuje, że jako missyonarz idzie na Wschód. Matylda w rozpacz nie chcąc aby wspomnienie jój miłości zmyliło mu drogę wiodącą do wielkich czynów, oświadcza, „że go nie kocha, że skłamała wyznając mu swą miłość“. Konrad pomieszany (sic) tém oświadczeniem, zdradza się z swoją miłością, wpada w obłąkanie, w uniesienie, w improwizacyą, będącą naśladowaniem improwizacyi Konrada Mickiewiczowskiego. Tylko w niej nie odzywa się do Boga, ale stwarza i ocean wiedzy, i świat nowy, i staje się wszechwładnym panem, i ramiony niebios sięga itd. itd., aż nakoniec trze czoło, twarz zakrywa, upada pod drzewem i umiera. Zapewne zabija się, bo Matylda wyrywa sztylet od Konrada (sic) i chce się nim przebić, ale Major wydziera go z jój ręki i do góry podnosząc

ten *Sztylet*, on zacny i enotliwy, tym przykładowym wierzem kończy ten potworny dramat:

Cierp, módl się, ufaj, skończą się twoje cierpienia,  
To miecz sprawiedliwości i godło zbawienia.

Z tej osnowy, której nitkę zamatwaną z trudem tylko uchwycić mogłem, utworzy sobie czytelnik wyobrażenie o układzie, duchu i wartości tego obrazu, w którym fałsz, przesada i *aegria somnia* wstręt obudzają. Zastanawiać się nad nim dłużej nie będziem, dodamy tylko, że Autor popełnił błąd chronologiczny dziś pisząc i wydając swój dramat. Gdyby go był przed kilkunastu laty ogłosił, (lecz zapewne nie żył jeszcze wtenczas) byłby bez wątpienia znalazł czytelników, którzyby się w jego utworze domyślali byli głębokości pomysłów, wszechstronnego wszechświata poglądu, i upatrywali genialność; lecz dziś, gdy rozsądek publiczny otrzeźwiał, gdy wyobrażenia literackie nieco ozdrowiały, gdy wykoszlawiona krytyka wyprostowała się, dramat jego uważany będzie jako ostatni plód naśladowniczy owój chorobliwej, gorączkowej, zaciemnionój literatury, której czas (spodziewać się należy) niepowrotnie minął.

### **Berlin** w grudniu.

Trzeci ustęp, szanowny Redaktorze, w mojej pięciomysłowej kronice Berlina. Tak bliskie powinowactwo węchu i smaku, tak mały przedział pomiędzy nosem a gębą, o której mu z porządku pisać wypada, cóż tam znów nowego, powiesz, jaki potwór, karzeł, pies latający lub sowiźrzał wstrzymuje go od zachowania planu opowiadania, który sobie sam zakreślił? Nie nowego i nie takiego, szanowny Redaktorze. Prosty literacki kalkuł, pospolita berlińska refleksya, od której i twój korespondent nie jest wolen, radzą i każą mu tak postąpić. Nie wiem, czy mam cię policzyć do smakoszów; niecierpliwienie się twoje, że nie piszę o gębie, upoważniałoby mię do takiego domysłu; ale wiem, że żyjesz w Polsce, że mieszkasz w Krakowie, że zatem

chcąc nie chcąc znać musisz całą głąb' i przestrzeń cywilizacji gęby. Jestem nadto więcej niż pewien, że umiesz na pamięć od początku do końca Kantorbergo (historia świętego tego imienia zupełnie mi jest niewiadoma) Tymowskiego „Ode do brzucha“, którą jakiś zgłodniały estetyk policzył do rodzaju poezji żartobliwej. Otóż, szanowny mój Redaktorze, który od Nowego roku chciałeś zamknąć wychodzenie „Dodatku do Czasu“, widząc, że pomiędzy publicznością naszą więcej jest cywilizowanych pasibrzuchów niż pasimózgów, pojmiesz łatwo, że całej cywilizacji gęby, nawet berlińskiej, której oryginalnym, jedynym produktem, mówiąc „anticipando“, są „Teltower Rueben“, nie mógłbym objąć w jednej korespondencji. Skutkiem tego byłoby, że rozdział kroniki mojej o gębie przerwałby się przejściem z jednego roku do drugiego, a przy oprowie zeszytów część jedna stałaby w ostatnim tomie bieżącego, a druga w pierwszym następnego roku. Co to za niedogodność przy czytaniu, jaka nieprzyjemność w razie wypożyczenia lub straty jednego tomu, zwłaszcza ze względu na tak ważny przedmiot, jakim jest kronika cywilizacji organów smaku i żołądka berlińskiego! Nieprawda? Gęba powinna być w kupie.

Po tak przekonywającym usprawiedliwieniu się, sądzę, że mi w ostatnim miesiącu roku, w miesiącu gwiazdkowym, jedynym pomiędzy dwunastu braćmi, który w stolicy pruskiej może się nazwać poetycznym, pozwolił o czem innem pisać, mój wielce miłościwy Dodatkiewicz. Zaszczytny ten przydomek, który ci niniejszem daję, słusznie ci przynależy. Jestem przekonany, że cała czytająca publiczność przyzna ci go jednomyślnie. Przyzna ci go nie tylko dlatego, że jesteś wydawcą „Dodatku“, lecz że, oprócz umysłowych dla pisma samego, czynisz jeszcze na utrzymanie go dla dobra publicznego z własnej kieszeni materyalne dodatki. To jeszcze tylko w Polsce zdarzyć się może. W Niemczech taką wspaniałomyślną sentymentalność w wszelkiego rodzaju przedsiębiorstwach, nawet literackich, złożył raz na zawsze do grobu Hansemann, pamiętną, jak napis grobowy brzmiałą, formułą: „In Geldsachen hört Gemuethlichkeit auf“. Nie mówię o Francyi, a tém mniej o Anglii, gdzie podobną sentymentalność uważano za

patent do domu waryatów. Ale w Polsce wszystko co tylko się jeszcze robi, robi się przez Dodatkiewiczów. Zawiazane nawet tego lata w Poznańskim Towarzystwo przyjaciół nauk nie jest czém inném jak Towarzystwem Dodatkiewiczów. Pociesz się zatem szanowny Wydawco danym ci przydomkiem w chwilowym braku abonentów na twoje pismo. Zobacysz, że rok nie minie, a liczba ich w dwójnasób się pomnoży. Ja z méj strony zwiedzę podczas świąt, więcéj mając czasu, wszystkie restauracye, winiarnie, kawiarnie, piwiarnie, helgolandzkie sklepy, handle łakoci, cukiernie, knajpy, i dołożę starania, aby w pierwszych miesiącach nowego roku mieli i pasibrzuchy stósowną lekturę. A teraz pozwól przystąpić do rzeczy.

Nazwałem powyżéj miesiąc grudzień jedynym poetycznym miesiącem stolicy pruskiej w ciągu całego roku. Poetycznym czyni go obchód gwiazdki i wszystkie ku temu celowi zmierzone usiłowania mieszkańców stolicy. A lubo obchód ten powtarza się rok w rok prawie zawsze na ten sam sposób, nie traci on przeto na poetyczności, bo ta przywiązana jest nie do formy lecz do treści. Poetyczność tego rodzaju wiecznie jest nową, świeżą i nigdy się nie starzeje. Jest nią tak w realném życiu jak w idealnym świecie arcydzieł sztuki. Opisałem tę stronę gwiazdki berlińskiej w grudniowej korespondencyi zeszłego roku. Powtarzałbym się gdybym ją i w niniejszej z tego stanowiska opisywał. Zadanie kroniki mojej, która ma stanowić pewną całość, nie pozwala na takie powtarzanie. Zwracam zatem uwagę na inne charakterystyczne jéj cechy, a w szczególności na wpływ który wywiera na literaturę.

W żadnej porze roku nie wychodzi tyle plodów piśmiennych na widok publiczny, jak na gwiazdkę. Patrząc na te nieprzeliczone stósy drukowanego papieru, zapelniającego stóły i półki księgarskie, przychodzi powtórzyć z ś. p. Maurycem Mochnackim: że zamiast krwi atrament w żyłach niemieckich płynie. Zdaje się, że każdy co tylko piórem władać umie, począwszy od najpoważniejszych pisarzy, których imię głośne jest w pięciu częściach świata, aż do ucznia gimnazyalnego, który pierwsze swe literackie próby drukuje bezimiennie w jakimś pośledniém prowincyonálném pisemku: teolog,

filozof, statysta, historyk, prawnik, finansista, lekarz, badacz nauk przyrodzonych, astronom, matematyk, geograf, podróżnik, poeta, romansopisarz, estetyk, krytyk, humorysta, paskwilant, pedagog, technolog, agronom, fabrykant, kupiec, ba nawet pospolity rzemieślnik, szewc, krawiec, fryzyer, wreszcie kucharz; każdy, zdaje się, rozmyśla i pracuje przez cały rok nad tém, aby na gwiazdkę i na nowy rok złożył na stósie księgarskim większy mniejszy, grubszy cieńszy, lepszy gorszy plód twórczego, przerabiającego, kompilującego, tłumaczącego lub kradnącego cudzą własność mózgu, to jest, w większej części, zeszyt odrukowanego papieru wszelakiego formatu, w mniejszej, prace istotnej literackiej wartości, między niemi wszakże i areydziela, prawdziwe feniksy na książkowem Chimborassie współczesnego piśmiennictwa— „Sztuka czesania i utrzymywania w czystym i zdrowym stanie włosów“ fryzyera Petera, i „Kosmos“ czwartym pomnożony tomem Aleksandra Humboldta, tuż obok siebie, w największej przyjaźni na jednym gwiazdkowym stole przewielebnej literackiej rzeczypospolitej!

Znajdowałbym się w większym niż Homer ambarasie, gdybym jak on narody wodzów i książąt danajskich, tak ja wyliczać chciał imiona autorów i tytuły dzieł i pism tych wszystkich.

Mnóstwa zaś tego ja nie nazwę ani wypowiem,  
Gdybym miał nawet dziesięć języków, miał i ust  
dziesięć.

Homerowi łatwo było sobie poradzić, ilekroć znajdował się z natchnieniem lub pamięcią swoją w ambarasie. Wezwał na pomoc mieszkanki Olimpu, Muzy, a one mu poprostu rzecz tak jak była powiadały. Równie łatwo było zaradzić sobie Bojanowi, który

Jeno na struny kładł swe wieszczce palce,  
A sławą książąt żywe brzmiały struny.

Ale mnie biednemu korespondentowi, którym ani na oczy nie widział większej części książek, które przymysł księgarski i literacki na miesiąc ten z pod prasy wypuścił, który ich ani widzieć kiedykolwiek ani czy-

tać będę, który je znam tylko z spisów, z anonsów i z częściowych sprawozdań dziennikarskich, i wiem, że „maxima pars“ tego gwiazdkowego towaru pójdzie niezadługo na wieczne czasy zalegać półki antykwarskie lub sprzedaną będzie za makulaturę; mnie, gdybym chciał zdawać szczegółową sprawę z tego literackiego przemysłu, rozśmiałyby się w nos Muzy wzywającemu je o natchnienie i pomoc dla pamięci.

Zresztą nie jest to celem niniejszej korespondencji, która tylko wpływ pory gwiazdkowej na piśmiennictwo niemieckie oznaczyć pragnie. Nie jest zatem także jej celem wymieniać lub rozbierać dzieła świeżo wyszłe, mające prawdziwą wartość literacką. Dzieła te nie mają żadnej styczności z gwiazdką. To spekulacya tylko księgarska puszcza je w tym czasie w obieg, bo to jest najkorzystniejszy czas do pokupu. W narodzie tak piśmiennym i czytającym, jak niemiecki, książki są najpożądalszym i najulubieńszym podarunkiem gwiazdkowym, i to nie tylko dla uczącej się młodzieży, ale i dla osób w wieku, i dla uczonych z powołania. Nikt się nie urazi, gdy mu książkę na gwiazdkę ofiarujesz. Są dzieła dawne, są nowe, za kosztowne do nabycia dla prywatnej osoby. W bibliotekach tylko publicznych oglądać je można. Jeżeli kiedy, to o tej porze księgarz rachować może na ich pokup. Ofiaruj takie dzieło, choćby samemu Humboldtowi, przekonasz się, z jaką radością i wdzięcznością je przyjmie. Gdzie tak powszechne jest zamiłowanie nie tylko w czytaniu ale i w posiadaniu własnych książek, tam piśmiennictwo musi w ciągłym być ruchu, tam księgarstwo może przy takich nakładach świetnie robić interesa, tam nie masz gałęzi nauk tak suchej, któraby nie miała pisarza, nakładcy, kupca. Ztąd to mnóstwo, ta różnorodność treści i wartości dzieł i dziełek wychodzących około tego czasu na widok publiczny.

Wielka jednak ich liczba jest w ścisłej styczności z samą gwiazdką. Są to książki i książeczki pisane wyłącznie dla uczącej się młodzi obojęd płci, i najściślej zastosowane do każdego wieku i niemal do każdej klasy szkół niższych i wyższych; książki i książeczki elementarne w wszystkich przedmiotach nauk wykładanych po szkołach; książki do domowego czytania, jak

najrozmaitszej treści, podróże, powieści, przypowieści, bajki, gadki, wybory poezyi, opowiadania mytologiczne, historyczne, wreszcie różne zabawki i gry połączone z celem naukowym. Większa część książek i książeczek tego rodzaju jest stósownie ilustrowana. To największa poeńta dla małych a nawet i większych dzieci. Takich też dziełek najwięcej się kupuje. Nie masz dość biednego dziecka, któreby jakiej książeczki z obrazkami na gwiazdkę nie dostało. Na tych niezmiernie tanich drukach księgarze najwięcej zarabiają. Zarobek pochodzi z ogromu odbytu.

Inny rodzaj literatury, rodzaj nieznany i niepraktykowany podobno nigdzie na całym świecie, zato w Atenach nad Sprewą, w Berlinie, w tém mieście inteligencyi i sztuki, które jest jego ojczyzną, tak samo jak jest ojczyzną białego piwa, pielęgnowany i kwitnący zawsze z równą świeżością i blaskiem, z górą przeszło od ćwierć wieku, stanowią opisy pielgrzymek odbywanych kaźdorocznie po jarmarku, magazynach, sklepach, restauracyach, winiarniach, cukierniach, teatrach, wystawach, widowiskach, zgoła po wszystkich placach, ulicach, lokalach, domach, kątach, dziurach, budach, na których lub u których najmniejszy znajduje się szczegół, który ma lub nie ma styczności z gwiazdką. Pielgrzymki te opisujące się z największą drobnostkowością wszystkiego tego co tylko w tym czasie mniej więcej zmysły uderza, zwane technicznie „Weihnachtswanderungen“ to jest pielgrzymkami gwiazdkowemi.

Twórcą tego rodzaju literatury jest Rellstab, znany niemieckiemu a nawet i zagranicznemu światu, mianowicie wszystkim kompozytorom i wirtuozom, dziś już z górą sześćdziesiąt lat liczący, krytyk i feljetonista „Gazety Vossa“, która zarazem jest organem zamieszczającym owe Weihnachtswanderungi swego zasłużonego współpracownika. Bo Rellstab to sam w swojej osobie jest tym wielkim gwiazdkowym pielgrzymem, gwiazdkowym Humboldttem, jak go Kossak jeden z tutejszych zdolniejszych krytyków nazywa. Zaiste łatwiej musiało być młodemu Humboldtowi zwiedzić Andy i wdrapać się na Chimborasso, niż staremu Rellstabowi odbywać dziś pielgrzymkę gwiazdkową. Bo gdyby to dla niego było jeszcze coś nowego, ale on już od trzydzie-

stu kilku lat rok w rok tężsamę podróż, trwającą zawsze najmniej trzy tygodnie, czy pogoda czy słońce, czy mróz czy odwilż, bez znużenia ciała i ducha odbywa, i przez równie długi czas, zawsze ją z tą samą świeżością umysłu i lekkością wyobraźni, z tym samym stereotypowym humorem i dowcipem, z tą samą drobiazgowością w treści i formie, tu poważnie tam dziecinnie, tu groźnie tam rzewnie, tu smutno tam wesoło, tu drażniąc tam głaszcząc, stósownie do przedmiotu o którym mówi, nigdzie jednak prawie i nigdy nie ganiąc a niemal zawsze chwając, opowiada i opisuje. Polskiemu czytelnikowi dawniejszy tylko „Kuryer warszawski“ może dać próbę tego rodzaju literatury tak co do drobiazgowości treści jak co do ruchomości stylu.

Dla berlińskiego kupca, przekupnia, rzemieślnika, filistra, pijącego równocześnie i naprzemien jeden łyk kimlu kartoflanego, drugi łyk piwa białego, jest ten rodzaj literatury gwiazdkowej równie niezbędny, jak kimel kartoflany i białe piwo. Allah jest wielki, a Rellstab jest jego prorokiem. Nie widzieć firmy sklepu swego w opisie gwiazdkowej pielgrzymki Rellstaba, jest to narażonym być na niepowetowane straty przez cały ciąg jarmarku, i skwaszone mieć wszystkie przyjemności Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. To też Rellstab, zanim budy i stragany na placach rozbito, zaczyna kolędę swoją od sklepu do sklepu, już to sam, już w towarzystwie kilku chłopców i dziewcząt lub doroślejszych panien i starszych dam. Wie on dobrze o tém, że każdy filister wygląda go jak kania deszczu w progu sklepu swego. Toż i nawiedzi każdego, to i wspomni o każdym krócej dłużej w gwiazdkowym przeglądzie swoim. Sklepy mianowicie i magazyny zamożniejsze nigdy nie bywają omijane i przepominane. Aby mozołowi temu podolać, pielgrzym nasz wychodzi rano o godzinie ósmej z domu, i aż do północnej pory jest na nogach. Kiedyż je, pisze, czyta książki, które w przeglądzie nazywa, słucha koncertów, widuje przedstawienia dramatyczne i inne, z których nadto prawie eodziennie zdaje krytyczną sprawę? Jé, gdzie się zdarzy, w pierwszej lepszej knajpie tej okolicy miasta, w której właśnie podróżuje; pisze, kiedy nogi ustały, na kolanie, w sieni, w kącie jakiego domu, siedząc na schodach lub stołku,

albo w cukierni, gdzie pije kawę i czyta przy tem książki, któremi kieszenie ma wyładowane. Towarzyszące mu chłopcy, jak dzieci Boreasza, lecą z ołówkowemi gryzmołami do drukarni „Gazety Vossa“, gdzie znajdują dokładnie jego stenograficzne hieroglify; i tym sposobem łokciowe artykuły składają się same niewiedząc jak.

Jakiż cel tych uciążliwych pielgrzymek, jaki cel tych drobiazgowych opisów? Czy się to zgadza z godnością człowieka podeszłego wieku, z powagą ojca rodziny dobrego bytu, z honorem reputowanego i zasłużonego publicysty, aby podejmował tego rodzaju koledy i trudnił się tego rodzaju literaturą? Czy się to dzieje w interesie Gazety, aby pomnożyć liczbę abonentów, znacznie i bez tego większą niż innych dzienników? Czy się to dzieje w prywatnym piszącego interesie, który jak wieść niesie, nie zawsze bywa głuchy na dary, któremi się kupuje opinia krytyki? Czy wreszcie dzieje się to z prostego przyzwyczajenia się do podobnej pracy i upodobania sobie w opisywaniu takich właśnie rzeczy, w których wyobraźnia każdego innego pisarza nie godnego ani szczególnego do zauważania nie znajduje?

Takie pytania rzucają przed sąd publiczności dziennikarscy koledzy Rellstaba od wielu lat. To jakby groch na ścianę rzucał. Za odpowiedź służy nowa „Weihnachtswanderung“ o ile możności więcej jeszcze drobiazgową, więcej filistrowską, niż poprzednie. „Tenax propositi vir“ stary bombardyer, któ y odbył „die Freiheitskriege“ 1813 i 1814 r. i ma krzyż żelazny, arcycapłan i wyrocznia w dziennikarskiej komorze „Cioci Voss“, zmusił niejako uporem swoim kolegów pracy do podobnych pielgrzymek i opisów, aby im na oczy wyższość swoją w tym rodzaju literatury pokazał. Kossak, najzdolniejszy ze wszystkich, najotwarciój sobie postąpił, zdjął z uszanowaniem kapelusze przed gwiazdkowym Humboldtem, życzył mu jeszcze wiele lat życia i podobnego w podróżach powodzenia, i wyznał, że nie ma ani odwagi ani sił, aby mógł na tém polu puszczać się z nim w zawody. Kossak dezygnowany może jest, objąć z czasem berło po Rellstapie. Bo że pozycja jego w redakcyi „Gazety Vossa“ jest nader zyskowna, i że nie może być utrzymana bez pewnego talentu, oraz gruntownego zna-

nia wszystkich cnót i wad „byrgieryi“ berlińskiej, to nie ulega żadnej wątpliwości. W uraganiu się reszty tutejszej prasy z czynności publicystycznych Rellstaba przebija się zatem i niemała cząstka zazdrości.

Ostatni rodzaj literatury, na której gwiazdka najwidoczniejszy wpływ wywiera, stanowią dziennikarskie a nawet broszurkowe anonsy, ogłoszenia, zawiadomienia, reklamy. Jest to w całej dzisiejszej literaturze rodzaj najwięcej poetyczny, wyobraźnia główną w nim gra rolę. Rozpatrując się w nim, dziwić się trzeba, że mogą być ludzie oświeceni, którzy naszemu współczesnemu, zmateryalizowanemu pokoleniu odmawiają wszelkiej zdolności do poezyi. Niechże raz tylko jeden odczytają z uwagą tylną część któregośkolwiek wielkiego europejskiego dziennika, a niech dopiero wezmą do ręki którykolwiek numer np. „Gazety Vossa“ z czasu Gwiazdkowego, z trzema, z czterema, z pięcią dodatkami, w których nie niema prócz anonsów. Przedmioty najmateryalniejsze z jakąż tam przedstawiane bywają fantazyą, z jaką idealnością! Są to jakby strofy, epizody, pieśni, „disjecta membra poetae“ wielkiej gwiazdkowej epopei Rellstaba. Przed niemi znany i „Czasowi“ śpiewak illustrowanego poematu „Revalenta arabica“ poszedł w zapomnienie. Uczniowie i naśladowcy przewyższyli go w fantazyi, jak Wirgiliusz Homera, mieszcząc piekło dziesięć razy głębiej pod ziemią. Poeci ci stają na wysokości ducha czasu, znają dokładnie bieg polityki świata, przenikają moralne i materyalne niedole i cierpienia ludzkości, zgłębiają wady, cnoty, słabości, przywyknienia, zgoła całą fizyczną i duchową naturę człowieka, i do tej realnej znajomości świata i ludzi umieją z wielkim talentem stósować idealność swojej fantazyi. Dla tego też żaden ich poemat nie przebrzmiewa w głuchém milczeniu, każdy znajduje pełną wiary publiczność, która go płaci brzęczącą monetą. Wiara uzdrowia, wiara całego zadowolenia i szczęścia ludzkiego jest źródłem i podstawą.

Nie przytaczam ci wzorów tej nowoczesnej poezyi, szanowny Dodatkiwieczu. Nie skończyłbym, gdybym ograniczył się do wyliczenia samej tylko treści tych idealnych poematów. Niepodobna, aby i w Krakowie

ten rodzaj literatury nie kwitnął. Polska zawsze postępowała z duchem czasu.

Aby się o tém przekonać, chwytam za jeden z ostatnich numerów „Czasu“, które leżą na stole. Dalibóg! toć to tak samo jak w Atenach nad Sprewą. „Ulopek ziołowy dla cierpiących na piersi i płuca“, „Likier Juliusza Kromholza“, „Pomada przeciwko wypadaniu włosów“, „Proszki Seidlickie Molla“, „Płyn zmienny Bergera do farbowania włosów“ i t. d. i t. d. Zapewne są wam znane i tutejsze znakomitsze poemata: „Woda Loba“ którą przypadkiem, będąc jeszcze dzieckiem, umyła była Julia Pastrana i dlatego na całym ciele włosami porosła, „Jablecznik Petscha“, „Glaubersalz Bullricha“, środki niezawodne przeciwko wszystkim ułomnościom i chorobom. Ale niewiem, czy wam są znajome poemata: „Sznurówki“, które wyglądają, oddychają, czują się jak żywe biusty, „Krynoliny“, które się nie łamią, nie pączą, nie gniotą w żadnych, nawet w najmocniej ściśnionych towarzystwach i zbliżeniach, „Podwiązki, przepaski elektryczne“ utrzymujące ciepłik w najzimniejszych temperamentach, „Szlafmyce“, odprowadzające wszelki ból głowy i t. d. i t. d.

Takie mając przed sobą przykłady, czyż godzi się skarżyć na brak idealności, na brak poezji w życiu? Życzę z całego serca, abyście braku takiego podczas świąt nie doznali, i przepędzili je z wesołością, jaką podania lat dawniejszych pamięci naszej przekazały.

---

### **Paryż w grudniu.**

Każden korespondent piszący z Paryża w grudniu, o czém inném jak o przyborach do Nowego Roku, pomija jedyną kwestyę żywotną — ten zaś któremu z góry powiedziano: „listy twoje mają być zwierciadłem odbijającym każdo-miesięczną fizyonomię Paryża,“ zwracając oczy w inną stronę, zupełnie rozmija się ze swém zadaniem. Nie mnie więc, ale siebie obwiniaj, jeżeli wierny nadanej mi roli zwierciadła, a niezdolny nadać poważniejszego wyrazu francuzkiej stolicy, znowu jej banalną kolendową fizys ci ukażę. Nie sądz jednak, ażeby

tegoroczny dagierotyp paryzkiego grudnia był zupełnie do zeszłoroczego podobny: pomiędzy pierwszym a drugim najprzód ta zachodzi różnica, że tamten był w śnieżnej a ten w kwietniej szacie — co zamiast zimowego nadaje obrazowi efekt letni — powtóre, prócz tej fizycznej zmiany, zaszła druga, moralna, która wybiwszy na zewnątrz, dziwnie przyémila zwykły blask gwiazdkowych oczu Paryża.

Wyobraź sobie, że pomiędzy prawowiernymi czcicielami Nowego Roku, pojawiło się silne stronnictwo protestantów, którzy śmieli się targnąć na patryarchalny obyczaj składania co 365 dni na oltarzu tego bożka zwykłej daniny. Heretycy ci, zarażeni ideami filozoficznymi, twierdzą zuchwale, że rozsyłanie 1 stycznia biletów wizytowych obojętnej gromadzie znajomych, winszowanie, ściskanie rąk, rozdawanie całusów, prezentów i komplementów, jest śmieszną komedią, obłudnym kłamstwem, oburzającym, jak każda forma bez ducha.

Słyszac takie herezye, amatorowie kolend rozdarli szaty swoje i poprzysięgli zemstę nowatorom — sekta zaś anti-kolendzistów jakby ośmielona tém wyzwaniem, nie poprzestając już na ustnej i dziennikarskiej propagandzie, porozlepiała na murach stolicy następujące odezwy:

„Paryżanie!

„Dopókiż zachowywać będziecie śmieszny zwyczaj rozsyłania w dzień Nowego Roku kart wizytowych? Dopókiż składać będziecie dobrowolnie swoim portierom dziesięcio-frankowy haracz w zamian za kwaśną pomarańczę? Dopókiż życzyć będziecie wszelkich pomysłów ludziom którzy wam są zupełnie obojętni, jeżeli nie zupełnie nieznośni? W imie prawdy, w imie uczciwości, zaklinamy was, zaniechajcie tych przestarzałych przesądów! Miejcie odwagę waszych opinij — to najpierwsza cnota obywatelska — stargajcie cukrowe pęta, które was gniołają jak żelazne kajdany, połączcie się z nami, i zawołajmy razem: śmierć *etrenom!*

(podpisano) „Nieprzyjaciele obludy.“

Afiszę sprawiły ogromne wrażenie. Tłum oblegał je nieustannie: jedni ciskali na nie błotem, drudzy mówili, że słusznie radzą; ztąd pomiędzy zażartszymi przyszło do kłótni... do bitki... była nawet chwila, że się

obawiano powtórzenia krwawej nocy świętego Bartłomieja... jakiejś rzezi świętego Sylwestra... i kto wie co by się było stało, gdyby nagle oziębienie atmosfery cudowną niosąc pomoc przyjaciołom porządku, nie ochłodziło umysłów.

Korzystając z rozejmu, prawowierni energicznie pracują nad utrzymaniem *statu quo ante bellum*.

Cukiernicy jako najwięcej interesowani w tej kwestyi i literaci kolendowi, autorowie noworoczników, także mocno za obchodzeniem Nowego Roku obstający, w obronie wspólnej pomyślności zawarli z sobą ścisłe przyrzeczenie: pierwsi prześcigają się w konfekcyonowaniu cukrowych pokus — drudzy, wiedząc że łatwiej wpłynąć na ludzkość przez zmysły niż przez umysł, przynieśli im do ocukrzenia swe płody.

Jeden z najślawniejszych poetów francuzkich, tak pisze do sławnego cukiernika z włoskich bulwarów:

„Łaskawy Panie! W trudnych okolicznościach podajmy sobie ręce. Przepowiadam ci wielki odbyt, jeżeli swoje noworoczne cukierki obwiniesz w kartki wydarte z ostatniego tomu moich poezyj. Zezwalam na to chętnie. Zbyt długo sztuka twoja poprzestawała na rymowanych końcówkach — czas już żeby się zbratała z prawdziwą poezją. Oto co mi podyktowała muza. Niechaj moje natchnienie wspiera twój geniusz. Zwracam twą uwagę mianowicie na *Medytacyę* (stronnica 22), *Balladę* (stronnica 138) i *Sonet* (stronnica 210); utwory te są napisane zupełnie w stylu twoich cukierków.“

Dramaturgowie i romansiści inne znów piszą odezwy do cukierników. „Kochany panie Boissier! — woła Dumas w swoim dzienniku, najwzraskliwszym instrumencie w koncercie prasy paryzkiej — Panie Boissier, mając na względzie twoje dobro, pozwalam ci wykonać moje popiersie z czekolady, upewniając, że je sprzedawać będziesz na setki. Jeżeli chcesz fotografii, dam ci ąf z całego serca — w zdrobieniu ślicznie się wyda na karmelkach. Ponieważ życzliwość moja dla ciebie jest bez granic, radzę ci także po przyjacielsku, żebyś nowe płody swego geniuszu illustrował imieniem moich arcydzieł; cukierki ochrzczone nazwą: *Monte-Christo*, *Antony Mousquetaire*, lub tym podobnie, jeść będą na wyścigi roje goszczących u nas cudzoziemców. Zrób jak ci radzę

Ręka rękę myje: włóż mnie w swoje pudełka, ja ciebie w mój dziennik, a obaczysz że obaj dobrze na tém wyjdziemy.“

Fabrykanci przedmiotów zbytku, nie dowierzając już działaniu samych wdzięków swych cacek na umysły po większej części zatrute doktryną anti-kolędzistów, uderzyli silnie w moralną stronę nabywców: przemawiając do uczuć miotających nimi w téj chwili. Jakżeż na przykład, nie skorzystać z okazji Nowego Roku i nie podarować młodej a czulej wdowie po Angliku co zginął pod murami Delhi, Nena Saiba, powieszonego *a priori* na najwyższej gałęzi indyjskiej Catalpy — mianowicie jeżeli i drzewo i barbarzyńiec pięknie z bronzu wykuć? Jakże nie kupić splakanéj rodzinie i jego wielbicielom przepysznego popiersia jenerała Cavaignaca, które tylko co wyszło z pracowni Preaulta; jakże nie kupić mistrzowskich sztychów przedstawiających indyjskie rzezie, o których teraz cały świat gada — bronzowej maski zdjętej z twarzy zmarłego Bérangera, po którym jeszcze Paryż płacze — mikroskopijnego *Lewiatana* z kości, którego obecnie cała Anglia na ocean spycha — prześlicznej zabaweczki przedstawiającej oświecone gazem wnętrze projektowanego pod kanałem Kaletańskim tunelu, po którym biegają rozpędzone lokomotywy, wlokąc długie pociągi przepelnione wojażerami; jakże nie kupić dzieciom *Sebastopola*, nowéj nader mądrej i artystycznie wykonanéj gry, na której chłopcy uczą się zarazem strategii, marynarki, estetyki i miłości ojczyzny — jakże nie kupić żonie indyjskiego szalu, kiedy teraz takie drogie — córce wachlarza z indyjskiego sępa, kiedy taki modny — synowi brązowej galeryi francuzkich żołnierzy, kiedy taka piękna!

Tchu by mi brakło gdybym chciał wymieniać wszystkie łapki zastawione tu co krok na przechodnia, wszystkie samotrzaski w które wpada upojony nietylko umysłową żądzą ciała, ale zagrzany świętą miłością kochanéj ojczyzny, czcią dla bohaterów, entuzjazmem dla sprawy postępu, społecziem dla cierpiącej ludzkości, poczuciem obowiązku, piękna, prawdy i chwały....

Jeżeli najżywotniejszą dla ogółu jest obyczajowa kwestya etren, najważniejszą dla pewnéj klasy ludzi jest kryzys finansowa. Straszna ta hydra rodem z Ameryki,

przebiegłszy morza, jak powietrzna trąba wpadła do staréj Europy, i zawiodła w niéj taniec, znacząc swe przejście zniszczeniem i ruiną. Szkody jakie sprawiła, na miliony rachują po świecie; stosunkowo Paryż dotąd najmniej ucierpiał: plaga ledwie drasnęła szczyty jego w przelocie i przeminęła... przekłéta? gdzie tam, żalowana. Nieinaczej. Powszechność tutejsza żałuje, iż kryzys nie zatrzymała się dłużej w Paryżu, bo skutek jaki wywarła na tłuste sakiewki, wróżył pożądane dla chudych odmiany. I tak na przykład, restauratorowie przerażeni brakiem odbytu na ortolany, trufle, ananasy i papuzie wątróbki, gotowi już byli zniżyć wysokie ceny bezczelnie utrzymujące się na kartach od czasu Wystawy powszechnéj — ale zanim przyszło do wykonania humanitarnego przedsięwzięcia, kryzys przeminęła, a starożytné addycye zostały. Toż samo co do pomieszkań. Właściciele domów, których taż kryzys także do filantropijnych skłoniła rozmyślań, zbyt prędko ochłonawszy ze strachu, nietylko nie myślą już o podaniu litościwszych warunków lokatorom, ale zadają sobie pytanie, czyby nie było słusznie małeńkiém podwyższeniem czynszu kazać sobie wynagrodzić doznaną trwogę? — Toż samo kupcy. Czemużbyśmy i my, mówią, drobną podwyżką ceny towarów, nie mieli sobie zapłacić niepokojów które tak srodze trzęsły nami przez chwilę? Któż jeżeli nie konsumenci, nagrodzi nam doznane straty?

Cóż mają tedy począć owi konsumenci skazani na płacenie wszystkich rozbitych garnków? Poddają się jak zwykle woli mocniejszego — niektórzy cieszą się nawet głośno z powrotu pomysłności, ale po cichu żalują że amerykańska hydra choć miesiąc dłużej w Paryżu nie zabawiła.

Zaraz po kwestyi finansowéj, owéj burzy którój odległe grzmoty jeszcze od czasu do czasu rozlegają się po kontuarach, budzą trwożliwe echa w sercach bankierskich — następują w porządku dziennym Veillot i Lewiatan. Obaj w ostatnich czasach dostarczyli obficie materyi do zapełnienia kolumn dziennikarskich. Pierwszy drażni małością, drugi wielkością zdumiewa. — Recenzya Bérangera oburzyła nawet tych, co przez długie lata mieli czas oswoić się ze stronniczością redaktora *l'Universa* i do jego stylu przywyknąć. Sobrykiet *Tur-*

*lupina*, którym uczcił zmarłego pieśniarza Francyi, sprowadził mu grad pocisków i tysiące najśmieszniejszych przydomków. Ciskano mu w oczy kamienie, za które kamienowany nie odrzucał chlebem; obie strony nadto zażarcie się gryzły, żeby mogły być sprawiedliwe tak w sądach jak w zarzutach. Kto tu miał słuszość, trudno było zrozumieć wśród krzyku. Skoro nieco ucichła wrzawa, ozwały się głosy na zimno oceniające polemikę Veuillota, i zgodziły się na to, że talentowi jego brak niezbędnych warunków do odgrywania roli jaką sobie zakreślił.

Najprzód nie umie on wypowiedzieć rzeczy zwięzłe: artykuły któremi Veuillot dziennik swój zapelnia, są długie i rozwlekłe, co jest w dziennikarzu wadą, nawet wtedy, kiedy chwali jezuitów; powtóre, lubi lżyć ludzi, co także nie jest przymiotem, a mianowicie téż wtedy razi, kiedy autor mówiąc o rzeczach poważnych, pożyczka wyrażen z dykeyonarza przekupek. Veuillot bowiem rzadko dyskutuje ze swymi przeciwnikami, ale często pluje im w oczy, obryzguje błotem, wymyśla im od ostatnich słów; w recenzjach jego brzmią na przemiany dwa tony: szyderstwo i obelga. Autor „*Wolnych Myślicieli*“ nie przeżyłby tygodnia, żeby kogoś nie wyczubił, nie powiedział o kim: *que c'est un navet, un cheval, un turlupin, un pied plat, un indigne routier, un malandrin, un montreur de chiens savant, i t. d. i t. d.* Powyższa dyalektyka zjednała mu w Paryżu przydomek: *Grand Sottisier*, jego zaś sposób pisania przezwano szkołą *du haut éreintement* — i poniekąd słusznie, bo zaprawde, taki język nie przystoi religijnemu obrońcy — a jeżeli kto nie ma w duszy pokory, słodyczy i miłości chrześcijańskiej, w winnicy Pańskiej skutecznie pracować mało zdolny.

Kwestya *Lewiatana* podwójne budzi zajęcie; obchodzi ona nietylko interesowanych w przedsięwzięciu ludzi i dumę angielską, ale tysiące milionowych kosmopolitów, którzy patrząc przez teleskop na wysilenia robotników pracujących nad opanowaniem *Lewiatana* jak na liliputów krepujących Guliwera, zapalają się do walki, i jedni wróżąc dziełu pomyślny koniec, drudzy przepowiadając mu los wieży Babel, o grube idą z sobą zakłady. Zeszłego tygodnia paryzkie kluby ze szulerską emocją

czytały nadsyłane z nad Tamizy sprawozdania podające rezultat każdo-dzienniej pracy, rachujące z matematyczną ścisłością, ile cali potwór morski uszedł ku rzece przez godzinę, lub ile minut zaciąwszy się, stał upornie na miejscu. Zapasy Anglików z *Lewiatanem* stały się dla Francuzów nowego rodzaju igrzyskiem, podobnym do starożytnej walki Gladiatorów (bo i tu niestety krew ludzka płynie), widowiskiem wywołującym też same wrażenia co walka byków lub konne wyścigi; zakłady w Anglii przechodzą podobno dziesięć milionów.

Partya jest w samej rzeczy ciekawa. Kto ją wygra? Czy rozum ludzki wyjdzie z niej zwycięzko? Czy pokona przeszkody które zabobon z góry nazwał niepodobieństwem? — Czy też ulegnie, przywalony ciężarem materji? Bliska przyszłość pokaże. To jednak już dzisiaj twierdzić można, że czy *Lewiatan* taki jak jest, odda czy nie odda spodziewanych usług marynarce, posłuży niezawodnie przyszłości za bussolę, wedle której orjentować się będą na morzu wynalazków wszysej późniejsi architekci okrętów.

Rzecz godna uwagi, że w Anglii rodzina Brunel zdaje się powołaną do wykonywania olbrzymich pomysłów: Brunel wykopał tunel pod Tamizą, syn jego zbudował *Lewiatana*.

Czy prelekcye Bóyera o Mickiewiczu także do ważnych wypadków tego miesiąca policzyć należy — czy francuzkie waryacye ułożone na najdroższy dla nas temat, mogą mieć jaki powab dla polskiego ucha? jestto pytanie na które nie umiem sobie odpowiedzieć, nie wiedząc jakim okiem pogląda na paryzkiego profesora poezji powszechniej, kraj ze swego teraźniejszego obserwatoryum. — Nam, co na tę katedrę patrzymy z bliska, czyni ona wrażenie szopki, w której mędrców i proroków pokazują żaki przy łojowej świeczce. My, cośmy się wykarmili mlekiem dum naszego Adama, dla których dzieła jego są przybytkiem ducha narodowego, świątynią w której złożyliśmy naszych myśli przedzę i naszych uczuć kwiaty — my niechętnie widzimy tych co dla zabawy gminu z tego świętego ognia puszczaają fajerwerki — często nawet oburzamy się na Francuza, co dla zyskania rozgłosu, stylem bulwarowngo zęborwacza

prawi smalone duby o arcydziełach, których nigdy nie czytał.

Ażeby z takiego wykładu być zadowolonym, potrzeba cenić Mickiewicza jak ceni kochankę pyszałek, który wtedy tylko czuje dla niej zapalę, kiedy jęj gawieź bije pokłony. Tego co kocha prawdziwie, banalne admiracye bołą jak obelgi, a aureole ze słomianego ognia rażą jak fałszywy brylant na ubóstwioném czole.

Nie wiem czy podzielasz to zdanie — ale gdybyś nawet inaczej sądził, darujesz, że na ten raz ciekawości twojéj nie zaspokoję, po bliższe zaś szczegóły o prelekeyach Boyera, jeżeli ich pragniesz, odeszlę cię do książki w którój wykład jego znajdziesz drukowany.

W teatrach dotąd nie znakomitego. Pan Girardin namysła się, czy przedstawić czy nie przedstawić publiczności „*Córke Milionera*“? ze zwykłą sobie oględnością przewiduje bowiem, iż jęj nadto okrzyczana piękność może łatwo tak autorowi jak widzom bolesne sprawić zawody. Chowa ją przeto w tece, i radzi się przyjacioł, czy ową córę wydać na pastwę ludzkich namiętności, lub też ją spalić na oltarzu Momusa? — Autor „*Dziewic z kamienia*“ jeszcze nie wykończył zapowiedzianej sztuki „*Les fausses bonnes femmes*“ mającój stanowić pendant do wybornéj komedyi „*Les faux bons hommes*“ którój 192gie przedstawienie ogłaszano niedawno w Vaudevillu. — „*Rozrzutnego Ojca*“ Dumasa Syna, którego genialność także naprzód otrąbiła prasa paryzka, dotąd również nie przedstawiono. — Pięcio-aktowy dramat p. Brisbarre „*Rose Bernard*“, nie udał się; sztuka Pawła Musseta „*Christine, roi de Suède*“, przeciągle ziewania wywołała w Odeonie; Komedyja Francuzka wraz z panną Rachel wpadłszy w suchoty, okłada się emetykowemi plastrami sporządzonemi w mieszczańskéj aptece Scribego — na co z marmurowego swego krzesła patrząc Voltaire, już nie uśmiecha się, ale śmieje się na całe gardło.... słowem, czy to na dramatyczne, czy na literackie spojrzysz pole, obaczysz tylko mierność lub nicość, i stwierdzisz smutny fakt dezercyi ludzkiego geniuszu, który z bronią i z całym bagażem swéj potęgi przeszedł do praktycznéj armii wynalazców, i ożenił się z Bursą.

Toż samo w dziedzinie harmonii. W Operze wielkiéj skaczą. Dla Komicznój pan Ambroise Thomas napisał

nową operę pod starym tytułem: „*Karnawał Wenecki*.“ Utwór ten zyskał powodzenie. Wprawdzie Thomas nie jest kompozytorem ani lekkim ani wesołym, i może najmniej zdolnym do stworzenia owego rozkosznego, wiecznie na skrzydelkach fruującego kolibra, zwanego Opera Buffa — ale któż dziś jest wesołym, inaczej jak przez niezłomne postanowienie swój woli? Pan Thomas powiedział sobie: będę wesoły, słuchacze powiedzieli sobie toż samo — i dzięki tej obustronnej mocy charakteru, opera, mianowicie tym co jęj nie słyszeli, wyda się areydziałem.

Teatr włoski śpiewa „*Don Pasquale*“ — ale żeby go wysłuchać do końca, trzeba także uzbroić się w silną wolę, a mianowicie zatrzeć w pamięci pienia owych słowików, co go dawniej śpiewały. Gdzież oni? Grisi wyłudza jeszcze oklaski po świecie; Lablache gdzieś pod włoskim portykiem wygrzewa się na słońcu. Tamburini łowi na wędkę ryby w Sekwanie, dzień cały filozoficznie spoglądając w jęj nurty. Z całej staręj gwardyi sam tylko Mario pozostał — i od początku do końca sztuki chodzi pośród rekrutów jak gdyby szukał znajomych twarzy: na miejscu Lablacha widzi prozaiyczną postać Zucchinię — w ubiorze Tamburinię, pana Corsi; zamiast płomiennych oczu Giulii, wyblakłą twarz pani Wilhorst... przechodzi więc smutnie, jak tułacz w obcym kraju, którego obyczajów nie zna a mowy nie rozumie, i powtarza w duszy słowa trapisty: „Bracie, trzeba umrzeć.“

Patrzałem na nich jak on. Może ci nowi aktorowie śpiewają dobrze — może i dobrze grają — może — ale to nie tamci, to nie tamta nuta... bracie trzeba umrzeć!

### **Londyn w grudniu.**

Czas przed Bożem Narodzeniem odznacza się tu zazwyczaj wydawnictwem mnóstwa dzieł nowych, jak gdyby autorem szło o to, by przy końcu Starego Roku zdać rachunek z wszystkich jego nabytków umysłowych. Niemożna jednak powiedzieć, by spis ich był zbyt przeciążony poezją lub romansami; zbieg ważniejszych wydarzeń i czynno-

ści odwracał widocznie umysły od pola zmyśleń i marzeń. Usposobienie też ducha narodowego nie było po temu, by im tego roku przysparzać czytelników, zwłaszcza, że rzeczywistość z swemi wypadkami przewyższyła o wiele sam świat idealny; on obok niej mała i blade się odbijał. Dla tego poważna rzeczywistość niemal wyłącznie zajmowała tak piszących jako i czytających. Najwięcej też wychodziło dzieł historycznych i politycznych, podróży po różnych krajach, a szczególnie opisów Indyj, gdzie walka o panowanie nad dwukroć milionową ludnością obecnie się toczy.

Przezierając katalog podróży, znajdujemy, że wyszło dzieło znanego już wam podróżnika Dra Livingstone: „*Travels and Researches in South Africa*,” w dwóch tomach. Zawierają one nieoszacowany skarb postrzeżeń i odkryć w środkowych krajach południowej Afryki niezwiędzanych dotąd przez nikogo, a które ten odważny podróżnik w podwójnym charakterze jako uczeń Hipokrata i jako apostoł chrześcijaństwa starał się zbadać i pierwszy je dokładnie opisał. Opisaniami tych krajów, nieznaną ich produkcją i plemion ludzkich stałego ładu Afryki, zajął on jak najmocniej uwagę rządu i publiczności. Obecnie rząd zamierza wysłać naukową i handlową wyprawę na rzekę Zambesi dla zawiązania przyjaznych stosunków z mieszkańcami środkowej Afryki. Dr Livingstone ma towarzyszyć jako przewodnik tej wyprawie. I nikt nad niego nie może być do tego sposobniejszym, gdyż 15 lat na wędrówkach między dzikimi plemionami tam przepędził.

Drugim a niemniej ciekawym dziełem podróży, co teraz wyszło z pod prasy, jest: „*Oriental and Western Siberia*,” Opis wschodniej i zachodniej Syberyi przez Tomasza Atkinson. Jużem wam poprzednio doniósł był o niem, lecz pozwolicie, że znów zwrócę nań waszą uwagę, zwłaszcza, że cesarz Mikołaj miał zamiar zamienić, i z tém się nie tał, „Syberyę w Polskę“. I w samą rzecz, Syberya już w znacznej części stała się prowincją polską, a przeto warto, byśmy ją bliżej poznali. Już od czasów wojny Piotra W. z Karolem XII królem szwedzkim, jak p. Atkinson świadczy, i nam samym to niebyło tajno — znajdowały się w Syberyi osady polskie z jeńców podczas wojen Karola XII zabranych i do

Tobolska zaślanych, zkaąd niepozwolono im powrócić do ojczyzny. Następcy Piotra I. idąc za danym przez niego przykładem, mieli zwyczaj zaludniać ciągle dzikie pustyie Syberyi ludnością polską, a Mikołaj najwięcej tam polskiego ludu zapędził. I kto wie, czy nie jeden z owych, którym dozwolono niedawno wrócić z tamtąd z wygnania, nie potrafiłby równie dobrze jak Atkinson opisać te odludne krainy, a nawet lepiej od niego wykryć — o czém ja przynajmniej nie wątpię — ukryte przed ludzkim okiem wewnętrzne ich skrytości i cierpienia. P. Atkinson jako posiadający specjalny paszport od cesarza Mikołaja, ten amulet, który mu otwarł całą przestrzeń Syberyi, i przed którym za okazaniem go władze tamtejsze czolem były — widział wprawdzie powierzchność Syberyi, ale niemógł zajrzeć do miejscowych jéj tajników. Nieopisuje też ich, i ledwo ich się dotyka; cała malowniczość pióra i pędzla jego zwróconą była na pasma olbrzymich gór, na obszerność jezior i rzek, na zamierzchłe lasy, na miny z ukrytymi ich rzeczywiście i domniemalnemi bogactwami złota, srebra, miedzi, malachitów i innych drogich kopalin. Człowiek i stan jego w tych dzikich pustyniach najmniej go zastanawiał, prócz ubiorów różnoplemiennych hord koczujących, jakie tam napotykał, i kostiumami ich też suto przyozdobił swe dzieło. Z p. Atkinson więc i z imperatorskim jego paszportem zapuszczając się w głąb Syberyi, możemy obeznać się z powierzchnią jéj postacią, patrząc zawsze, jak się rozumie przez szkła urzędników, którzy nim się ciągle opiekowali. W pierwszym rozdziale ogłoszonego dzieła, czytamy opis podróży autora z Petersburga do Ekaterynburga, stolicy Uralu i środkowego punktu bogactw kopalni uralskich, które tenże zwiedził. Na opis różnych tam przygód, jako też stanu społeczności i obyczajów tamecznych, które go jako cudzoziemca, choć powierzchnie rzeczy biorącego, niemogły swą odmiennością nieuderzyć, poświęcił ośm pierwszych rozdziałów. Z Ekaterynburga puścił się na wschód batem rzeką Czysowaja. Dziwnéj konstrukcyi był ten statek, z desek brzożowych zbijanych bez gwoździ żelaznych, a pomost na nim z traw oddzielny, aby na przypadek rozbicia się statku, można było na nim się ratować od zatonięcia. Żeglugę tę je-

dnak na Czysowai szczęśliwie odbył, i zwiedzając pogranicze azyatyckiej Rosyi, dotarł aż do Barnaulu, środkowego miejsca kopalni gór Altajskich, co opisał w następnych dwóch rozdziałach. Ztamtąd, jako z głównego punktu, robił w różne strony eksploracyjne wycieczki. W siedmiu rozdziałach opisuje jedną z tych wycieczek na Cholsun, stanowiący część pasma gór Altajskich, a drugą na rzece Irtyszu ku granicom Chin, i oraz pobyt swój w stepach kirgizkich. Poświęcił cztery rozdziały na opisanie pobytu swego w krainie Kałmuków, i śledził rzekę Katunaję do samych jej źródeł w olbrzymich górach Bieluki, wdrapał się na jej szczyty, oglądał puszcę Oulan-Kumską, Noor Aralski, szczyty gór Czangajskich, jakoteż olbrzymie pasmo gór Syanszanu, których według niego żadne oko europejskie niewidziało, i ani Leweszyn, ani Tymkowski, ani Ermann ich niezwiedzili. Ztąd wydawałoby się, iż on głębiej i dalej dotarł niż oni. Następnie opisuje pobyt swój w Chalkas w stariej Mongolii i w Chińskiej Tartaryi, wycieczkę na wschodnią stronę Bajkału, dotarcie aż pod chińskie miasto Czyn-si, zkąd puszczając się tym samym szlakiem, którym niegdyś Dżingiskan wiódł był od Wschodu swe dzikie hordy, i przebywszy do 40,000 mil angielskich, to konno, to na łodziach, to na wózkach przez stepy, przybył na powrót do Barnaulu. Ani Jeznici, ani Dominikanie dawniej tam niedotarli, gdzie on był — ani Hue ani Gabet z nowoczesnych. Ci ledwie dojrzeli byli „krainę trawy“ po za pustynią Gobi leżącą, ale nieprze-  
darli się do Chalkas, o którą jak wieści niosą, Rosya teraz się kusi. Na opis tej tatarskiej podróży swój pan Atkinson pięć rozdziałów poświęcił. W ciągu niej wystawiony był na różne przygody i niebezpieczeństwa od plemion koczujących, a podejrzewających go jako obcego o tajne zamiary. Niebezpieczeństwo to, jak mówi, groziło mu najwięcej od zbiegów z chińskich więzień, walęsających się na pograniczu Chińskiem i żyjących rozbojem. Lecz strzelba nabita i pistolety za pasem, były dla nich postrachem. Prócz tego towarzyszyła mu częstokroć eskorta wojskowa rosyjska, i wolno mu było granice Chińskie przekraczać i nazad powracać. Taki był wyraźny rozkaz w jego paszporcie; i zaiste nadzwyczajny to był wzgląd dla niego. Ostatni rozdział o-

bejmuje podróż z Barnaulu w góry Sajańskie i przez środek Wschodniej Syberyi do jeziora Bajkał. Ono było ostatnim i najodleglejszym kresem jego podróży.

W przedmiocie dyplomacyi, w celu objaśnienia jej działań, wyszło dzieło: *The State Policy of Modern Europe*, to jest: Polityka nowoczesnej Europy od początku szesnastego wieku do terażniejszych czasów, w dwóch tomach. Wyszło bezimiennie, pod powagą jednakże swego nakładcy Longmana, którego firma nie błałego nie wydaje. Niewdzięczny to przedmiot. Już Mably, Flassan i Martens pisali o nim ciężkie tomy; po nich ani Koch ani Ancillon nie zdołali ich lżejszemi i powabniejszemi dla czytelników uczynić. Toż samo można tu o pracy nieznanego nam autora powiedzieć, lubo dla koryfeów dyplomacyi może ona być nieplonną, a nawet uczącą. Rozbiór dawniejszych traktatów między-narodowych jest ciężki i oschły, i jako bez związku z terażniejszością, czyta się obojętnie aż do kongresu Wiedeńskiego, odkąd styl autora poczyna być nieco żywszym, ale za to skandalicznym. Znany z dowcipu książę de Ligne, według niego był na owym kongresie bożkiem śmiechu; pani Krudener prorokinią, a Tayllerand Mefistofe-lem. Ciało dyplomatyczne tego kongresu „tańczącego“ jak go ks. de Ligne nazywał, kosztem cesarza Franciszka podejmowane, kosztowało Austryą 50,000 codziennie; a pewien monarcha zwykł był klasyfikować piękności, pod ten czas znajdujące się w Wiedniu, na *beauté triviale*, *beauté céleste*, *beauté du diable*. Ostatni kongres paryski tak dalece jeszcze nieotrzymał od autora odznaczającej go cechy. Zachował się z tem na później.

W pokrewieństwie z tém dziełem zostaje: *A Year of Revolution*. Rok Rewolucyjny 1848, w 2 tomach, przez margrabiego Normanby, podówczas ambasadora angielskiego we Francyi. Jest on ogłoszeniem dziennika, jaki ten poseł utrzymywał w ciągu zaburzeń paryskich, od abdykacyi króla Ludwika Filipa aż do ogłoszenia republiki. Dziennik ten ztąd ważny, że jest niejako kroniką wypadków ówczesnych, spisaną przez bezstronnego widza, umiającego dostatecznie je ocenić, a który zapatrując się na czyny i charakter ludzi na scenę polityczną występujących ze stanowiska swego jak Anglik, przyjął

republikańską teorię z nieufnością. Oceniając charakter Ludwika Filipa, upatruje w nim brak królewskiej powagi, a w ocenieniu Guizota brak politycznego rozsądku i przenikliwości. Już przed wybuchem rewolucyi wiedział lord Normanby na co się zanosilo, i uprzedził swój rząd o tem. Co się zaś tyczy stronnictwa republikańskiego, Lamartinowi nieodmawia szlachetności uczuć, ale obwinia go o zbytnią próżność, która miała mu być na przeszkodzie do porozumienia się z Odillonem Barotem w przedmiocie rejeneyi. Upadek Cavaignaka przypisuje jego niechęci zerwania z Ledru-Rollinem i niezłomności jego republikańskiej, co przeszkodziło mu drogą koncesyj zyskać umiarkowaną część narodu. W końcu Ludwik Napoleon przedstawił mu się jako jedyny mąż przyszłości. Mało zresztą o nim mówi, a to co mówi nie jest z krzywdą dzisiejszego Cesnrza.

Lord Normanby przed rozpoczęciem swęj karyery dyplomatycznęj slynał jako romansista. Przytaczam tu z jego dzieła jedno zdarzenie, które choć rzeczywiste, zakrawa przecie na romans. Wiadomo, że jeden z synów Ludwika Filipa książę Monpansier, zaślubił był księżniczkę hiszpańską; miała ona tylko lat szesnaście podczas wybuchnięcia rewolucyi grożącęj całej rodzinie Orleańskięj ruiną. Ta księżniczka opuściwszy pałac Tuileries, sama jedna błąkała się długo między tłumami wzburzonego ludu, pragnąc znaleźć kogo znajomego, któryby mógł dać jęj, w tak przykrem położeniu choć tymczasowe schronienie. Widać, że lord Normanby ją poznał; lubo jako dyskretny dyplomata niewyraźnie o tęp wspomina, ale z najrzewniejszem rozczuleniem o tęp biednęj księżniczce się rozwodzi. Dość powiedzieć, że błąkająca się młoda księżniczka otrzymała od Lorda Normanby jako ambasadora paszport angielski pod obcym nazwiskiem, i tak zaopatrzona, w towarzystwie przydanego sobie przewodnika, a bylego adjutanta królewskiego, puściła się z Paryża w podróż do Anglii. Lecz nie koniec na ucieczce z Paryża. Przybywszy do Abbeville, władze rządowe już były zawiadomione, aby czuwały. Trzeba więc było wszelkięj ostrożności aby się ukryć; a jak na nieszczęście noc była ciemna, przytęp deszcz ulewny z wiatrem. Aby księżniczkę od burzy ochronić, trzeba było wyszukać jaki taki szałas lub

budę na ustroniu leżąca, gdzieby zatrzymać się mogła nim się najmie pojazd. Upatrzone w końcu opróżnioną budkę kramarską, dokąd księżniczka prowadzona wśród ulewy i burzy, idąc w ciemnej nocy wpadła w kałużę i trzewik jeden zgubiła. Doszedłszy do swęj ochronki, zziębnięta i cała przemokła czekała dopóki nieprzyprawiono pojazdu. Ten gdy w końcu nadszedł, a litowano się nad nią, rzekła z uśmiechem: „*Eh bien, j' aime mieux ces aventures que la monotonie de la table ronde de travail dans les salons chauds et somptueux de Tuilleries.*“ Co po polsku: wołę ja takie przygody jak bawiac się fatalaszkami siedzieć choćby na najmniejszej kanapie.

Wiele tego roku wychodziło dzieł i broszur o Indjach. Najnowszem z takowych pism jest: „*History of the British Empire in India*“, Dzieje panowania angielskiego w Indjach, przez Dra Nolan, który niedawno wydał także wyborny opis ostatniej wojny z Rosyą. Historya jego o Indjach niezmierniej w terażniejszych czasach jest wagi. Skreśla w niej zdobycie tego kraju przez Anglików od samych początków, zwycięstwa ich wodzów i czyny ludzi stanu, przepych wschodnich dworów i obozów; opisuje dziwną piękność kraju, jakoteż charakter indyjskiej ludności, jej zwyczaje, stan religijny, polityczny i społeczny, na ostatek zakończy uwagami nad rozwojem handlu jaki Indye prowadziły i na przyszłość prowadzić mogą. Dzieło to wiele uczące, pięknemi rycinami jest ozdobione.

Wzmianka o tem dziele przywodzi mi na myśl nowe ważne uzadzenie w Indjach, którego tu pominąć nie mogę. Rozkazem dziennym wydanym do wojska angielskiego, naczelny wódz Sir Colin Campbell wkłada obowiązek na wojskowych, aby się uczyli krajowego języka hindostańskiego, nakazuje pułkownikom, aby kapitanowie a szczególnie młodszy oficerowie w ich pułkach po hindostańsku mówić mogli. Przy każdym pułku utrzymywani byli tłumacze, mają oni teraz urządzać szkoły pułkowe i uczyć przez godzinę codzienną po hindostańsku, o ile okoliczności służby na to pozwolą. Kapitanowie i podwładni ich mają z obowiazku uczęszczać na te lekcyje. Nawet komendantom pułków poleca wódz naczelny bywać czasami na lekcyach, już to dla nadania powagi tłumaczom, już to dla zachęty uczących się, tak

jakby odbywali zwykłą paradę wojskową. Pułkownicy powinni też wynajdywać z tłumaczami prywatnych nauczycieli dla oficerów chcących rychlejsze postępy robić w znajomości tego języka. Dodaje przytem Sir Colin Campbell, iż ten rozkaz dzienny wydał, stosując się do instrukcyj, jakie od ks. Cambridge, głównego wodza wojska odebrał.

Oficer nie znający języka krajowego nie kwalifikuje się wcale do zajęcia najniższego stopnia w sztabie wojska angielskiego w Indyach. Po upływie sześciu miesięcy od dnia jak kto przyjedzie do Indyj, jenerałowie oddziałów wojskowych obowiązani są nadsyłać raporta o postępie uczynionym przez adjutantów w języku krajowym. Żaden z oficerów nie będzie odtąd przyjętym do służby sztabu jenerałnego, dopóki nie dowiedzie, iż łatwo mu się rozmówić po hindostańsku. W moc tego rozkazu, każdego 1go stycznia i każdego 1go lipca mają być nadsyłane z pułków raporta imienne oficerów, którzy z nich i o ile wydoskonalili się w tym języku. Raporta takowe mają być podpisywane przez tłumaczów i kontrasygnowane przez komendantów pułków. Przez powyższe urządzenie ułatwia się nabywanie języka krajowego nawet w obozach, i wódz naczelny nie przyjmie żadnego usprawiedliwienia się z niewykonania tego rozkazu, pod pozorem że nie stało się w koszarach lub na kwaterach ale w obozie. Ztąd widać, że Anglicy nie narzucają Indyanom swego języka, lecz sami uczą się ich mowy, bacząc nietylko na to, że będąc w mniejszości, łatwiej im to przyjdzie, jak tyłu milionom krajowców, lecz oraz na to, że naród panujący winien znać mowę swych poddanych, a tém mniej jeszcze, zmuszać ich, jak to gdzieindziej się dzieje, do wyrzekania się własnej swój mowy jako helockiej. Polityką i prawie zasadą Anglii jest, jakto nieraz nadmieniałem, szanowanie wszystkiego co jest narodowe i krajowe. Zasadą tą cały naród jest przenikniony od najniższego yeomana aż do tronu. Tę zasadzie gwoli, nawet tak mało znana narodowość celtycka, jak dawnego księstwa Walii, znalazła uwzględnienie, a z polecenia Królowej przydany był osobny nauczyciel przed kilku laty księciu Walii i następcy tronu, aby go obeznał z językiem i dziejami tej ziemi celtyckich Cymbrów, od któ-

rój nadany mu był tytuł księcia, a w przyszłości i panowanie.

Jak zazwyczaj w tej porze, wyszło mnóstwo rozmaitych dzieł na podarunki noworoczne, albo raczej jak tu wola, na *Christmas Gifts*. Na almanakach tu się nie kończy, ale najcelniejszych autorów uchodzących za klasycznych w literaturze angielskiej, ogłaszają w najodborniejszych wydaniach i z najwyborniejszemi rycinami, aby bez zawstydzienia mogły przez cały Nowy Rok figurować na stolikach w pańskich salonach. Tego roku najpyszniej *Poezye* i *Pieśni* Roberta Burns'a szkockiego poety były wydane, z winietami ryłca najslawniejszych sztycharzy. Szekspir także wyszedł pięknie illustrowany. Księgarz Bohn wydaje także celniejszych autorów, równie starożytnych jak nowoczesnych w przekładach, za tanie ceny. U niego wyszły właśnie Hegla *Prelekye* o Filozofii Historii. Tłumaczył je p. Sibree.

Nauki przyrodzone straciły niedawno wiele przez śmierć p. Conybeare. Zostawił on bogatą bibliotekę, która w tym miesiącu była sprzedana na licytacji. W zbiorze starych rękopismów znajdował się przekład nowego Testamentu przez Wiklefa, najpierwszy w angielskim języku. Sprzedano go za 145 fst. A niebył on nawet własnoręcznem tego Reformatora pismem, lecz przepisany cudzą ręką. Tak wysoko cenione są tu dla swój rzadkości, pozostałe po Wiklefie pamiątki. Czytanie tego przekładu jak najsurowiej przez konwokacyę Oxfordzką r. 1408 było zabronione. Dziś cała biblia zostaje we wszystkich rękach, i nie znajdziesz języka na kuli ziemskiej, na któryby Nowy Testament niebył przełożony.

Na zakończenie literackiego przeglądu w tej porze, niech jeszcze wspomnę o dziełku: „*Many Thoughts on Many Things*“, „Wiele myśli o wielu rzeczach“ przez H. Southgate. Jest to wybór najpiękniejszych myśli z różnych autorów znanych i nieznanych zebrany i systematycznie uporządkowany w kształcie antologii. Przerzucając ten skarbiczek, natrafiłem przytoczoną piękną myśl Whilmota: „Literatura jest nieśmiertelnością mowy. Nabalsamowała ona na długie wieki imiona zeszyłych mocarłów myśli, i stoi na straży przy nich u wiekuistych piramid ich sławy. Najpyszniejsze miasta i grody legły

w gruzach, pamięć ich przechowuje się tylko w obrazach, jakie historycy i poeci nam o nich podają. Homer nanowo odbudowywa Troję, Tuceydes wywołuje z niepamięci wojnę peloponezką. Groty co niegdyś piersi pancernych rot perskich przeszływały, rdzą spożyte leżą w prochu pod Maratonem; lecz grot Pindara do dziś dnia brzmi z ciężkiwi nieśmiertelnego jego łuku, podobny do dysku Hippomedona.

*Jamque procul meminit dextrae, servatque tenorem.*

Okiem przepelnionem wdzięcznością, poglądamy na zachowawczą potęgę literatury. Za wieków, kiedy pomroka nocy gotyckiej spadła była na Europę, Wirgiliusz z Liwiuszem byli prawie zapomniani, a przecie w ustronnych zakątkach ziemi, w milczeniu i samotności, obrzędy geniuszu były bez przerwy obchodzone. Choć zewnątrz trwało barbarzyństwo, burze i ciemnota, — wewnątrz było światło, wonność i harmonia. Długo tak święty ogień nauk tlił się na poburzonych i porozrzucanych ołtarzach, dopóki pochodnia po pochodni nieroznieciła jego płomieni po całym świecie. Od tego czasu księgi stały się zwierciadłem wiernie i świetnie odbijającym oblicza pisarzy. Piękność, ta duchowna Wenus, a której dziećmi są tacy jak Tasso, Spenser i Bakon, — skoro raz na swych ulubieńców wionie technieniem uroku, nadaje im od razu odznaczającą się stałą postawę. Od tego jej technienia przekształceni oni zostają na kryształ wyobraźni, wymowy lub mądrości, z cudowną siłą do działania na zewnątrz. Otoczone aureolą sławy, rzucają promienie swe na tych, co się do nich zbliżają z podziwieniem. Każdy z tych wielbicieli unosi mniej lub więcej coś z ich blasku i słynności. Dla tego to się dzieje, że światło geniuszu nigdy niezachodzi, lecz rozlewa się na inne twarze, polyskując na nich odbiciem barw tej samej światłości. I tak Homer dostrzega się z pod polerowanej ogłady Wirgilego, a Spenser odradza się w kwiecistych wierszach poety Gray.“

Obeznani z literaturą, znajdują w tym zbiorze niejedną miłą kwiatek uszczkniony na jej polach i ułożony w powabny bukiet. Tu przypominam sobie słowa jednego z nowoczesnych pisarzy: „Urywki z poezyi i obrazy myśli — rzekł on — krociami pochowane leżą w mej głó-

wie, i dopiero kiedy jestem zupełnie spokojnego umysłu, wtedy ich zmartwychwstanie, a piękność ich rozwija się w méj pamięci, jako tyle kwiatów w porze wiosennéj“. — Oby to samo zmartwychwstanie myśli i szlachetnych uczuć odnawiało się i u nas w przyszłym roku nowym! One uzacniają człowieka, a dla narodów są najtrwalszą rękojmią wielkości, potęgi i bytu.



## GAZETKA LITERACKA.

**Kraków.** Niemożna się pochwalić wielką liczbą nowości księgarskich przygotowanych na Nowy Rok. Wiemy tylko, że p. Łepkowski wydaje książkę: Przewodnik krakowski, do której dołączone będą liczne drzeworyty, robione w Lipsku. Już też od dawna dawała się czuć potrzeba tego rodzaju książki z ilustracyami. — Księgarnia Czecha wydała przedruk historyi Literatury polskiej L. Łukaszewicza, lecz znacznie pomnożony wiadomościami odnoszącymi się szczególnie do pisarzy nowiej epoki. — Wydawnictwo katolickie drukuje Opis kościoła Ś. Katarzyny, z nabożeństwem do tej patronki — którego to dziełka sprzedaż ma być przeznaczoną na restauracyą tej spaniałej Kazimirowskiej świątyni dziś mocno zrujnowanej. P. W. Wielogłowski powziął szczęśliwą myśl, którą rozwija w ten sposób, ażeby każda osoba, co nosi imię Katarzyny, ofiarowała na ten cel dochód jednego dnia; co rzeczywiście mogłoby złożyć ogromną sumę. — Juliusz Wildt prowa-

dząc wydawnictwo *Czytelnia domowej*, ogłosił teraz pierwszy zeszyt drugiego tomu *Afrai*, romansu Teodora Mügge, budzącego z każdym zeszytem większe zajęcie. — Wydawnictwo *Biblioteki Polskiej* Turowskiego, założyło siedlisko swoje w Krakowie, i już ukończyło druk w dwóch zeszytach: *Kazań sejmowych Skarżi*. — Słyszeliśmy, że od Nowego Roku czynniej zacnie się krzątać, i obrawszy pewien systemat, ściśle trzymać go się będzie.

**Lwów.** W drukarni Instytutu Ossolińskich nakładem W. Manieckiego wyszło kilka ważnych, pożytecznych i zajmujących książek, między innymi: *Geografia królestw Galicyi i Lodomeryi* napisana przez E. A. hr. Kuropatnickiego i pierwszy raz drukowana w Przemyślu r. 1786. Jest w niej wiele bardzo ciekawych szczegółów pokazujących w jakim stanie była ta prowincya kiedy się dostała pod berło domu austriackiego. — *Kasania* o mece pańskiej i nauki przygodne pisane przez kapłana obr. ormiańskiego

archidyecezyi lwowskiéj. Tom drugi. — Nakoniec wyszła tam czysto i ozdobnie wydana powieść Jana Zacharyasiewicza pod tytułem: *Dwaj Lutniści*, obrazki z naszój przeszłości. Autor wyprowadza na scenę dwóch 16 wieku poetów: Klemensa Janickiego i Sebastjana Klonowicza. Utwor ten przypisany T. Lenartowiczowi.

**Wiedeń.** W zawodzie malarstwa wyszło także niemieckie dziełko w Wiédniu budowniczego Ignacego Fiałkowskiego pod tytułem: *Der Zeichner und Kolorist nebst den dazu gehörigen Zeichenrequisiten*. 4o t. j. Praktyczne zasady nauki rysunkowéj i kolorowania z wiadomością o materyałach i narzędziach potrzebnych do rysowania.

**Poznań.** Wydawnictwo L. Merzbacha zaczyna przysługiwać się cennemi dziełami; wydania także zalecają się starannością i gustem. Najnowsze książki co wyszły z téj oficyny, są następujące: *Zabytek dawnej mowy Polskiej* ogłoszony staraniem hr. T. Działyńskiego; są to stare z 15 wieku kazania, i najdawniejszy przekład psalmu: *Super flumina*. Wydanie przepyszne lecz zbyt kosztowne, na tego rodzaju materyał filologiczny. Wyszły także: *Obrazki Andersena* p. H. F. Feldmanowskiego. — *Złobek*, koleda dla dzieci p. K. Antoniewicza. — O kometach Dra Wojciecha Urbańskiego ze Lwowa.

**Lipsk.** Półkownik Ign. Szwykowski ogłosił drukiem: *Historyczne badania nad zbiorami sztychowanych portretów malarzy flamandskich, które z końcem XVI i na początku XVII wieku wydawał Hieronim Cock w Antwerpii i Henryk Hondius w Hadze* (*Historische Skizze über die frühesten Sammelwerke altniederländischer Maler-Portraits Lei-*

*zig bei Weigel. 8vo str. 54.*) Praca ta stanowi ważny przyczynek do dziejów malarstwa i sztycharstwa flamandskiego.

U Brokhausa ukazało się dziełko politycznej wagi: *Udzielność Czarnogóry i prawo narodów w nowocześniejszej Europie* — francuski jego tytuł: *La Souveraineté du Monténégro*. Autorem téj pracy rzucającej światło na stosunki Czarnogóry do Turcyi, której wszelkiego prawa do zwierzchnictwa nad tym krajem zaprzecza, jest młody utalentowany Czech, znany z podróży swoich po ziemiach południowéj Słowiańszczyzny p. Jan Waclik. O dziełku tém dany w swoim miejscu sprawozdanie.

**Berlin.** Obrabianie przedmiotów polskich na polu romantyki, aczkolwiek po większej części nieudatne, w Niemczech coraz bardziej w modę wchodzi. I tak płodny romansopisarz niemiecki Edward Breier (Izraelita urodzony w Warzawie 1811 r. exartyle-rzysta i byłý redaktor gazety praskiej) ogłosił temi czasy w Peszcie historyczny romans z czasów pierwszego podziału Polski w trzech tomach pod tytułem: *Sabatnicy* (*Die Sabbathianer*). Za tło owego romansu posłużyła autorowi konfederacya barska i żydowska sekta Sabatjanów czyli tak zwanych Kontratalmudystów lub Soharytów zreformowanych na Podolu przez Jakuba Józefa Franka zwanego Dobruszki, który wywodząc ród swój z córki Kaźmierza Wielkiego i Esterki, przyjął pozornie część wiary chrześcijańskiej. Prócz owego Franka, którego awanturnicze życie i śmierć w Offenbach d. 10 Grudnia 1791 nastąpioną romansopisarz w powyższém dziele obszernie skreślił, występują w tymże romansie: Krasinski, Puławski, Kuźma i główna bohaterka jakaś

hrabina Zofia Kossakowska (?) głównie kierująca konfederacją barską, która z bronią w ręku ginie w bitwie pod Marynowicami (ma to być Maciejowicami) obok Kościuszki.

Podobnego rodzaju dzieło wydał także w Berlinie Leo Goldammer pod tytułem: *Litwa, powieści skreślone z natury i życia wiejskiego (Lithauen; Erzählungen aus dem Natur- und Volksleben)*. Zbiór ten obejmuje cztery powieści: pierwsza z nich rozwlekła pod napisem: *Zamek Kückernese*, wystawia zabiegi kurfiursty brandenburskiego o koronę polską r. 1660, przyczem pomiędzy innymi bohaterami niemieckimi występuje także Bogusław książę Rądzwiłł. Pomimo iż tło tychże powieści umieścił autor w Prusach nadbałtyckich na pograniczu Litwy; nie tu niema takiego, coby w najmniejszej części czasy dawniej Litwy lub Polski malowało.

W. Bachmann wydał nakładem drukarni nadwornej przerobiony z powieści hr. Henryka Rzewuskiego romans historyczny z drugiej połowy 16go wieku, pod napisem: „*Schloss Krakau und das letzte Turnier*.” Autor zyskał sobie już imię powieściopisarza w Niemczech przez powieść: „*Der Fürst Mein-Liebchen*” (książę Panie Kochanku) i lubo ułatwia on Niemcom obeznania się z naszymi obyczajami i zwyczajami, tak jak tłumaczenia Walter Skota dały im poznać obyczaje i zwyczaje dawniej Anglii i Szkocyi, wszelako autor z lekka tylko natrąca o źródle, z którego czerpał wszystko, a z recenzyj nawet niemieckich tego romansu poznajemy, że go uważają w Niemczech za oryginalnego powieściopisarza, który ze starych dzieł i podań wydobywał materiały do swoich prac; gdy tym-

czasem materiały te hr. Henryk Rzewuski w artystycznym już obrobieniu i całości mu podał. Zmiany zaś przez p. Bachmanna poczynione są tylko takie, jakie zdawały mu się być potrzebne dla czytelnika niemieckiego, żeby mu ułatwić zrozumienie nieznanego mu zupełnie życia publicznego i domowego w dawniej Polsce.

Wyszło także tam ciekawe dzieło mające związek z naszą historią mianowicie do epoki panowania Stanisława Augusta; jest to obraz dworu Rossyjskiego przed sto laty od r. 1725 — 1783 ułożony podług depesz i listów ambasadorów angielskiego i francuskiego. Tytuł dzieła: *La cour de la Russie, il y a cent ans.* — Miłostki Katarzyny z Poniatowskim, ich schadzki u sekretarza ambasady angielskiej, są szczegółowie wynotowane.

**Królewiec.** Jan Watterich ogłosił w Królewcu broszurę historyczną w języku łacińskim: *O zasługach Łukasza Watzelroda biskupa warmijskiego na polu nauk i wsparciu które od niego doznawał Mikołaj Kopernik. (De Lucae Watzelrode episcopi in Nicol. Copernicum meritis. Regiononti.)*

**Warszawa** Biblioteka Warszawska w grudniowym zeszyście zamieszcza następujące artykuły:

Starania domu rakuzkiego w XVI wieku o koronę polską p. Juliana Bartoszewicza.

Kilka uwag hist. statystycznych o gub. augustowskiej skreślił B. Tykiel.

Pamiętniki Franciszka Kowalskiego.

O poezyi włoskiej, przekład z Ozanama.

O biskupach kruszwickich. Początek dziejów katedry kujawskiej p. Z. Komarnickiego.

Kronika paryzka literacka i t. d. *Maison rustique* p. panią Miller-

Robinet. Memoires sur Berenger przez Savinien Lapointe i inne dzieła o pieśniarzu Franoyi. — Lornetka literacka p. Karola Monselet. Pamflet, komedia Legouvé. Teatr włoski — Pomnik p. Geofroy Saint-Hilaire.

Cerkiew zamkowa w Kodniu, i znajdujący się w niej nagrobek Jana Sapięhy wojew. podlaskiego przez p. Jana Łoskiego.

Poesye. Rada p. Jerzego Laszkarysa — Szaleńcy (z Berengera) przez W. Korytyńskiego. — Tymka Padury Mandriweé.

Kronika literacka. Pamiętniki dziejów polskich z aktów urzędowych lwowskich i rękopismów zebrał x. Sadok Barącz. — przez J. Bartoszewicza. Polemika o kwestyi włościańskiej. Wola i niewola w pracy p. Seweryna hr. Uruskiego — p. Leona hr. Lewickiego. — Przegląd muzyczny. Studya nad muzyką dramatyczną czyli opera, p. M. K. — Czas dodatek miesięczny Tom VIII.

Rozmaitości. Nowe listy Kopernika p. Dom. Szulca — korespondencye i t. d.

Taż Biblioteka podaje w swoich doniesieniach literackich następujące wiadomości ze świata naukowego:

Drukarnia Gazety Codzienniej rozpoczęła druk dwóch dzieł: „Życie, nauczanie i śmierć Sokratesa:“ napisał Michał Gliszczyński i „Pamiętniki kuratora magazynów“ Marcinkowskiego, siszącego pod przybranem nazwiskiem A. Nowosielskiego.

— Professor szkoły sztuk pięknych Bolesław Podczaszyński wydaje w litografowanym odbiciu: Kurs dziejów budownictwa, który wykłada. Obecnie mamy zeszyt pierwszy ułożony ze stronic 40 w 4-ce; wśród textu pomieszczono i ryciny objaśniające, Niemała to pomoc dla uczniów.

Wydanie to ogranicza się na bardzo małej liczbie exemplarzy.

— Szkiców i obrazków wyszedł zeszyt V, i obejmuje: fizyologią Saskiego ogrodu. Autor textu rozdzielił bardzo trafnie swoje obrazki na godziny dnia każdego, w których ogród ten oddzielną przybiera charakterystykę. Te odcienia szczęśliwie są pochwycone. Zarzucamy tylko niedbałość stylu, w niektórych miejscach przechodzącą w rubaszność. P. Kostrzewski staranniejsze dał nam ilustracye, a w rycinie „od 6-tėj do 9-tėj wieczorem“ wydatne pochwycił postacie.

— W chwili gdy otrzymujemy wiadomość, że August Cieszkowski złożył na ręce hr. Heliodora Skórczewskiego tysiąc talarów, jako nagrodę za pracę „Historyi włościan i stósunków ekonomicznych w dawniej Polsce,“ w drukarni S. Orgelbranda ukończył się druk tejeże treści dzieła E. Stawiskiego, obywatela kaliskiego.

— Wizerunki królów polskich rysowane p. Alex. Lessera, objaśnione textem historycznym przez Juliana Bartoszewicza, z litografii A. Pecq'a wyszedł zeszyt 2gi i obejmuje: 1. Stefana Batorego. 2. Zygmunta III. 3. Władysława IV. Jak portrety odznaczają się wiernością rysów oblicza i postaci tych królów, tak zarazem i starannością odbicia: obszerny text naszego badacza podnosi wartość tej publikacyi.

— Wydanie w przekładzie polskim „Koranu“, coraz nowemi zdobyczami się z bogactwa. Wydawca troskliwy o wszystko, co może nadać większą jeszcze wartość tej publikacyi, więcj nad prospekt dodaje. Tak znajdziemy w tém dziele rozprawę napisaną

przez ś. p. Konstantego Świdzińskiego, który zajmował się numizmatyką wschodnią, odkrył monety tatarskie z napisami świadczącymi o panowaniu Witolda na Wschodzie. Rozprawa ta udzielona księgarzowi Nowoleckiemu przez J. Bartoszewicza, będzie ozdobiona drzeworytami, które księgarz ten i wydawca powierzył jednemu z zdolnych artystów do wykonania. Dodaną będzie nadto rozprawa obejmująca pogląd na różnice wyznań, mianowicie Mojżeszowych w czasach Mahometa, zebrana z dzieł najważniejszych angielskich i niemieckich. Gdy Jan Murza-Tarak Buczacki, tłumacz Koranu, umarł, obecnie biegły orientalista W. Ko....., który przełożył z arabskiego modlitwy codzienne i świąteczne dla wyznawców Islamu, pomnożywszy je pięknym tłumaczeniem Hymnu religijnego, zajmując się przypisami i objaśnieniami. W ostatku dołączony będzie kalendarz arabski w obecnych rozmiarach przez ś. p. Adryana Krzyżanowskiego ułożony. Z tego widzimy, jak wielce zajmująca i nauczająca jest publikacya Koranu. We wszystkich językach europejskich księga ta stanowiąca główny żywioł duchowy Mahometan, od kilku wieków była ogłaszana; znamy kilka tłumaczeń łacińskich, francuzkich, niemieckich, angielskich; w naszym języku dopiero po raz pierwszy mamy zupełny przekład z bogactwami jeszcze wiadomościami, mającemi łączność z Koranem lub rzucającemi nań światło. J. Bartoszewicz dołącza tu rozprawę, w której ma mówić o Tatarach w Polsce osiadłych; zwracamy jego uwagę na rozprawę o Tatarach ś. p. Jana Win. Bandtkiego. Rozprawę tę w połowie pierwszej ogłosił K. Wł. Wójcicki w Album literackim.

— Józef Paszkowski znany ohlubnie tłumacz Szekspira wykończy obecnie przekład Otella. Tłumaczenie „Kupca weneckiego“ będzie w następnych zeszytach drukować Biblioteka Warszawska.

— „O uczuciu kolorów w stanie fizyologicznym oka“. Dzieło przedstawione paryzkiej akademii nauk przez Dr. Wiktora Szokalskiego, przełożył z francuzkiego na język polski Ferdynand Nowakowski student ces. król. Medyko-Chir. warszawskiej akademii. Tłumacz w przedmowie pisze: „Co mnie skłoniło do przetłumaczenia tej książki? Obok zamikowania przedmiotu, chęć przysłużenia się ogółowi, przyswojeniem pracy uczonego rodaka; pracy, wyrażonej nieprzystępnym dla wszystkich słowem. Owoc długoletnich doświadczeń zbieranych pod obcym niebem, zniewolił autora do objawienia swych idei w nieojczystym języku. Godna zatem, aby dzieło podobnej treści, przy zupełnym prawie braku prac traktujących oddzielnie o najdroższym organie człowieka, o oku, i w obec ożywionego zapędu ku nauce sztuki lekarskiej, stało się dla współziomków przystępnym i moim kolegom w mozolnych trudach ulgę przynieść mającém. Niemcy już dawno przyswoili sobie to dzieło; mniemam, że i ta okoliczność choć niezbyt zaszczytna, żeśmy się dali uprzedzić cudzoziemcom, będzie niemałą podniętą do zapoznania się z pracą szanownego autora. Książka ta miała dwa wydania w języku francuzkim; najprzód w rocznikach okulistycznych (Annales d'oculistique publiées par M. Florent Cuvier), a powtóre oddzielnie wyszła w Paryżu r. 1841 i z tego wydania dokonaliśmy przekład.“ Tłumaczenie przygotowane do druku przez F. Nowakowskiego mieć będzie przewagę nad oryginałem

ogłoszonym z tego względu, że sam autor je przejrzał i przypisami powiększył. My podając o tej pracy wiadomość, cieszymy się, że zacna młodzież polska, która z takim zapałem rzuciła się do tylko co otwartej Akademii w mieście naszym, pojmuje potrzebę pracy i nauki, z której i ogół korzystać będzie Wiemy, że w jej gronie są i dojrzałsi wiekiem, ludzie z doświadczeniem i nauką, którzy już obznajmieni z pracami literackimi, nie zależą pola. Lat kilka swobodnego rozwoju tej instytucji, a błogie owoce pracy i poświęcenia szlachetnej naszej młodzieży kraj cały zbierać będzie.

Zeszyt XII „Opisu cmentarza powązkowskiego“ już w druku ukończonym został; równocześnie cały tom trzeci dodatkowy z tym zeszytem wyjdzie. Tom ten obejmujący czterdzieści arkuszy ścisłego druku, zawiera oprócz dopełnień do Cmentarza powązkowskiego opisy następnych cmentarzy: 1. Święto-Krzyżkiego. 2. W Warszawie przy ulicy Leszno. 3. W Wilanowie. 4. W Czerniakowie. 5. Na Pradze. 6. Na Bielanach. 7. We wsi Wawrzyszewie. 8. Ewangelicko-Augsburskiego wyznania. 9. Ewangelicko-Reformowanego. 10. W Woli pod Warszawą. Obszerne przypisy i dodatki uzupełniają całość dzieła: w końcu dodany skorowidz alfabetyczny. Tom ten ozdobiony rycinami, oddzielnie może być nabywany przez prenumeratorów pierwszych dwóch tomów.

— Rozrywek dla młodocianego wieku, pod redakcją Seweryny z Żóchowskiej Pruszkowej wychodzących, mamy już seryi 2iej tom pierwszy, z trzech zeszytów złożony.

Pismo to doborem artykułów, starannością redakcyi, dążnością szlachetną i moralną, zasługuje

na jak największe upowszechnienie, tém bardziej, że i cena złp. 30 za pięć tomów jest dostępną, a w handlu księgarskim niewiele praktykowaną. Oprócz opowiadań historycznych, dzieło to zawiera życiorysy zasłużonych mężów; z literatury polskiej znane już z pierwszej seryi, czytania obejmujące czasy Piastowskie; wyjątki z dzieł ks. Ventury; „O wpływie niewiasty na społeczeństwo,“ zajmujące ważnością swęj treści, jak prostotą wykładu, i wyborym językiem; dramat w dwóch aktach p. n. „Olsztyn,“ wierszem, drobniejsze poezye tak redaktorki, jak Maryi Pnickiej znanęj z prawdziwie poetycznego talentu i w. i. Z podróży mamy tu: „Wycieczkę do krainy Cyda“ przekład ze słynnego Fr. Ozanama; powieści i listy uzupełniają całość tego tomu. Możemy z całą sumiennoscia oddać pochwały zasłużone temu pismu, które w wychowaniu domowem powinno być najpięrszą książką, bo może być podana z użytkiem wielkim naszej doroslejszej dziatwie. Znajdzie tu i późniejszy czytelnik niemało dla siebie przedmiotów zajmujących nauczających.

— „Nowe bajki i powiastki“ dla dzieci, oryginalne, Tymoteusza Rodziszewskiego, wyszły z druku.

Wilno. Za rzecz pewną mamy, że wkrótce otrzymamy pozwolenie Najwyższe na założenie w Wilnie Liceum realnego, mającego się składać z trzech oddziałów: mechanicznego, technicznego i agronomicznego — Drugi zeszyt Teki wileńskiej jest już pod prasą. Syrokomla napisał nową gazetę p. n.: Ułas, z wypadków 1812 roku, która się drukuje u T. Glücksberga.

— Z sprawozdań wileńskiej archeologicznej komisyi w r. b. dowiadujemy się, że rzeczywiście

członek A. H. Kirkor złożył programat 2-go tomu Pamiętników komisyyi, który obejmować będzie: 1) Przegląd posiedzeń Komisyyi od 11 czerwca 1856 r. 2) i 3) Dwie rozprawy rzeczywistego członka M. Gusiewa; o starożytnym litewskim i runicznymi kalendarzach. 4) Rys historii archeologii w Polsce i Litwie Ludwika Kondratowicza (Syrokomi). 5) Przegląd czynności główniejszych naukowych towarzystw w słowiańskich krajach i rzut oka na najnowsze archeologiczne poszukiwania. 6) Rozmai-

tości archeologiczne. 7) O posążkach bóstw litewskich znajdujących się w muzeum Teodora Narbutta. Katalog archeologicznej kolekcyyi ułożony przez A. H. Kirkora, portretów i biustów przez L. Kondratowicza, i pamiątkowego przez prezesa Eust. Tyżkiewicza i rzeczywistego członka Pawła Kukulnika.

*Odessa.* Jako osobliwość zapisuję, że przed miesiącem wyszła tu pierwsza książka polska drukowana p. n.: Chwile od prac swobodne. Jestto zbiór poezyj E. A. Łukaszewicza.



## ROK DRUGI.

### SPIS ALFABETYCZNY PRZEDMIOTÓW

zawartych

w Tomie V, VI, VII i VIII, „Dodatku do Czasu“

według podpisów sporządzony.

- ARBUZOWSKI Bartłomiej — Wyprawa do Arabii po konie (zdarzenie prawdziwe); Tom V, str. 657.
- ARCHIWA Berlińskie — Kilka drobnych wiadomości dziejowych; VI, 46.
- ARCHIWA Podhoreckie — List nieznanego Awanturnika; VII, 697.
- BIELOWSKI August — Pokucie; VI, 653.
- BRONIKOWSKI A. — Platona Jön czyli Rhapsodika; VI, 337.
- BYSTRZEWSKI M. — Co to Włoszka? VI, 148.

- CHODŹKO** Aleksander — Derwisz trzeci, powieść tłomaczona z perskiego; V, 381. — Przygody Padyszaha i czterech Derwiszów; VIII, 99.
- CZERNICKI** Gustaw — Poezye z Lermontowa; VIII, 424.
- DĄBROWICKI** W. S. — Modlitwa z hiszpańskiego Lopez de Vega; VIII, 434.
- DOMEJKO** Ignacy — Czteromiesięczna podróż z Paryża do Chili w r. 1838; V, 3, 259, 503; VI, 3, 245. — Wyjątki z listów do Adama Mickiewicza; VI, 273.
- DZIEDUSZYCKI** hr. Maurycy — Pojedynki; VII, 3. — Kalejdoskop czyli dramat na łysiej Górze; VII, 408. — Rzut oka na stan religijno-obyczajowy Polski w XVIII wieku; VIII, 291.
- FELICYAN** M. — Termopile, poemat; VI, 100. — Poezye: Złoty Cielec, VI, 642, Afrodyte Anadyomene, VI, 646. Kochanka króla Cefrena; VI, 649.
- GROZA** Aleksander — Marek Jakimowski, duma historyczna; VII, 156. — Pamiątka nadzwyczajnego zdarzenia w klasztorze Berdyczowskim praktykowanego; VII, 669.
- HELLENIUSZ** E. — O Unii w Polsce; VI, 535. — Wiadomość historyczna o Zgromadzeniu XX. Bazylianów w Humanii; VIII, 3.
- KAMIĘŃSKI** B. — Negocyacye ze Szwecyą o pokój 1651—1653; V, 37, 302, 553.
- KOŹMIAN** Kajetan — Biografia księcia Adama Czartoryskiego, Jenerała Ziem Podolskich; VIII, 625.

- KRASZEWSKI J. I. — Mogiły, fragment; VIII, 644.
- KRZECZUNOWICZ Kornel — Postępowanie sądowe w sporach o zwrócenie rzeczy wydzierżawionych w Galicyi; VI, 68.
- KULCZYCKI Władysław — Komedyi Danta pieśń II, (Czyśca) i pieśń XXIII (Raju) przekład; V, 96. — Zabiegi posła tokańskiego Pawła Minucci na dworze królowej Ludwiki forytującego na tron polski Matiasza Medicis księcia tokańskiego r. 1569; VI, 294. — Panteon; VII, 382. — Szkice podróżne; VIII, 158. — Dwoje pism dyplomatycznych hrabiego Krzysztofa Masini posła nadzwyczajnego Rzeczypospolitej Polskiej do książąt Włoskich w r. 1674; VIII, 561.
- LEKSIKIEWICZ I. — Gymnastyka języka; V, 641.
- LENARTOWICZ Teofil — Komedyi Danta pieśń XXV (Piekła); V, 89.
- LISIEWSKI I. — Badanie historyczne podania gminnego o Smoczéj Jamie w Krakowie; VIII, 61.
- ŁABIŃSKI Michał — O administracyi francuzkiej; VII, 307.
- ŁEPKOWSKI Józef — Drezno, zbiory sztuk i archeologii w tem mieście; VI, 85.
- MANN Maurycy — Drugie konferencye paryzkie; V, 196. — Fakt i prawo; 437. — Jeszcze jedna kwestya; 736. — Państwo i *Self-government*; VI, 200. — Dzisiaj czyli Wieniec Konwalij, dramat w czterech aktach; 367. — Zmiany konieczne; 472. — Państwo i Opozycja; 749. — Rosya i kwestye społeczne; VII, 210. — Państwo dwulicowe; 519. — Wizyta u Panny Le Normand;

726. — Państwo i Kolonie; 778. — Zjazdy monarcharsze i Opinia europejska; VIII, 209. — Oligarchia polityczna; 501. — Drugi obieg błędnego koła; 776.

**MĄCZYŃSKI** Józef — Kościuszkowskie Czasy; VII, 427. Archiprezbyterowie i kapłani kościoła Maryackiego w Krakowie; VIII, 436.

**MEDARD** F. — Zamiennik, powieść; V, 108,

**MORAWSKI** generał Franciszek — Bajki; VIII, 637.

**MOROZ** Leszek — Gracze, poemat satyryczny; VIII, 84.

**MOSBACH** August — Axela Sparrego szambelana królowej Szwedzkiej Krystyny poselstwo do Polski w r. 1645; VII, 340.

**NÓRWID** Cypryan — Białe kwiaty; V, 356.

**OLESZCZYŃSKI** Antoni — O sztukach pięknych; VII, 140.

**POL** Wincenty — Ustęp z poematu „Wit Stwosz“; V 371.

**SIEMIŃSKI** Lucyan — Rzut oka na całoroczne piśmiennictwo w r. 1856; V, 174. — O tłumaczeniach i o przekładzie Eschyla i hymnów kościelnych; 422. — O literaturze pamiątkowej a w szczególności o pamiątkach Ewy Felińskiej; 714. — O Janie Potockim i jego romansie; VI, 181. — O Poezyi ukraińskiej i o poematach Aleksandra Grozy; 452. — Monografie historyczne „Cmentarz Powązkowski“ i „Wzory sztuki średniowiecznej“; 735. Legendowe fałszerstwo i Dwie konwersacje Ignacego Chodźki; VII, 191. — O sztukach pięknych w Polsce o „Słowniku malarzy Rastawieckiego i o muzyce pieśni gminnych Kol-

- berga; 499. — Elegia Dantyszka do Grynei; 719. — O poezyi chrześcijańskiej i o Dantyszkowych hymnach; 768. — O pamiętnikach Bartłomieja Michałowskiego; VIII, 179.
- O literaturze improwizowanej i o „Podróżach historycznych „Niemcewicza; 481. — O potrzebie pism czasowych i o *Tece* Wileńskiej; 758.
- SŁOMCZEWSKI** Michał — Anglia i Anglicy w wieku ośmynastym; VII, 60. — Charakter i niebezpieczeństwa cywilizacyi przemysłowej; 581.
- SŁOWACKI** Juliusz — Do Eustachego J...; VIII, 641.
- SUCHECKI** Henryk — Ułamki gładoliekie pragskie; VII, 126.
- SULIMA** Onufry — Uwagi nad oczyszczaniem i uwłaszczeniem włościan w Królestwie Polskiem; VII, 388.
- WODZICKI** hr. Henryk — Uwagi o kwestyi włościańskiej (z powodu broszury Seweryna hr. Uruskiego: „Wola i niewola w pracy“); VII, 92.
- WODZICKI** hr. Kazimierz — Zapiski ornitologiczne; VI, 354, 627; VII, 106.
- ZAŁUSKI** hr. Jan Konrad — Dwa dokumenta odnośne do zeszłowiekowych dziejów Ziemi Sanockiej; VIII, 371.
- ZAŁUSKI** generał hr. Józef — Kilka słów o dawniej bronni w Polsce; VIII, 46.
- ŻEBRAWSKI** Teofil — Wiadomości numizmatyczne (z dwiema tablicami); V, 618.
-

**KRONIKA.**

Z Berlina; V, 225, 460, 766; VI, 501, 777; VII, 258, 542, 830; VIII, 251, 531, 808.

Z Krakowa; V, 212, 449, 750; VI, 214, 486, 769; VII, 247, 532, 820; VIII, 233, 510, 791.

Z Londynu; V, 243, 477, 783; VI, 235, 519, 792; VII, 282, 557, 848; VIII, 266, 551, 825.

Ze Lwowa; V, 215, 455, 759; VI, 222, 492.

Z Paryża; V, 233, 466, 775, VI, 229, 511, 785; VII, 263, 272, 550, 839; VIII, 258, 543, 817.

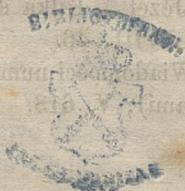
Z Poznania; VIII, 244, 521, 800.

Z Rzymu; V, 241, 473, 781.

Z Warszawy; V, 484, 790; VI, 524; VII, 294, 567; VIII, 278.

Z Wiednia; V, 220, 457, 762; VI, 226, 496, 773; VII, 253, 537, 825; VIII, 240, 515, 797.

Gazetka literacka; V, 250, 493, 795; VI, 243, 533, 805; VII, 303, 579, 863; VIII, 283, 559, 537.

**KONIEC.**

## SPROSTOWANIE

### pomyłek drukarskich w zeszycie listopadowym.

- Str. 373 wiersz 6 po słowie Rzeczypospolitej opuścić \*)*  
" " " 8 *po słowie rosyjskie; zamieścić \*)*  
" 374 " 2 *zam. węgierskich czyt. perskich*  
" " " 31 " *obronę " obroną*  
" 377 " 11 *(w notce) z. najmniejszej czyt. największej*  
" " " 22 *zam. sejmików roków czyt. sejmików i roków*  
" " " 35 " *Lubomiski " Lubomirski*  
" 382 " 2 *(przypis. do notki) zam. Progów czyt. Srogów*  
" " " " " *" " Sereńcie " Sereńcie*  
" " " " " *" " Witrytów " Witryłów*  
" 384 " 27 *po słowie Febrero domieścić wypłacić*  
*mogła*  
" 386 " 11 *po słowie Jegomości domieścić o którego*  
*eliberacją supplikować Jaśnie Oświeceno-*  
*go księżęcia Jegomości*  
" 387 " 7 *po słowie wolność! opuścić znak wykrzy-*  
*knienia!*  
" 389 " 18 *zam. Zawisły czyt. Zawistój*  
" 392 " 1 " *sieczcz " jeszcze*  
" 394 " 15 " *łatwo mimo, czyt. łatwo, mimo*  
" 395 " 21 " *potrzeby " i potrzeby*  
" " " 25 " *uwaszcząć " uwłaszczać*

Str. 395	wier. 31	opuszczyć już	
" "	" 32	zam. przyczyny zasadę	czyt. przyczyny może zasadę
" 402	" 57	zam. gwałowna	czyt. gwałtowna
" 403	" 9	" obdarujących	czyt. obdarowujących
" 408	" 3	" był: jest	" był i jest
" 414	" 16	" tu okoliczność	" tę okoliczność
" "	" 10	" porządku	" w porządku
" "	" 12	" lokowane	" lokowani
" "	" 18	" wolność lub	" wolność spłacenia lub
" 415	" 15	" prac lub majątków	czyt. praw lub majątku
" 416	" 9	" chwilowe się jej	czyt. chwilowe jej
" 418	" 2	" złp. 150	" złp. 160
" 419	pod numerem 9	zam. 2722	czyt. 2723
" 421	wier. 27	" oszacowaniu	" oszacowanie
" "	" 35	" jako też czynszu	" jak też czynsze.

### W zeszycie grudniowym.

Str. 582	wier. 31	zam. Adryanopolitańskim	czyt. adryanopolskim
" 603	" 18	" Rangonim, Viscontim, Torresie i Vidonim	czyt. Rangoniego, Viscontiego, Torresa i Tidoniego.



## SPIS PRZEDMIOTOW

w zeszytach grudiowym zawartych.

Stronnica.


- I. Dwoje pism dyplomatycznych hrabiego Krzysztofa Masini posła nadzwyczajnego Rzeczypospolitej Polskiej do książąt włoskich w 1674 r. przez *Władysława Kulczyckiego* . . . . . 561.
- II. Biografia księcia Adama Czartoryskiego Jenerała ziem Podolskich, przez *Kajetana Koźmiana* . . . . . 625.
- III. Poezye: Bajki *F. Morawskiego* (jenerała). 637.  
Do Eustachego J. . . . . przez *Juliusza Słowackiego* . . . . . 641.
- IV. Mogiły, fragment, przez *J. I. Kraszewskiego*. 644.
- V. Przegląd piśmiennictwa, przez *Lucyana Siemieńskiego* . . . . . 758.
- VI. Drugi obieg błędnego koła, przez *Maurycego Manna* . . . . . 776.
- VII. Kronika . . . . . 791.
- VIII. Gazetka Literacka.
- IX. Rok drugi *Dodatku do Czasu*.

Przedpłata na **Dodatek miesięczny** „Czasu“ wraz z dziennikiem :

dla miejscowych rocznie 26, półrocznie 13, kwartalnie 7 złr. mk.  
„ zamiejscowych  
wraz z przesyłką „ 30, „ 15, „ 8 „ „

Dodatku miesięcznego *osobno* prenumerować nie można.

Dodatek miesięczny wychodzi w zeszytach od 12 do 15 arkuszy druku z dniem ostatnim każdego miesiąca.

 Dla zagranicznych pojedynczy zeszyt **Dodatku miesięcznego** sprzedaje się w Biórze Administracji „Czasu“ po złr. 2 mk.

Egzemplarzy *gratis* Dodatku miesięcznego nie daje się.